

MARCEL MOSS



MROZNA POWIEŚĆ KRYMINALNA
AUTORA 20 BESTSELLERÓW.

POLANA



WYCOFAJ SIĘ, PÓKI MASZ CZAS.
ZOSTAŃ, A WCHŁONIE CIĘ LAS.

FILIA

MARCEL MOSS

POLANA

FILIA

Copyright © by Marcel Moss, 2024

Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Michał Grosicki

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Joanna Pawłowska, Olga Smolec-Kmoch

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-459-2

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

PROLOG

ROK 1997

- Nareszcie - powiedziała Lilia Malczewska do siebie, patrząc na wdzierający się do jej pokoju przez uchylone drzwi dym. Za kilka minut dom stanie w płomieniach, w których zginie ta przekłeta rodzina. Dziewczyna nie zamierzała podzielić losu rodziców i brata, więc zeskoczyła w pośpiechu z łóżka i wybiegła na korytarz. Zakasłała, gdy uderzyła w nią chmura gęstego ciemnego dymu. Wiedziała, że ma niewiele czasu.

Zanim zbiegła na dół, upewniła się, że drzwi do sypialni jej rodziców są zamknięte na klucz. Liczyła, że nawet jeśli się obudzą i wyważą drzwi, ogień do tego czasu zdąży wdrzeć się na piętro i zablokować im drogę ucieczki. Zresztą nawet gdyby jakimś cudem się przez niego przedarli, miała plan B.

- Żegnajcie - wyszeptwała, przykładając dłoń do kieszeni spodni, w której znajdowały się dwa klucze. Zamierzała wrzucić je do pobliskiego jeziora lub rzeki. Nikt nigdy ich nie odnajdzie i nie dowie się, co zrobiła.

Chwilę później zatrzymała się przy drzwiach do pokoju swojego brata Sambora. Od najmłodszych lat wpajano jej, że bliźnięta łączy szczególna więź i gdy jedno z rodzeństwa cierpi, drugie podświadomie wie, że coś jest nie tak. Tymczasem Lilia nie czuła niczego takiego. Nienawidziła Sambora równie mocno jak rodziców, a przebywając z nim, zawsze czuła przejmujące zimno. Gdyby miała wymienić wszystkie powody, dla których pragnęła ich śmierci, nie starczyłoby jej dnia. A jednak coś nakazywało jej wejść do pokoju brata i go obudzić.

Cichy głos z tyłu głowy powtarzał jej, że jeśli go tu zostawi, popełni ogromny błąd.

– Noż kurwa! – zasyczała, po czym wyjęła z kieszeni klucz i włożyła go w zamek. A potem otworzyła drzwi, wpuszczając do pokoju kłęby dymu. – Wstawaj.

Zaspany Sambor otworzył powoli oczy, ale już po chwili poderwał się z łóżka.

– Czego chcesz? – Dopiero po tym pytaniu zauważył wdzierający się do środka dym.

– Musimy uciekać. Pali się – powiedziała spokojnym tonem Lilia.

– C-co?

– Nie pytaj. – Chwyła go za rękę i wyciągnęła z łóżka. – Idziemy.

– Mama! – jęknął po wyjściu na korytarz chłopak.

– Są już na zewnątrz – okłamała go, ciągnąc ku schodom.

– A-ale...

– Nie martw się. Czekają na nas przed domem.

Po zejściu na dół ich oczom ukazał się trawiący salon i korytarz ogień. Lilia zrozumiała, że zbyt długo zwlekała z ucieczką. Na szczęście tylne drzwi nie były jeszcze zajęte przez płomienie.

– Tędy! – krzyknęła do brata, który zasłaniał drugą ręką twarz, głośno kaszłąc.

Chwilę później oboje klęczeli na mokrej ziemi i patrzyli na rozprzestrzeniający się po domu ogień.

– Mama! – powtórzył Sambor.

– Są po drugiej stronie. Zaraz do nas przyjdą.

– Chodźmy do nich! – upierał się chłopak.

– Nie! – Lilia przytrzymała go. Jej brat był jednak silniejszy i w końcu jej się wyrwał. A potem okrążył dom i usłyszał przeraźliwy krzyk wyglądającej przez okno w sypialni na górze matki:

– O Boże! O Boże!

Zanim zdążył ją zawołać, Zyta Malczewska zniknęła mu z pola widzenia i dołączyła do próbującego otworzyć drzwi męża.

Tymczasem Lilia usiadła po turecku na ziemi i z satysfakcją obserwowała, jak dom, w którym spędziła siedemnaście lat życia, zamieniał się właśnie w zgliszcza. Nie wiedziała jeszcze, czy podjęła słuszną decyzję, ratując brata. Być może pewnego dnia tego pożałuje. Na razie jednak nie chciała się nad tym zastanawiać. Woląла cieszyć się upragnioną chwilą.

ROZDZIAŁ 1

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT PÓŹNIEJ

Pukanie w szybę srebrnego mercedesa SUV-a wybudziło Sambora Malczewskiego z głębokiego snu. Chwilę później dotarł do niego nieco przytłumiony męski głos:

– Halo! Żyjesz? Dochodzi dwunasta!

Leżący na tylnych siedzeniach Malczewski niechętnie uniośł powieki i przeszedł do pozycji siedzącej. Poczł promieniujący od czoła ból głowy, który przypomnił mu o wybrykach zeszłej nocy.

– Ja pierdolę – syknął zirytowany. Następnie zrzucił z siebie gruby wełniany koc, opuścił szybę za pomocą pokrętki i posłał przyjacielowi surowe spojrzenie. – Serio, Gutek? Wiesz, jak długo nie mogłem zasnąć? Jacyś kretyni urządzili sobie imprezę na parkingu o trzeciej w nocy.

– Och, biedaku. Z tego, co slyszalem, to o trzeciej siedziales przy barze i wyklócales się z Kaśką o kolejnego drinka. No co? Wszystko mi powiedziała, zanim poszła do domu.

– Wierzysz mi czy jej? – Malczewski przewrócił oczami, po czym przeciągnął się i przejechał dłońmi po bursztynowych włosach. – Akurat Kaśka wrzeszczała głośniej od nich.

– Taka jej praca – odrzekł jego rozmówca.

– Wyganianie nawalonych klientów?

– Jeśli jest taka potrzeba.

Sambor zmarszczył lekko brwi.

– Powinieneś zatrudnić barmana, który będzie odwalał za nią brudną robotę. Ci faceci pod koniec byli tak narwani, że mało brakowało, bym...

- Spokojnie, wrzask Kaśki spłoszyłby nawet wygłodniałego niedźwiedzia - prychnął Gustaw Budyński. - A tak na poważnie, to trzymaj się z daleka od awantur i przepychanek. To ostatnie, czego w tej chwili potrzebujesz. No, chyba że w końcu się zdecydowałeś?

Sambor zmrużył oczy.

- Na co?

- Na posadę ochroniarza. Sam widzisz, że potrzebna mi pomoc profesjonalisty. A ty jako gliniarz - chrząknął - przepraszam, były gliniarz, chyba umiesz sobie radzić z problematycznymi ludźmi?

Malczewski spojrzał na przyjaciela z lekkim politowaniem.

- Innymi słowy: mam się trzymać z dala od agresywnych pojebów, ale jeśli w grę wchodzi pieniądze, to nie widzisz problemu, bym się z nimi napierdział?

- Coś w ten deseń. Grunt, żebyś robił to z jakiegoś powodu.

- A chęć zapewnienia sobie rozrywki nie jest wystarczającym powodem?

- Chyba potrzeba odreagowania frustracji - rzucił przyjaciel. - To jak?

- Sorry, ale nie. Oszczędności mam jeszcze na parę lat całkiem wygodnego życia. A gdy już mi się skończą, to pewnie dawno mnie tu nie będzie.

- Nic, tylko pozazdrościć luksusów. Po prostu idealnie się ustawiłeś - powiedział z przekąsem Budyński. - Tak idealnie, że chlejesz noc w noc i dogorywasz w aucie, bo nie jesteś nawet w stanie doczołgać się do kawalerki...

- Nie pierdol, Gutek - syknął Sambor, po czym założył skórzaną kurtkę na czarny sweter, zasunął szybę i wysiadł z pojazdu. - Masz jakiś problem? Powiedziałem ci, że mogę sobie spokojnie wynająć jakieś mieszkanie lub pokój w hotelu.

- O nie... Wolę cię mieć na oku. Zwłaszcza teraz, gdy jesteś w gorszej formie.

- W gorszej formie? Znasz mnie raptem pół roku. Skąd możesz wiedzieć, jak było ze mną przedtem?

Budyński wsunął ręce do kieszeni kurtki i rzekł:

- Wystarczy, że porównam ciebie z pierwszej wizyty w barze i z teraz. Wtedy byłeś gburowatym mięśniakiem, który omal nie pobił się z jednym z moich stałych klientów...

- A teraz?

- Nadal jesteś gburowatym mięśniakiem, tylko ciągle skacowanym i niewyspanym. Przykro się na to patrzy, chłopie.

- Chciałem powiedzieć, że nie jesteś moim ojcem, by się o mnie tak troszczyć... A potem przypomniałem sobie, że sukinsyn bardziej niż o mnie troszczył się o dziki, które kręciły się po podwórku i srały, gdzie popadnie.

- To zupełnie tak jak ty w zeszłym tygodniu po chlaniu z Irkiem Kurzępą. - Gustaw uśmiechnął się wymownie.

- Bardzo zabawne - burknął poirytowany Malczewski. Nie lubił zaczynać dnia od wysłuchiwania mądrości i docinek starszego o szesnaście lat znajomego. Niestety ostatnimi czasy przydarzało mu się to coraz częściej.

Budyński pokręcił z rezygnacją głową, po czym odrzekł:

- Słuchaj, jeśli nie chcesz pracować dla mnie, to zatrudnij się gdzieś indziej. Wolnego czasu masz aż nadto.

- Powtórzę po raz tysięczny: mam pieniądze.

- I co z tego? Słuchaj, nie wiem, co zaszło w twoim życiu, bo trudno cokolwiek z ciebie wyciągnąć, ale domyślam się, że ostatnie miesiące, a może i lata nie były dla ciebie kolorowe. Inaczej nie sprzedawałbyś całego majątku i nie wyjeżdżał na drugi koniec kraju...

Sambor spojrział podejrzliwie na przyjaciela.

- Zaraz... Skąd wiesz o majątku? Nie przypominam sobie, bym komukolwiek o tym mówił.

- Jakiś czas temu wygadałeś się po pijaku.

– Pierdolisz. Pewnie wynająłeś kogoś, by mnie sprawdził.

Gustaw przewrócił oczami.

– Oczywiście. Jakbym nie miał na co wydawać pieniędzy. Nie martw się, nic więcej nie powiedziałaś. Nawet po zero siódemce i dwóch liskaczach umiałaś się ugryźć w język.

Sambor przez kilka sekund piorunował rozmówcę wzrokiem.

– Dlaczego mi to właściwie mówisz?

– Dlatego, że może i jesteś przy kasie, ale jak nie przesiadujesz bez celu w barze, to spacerujesz po parkingu. Długo chcesz tak wegetować? Z doświadczenia wiem, że w życiu trzeba mieć zajęcie. Bezczynność zabija.

– Skoro do tej pory szlag mnie nie trafił, to raczej nic mi nie będzie – prychnął Sambor, na co jego rozmówca rozłożył bezradnie ręce.

– Co ja z tobą pocznę, biedaku?

– Gutek, daruj sobie. Niedługo przecież i tak mnie tu nie będzie. – Malczewski przeniósł wzrok na stojący pięćdziesiąt metrów dalej piętrowy, podłużny budynek, w którym mieścił się prowadzony przez Gustawa bar i obiadownia o nazwie „Aldona”. Lokal przez blisko dwadzieścia lat istnienia przysporzył sobie wielu stałych bywalców, jednak główną klientelę stanowili rzeszowscy kibice wracający z pobliskiego Stadionu Miejskiego.

– Powtarzasz to już szósty miesiąc, a mimo to nadal tu jesteś. I żeby było jasne: nikt cię nie wygania. Wręcz przeciwnie: naprawdę wolalibyśmy mieć na ciebie oko. Zresztą nie tylko ja. Wszyscy tu się z tobą zżyliśmy. I to mimo iż robiłeś wszystko, żeby nas do siebie zrazić.

– Powinienem teraz zapłakać i rzucić ci się w objęcia?

– Nie ironizuj.

Były policjant czuł coraz większe znużenie niewygodną dla niego rozmową.

– Gutek, porządny z ciebie gość, ale odpuść, serio... – Poklepał przyjaciela po ramieniu. – Skup się na tym, co wychodzi ci najlepiej,

czyli robieniu biznesu.

- Doprawdy? Wspominałem ci przecież, że przychody maleją z miesiąca na miesiąc.

- Odkujesz się. W końcu prowadzisz Aldonę od lat.

Budyński wydał z siebie zduszone prychnięcie.

- Wiem, do czego zmierzasz. Odpowiedź brzmi: nie.

- Gutek, nie mogę przecież mieszkać u ciebie za darmo. Nie wspomnę już o zajmowaniu miejsca na parkingu.

- Czy kiedykolwiek widziałeś, by był wypełniony choć w jednej piątce? - Gdy Sambor wzruszył ramionami, Gustaw dodał: - Właśnie. Zapomnij. Nie wezmę od ciebie ani grosza.

- Chłopie, co miesiąc przepada ci niezła kasa... Spokojnie mógłbyś to wynająć.

- Myślisz, że nie próbowałem? Rekordzista wytrzymał miesiąc całonocnych krzyków pijanych klientów. Wbrew pozorom niełatwo znaleźć tak idealnego lokatora jak ty.

- Czyli jednak pochwalasz mój styl życia? - spytał podchwytliwie Sambor, co Gustaw skwitował litościwym spojrzaniem.

- Próbujesz mi wcisnąć te pieniądze, bo zależy ci na moim dobru, czy zwyczajnie nie chcesz mieć u innych długu wdzięczności?

- Tłumacz to sobie, jak chcesz - rzucił były glina, po czym ruszył powoli w stronę budynku.

- W takim razie przestań być taki uparty i przyjmij moją propozycję - mówił podążający za nim Budyński. - Potrączę ci należne od wynagrodzenia. Koniec końców i tak obaj skorzystamy na takim układzie.

Malczewski przystanął i głośno westchnął.

- Wystarczy, stary. Możemy przełożyć tę rozmowę na później? - zaproponował.

- Długo tak jeszcze będziesz unikał ważnych tematów? - odpowiedział tamten pytaniem na pytanie. - Sambor, naprawdę nie

widzisz, że to, co robisz, nie ma żadnego sensu?

- To moja sprawa. Idę pod prysznic. Łeb tak mnie swędzi, że zaraz oszaleję.

- Idź, idź, a ja w tym czasie poproszę Renatę, by przyrządziła dla ciebie śniadanie. A właściwie obiad. - Spojrzał wymownie na zawieszony na lewym nadgarstku zegarek.

*

- I jak omlet?

Przezuwający ostatni kęs Sambor zlustrował Renatę, pracownicę dziennej zmiany, która stała nad nim z niepewną miną.

- Ujdzie.

- Z twoich ust to jak największy komplement - stwierdziła.

Malczewski przełknął jedzenie i odrzekł:

- Jest zajebisty. Zadowolona?

Kelnerka wymownie się uśmiechnęła.

- A dziękuję. Może jeszcze? - spytała zachęcona jego komplementem.

- Nie trzeba, dzięki.

- Na pewno? Mogę dorobić, nie ma problemu. O tej porze zwykle i tak nie ma ruchu, więc jestem cała twoja. - Renata uniosła delikatnie kąciki ust.

Sambor znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie odpuści.

- Możesz mi zrobić kawę.

Na twarzy kobiety pojawił się szeroki uśmiech.

- Zaraz wracam.

Po posiłku najedzony Sambor oparł się na krześle i pograżył w lekturze „Przeglądu Sportowego”. Przerwał, gdy w radiu wybrzmiała piosenka Sanah. Zaczął dyskretnie tupać nogą do refrenu. Dawniej irytowały go kawałki z list przebojów, których bez przerwy słuchała jego córka. Zdarzyło się nawet, że podczas jazdy samochodem nakrzyczał na

Milenę za to, że bez pytania zmieniła Antyradio na Eskę. Dziś dałby wiele, by móc cofnąć czas i pozwolić jej słuchać tego, na co miała ochotę. Zresztą nie tylko to by zmienił... W ciągu ostatnich czterech lat znalazł tysiące dowodów na to, że nie był dobrym ojcem. I dobijała go świadomość tego, że nie będzie mu dane naprawić swoich błędów.

Z zamyślenia wyrwała go Renata, która dosiadła się do niego bez pytania, stawiając na stole dwa kubki kawy.

– Dla ciebie z mlekiem orzechowym, tak jak lubisz.

Malczewski zerknął na dobiegającą czterdziestki kościstą brunetkę z bursztynowymi oczami i sięgającymi połowy pleców włosami spiętymi w kucyk. Tego dnia miała na sobie obcisłe granatowe dżinsy i wsuniętą w nie czarną koszulkę polo z rozpiętymi trzema guzikami. Choć uważał ją za bardzo atrakcyjną, to odkąd się poznali, ani razu nie skomplementował jej wyglądu. Renata zaś otwarcie z nim flirtowała, nierzadko proponując wspólny wieczór w znajdującym się kilka ulic dalej mieszkaniu, które odziedziczyła po rodzicach. Wprawdzie każdy komentarz zręcznie obracała w żart, ale Sambor czuł, że tylko czekała na jakiś sygnał z jego strony. Nie zamierzał jednak dawać jej złudnych nadziei, dlatego konsekwentnie trzymał ją na dystans.

– Tego mi było trzeba. Dzięki – powiedział po wzięciu pierwszego łyka kawy.

– *My pleasure* – odpowiedziała łamaną angielszczyzną Renata.

– No, no... Widzę, że korepetycje na coś się przydadzą.

– Jakie znowu korepetycje? Zainstalowałam tylko na smartfonie aplikację do zapamiętywania słów i przydatnych zwrotów.

– Od czegoś trzeba zacząć – skomentował Sambor, po czym spytał: – Coś jest? Znam tę minę...

– Problem mam.

Malczewski odłożył gazetę i posłał znajomej pytające spojrzenie.

– Jakiś natrętny klient?

– Na szczęście nie. Zatkanął mi się wczoraj zlew w łazience i nawet kret nie pomaga. A jakby tego było mało, zerwałam zawias w drzwiczkach od szafki w przedpokoju.

– Nie ma problemu, zajmę się tym.

Renata przysunęła się nieco i kokieteryjnie chwyciła rozmówcę za prawy nadgarstek.

– Naprawdę mógłbyś? Może wpadniesz koło siódmej? Odwdzięczyłabym się pyszną kolacją...

Malczewski powoli zabrał rękę.

– Pojadę od razu – zaskoczył ją swoją propozycją. – Daj mi klucz, a w godzinę wszystko naprawię.

Rozmowę przerwał im Budyński.

– Renata, pójdziesz na salę i obsłużysz klienta? To ten tirowiec, który zawsze zamawia podwójnego schabowego.

Pracownica niechętnie odeszła od stołu.

– Miałam nadzieję, że w tym tygodniu już nie przyjedzie. Za każdym razem narzeka na jedzenie i próbuje się wymigać od płacenia. Dlaczego szef nie zakazał mu jeszcze wstępu?

Budyński rozłożył ręce.

– Klient nasz pan. Oczywiście dopóki płaci.

Obruszona Renata wyprostowała się i oparła ręce na biodrach.

– Aha, czyli mam dalej wysłuchiwać tych kłamstw? Przecież szef wie, że nie podałam nikomu surowego schaba ani tym bardziej zepsutej mizerii. Oboje zresztą próbowaliśmy jej po jego skardze i zgodziliśmy się, że smakuje normalnie.

Budyński zbliżył się do kelnerki i położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie przejmuj się tym durniem, Renata. Najważniejsze, że i ja, i Sambor wiemy, jaka z ciebie dobra kucharka. – Obejrzał się przez ramię i dodał ściszym głosem: – Tak między nami, to dużo lepsza od mojej Halinki. Nie mam serca jej powiedzieć, że wychodzą mi już bokiem jej niedoprawione pulpety, a serwuje je w każdą sobotę.

- Te z indyka? Mnie tam smakowały - rzucił Sambor.

Tymczasem uspokojona komplementami szefa Renata skierowała się ku wyjściu. Zanim zniknęła za drzwiami, odwróciła się jeszcze do towarzyszy i powiedziała:

- Trzymajcie kciuki, bym na niego nie nawrzeszczała. Ostatnio niewiele brakowało...

Chwilę później Budyński usiadł na jej miejscu i położył wyprostowane ręce na stole.

- Niechcący podsłuchałem waszą rozmowę. Słuchaj, Sambor, pójdziesz dziś do Renaty, naprawisz jej, co trzeba, a potem zjesz z nią kolację w miłej atmosferze.

Malczewski zmarszczył czoło.

- Zabrzmiało jak rozkaz.

- I dobrze - odrzekł Budyński, a następnie oparł się na łokciach i pochylił odrobinę do przodu. - Co ci szkodzi się zabawić z Renatą? Oboje jesteście wolni, atrakcyjni i młodzi. Tylko nie mów, że nie jest w twoim typie, bo nie uwierzę. Widzę, jak się ślinisz na jej widok.

Sambor spojrział ze zdziwieniem na przyjaciela, który za dwa tygodnie miał świętować sześćdziesiąte urodziny. Choć dzieliło ich szesnaście lat, wiele osób dawało Budyńskiemu znacznie mniej. Mężczyzna nie tylko mógł się pochwalić okazałą muskulaturą, podobnie zresztą jak Sambor, ale wyróżniał się także promienną, pozbawioną zmarszczek cerą i brakiem cieni pod oczami. Twierdził, że kluczem do młodości są regularny trening, poczucie zawodowego spełnienia i spokojna atmosfera w domu. Ponadto nie przejawiał oznak łysienia i miał znacznie mniej siwych włosów niż Sambor. Odmładzał się też luźnymi dresowymi spodniami i wygodnymi T-shirtami. Malczewski żartował, że jak tak dalej pójdzie, ludzie zaczną go brać za starszego brata Gutka. Zwłaszcza że pilnujący diety, regularnie biegający i ćwiczący na urządzonej w garażu siłowni przyjaciel powoli przebijał go pod względem wydolności. Sambor wiedział, że musi się czym prędzej wziąć za siebie, jeśli chce odzyskać formę, nad którą

pieczołowicie pracował piętnaście lat, gdy był jeszcze zatrudniony w zgorzeleckiej policji. To cud, że jakoś się trzymał po ostatnich ciężkich czterech latach.

- To wszystko wróci. Najważniejsze, byś odzyskał motywację i na nowo wypracował w sobie dyscyplinę - zapewniał go jakiś czas wcześniej Gustaw na siłowni.

- Motywacja... A co to takiego? - ironizował siedzący na ławce Malczewski, którego spocona po treningu twarz przybrała buraczany kolor.

Budyński zajął miejsce obok niego i odrzekł:

- Pewnie zabrzmię banalnie, ale dopóki wierzysz, że możesz, to naprawdę jesteś w stanie dokonać wszystkiego.

- Rzeczywiście banal - mruknął Malczewski.

- Będzie dobrze. Popracuję nad tobą i sprowadzę na właściwe tory. Grunt, że mamy niezły punkt wyjściowy. - Gustaw przeniósł wzrok na ukryty pod termiczną bluzą brzuch przyjaciela. - Zazdroścę ci tej przemiany materii. Sam muszę zapierdzielać jak chomik w kołowrotku, by nie skończyć jak moi roztycy koledzy.

Słuchając swojego rozmówcy, Sambor powrócił wspomnieniami do czasów, gdy na teście sprawnościowym osiągał najlepsze wyniki ze wszystkich pracowników komendy. Ćwiczył wtedy pięć razy w tygodniu, a w wolnych chwilach podróżował po Polsce i uczestniczył w zawodach biegowych. Jego umięśnione ciało było niemal pozbawione tkanki tłuszczowej, wzbudzając zazdrość innych funkcjonariuszy. Niektórzy sugerowali, że powinien porzucić pracę w policji i skupić się na kulturystyce. Sambor jednak ani myślał faszzerować się sterydami i suplementami przyspieszającymi wzrost tkanki mięśniowej. Użytki nie wchodziły w grę. Nigdy nie zapalił papierosa i do czterdziestki unikał jak ognia alkoholu. Wszystko zmieniło się w ostatnich latach. Na szczęście w chwili największej zapaści Sambor mógł liczyć na pomocną dłoń Gustawa. Ostatnio coraz częściej zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby pół roku temu nie postanowił wstąpić do Aldony...

– Idę. Trzeba naprawić Renacie zlew. – Sambor wstał z krzesła i zerknął ku drzwiom.

– Uparty jesteś jak osioł – burknął Budyński. – Siadaj.

– Odpuść, Gutek. Nie zeswatasz nas.

– Już nawet nie o to chodzi.

Malczewski zatopił w rozmówcy ciekawskie spojrzenie.

– Zatem o co?

– O to, że nie masz klucza do mieszkania Renaty, a nie chcę, byś jej teraz przeszkadzał. Niech w spokoju obsłuży tego faceta. Widzisz, nie mówiłem jej tego, ale idiota narobił ostatnio fermentu na paru internetowych forach i zniechęcił do nas sporo osób.

Sambor uniósł wysoko brwi.

– Koleś wyrzyguje się w sieci na twoją knajpę, a ty nadal pozwalasz mu tu przychodzić? Teraz rozumiem, skąd taka reakcja Renaty...

– Gram bezpiecznie. Ostatnie pół roku nie było dla nas łatwe. Obrót spada, a zła prasa nie pomaga. Zakazując facetowi wstępu, tylko go rozwścieczę – argumentował Budyński.

– Tchórz – mruknął spoglądający na niego z góry Malczewski.

– Tak o mnie myślisz? Ciekawe, jak ty byś postąpił na moim miejscu...

– Jak należy.

Budyński prychnął.

– Ehe, łatwo powiedzieć, a trudniej zrobić. Dobrze znam takich jak on. Z nimi trzeba się obchodzić jak z jajkiem. Inaczej rozleją się i narobią smrodu.

– Smród to ty już dzięki niemu masz od dawna – stwierdził Sambor, po czym ruszył w kierunku drzwi.

– A ty dokąd?

– Idę do Renaty. Trzeba tu trochę przewietrzyć.

– Zwariowałaś?!

Malczewski posłał przyjacielowi stanowcze spojrzenie.

– Zaufaj mi, Gutek. Robię to, co należy.

Budyński rozłożył ręce i pokręcił z rezygnacją głową.

– Zawsze tak mówisz, a potem zostawiasz burdel, który muszę po tobie sprzątać.

W tej samej chwili na zaplecze weszła Renata. Jej nietęga mina mówiła wszystko.

– Co jest? – spytał Malczewski.

– Najpierw zjechał od góry do dołu nasze żarcie, a potem nazwał mnie dziwką.

– Że co?! – Sambor impulsywnie zacisnął pięść, a zaskoczony Budyński poderwał się z miejsca.

– No, może nie użył tego słowa, ale zwrócił mi uwagę na odpięte guziki. Stwierdził, że nie przyjechał tu, by podziwiać mój dekolt, tylko by nawpierdzielać się przed podróżą.

– A zamówił coś chociaż? – dopytywał szef.

– Taa. To co zawsze.

– Niczego mu nie wydawaj – rzucił Sambor, a następnie otworzył drzwi i wyszedł na salę, zanim Budyński zdołał go powstrzymać. – Ej, ty! – zawołał siedzącego na środku sali i wpatzonego w smartfon otyłego brodacza z czerwoną czapką z daszkiem.

– Eee... O co chodzi?

– O gówno. – Malczewski okrążył stół, zaszedł nieznajomego od tyłu i szarpnął go za rękę z taką siłą, że ten spadł z krzesła i wylądował z jękiem na podłodze. – A teraz wstawaj i wywalaj stąd.

– Pojebało cię, człowieku?! – spytał podniesionym głosem tirowiec. – Dzwonię po policję.

– To dzwoń. Chętnie im powiem, że od miesiący molestujesz pracownicę.

Mężczyzna w czapce z trudem podniósł się z podłogi i spiorunował wzrokiem wyższego od niego o głowę Malczewskiego.

– Co, kurwa? Nikogo nie molestowałem.

- A jak to udowodnisz? - spytał Sambor, a następnie rozejrzał się po wnętrzu. - Nie widzę tu kamer.

Tirowiec przez kilka sekund zagryzał z wściekłością dolną wargę.

- Ja tego tak nie zostawię. Załatwię tę budę - wycedził, nie odrywając wzroku od Malczewskiego. Wreszcie odwrócił się do niego plecami i odmaszerował w kierunku wyjścia. - Załatwię was!

- Za groźbę możesz pójść siedzieć nawet na dwa lata. Chcesz tego? - spytał z satysfakcją w głosie były policjant.

- Spierdalaj - rzucił tirowiec, zanim trzasnęła drzwiami.

Przez następne minuty Sambor wysłuchiwał z uśmiechem krzyków Gustawa.

- Co cię tak cieszy? Przez ciebie już nikt tu nie przyjdzie!

- Przynajmniej Renata nie będzie musiała znosić zaczepki tego pajaca. - Malczewski przeniósł wzrok na wpatrzoną w niego z podziwem znajomą.

- Jakież to wspaniałomyślne - prychnął Budyński. - Ochroniłeś koleżankę przed zapuszczonym incelem. Szkoda, że przy okazji naraziłeś ją na utratę pracy.

- Na pewno nie będzie tak źle, szefie. Jakoś sobie poradzimy.

Naładowany negatywnymi emocjami Budyński przegonił Renatę do kuchni.

- A ty zejdź mi z oczu przynajmniej na resztę dnia - rzucił do Malczewskiego. - No już, idź sobie!

Będąc jedną nogą na zewnątrz, Sambor zwrócił się do przyjaciela:

- „Dopóki wierzysz, że możesz, to naprawdę jesteś w stanie dokonać wszystkiego”. To twoje słowa.

Budyński zaśmiał się nerwowo.

- Banał jakich wiele.

ROZDZIAŁ 2

Wieczorem Sambor zakradł się po cichu do kuchni i oparty plecami o ścianę przez dłuższą chwilę obserwował stojącą przy blacie Renatę, która kroїła właśnie pomidora.

– Gotowe – powiedział do znajomej, która wzdrygnęła się i wydała z siebie cichy jęk.

– No wiesz?! Omal nie ucięłam sobie palca!

– Sorry, nie mogłem się powstrzymać – odrzekł z rozbawieniem. – Drzwiczki chodzą idealnie. Przy okazji odpowietrzyłem ci grzejnik w salonie i naoliwiłem drzwi do sypialni.

– Po prostu ideał...

– Jutro przyjdę i naprawię karnisz. Drażek ledwo się na nim trzyma.

– Tak? Nawet nie zwróciłam na to uwagi!... – Renata wrzuciła kawałki pomidora do szklanej miski z sałatką i dodała: – Zaniesiesz do salonu? Karkówka zaraz będzie gotowa.

– Już? Myślałem, że zdążę się uwinąć ze zlewem. Zostawiłem go sobie na koniec.

– Naprawisz go po kolacji – odpowiedziała kobieta i wręczyła mu miskę.

Kwadrans później gospodyni w zniecierpliwieniu oczekiwała na werdykt przeżuwanego kęsa karkówki Malczewskiego.

– Trochę przesolona, ale poza tym może być.

Renata uniosła jednocześnie oba kąciki ust.

– Dzięki. Staralam się.

Po paru minutach rozmowy na nieistotne tematy kobieta opowiedziała towarzyszowi o swojej niedawnej rozmowie z szefem. Wyjawiła, że Budyńskiemu bardzo zależy na tym, by Sambor osiadł w Rzeszowie i spróbował ułożyć sobie tu życie.

- Nie wiem, przed czym tak uciekasz, ale uwierz mi, że warto gdzieś przynależeć.

- Kolejna, której włączyło się moralizatorstwo... A było tak miło - rzucił z irytacją Sambor, zatapiając wzrok w idealnie upieczonej karkówce.

- No co? Martwimy się o ciebie z szefem.

- Nie jestem dzieckiem.

- Sambor...

Mężczyzna w odpowiedzi posłał znajomej surowe spojrzenie.

- Wiem, co robię. Serio, poradzę sobie.

Renata momentalnie utraciła apetyt. Mimo to zmusiła się do przełknięcia kawałka mięsa.

- Fascynujesz mnie, wiesz? - odezwała się po chwili. - Nie spotkałam jeszcze faceta, który byłby tak zaradny i niezaradny jednocześnie.

Malczewski zmrużył oczy.

- Hę?

- Wierz mi, niewielu mężczyzn umiałoby w pół godziny ponaprawiać tyle rzeczy.

- Odpowietrzenie grzejnika czy naoliwienie drzwi nie wymagają szczególnych zdolności.

Renata zachichotała.

- Może i nie, ale mój niedoszły mężulek nie umiał zrobić nawet tego. Kiedyś zadzwonił po kumpla, by wymienił nam żarówkę w sypialni.

- Bez przesady...

- Mówię prawdę - odrzekła z rozbawieniem Renata. - Ponoć ojciec nastraszył go w dzieciństwie, że wkręcanie żarówki grozi porażeniem prądem.

- Hm... Dobrze, że go pogoniłaś - podsumował Sambor.

- W zasadzie zrobiłam to z innego powodu.

- Hm?

Usta Renaty ułożyły się w cienką linię. Kobieta odczekała pięć sekund i wyjaśniła:

- Gnojek bzyknął koleżankę z pracy. Poza tym regularnie wciągał kreskę. Twierdził, że u niego w robocie wszyscy to robią. Powiedziałam mu, że w takim razie powinien się spiknąć z jakąś ćpunką z pracy.

- *Good girl* - rzekł Malczewski i ukroił sobie duży kawałek karkówki.

- Okej, to teraz wyjaśnij, dlaczego uważasz mnie za niezaradnego.

- A jak sądzisz?

Sambor odłożył widelec i skrzyżował ręce na piersiach.

- Tak ciężko zrozumieć, że nie lubię się nad sobą użalać?

Renata oparła się na krzesło i wyjaśniła:

- Nie, ale widzę, że niepotrzebnie dusisz w sobie mnóstwo emocji. A to w pewnym sensie jest oznaka niezaradności. Wprawdzie emocjonalnej, ale wciąż niezaradności.

- Pieprzenie - rzucił mężczyzna w odpowiedzi.

- Skoro tak uważasz... Po prostu wiedz, że gdybyś tylko chciał, mógłbyś spokojnie porozmawiać o wszystkim ze mną czy Gustawem. Po co utrudniać sobie życie?

- Okej, zapamiętam. A ty zapamiętaj, że niczego sobie nie utrudniam. Robię to, co uważam za słuszne.

Zapadła kilkusekundowa cisza, którą przerwała Renata:

- Wybacz. Mówię to wszystko z troski. Chyba wiesz...

Malczewski nadział na widelec ostatni kawałek karkówki.

- Wiem, ale jeśli chcesz mnie wspierać, to szanuj moje wybory - oznajmił bez zająknięcia. - Jeśli uznam, że mój czas tutaj dobiegł końca, wyjadę.

- Szef twierdzi, że zabierasz się stąd już od dłuższego czasu i jakoś ci nie wychodzi.

- To dlatego, że nie mogłem się zdecydować, gdzie zamieszkać.

- Masz na myśli: dokąd uciec, by po raz kolejny zacząć wszystko od nowa? - Renata natychmiast pożałowała tych słów. - Przepraszam.

Czasem chlapnę coś bez zastanowienia.

Sambor poczuł nagły ucisk w brzuchu.

- Nie mówiłem wam tego, ale miałem kilka rozmów o pracę. Dostałem nawet trzy oferty, w tym jedną z Warszawy.

- A niby kiedy jeździłeś na te rozmowy? Jestem w robocie prawie codziennie i nie przypominam sobie, byś gdziekolwiek wyjeżdżał.

Malczewski przewrócił oczami i odparł:

- To były rozmowy przez telefon.

Renata przyglądała się litościwie znajomemu.

- Wiesz, że zawsze, gdy kłamiesz, drga ci lewa powieka?

Malczewski czuł, że wyczerpał już limit kłamstw.

- Jeszcze trochę, a uwierzę, że to nie ty rzuciłaś narzeczonego - powiedział kąśliwie, a następnie wstał od stołu z ponurą miną. - Naprawię zlew.

*

- Jak ci idzie? - spytała dziesięć minut później Renata.

- Już kończę - odrzekł klęczący na podłodze i zakręcający rurę Sambor.

- Słuchaj, może chciałbyś się napić czerwonego wina? Otworzyłam właśnie butelkę...

- Gutek by się wkurzył, że proponujesz mi alkohol.

Renata puknęła się trzy razy w czoło.

- Racja. Ech, popełniam dziś gafę za gafą.

- Nie tylko dziś - docisnął ją Malczewski.

- Teraz będziesz mi wypominał troskę o ciebie? - dopytywała z wyrzutem kobieta.

Tymczasem Sambor zamknął szafkę i wstał z podłogi.

- Gotowe - powiedział po odkręceniu wody w zlewie.

Renata zrobiła dwa kroki do przodu i przez chwilę przyglądała się swobodnie spływającej wodzie.

- Taki facet to skarb! To co, może chociaż mi potowarzyszysz?
- Sam nie wiem...
- Nie daj się prosić.

Malczewski jeszcze przez minutę udawał niezdecydowanego.

- Dobra, tylko się nie upij. Raz musiałem słuchać twojego bełkotu, i wystarczy.

- Powiedział ten, który pierdzieli co noc trzy po trzy. Bogu dzięki, że pracuję na dzienną zmianę...

*

- Długo jeszcze będziesz mnie tym torturować? – spytał jakiś czas później Sambor, który z niedowierzaniem słuchał puszcanych przez Renatę latynoskich szlagierów. – Podejrzewałbym cię o wiele rzeczy, ale na pewno nie o to, że jesteś fanką Julio Iglesiasa.

- A co? Pewnie myślałeś, że wzdycham do Zenka Martyniuka? Szczerze mówiąc, wołam Marcina Millera. Faceci z brzuszka są tacy... – zamruczała, po czym zatopiła wzrok w ciasnym T-shircie opinającym umięśniony tors Sambora. – Sportowcy też są niczego sobie.

Malczewski pomasaował się dłońmi po skroniach.

- A mogłem wyjść, kiedy jeszcze miałem szansę – powiedział pod nosem.

- Hm?

- Nieważne. Możesz to wyłączyć?

Wstawiona Renata niechętnie spełniła jego prośbę, a następnie zaproponowała skręta.

- Mam trochę trawki. Od razu poprawi ci się humor.

- Nie, dzięki. – Mężczyzna sugestywnie spojrział na wiszący nad drzwiami zegar. – Muszę już iść. Robi się późno.

- Zostań jeszcze trochę. Rzadko mam tak miłe towarzystwo.

- Renata, ja... – urwał, gdy kobieta przysunęła się do niego i delikatnie pomasaowała mu udo.

– A może jednak? Nikt cię nie nauczył, że damom się nie odmawia?

– A widzisz tu jakąś damę?

Renata zdusiła śmiech i przygryzła zmysłowo dolną wargę.

– Grabisz sobie, Sambor, oj, grabisz – wyszeptła mu w twarz, przesuając dłoń coraz wyżej uda, aż dotarła do krocza. – Jedno słowo, a przestanę.

Malczewski czuł, że powinien był natychmiast ukrócić zaloty Renaty, ale przegapił moment, kiedy jeszcze był w stanie się jej oprzeć. Nagle po całym ciele przeszły go dreszcze podniecenia, a serce zaczęło mu bić przyspieszonym rytmem. Od czterech lat nie spał z żadną kobietą i powoli zapominał już, jakie to było przyjemne.

– Nie mogę – mruknął niepewnie, nie odpychając jednak od siebie Renaty, która chwilę wcześniej usiadła mu na udach i przygryzła delikatnie lewe ucho.

– Odpręż się. Wszyscy zasługujemy na trochę przyjemności.

Kobieta przesunęła językiem po jego szorstkim policzku. Malczewski zamknął oczy, gdy czubki ich nosów się zetknęły. A potem przyłożył dłonie do bioder Renaty i namiętnie ją pocałował.

*

– Milczysz – odezwała się wtulona w kochanka Renata.

– Bo myślę.

– O czym? – spytała szeptem. – Niech zgadnę: wyrzucasz sobie, że mnie bzyknałeś, bo nie jesteś gotowy na poważną relację, a obawiasz się, że w ten sposób zrobiłeś mi złudne nadzieje na to, że możemy być razem.

– Mówisz jak moja babcia, która wierzyła, że jeśli łąduje się z kimś w łóżku, to w dalszej kolejności trzeba się z tą osobą hajtnąć. Podobno zaciągnęła dziadka przed ołtarz parę miesięcy po tym, jak po raz pierwszy ją zaliczył.

– To i tak nieźle. Moja babcia w ogóle nie akceptowała seksu przed ślubem.

– Dramat – skomentował Malczewski.

– Żebyś wiedział – prychnęła Renata.

Po dłuższej chwili ciszy mężczyzna przemówił:

– Ale wiesz, że nie będziemy razem?

Renata przeszła gwałtownie do pozycji siedzącej i żartobliwie szturchnęła towarzysza.

– Znasz mnie już parę miesięcy. Nie zauważyłeś, że lubię życie singielki?

– W sumie rzadko mówisz o facetach, a o randkach to już w ogóle nie wspominasz... Aczkolwiek pamiętam, jak w Sylwestra zamknęłaś się w męskim kiblu z jednym klientem.

Renata spojrzała ze zdumieniem na Malczewskiego.

– Ale... Widziałeś to?

– Ja widzę wszystko – odrzekł z satysfakcją Sambor.

– Cholera. Byłam pewna, że nikt nas nie obserwuje. Kiedy zamierzałeś mi to powiedzieć?

– Szczerze? Nie zamierzałem. To nie moja sprawa, z kim sypiasz.

Ku zaskoczeniu mężczyzny na twarzy Renaty pojawił się grymas rozczarowania.

– Nie byłeś nawet trochę zazdrosny?

Malczewski przyciągnął Renatę do siebie i pocałował ją w głowę.

– Przyjaciele? – spytał z uniesionymi lekko kącikami ust.

Renata westchnęła głośno, a następnie odrzekła:

– Przyjaciele.

*

Trzy kwadranse później Sambor przekroczył próg baru i ruszył w kierunku siedzących przy złączonych stołach i przekrzykujących się klientów. Z kilkoma z nich jakiś czas temu przeszedł na „ty”.

– Co słyhać? – przywitał się z pijącymi piwo mężczyznami. Wtedy jeden z nich, Marek, wstał i wyciągnął ku niemu dłoń.

- Cześć, brutalu. Gustaw cię szukał.

Malczewski odruchowo poprawił skórzaną kurtkę, która wciąż pachniała perfumami Renaty.

- Tak? A o co chodzi?

- Nie wiem, ale mówił, że to coś ważnego. Wydawał się zdenerwowany - wyjął szczupły brunet z niedbale przystrzyżoną brodą.

- Gdzie teraz jest?

- Na zapleczu - odezwał się siedzący po drugiej stronie stołu pięćdziesięcioparolatek w grubym swetrze. Malczewski widywał go często w Aldonie, ale nie zamienił z nim dotychczas słowa.

- Dzięki.

Po przejściu na zaplecze Sambor ujrzał stojącego przy oknie i rozmawiającego przez telefon Budyńskiego. W pewnym momencie znajomy zwrócił się przodem do niego i gestem dłoni poprosił go, by usiadł przy stole.

- Dzwonił właściciel masarni, u której się zaopatrujemy. Od przysłego miesiąca podnosi ceny. Próbowałem go przekonać, że ze względu na długą współpracę... ale gdzie tam. - Po tych słowach dosiadł się do Malczewskiego i dodał: - Dzwoniłem, ale miałeś wyłączony telefon. Domyśliłem się, że nawet go ze sobą nie wzięłeś.

Sambor wzruszył ramionami.

- A niby po co? Teraz już nawet z telemarketerami nie można normalnie porozmawiać, bo zastępują ich boty. Co jest, Gutek?

- Ty mi powiedz. Jakąś godzinę temu odebrałem telefon od niejakiego Alberta Czerskiego. Twierdził, że jest twoim starym znajomym i pod koniec zeszłego roku dałeś mu na wszelki wypadek mój numer.

- Albert do ciebie dzwonił? - spytał ze zdziwieniem Malczewski. - Powiedział po co?

– Nie, ale pewnie się dowiesz, gdy wreszcie włączysz telefon. Co to za facet?

Sambor nie odpowiedział od razu. Przez kilka sekund siedział w bezruchu, zatapiając wzrok w jednym punkcie na ścianie i wspominając ostatnie spotkanie z Albertem. Było to tak dawno temu, że nie był pewny, czy rozpoznałby go teraz na ulicy. Dzwonili jednak do siebie regularnie, zwykle dwa lub trzy razy w roku, i relacjonowali sobie najważniejsze wydarzenia ze swojego życia. Przy czym przez ostatnie cztery lata ich rozmowy sprowadzały się do motywacyjnych monologów Alberta.

– To mój kumpel z dawnych czasów, gdy jeszcze mieszkałem w... – urwał.

– Runowie – dopowiedział za niego Budyński. – Dobrze pamiętam? Malczewski momentalnie posmutniał.

– Ehe.

– Od dawna mnie zastanawia, dlaczego nie jesteś nawet w stanie wypowiedzieć na głos nazwy tej miejsciny.

– To nie miejscina, a wiocha z pięcioma ulicami na krzyż i otaczającym ją lasem.

– Brzmi intrygująco, choć trochę upiornie. W każdym razie ten twój kumpel prosił, byś czym prędzej się z nim skontaktował.

– Dobra, zaraz do niego zadzwonię.

– Sambor – odezwał się Budyński, zanim jego znajomy opuścił zaplecze. – Wiesz, że możesz na mnie liczyć w każdej sprawie?

Malczewski zmrużył oczy.

– Ty coś wiesz, prawda?

– Tylko daję ci znać, że masz przyjaciół, którzy zawsze ci pomogą. A teraz idź po ten telefon.

- Nareszcie, Samek - powiedział do słuchawki Albert Czerski. - Dzwoniłem chyba ze sto razy.

- Sorry, nie miałem przy sobie telefonu - odrzekł pozbawionym entuzjazmu głosem Malczewski. - Co się stało?

- To nie jest rozmowa na telefon. Przyjedziesz do Runowa?

Na wspomnienie rodzinnej miejscowości Samborowi zrobiło się zimno. Odczekał więc parę sekund i zabrał głos, gdy udało mu się nieco rozluźnić:

- To jakiś żart? Wspominałem ci przecież w grudniu, że przenieśliem się do Rzeszowa.

- Nadal tam siedzisz? - spytał zaskoczony Czerski. - Myślałem, że to chwilowe.

- Bo chwilowe. Wkrótce się stąd wynoszę.

- Świetnie. W takim razie zrób to już teraz i przyjeżdżaj.

- Bert, nie mogę tak z dnia na dzień... Powiedz, co się dzieje. Jagódka ma nawrót?

- Nic z tych rzeczy. Dwa tygodnie temu robiliśmy badania i ma świetne wyniki.

- To dobrze - powiedział z ulgą Malczewski. Tymczasem po drugiej stronie zapadła niepokojąca cisza. - Dobra, do rzeczy...

Czerski wypuścił powietrze ustami i powiedział:

- Słuchaj, rozumiem, że nie chcesz tu przyjeżdżać, dlatego przyjadę do ciebie. Podaj mi tylko dokładny adres, a będę jutro rano.

- Zwariowałeś? Masz żonę i trójkę małych dzieci. Nie będziesz się tułał nocą po Polsce. Zabraniam ci.

- Samek, do cholery... Naprawdę wołałbym być przy tobie w chwili, gdy się o tym dowiesz.

Malczewski powoli tracił cierpliwość.

- Mów wreszcie.

Czerski głośno chrząknął do telefonu.

- Chodzi o twoją siostrę, Lilię. Powinieneś coś...

- Stop - wszedł mu w słowo Sambor. - Znasz zasady. Nie rozmawiamy o niej.

- Wiem, ale tym razem musimy - nalegał przyjaciel. - Samek, coś się stało. Nie znam szczegółów, bo każdy przedstawia inną wersję wydarzeń. W każdym razie cała wieś o tym mówi.

- Co znowu odwalila Lilia? - spytał poirytowany Malczewski.

Czerski wziął głęboki wdech, a potem powiedział najspokojniej, jak potrafił:

- Ludzie mówią, że nie żyje. Podobno rano odnaleziono jej ciało na dnie rzeki, mniej więcej pół kilometra od waszego domu. Miała na sobie plecak obciążony kamieniami. Samek, jesteś tam? Samek... Samek, do cholery, odezwij się!

ROZDZIAŁ 3

Malczewski od trzech minut krążył po pokoju ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Lilia nie żyła. Płetwonurek odnalazł jej ciało na dnie rzeki Duszyna przepływającej przez las otaczający wieś Runowo. Z początku słowa przyjaciela nie zrobiły na nim wrażenia. Zawsze czuł, że Lilia nie skończy dobrze, i latami się do tego przygotowywał. Do pewnego momentu Albert donosił mu o tym, co mówiło się o niej w Runowie. Podobno była ze wszystkimi skłócona i zadawała się z podejrzanymi ludźmi. Gdy jednak pięć lat temu Sambor dowiedział się o konflikcie Lilii z miejscowym proboszczem i o rzekomym zdewastowaniu przez nią zakrytii, poprosił przyjaciela, by już nigdy mu o niej nie wspominał. Teraz, gdy informacja o śmierci siostry zaczynała do niego powoli docierać i czuł już cały jej ciężar, przypomniał sobie tamtą rozmowę z Albertem ze wszystkimi szczegółami.

- W ogóle nie powinienem być cię o nią pytać. Od dawna próbuję odciąć się od przeszłości, a twoje opowieści sprawiają, że wszystko do mnie wraca... - powiedział wtedy do Czerskiego. Był zły przede wszystkim na siebie, bo choć miał już szczerze dość wysłuchiwania historii o siostrze, cały czas do niej nawiązywał. Postanowił przestać to robić.

- Znasz moje zdanie na ten temat - odrzekł zdawkowo Albert.

- Taa... A ty znasz moje. Nie wrócę i nie spotkam się z Lilią.

- Czasem stawienie czoła traumie to jedyny sposób na uwolnienie się od niej.

- Może i tak, ale Lilia nie jest moją traumą. Ona... jest dla mnie nikim. Zupełnie obcą osobą. Nie widziałem jej dwadzieścia kilka lat. Nic

o niej nie wiem. A jeśli wierzyć plotkom na jej temat, to moja siostrzyczka wyrosła na konkretnie walnięte babsko.

- Nie wypytywałbyś mnie o nią, gdyby choć trochę ci na niej nie zależało - nie odpuszczał Czerski.

- Nie zależy mi - zaznaczył Sambor. - To wszystko przez te cholerne więzy krwi... Ludziom od dziecka wmawia się, że rodzina jest najważniejsza i choćby nie wiadomo co się działo, musi się zawsze wspierać. A potem niektórzy latami trzymają się toksycznych krewnych, gniją od środka, aż wreszcie kończą z pętlą na szyi lub podciętymi żyłami. Znam takie przypadki. I wiem, że podjąłem dobrą decyzję, odcinając się od tego bagna. Jeśli już czegoś żałuję, to tylko tego, że w pewnym momencie wróciła do mnie stara śpiewka matki. To wina Karoliny. Niepotrzebnie namawiała mnie do odnowienia kontaktu z Lilią.

- A może właśnie potrzebnie? - gdybał Albert.

- Nie! - podniósł głos Sambor. - Lilia to niebezpieczna wariatka. Nie mogę opuścić gardy i pozwolić, by zbliżyła się do mojej rodziny. A jeśli skrzywdzi Karolinę i Milenkę?

- Przesadzasz, Samek. To przecież twoja siostra...

- Widzisz? Gadasz to samo co moja matka i Karolina. Koniec z tym. Nie chcę już słyszeć o Lilii. To dla mnie przeszłość. Liczy się to, co jest tu i teraz. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odrzekł bez przekonania Czerski.

Od tamtej rozmowy Sambor zaczął jednak coraz częściej wracać do wspomnień. Zastanawiał się, czy mógł coś zrobić, by losy jego rodziny potoczyły się inaczej. Ukojenie przyniosła mu dopiero myśl, która na pewien czas stała się jego mottem: w życiu wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Gdyby nie bolesna przeszłość i wyprowadzka z Runowa, nigdy nie poznałby Karoliny i nie założył z nią rodziny. Smutek przerodził się w szczęście. Śmierć w życie. Tak przynajmniej mu się wtedy wydawało.

A później wszystko szlag trafił i zrozumiał, że jedna tragedia pociąga za sobą następne i nie da się wydostać z mroku. Trzeba nauczyć się

w nim trwać albo ze sobą skończyć.

Im więcej o tym myślał i im dłużej pobrzmiwały mu w głowie słowa Alberta, tym bardziej czuł strach i bezradność. Wreszcie wyjął z kieszeni smartfon i przyłożył go do ucha.

- Jesteś tam?

- No jestem, choć miałem się już rozłączać. Samek, czy masz w pobliżu kogoś, kto mógłby cię wesprzeć i dotrzymać ci towarzystwa do momentu, aż przyjadę?

- A co, boisz się, że sobie coś zrobisz? Myślisz, że wciąż nie doszedłem do siebie? - spytał z wyrzutem Malczewski. - Minęły cztery lata, Bert. Czuję się lepiej.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu uważam, że w takich chwilach lepiej nie być samemu.

- Powiedział człowiek, który nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji - rzucił opryskliwie Sambor, po czym zmienił temat: - Czy to pewne, że odnalezione ciało należy do Lilii?

- Ludzie mówią różne rzeczy, a ja nie mam wtyku w policji, by się dopytać o szczegóły. Właśnie dlatego powinienś przyjechać. Tobie na pewno wszystko powiedzą.

Sambor zamknął oczy i przyłożył wolną dłoń do chropowatego czoła.

- Chwila... Muszę zebrać myśli... Powiedziałeś, że na ciało natrafił przeszukujący rzekę pletwonurek. Po co to robił?

- Zaraz ci to wyjaśnię, ale najpierw porozmawiajmy o...

- Czy Lilia nadal mieszka tam, gdzie mieszkała? - wszedł mu w słowo Malczewski.

- Tak. Wszystko po staremu.

- Wciąż nie wyremontowała domu?

- Wyremontowała? Samek, remont nic tu nie da. Jedyne wyjście to wyburzenie tego, co zostało, i zbudowanie całości od nowa. Ostatni raz pojechałem rowerem na przespługi jakoś krótko po naszej rozmowie. Na środku posesji nadal stała ruina z czarnymi ścianami i dziurą

w dachu, a z komina w chacie twoich pradziadków wydobywał się dym. Strasznie cuchnął, jakby Lilia paliła plastikiem. Zresztą z czego niby twoja siostra miałaby opłacić budowę nowego domu? Nie słyszałem, by gdziekolwiek pracowała...

– Czy ktoś w ogóle ją odwiedził i upewnił się, że jest bezpieczna?

– Podobno od miesiąca nikt jej nie widział, a teraz chata stoi pusta.

– Jak to od miesiąca? Chcesz powiedzieć, że przez ten czas nie zajął do niej nawet pies z kulawą nogą? Nawet ksiądz po kolędzie?

– Samek... Mówimy o twojej siostrze. Zapomniałeś już, jak włamała się do kościoła i zdewastowała zakrystię? Poza tym w Runowie nie ma ani jednej życzliwej jej osoby. Nigdy ci o tym nie wspominałem, ale sam też swego czasu starałem się z Lilią. Zresztą to teraz nieistotne. Wiedz tylko, że od naszej ostatniej rozmowy na jej temat nic się nie zmieniło. Twoja siostra to wciąż czarna owca Runowa.

– Myślałem, że... Jak ją nazywali?

– Rusałka – przypomniał mu Czerski.

– Nadal mi nie wyjaśniłeś, co to właściwie znaczy.

– Powiedziałbym ci już dawno, gdybyś nie zabronił mi o niej rozmawiać. Przyjeźdź.

– Tajemnice gonią tajemnice... To po co był ten nurek? – dopytywał Sambor.

Albert zamilkł na parę sekund.

– Może będzie lepiej, jak porozmawiamy o tym po twoim przyjeździe – zaproponował.

Tymczasem Sambor podszedł do okna i obserwował pogrążony w ciemnościach parking. Nagle osłepiły go światła samochodu, który zatrzymał się niedaleko jego mercedesa.

– Prosisz mnie, bym wrócił do miejsca, które budzi najgorsze wspomnienia...

– Samek, to może być twoja siostra. Szczerze? Czuję, że to ona. Zbyt wiele faktów się zgadza.

- Dopóki nie będę miał pewności, że to ona, moja noga nie postanie w tej norze. Jeszcze tego brakuje, bym tłuł się przez całą Polskę tylko po to, by Lilia odnalazła się nachlana pośrodku lasu. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Uważam, że popełniasz błąd. Podaj mi swój adres.

- Ale po co? Żebyś tu przyjechał i truł mi łeb? Nie martw się, mam znajomych - uspokoił przyjaciela.

- Na pewno?

- Tak, do cholery. Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem już tym samym człowiekiem co cztery lata temu?

- Hm... Niech ci będzie. A czy mogę chociaż przekazać twój numer policji w Gorzowie? Nie zdziwiłbym się, gdyby próbowali cię namierzyć. Miałbyś informacje z pierwszej ręki.

Malczewski pokręcił z irytacją głową.

- Przekaż im i poproś, by nie zawracali mi głowy, jeśli nie mają żadnych konkretów.

- Rzecz w tym, że być może ty najszybciej im ich dostarczysz, identyfikując zwłoki - zauważył Czerski, a gdy po drugiej stronie rozległo się ciche burknięcie, spytał: - No co, nie przyjedziesz, jeśli cię o to poproszą?

Sambor pomasował się dłonią po skroni, a na jego twarzy pojawił się grymas znużenia.

- To był długi dzień i jestem totalnie zjebany. Muszę się z tym przespać. Ale najpierw masz mi powiedzieć, o co chodzi z tym nurkiem.

- Zdzwonimy się jutro, okej? - zbył go Czerski. - Tylko proszę, nie pij...

- Przecież powiedziałem, że jestem wykończony. Nie potrzebuję piwka, by zasnąć.

- Ty zawsze go potrzebujesz - odpowiedział jego przyjaciel, po czym zamilkł.

- Gadaj, bo inaczej na pewno nie zasnę – ponaglał go Sambor.

- Ech, w porządku: chodzi o Artura Krynickiego.

Sambor przełknął ślinę.

- Zajebście. Jakby wspomnienie o Lili i nie zrujnowało mi już wystarczająco wieczoru... Co z nim? Chyba nie chcesz powiedzieć, że on też...

- Nie. To znaczy, nie wiadomo, co się z nim stało. Miesiąc temu Artur wyszedł z domu i do tej pory nie wrócił. Zamierzałem ci o tym wspomnieć podczas kolejnej rozmowy.

- Co mówią o tym na wsi?

- Wiesz, jacy są ludzie. Nikt nic nie wie, ale każdy musi się wypowiedzieć. Jedni twierdzą, że Artur narobił sobie długów u Węgrzyna i postanowił uciec z kraju. Inni sugerują, że Węgrzyn nasłał na niego swoich ludzi. Krążą plotki, że ciało Artura może być zakopane gdzieś w lesie, ale póki co psy policyjne nie wpadły na żaden trop. Jego rodzina nie ustaje w poszukiwaniach i działa już na własną rękę. Stąd ten pletwonurek w rzece.

- Chwila... Węgrzyn? Ten biznesmen, o którym mi kiedyś wspominałeś?

- Tak, Karol Węgrzyn. Facet przeprowadził się do Runowa parę lat temu i zdążył już nieźle namieszać w lokalnej społeczności. Ludziom nie podobało się, że rzekomo robił interesy z mafią i urządził w swoim domu imprezy dla szemranych typów.

- To prawda? – spytał Malczewski.

- Akurat w to jestem w stanie uwierzyć. Mieszkamy przy tej samej ulicy, z tą różnicą, że ja na początku, a on na końcu, przy granicy z lasem. Przynajmniej raz w tygodniu widzę jadącą w jego stronę kolumnę złożoną z kilku czarnych aut. Wygląda to trochę tak, jakby prowadził dom pogrzebowy – prychnął Albert. – W zeszłym roku sołtys wystosował nawet do wójta petycję o eksmisję Węgrzyna.

- Niby z jakiego powodu?

- Argumentował to tym, że mieszkańcy wsi mieli dość życia w ciągłym strachu. Jakiś czas wcześniej paru nachlanych kumpli Węgrzyna wtargnęło nad ranem do Dusznego Pubu, tuż po zamknięciu, i...

- To miejsce wciąż działa? - wszedł mu w słowo zaskoczony Sambor.
- Pamiętam, jak ojciec czasem tam chodził. Nie wspominałeś...

- A ty nie pytałeś. Tak, działa, i nadal ma monopol na wsi. Prowadzi je syn dawnego właściciela, Olek Konstancy. Nasze córki chodzą razem do przedszkola w Kłodawie. A gdy Olek trafił do szpitala po pobiciu przez tych mafiozów, którym nie spodobało się, że odmówił im drinka, przez miesiąc odbierałem jego córkę z domu i zawoziłem razem z Jagódką.

- Niech zgadnę: policja nie kiwnęła palcem?

- Wiadomo - rzucił Albert. - Wójt też nic nie zdziałał w sprawie eksmisji. Choć trzeba mu oddać, że próbował. Jest jednym z tych urzędników, którzy mówią głośno, co myślą o Węgrzynie i jego biznesach. Ciężko jednak walczyć z bandą grubych ryb. Sołtys próbował uderzać do starosty, ale ten zamiótł sprawę pod dywan. Pewnie nie chciał sobie brudzić rąk.

- A zatem Węgrzyn trzęsie Runowem i nikt nie jest w stanie się mu sprzeciwić - podsumował Malczewski. - I mówisz, że Krynicki robił z nim interesy?

- Nie znam szczegółów, ale w każdej plotce jest ziarno prawdy. Krótko po jego zaginięciu pod dom Węgrzyna podjechały dwa policyjne radiowozy. Nie ustalono chyba jednak niczego konkretnego, bo mój cholerny sąsiad nadal zachowuje się po swojemu i ściąga do siebie kumpli w czarnych limuzynach. Mniejsza o to: mówię ci o tym, bo wydaje mi się to bardzo podejrzane, że w podobnym czasie w Runowie doszło do dwóch tragedii. Jak wspominałem: po raz ostatni widziano twoją siostrę jakoś miesiąc temu...

- Nie baw się w detektywa, Bert. Nie ma pewności, że to ją odnaleziono w rzece - zauważył Sambor. - Pojedź do niej i sprawdź, czy

jest w domu. Mógłbyś to dla mnie zrobić?

- Pewnie, nie ma problemu. Ale dopiero jutro. Wasza ojcowizna znajduje się na odludziu i jakoś nie widzi mi się jechanie późnym wieczorem przez las.

- Ja robiłem to przez kilkanaście lat i jakoś żyję.

- Zawsze cię za to podziwiałem. I za to, że nie reagowałaś na zaczepki, gdy dzieciaki nazywały cię Samborem Upiorem.

- Tak szczerze, to podobało mi się to. Niby się ze mnie naśmiewali, ale wystarczyło, że posłałem któremuś groźne spojrzenie i od razu się wycofywali. Oni naprawdę wierzyli, że wstąpiły we mnie demony lasu.

- Mówisz tak, jakbyś ty nie wierzył. - Czerski zaśmiał się do telefonu. Sekundę później w tle rozległ się kobiecy głos. - Muszę kończyć. Żona się niecierpliwi. Przekażę twój numer policji i pojedę jutro do twojej siostry.

- Dzięki. W razie czego dzwoń. Będę miał telefon przy sobie.

- Załatwione. Jeszcze jedno, Sambor...

- Hm?

- Jakkolwiek to brzmi, mam nadzieję, że nie będziemy się musieli niedługo spotykać.

- Dobranoc, Bert.

ROZDZIAŁ 4

Po piątej niewyspany Malczewski zabrał się do sprzątanía auta.

– Wyjeżdżasz? – spytał go o szóstej Gustaw, który zawsze przychodził do pracy przynajmniej dwie godziny przed otwarciem.

– Nie. Może. Nie wiem.

Przyjaciel podszedł do kręcącego się przy SUV-ie Sambora i posłał mu zatroskane spojrzenie.

– Co się dzieje?

Malczewski wrzucił ściereczkę do otwartego schowka, a następnie odpowiedział:

– Nie mogłem spać, więc postanowiłem zabić jakoś czas.

– To przez tego twojego znajomego? – dociekał Budyński.

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać. Muszę dokończyć sprzątanie.

Gustaw na tyle znał Sambora, że wiedział, iż niczego więcej z niego nie wyciągnie.

– Gdybyś chciał porozmawiać, będę w środku – powiedział, po czym wycofał się w kierunku głównych drzwi, nie czekając na jego reakcję.

– Możliwe, że moja siostra nie żyje – rzucił lekko drżącym głosem Malczewski, gdy jego przyjaciel był już w połowie drogi.

Budyński zwrócił się do niego przodem i posłał mu pytające spojrzenie.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy wspomniałeś przy mnie o swojej rodzinie? – Ruszył ku niemu i zatrzymał się w odległości dwóch metrów. – Co się stało?

Sambor wydał z siebie głośne westchnięcie, po czym spuścił głowę i oparł się plecami o auto.

– Sorry, Gutek, ale nie mam teraz siły o tym rozmawiać. Wygląda na to, że przede mną trudny czas. Możliwe, że będę musiał pojechać

w rodzinne strony...

Gustaw uniósł lekko kąciki ust.

– Przecież i tak zamierzałeś nas opuścić, czyż nie?

– Tak, ale nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał wrócić do tej przeklętej wsi...

Widząc malujący się na twarzy przyjaciela ponury grymas, Budyński powstrzymał się od dalszych żartów.

– Wiesz, że zawsze ci pomogę. Jeśli będzie trzeba, pojedę z tobą...

– Ciekawe, co powiedziałyby na to twoja żona. I tak krzywo na mnie patrzy. Pewnie uważa, że się wami wystuguję.

– Przesadzasz, Sambor. Halinka nigdy nie powiedziała o tobie złego słowa.

– Ehe, jasne. Zresztą nie ma mowy. Już i tak wystarczająco mi pomogłeś, Gutek – stwierdził Malczewski, nie patrząc przyjacielowi w oczy.

– Dobry z ciebie chłopak, ale strasznie uparty. Na dodatek nie umiesz przyjmować wsparcia od życzliwych ci osób – ocenił Budyński. – Powiedz tylko słowo, a rzucam wszystko i jadę z tobą.

Sambor przez dłuższą chwilę badał rozmówcę wzrokiem.

– Dlaczego tak cię obchodzi mój los, Gutek?

– Hm... Niech pomyślę. Może po prostu dostrzegłem w tobie równego gościa? – Budyński podszedł do Sambora i poklepał go po ramieniu. – Nie jesteś sam. Pamiętaj o tym.

– Pamiętam. Ja tylko... zwyczajnie nie chcę cię wciągać w swoje sprawy. Wpakowałem się w życiu w niejedno gówno i najgorsze, co mógłbym zrobić, to dzielić się problemami z innymi. Pewne historie i osoby powinny pozostać wspomnieniami.

– Mówisz teraz o swojej siostrze? – dopytywał Gustaw.

– Między innymi.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Budyński:

– Nie chcesz mówić, to nie. Nie będę dążył. – Już miał się od niego odwrócić, ale ciekawość skłoniła go do zadania pytania: – Użyłeś słowa „możliwe”, gdy wspomniałeś o śmierci siostry. Czy to znaczy, że być może wciąż żyje? Nic z tego nie rozumiem...

Sambor zamknął oczy i wzdrygnął się na wyobrażenie leżącego na dnie rzeki ciała Lilii. Po raz ostatni widział ją, gdy oboje mieli osiemnaście lat. Doskonale pamiętał zwłaszcza błękitną sukienkę, którą nosiła często latem. Uwielbiała ten kolor, co zawsze go dziwiło, bo sądził, że kompletnie do niej nie pasował, kontrastując z jej mroczną osobowością. W końcu szyderczy śmiech siostry tak często wywoływał u niego złość. Znała jego czułe punkty jak nikt inny. Pewnego razu spytał ją nawet, dlaczego tak go nienawidzi. Odpowiedziała pogardliwym prychnięciem. To pytanie powracało do niego jeszcze długo po wyjeździe z Runowa i wpędzało go w coraz silniejsze poczucie winy. A jeśli to wszystko, czego doświadczyli w dziewięćdziesiątym siódmym, było jego winą? Sambor wiele razy przeklinał siostrę za to, że pozostawiła go bez słowa wyjaśnienia. Wolałby znać prawdę, choćby tę najgorszą. Przynajmniej nie musiałby zanurzać się coraz głębiej w otchłań swojej duszy i wyciągać na powierzchnię negatywnych emocji, które latami w sobie dusił. Z czasem zatracił resztki poczucia własnej wartości, a świat jawił mu się w ciemnych barwach. I właśnie wtedy, gdy już nic nie miało dla niego sensu, spotkał miłość swojego życia.

– Uratowałaś mi życie – powiedział do Karoliny wiele lat później, w dniu, w którym przywiózł ją do domu ze szpitala wraz z drobniutką córeczką. – Jestem tu tylko dzięki tobie.

Na wspomnienie żony Sambor pospiesznie otworzył oczy. Wiedział, że jeszcze chwila, a powróciłyby do niego obrazy najszcześniejszych chwil spędzonych razem. Nigdy nie nauczył się sobie z nimi radzić. Właśnie dlatego starał się jak najmniej myśleć o osobach, które wciąż były dla niego wszystkim.

– Policja znalazła na dnie rzeki ciało kobiety. Podejrzewa się, że to moja siostra – wyjawił po chwili Gustawowi, który otworzył szeroko usta i przyłożył do nich dłoń.

– Boże, Sambor, tak mi przykro... Ale co właściwie się stało? Miała jakichś wrogów?

Malczewski wzruszył ramionami.

– Chuj wie. Nie rozmawiałem z nią od dwudziestu sześciu lat. Policja nie wyklucza samobójstwa. Podobno weszła do rzeki z plecakiem wypchanym kamieniami.

Słyszając to, Budyński objął towarzysza ramieniem.

– Chodź do środka, zrobię ci gorącą herbatę i śniadanie. Nie musimy rozmawiać o tym, co się stało. Możemy posiedzieć i pomilczeć.

– Chciałem jeszcze odkurzyć podłogę. Naniósłem mnóstwo piachu i soli.

– Zrobisz to później. Najpierw cię nakarmię. Czy mi się wydaje, czy schudłeś? Chłopie, z taką formą możesz zapomnieć o powrocie do policji.

– A kto powiedział, że chcę wracać?

Gustaw pożałował swojego komentarza.

– Mam świeżutki bekon i szczypiorek. Wolisz omlet czy jajecznicę? – zmienił temat.

*

Z głębokiego snu Sambora wybudził dzwonek telefonu.

– Kurwa – syknął, wpatrując się w wiszący na ścianie zegar, który wskazywał wpół do pierwszej. Po śniadaniu poszedł na górę, by wziąć szybki prysznic. A gdy dopadło go nagłe znużenie, osunął się na miękkie łóżko i postanowił uciąć sobie krótką, góra półgodzinną drzemkę. – Słucham? – spytał tuż po tym, jak przyłożył sobie telefon do ucha.

- Sambor Malczewski? – odezwał się bez przywitania zachrypnięty męski głos.

- Tak. Kto mówi?

- Komisarz Robert Popowski, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Miejskiej w Gorzowie. Dostałem numer od twojego przyjaciela.

Sambor poczuł rozchodzące się po jego ciele nieprzyjemne dreszcze.

- Czy moja siostra nie żyje? – wypalił do telefonu, też zwracając się od razu na „ty” do kolegi po fachu. – Powiedz to po prostu.

- Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze zwłok. Mimo niskiej temperatury wody w rzece uległy one znacznemu rozkładowi i konieczne będzie badanie DNA. Obecnie przechowujemy je w prosektorium Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego przy Dekerta 1. Gdzie teraz jesteś?

- Nie ma mnie w Gorzowie – odpowiedział wymijająco Malczewski.

- A kiedy mógłbyś tu przyjechać?

- To zależy, na kiedy jestem wam potrzebny.

- Na już. Prokurator chciałby jak najszybciej zlecić przeprowadzenie sekcji – odparł policjant.

- Co wykazały oględziny zewnętrzne?

- Ślady na szyi wskazują na uduszenie, ale równie dobrze mogą to być przebarwienia gnilne. To oceni patomorfolog. Musimy też cię przesłuchać i pobrać materiał do badań. Zależy nam na tym, by jak najszybciej zlecić ich wykonanie. Sprawdziłem, że pracowałeś przez piętnaście lat w komendzie w Zgorzelcu. Czy chciałbyś dokonać identyfikacji zwłok? Być może dostrzeżesz jakiś szczegół, coś charakterystycznego w wyglądzie czy ubiorze. Sugerujemy identyfikację na podstawie zdjęć dla zaoszczędzenia czasu.

- Komisarzu, ostatni raz widziałem siostrę, gdy była jeszcze nastolatką.

- Ale utrzymywaliście jakiś kontakt, choćby telefoniczny?

- Nie - odrzekł zdawkowo Sambor.

Po drugiej stronie zapadła chwilowa cisza.

- Rozumiem. Wyjaśnisz to w komendzie. To jak będzie z tymi zdjęciami? Chcielibyśmy też pokazać ci plecak, który...

- Czyli to prawda, że miała na sobie plecak?

- Tak, ale jak pewnie wiesz z doświadczenia, to jeszcze nic nie znaczy. Zabójca mógł jej go założyć dla zmyłki. To jak będzie?

- Nie chcę żadnych zdjęć. Przyjadę - zadeklarował Sambor.

- Świetnie. Zatem jesteśmy w kontakcie. Przepraszam, ale muszę kończyć. W razie czego dzwoń pod ten numer.

- Sprawdzaliście w ogóle, czy moja siostra jest w domu? Może nic jej nie jest i niepotrzebnie zawracasz mi głowę? - spytał Sambor, zanim komisarz się rozłączył.

- Malczewski, w przyszłym roku stuknie mi trzynaście lat w policji, więc mogę powiedzieć, że mam już jakieś doświadczenie. Czy naprawdę myślisz, że ściągałbym cię do nas bez uprzedniego sprawdzenia twojej siostry? Wysłaliśmy patrol pod jej adres po tym, jak wpłynęło do nas zgłoszenie od mieszkanki wsi, która twierdziła, że dawno jej nie widziała. Pojechała do niej nawet, ale odbiła się od drzwi.

Sambor poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie. Wszystko wskazywało na to, że kilka tygodni wcześniej stracił jedyną krewną.

- A co możesz mi powiedzieć na temat Artura Krynickiego? Słyszałem, że zaginął miesiąc temu i do tej pory go nie odnaleziono. Czy on i moja siostra mogli mieć ze sobą coś wspólnego? - zasypywał komisarza pytaniami.

- Przecież mieli ze sobą bardzo dużo wspólnego - zauważył Popowski. - Porozmawiamy o tym w komendzie. Do zobaczenia, Malczewski. - Komisarz rozłączył się, nie czekając na odpowiedź rozmówcy.

Przed czwartą spocony Sambor opadł na łóżko, próbując uspokoić oddech.

- Żyjesz? – spytał w pewnym momencie tulącą się do niego i drżącą Renatę.

- Żyję. Chyba – odrzekła zdyszana kobieta. Następnie uniosła głowę i spojrzała wymownie na kochanka. – Cholera, Sambor, co to było?

- Nie podobało ci się? – spytał niepewnie Malczewski.

- Wręcz przeciwnie. Kompletnie odleciałeś. Serio, nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś podobnego. Przywracasz mi wiarę w facetów – prychnęła, po czym pocałowała partnera w słabo owłosiony tors.

- Chciałem ci sprawić przyjemność...

- Nie kończ – weszła mu w słowo. – Wiem, co chcesz powiedzieć. To jest pożegnanie, prawda? Szef wspominał, że wracasz w rodzinne strony. Skąd w ogóle pochodzisz?

- Spod Gorzowa.

- Ach, tak. Coś kiedyś przebąkiwałeś. – Renata pomasaowała Sambora po płaskim brzuchu. – Nie puszczę cię. Nie po czymś takim.

Słyszac to, Malczewski delikatnie odsunął od siebie kobietę i przeszedł do pozycji siedzącej.

- Renata, rozmawialiśmy już na ten temat i ustaliliśmy, że...

- Tak, tak, przyjaciele. Spokojnie, tylko żartuję. – Renata zmusiła się do uśmiechu. Następnie przez blisko dziesięć sekund przyglądała się w milczeniu kochankowi. Ilekroć Sambor pojawiał się w pobliżu, serce zaczynało jej bić szybciej. Miał w sobie wiele cech, których pożądała u mężczyzn. Podniecało ją, że choć sprawiał wrażenie zdystansowanego, wręcz oziębłego, to przy bliższym poznaniu okazywał się czułym partnerem i namiętnym kochankiem. Wiedziała też, że jest troskliwy. A poza tym miał fach w ręku, co uważała za wyjątkowo męską cechę. Przyglądając się majsterkującemu przy zlewie Samborowi, wspominała byłego narzeczonego, od którego usłyszała, że ma poglądy rodem z PRL-u.

- Skoro twoim zdaniem męskość definiuje się poprzez umiejętność wkręcenia żarówki czy naprawienia mebli, to może od razu odetnij mi jaja?

Na wspomnienie byłego Renata przytuliła się mocniej do Sambora. Może i była staroświecka, ale nie zamierzała przeproszać za to, że pragnęła mieć przy sobie mężczyznę, który otoczy ją opieką. I dobijała ją myśl, że idealny kandydat lada moment miał wyjechać na drugi koniec Polski i być może nigdy nie wrócić.

- Zabierz mnie ze sobą - zwróciła się do Sambora, a ten w odpowiedzi uniósł brwi.

- Chyba nie wiesz, co mówisz.

- Wiem aż za dobrze i mam gdzieś, że ci się narzucam - odparła, ściskając mu rękę nieco powyżej łokcia. - Nigdy wcześniej przy nikim się tak nie czułam.

- Renata, daj spokój...

- Nie! Mam wrażenie, że jeśli teraz odpuszczę, stracę jedyną szansę na udany związek.

- Poznasz jeszcze wielu świetnych facetów - zapewnił ją Malczewski.

- Jakoś w to wątpię. Dotychczas trafiałam na samych dupków.

- A potem spotkałaś mnie. Chyba nie jestem aż taki zły?

Renata uniosła lekko kąciki ust.

- Daj mi szansę, a popracuję nad tobą i zrobię z ciebie ideał.

- Ideały są nudne - stwierdził Sambor, po czym objął wyraźnie przygaszoną kobietę i pocałował ją w głowę. - Muszę tam jechać sam. Przeszłość się o mnie upomina.

- Przemyśl to jeszcze - naciskała.

Sambor przyłożył jej dłoń do policzka i delikatnie się uśmiechnął. Decyzja już zapadła.

- Postaram się wrócić jak najszybciej - wyszeptał, patrząc kochance prosto w oczy.

Kobieta pociągnęła szybko nosem i odrzekła:

- Odwołaj to. Nie potrzebuję obietnic bez pokrycia.

- Ale...

- Idź już. Muszę wziąć prysznic i wracać do pracy. Nie powinnam nadużywać życzliwości szefa. Powiedziałam mu, że wychodzę na godzinę, a minęły już dwie.

- Gutek wie, że jesteś ze mną - wyjął Malczewski.

- No tak, mogłam się domyślić. Chciał nam dać czas na pożegnanie. Nawet on się nie łudzi, że do nas wrócisz.

- Renata, nie musimy się rozstawać w ten sposób - powiedział, gdy kobieta poderwała się z łóżka i ruszyła ze łzami w oczach w stronę łazienki.

- Zostaw mnie samą. Proszę. Zadzwoń dopiero, gdy dojedziesz na miejsce.

ROZDZIAŁ 5

Nazajutrz, po jedenastej, zmęczony długą podróżą Sambor minął przydrożną tablicę z napisem „Gorzów Wlkp.». Kwadrans wcześniej rozmawiał przez telefon z Gustawem i okłamał go, że czuje się znakomicie.

- I tak uważam, że takie nocne podróże to ryzykowny pomysł - powiedział Budyński.

Malczewski nie wyjawiał przyjacielowi, że poprzedniej nocy nie zmrużył oka. Nieustannie myślał o Lilii i analizował jej drogę życiową. Jak to możliwe, że bystra, pewna siebie i zaradna dziewczyna postanowiła zostać na wsi i praktycznie odciąć się od świata? Dlaczego o sobie nie zawalczyła? Czyżby Sambor pomylił się co do niej i rodzinna tragedia dotknęła ją mocniej, niż mu się wydawało? Im dłużej o tym myślał, tym większe miał wyrzuty sumienia z powodu pozostawienia Lilii w Runowie. Przez te wszystkie lata mógł wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Postanowił jednak tego nie robić. Liczył, że już nigdy nie będzie musiał wracać w rodzinne strony. A jednak los postanowił inaczej i skonfrontował go z przeszłością. Szkoda tylko, że w tak tragicznych okolicznościach, gdy już nic od niego nie zależało. Pozostało mu jedynie wierzyć, że odnalezione w rzece zwłoki nie należały do jego siostry.

- Jak się trzyma Renata?

- Kiepsko, ale dużo lepiej niż wczoraj. Po waszym spotkaniu nie była w stanie się skupić na pracy, więc odesłałem ją do domu.

- Cholera - rzucił pod nosem Malczewski, który przez cały dzień nie zaglądał do Aldony, by nie prowokować Renaty. - Myślisz, że powinienem do niej zadzwonić? Prosiła, bym to zrobił po dotarciu do Gorzowa.

- Lepiej nie dzwoń. Powiem jej, że dojechałeś na miejsce.

- Dzięki, Gutek. Za wszystko.

Przyjaciel odezwał się po pięciu sekundach:

- Trzymaj się tam, Sambor. Pamiętaj, że zawsze możesz wrócić do nas, do domu. Będziemy na ciebie czekać.

- Na razie. Zadzwonię za parę dni, gdy ogarnę ten bajzel zwany moim życiem.

*

Sambor wjechał na ulicę Wyszyńskiego i skręcił na parking przed siedzibą komendy. Po opuszczeniu auta objął wzrokiem budynek przypominający kilka stojących obok siebie prostopadłościanów o różnej długości i wysokości. Zanim wszedł do środka, wyjął z kieszeni kurtki telefon i zadzwonił do komisarza Popowskiego. Ten odebrał dopiero po czwartym sygnale.

- Już do ciebie schodzę.

Trzy minuty później w głównych drzwiach stanął dużo niższy od Sambora i ostrzyżony na jeża brunet z szerokimi ramionami, gęstymi brwiami i mocno zarysowaną linią żuchwy.

- Sambor Malczewski? - spytał niepewnie, badając mężczyznę wzrokiem od stóp do głów.

- Dobry, komisarzu. - Sambor ruszył ku niemu z wyciągniętą dłonią.

- Dzwoniłem jakąś godzinę temu, ale nie odbierałeś.

- Przepraszam, mamy od rana straszne zamieszanie w komendzie. Wszyscy czegoś ode mnie chcą.

- Chodzi o moją siostrę? Dowiedzieliście się czegoś nowego?

- Porozmawiajmy w środku - zaproponował komisarz, po czym zaprowadził gościa do znajdującego się na drugim piętrze ciasnego gabinetu z dużym, przykrytym papierami biurkiem. - Wybacz ten bałagan, ale ostatnio mam tyle pracy, że nie wiem, w co ręce włożyć. Proszę, siadaj. - Zwrócił ku niemu przodem zielone pikowane krzesło, które ożywiało ponure wnętrze. - Coś do picia?

- Może być kawa - odpowiedział nieśmiało Malczewski, po czym zdjął kurtkę i usiadł na krześle.

- Z mlekiem?

- Nie, zwykła, czarna. Im mocniejsza, tym lepsza.

- Zaraz wracam. Tydzień temu zepsuł mi się telefon stacjonarny i wciąż mi go nie wymieniono. W efekcie muszę ciągle biegać do recepcji, bo sekretarka jak na złość po przyjeździe do pracy wyłącza swoją komórkę.

- Ciekawie tu macie w komendzie - skomentował Malczewski.

- Żebyś wiedział - odrzekł Popowski, zanim zniknął za drzwiami.

W oczekiwaniu na powrót komisarza Sambor rozejrzał się po jego gabinecie. Dopiero teraz zauważył stojące obok siebie na półce trzy ramki ze zdjęciami przedstawiającymi bawiące się w ogrodzie psy: dwa białe labradory i owczarka niemieckiego. Następnie przeniósł wzrok na niższą półkę wypchaną po brzegi grubymi segregatorami. Powróciły do niego wspomnienia z lat spędzonych w komendzie w Zgorzelcu. Przypomniawszy sobie swój gabinet, w którym zawsze panował idealny porządek, i kolegów z pracy nazywających go żartobliwie „Czyściochem”. Sambor uwielbiał pracę w policji, bo dawała mu satysfakcję i poczucie bycia potrzebnym. Przez cały okres służby rozwiązał setki trudnych spraw i pomógł tysiącom ludzi. Kilka razy podczas niebezpiecznych akcji cudem uszedł z życiem, o czym nigdy nie powiedział żonie. Karolina próbowała wymusić na nim odejście z wydziału kryminalnego i poświęcenie się pracy biurowej. Powtarzała, że jeśli nie chce zrobić tego dla siebie, to niech to zrobi dla ich córki. Pewnego razu powołała się na jego trudną przeszłość:

- Przeszedłeś tak długą drogę, by wreszcie zaznać w życiu szczęścia. Naprawdę chcesz teraz ryzykować, że wszystko stracisz?

Słyszając to, Sambor próbował objąć żonę. Ta jednak w porę odskoczyła do tyłu.

- Wiesz, że jesteście dla mnie z Milenką najważniejsze.

Karolina spiorunowała męża wzrokiem, po czym odwróciła się od niego.

- Zaczynam w to wątpić. Prawie nie ma cię w domu i nie interesujesz się naszą córką.

- Nieprawda.

- Nie? Prosiłam cię w zeszłym tygodniu, byś porozmawiał z Mileną o tym, co wydarzyło się w przedszkolu. Zrobiłeś to?

Na twarzy Sambora pojawił się grymas zakłopotania.

- Zamierzałem to zrobić – skłamał, a wtedy Karolina zdusiła śmiech.

- Jasne. Pewnie mnie nawet nie słuchałeś. Pozwól, że ci przypomnę: Milena bez powodu zaatakowała koleżankę w przedszkolu. Ponoć od dłuższego czasu jest agresywna w stosunku do innych dzieci. Moim zdaniem odreagowuje w ten sposób tęsknotę za tobą.

- Mówisz tak, jakbym nagle zniknął z jej życia...

- Nie twierdzę, że zniknąłeś, ale przestałeś się z nią bawić, zabierając ją na spacer, a nawet czytać bajki do snu. Przy tobie Milena zasypiała w przeciągu chwili. Ja często muszę przy niej siedzieć nawet godzinę.

Sambor miał dość wysłuchiwanie tych wyrzutów żony.

- Obiecuję, że będę wam poświęcał więcej czasu.

- Powiedz to Milenie, a nie mi – rzuciła bez przekonania.

W kolejnych miesiącach Sambor spędzał jednak poza domem jeszcze więcej czasu. Coraz częściej kłócili się o to z Karoliną, która powoli traciła siły do walki. Dotarło do niej, że jej mąż potrzebuje ciągłych wrażeń, których nie daje mu rodzina. Odpuściła, co Sambor zinterpretował jako przyzwolenie na jeszcze większe poświęcanie się pracy.

- Jestem – oznajmił Popowski, stawiając przed nim kubek gorącej kawy.

- Dziękuję. Ładne psy, komisarzu – powiedział, zerkając ponownie na stojące na półce ramki ze zdjęciami.

– Frankie, Pucek i Cezar. Co ja bym bez nich zrobił... – Gdy zajął miejsce po drugiej stronie biurka, spytał: – Ty masz rodzinę?

Malczewski od razu pożałował wzmianki o psach.

– Miałem – odpowiedział zdawkowo.

– No tak... W przypadku takich jak my praca prędzej czy później przykrywa wszystko. Małżeństwa większości moich kolegów z wydziału rozpadły się z powodu ich pracoholizmu. – Zrobił pauzę, po czym dodał: – W sumie trochę mi to pomogło zaakceptować fakt, iż sam zapewne nigdy nie założę rodziny. Może tak miało być? Moje psiaki mi wystarczą. Przynajmniej nie skrzeczą mi do ucha, że spędzam całe dnie w komendzie – zarechotał, ale szybko urwał śmiech, gdy zorientował się, że jego komentarz nie rozbawił rozmówcy.

– Lepiej nie mów tego publicznie. Jeszcze zabrakłoby chętnych do pracy w policji – stwierdził Malczewski.

– A co, jeśli jest wręcz przeciwnie? – Popowski uśmiechnął się wymownie, po czym otworzył laptop i przez dłuższą chwilę zatapiał wzrok w ekranie. – Wspominałem przez telefon, że prokurator wyraził zgodę, żebyś dokonał identyfikacji zwłok na podstawie zdjęć. Czy chciałbyś je już teraz zobaczyć?

Sambor poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wiedział, że nie mógł w nieskończoność odwlekać tego, co nieuniknione, ale wołał jeszcze trochę poczekać.

– Chciałbym zobaczyć ciało – powiedział z wymuszonym spokojem. W rzeczywistości napinał wszystkie mięśnie i kurczowo trzymał się dłońmi siedziska. Przez głowę przetaczał mu się huragan myśli, a nasilające się wyrzuty sumienia były niczym błyskawice, które tylko pogarszały i tak już trudną sytuację. To nie mogła być Lilia. Po prostu nie mogła. Nigdy nie wybaczyłyby sobie tego, że zostawił ją samą z rodzinnymi demonami.

– Oczywiście. Dam zatem znać prokuratorowi, że przyjedziemy do szpitala na Dekerta. – Popowski wziął do ręki smartfon. Po wysłaniu wiadomości zwrócił się do swojego gościa: – Najpierw porozmawiajmy

jednak na temat twojej relacji z siostrą. Miałem trochę czasu na przygotowanie się i wiem o tragedii z dziewięćdziesiątego siódmego.

– Skoro o tym wiesz, to chyba nie muszę ci opowiadać, co się stało – odpowiedział ze skwaszoną miną Malczewski. – Poza tym wybacź, ale dopóki nie mam potwierdzenia, że moja siostra faktycznie nie żyje, wolałbym nie wywlekać rodzinnych spraw.

Popowski wyprostował się na krześle i zmierzył rozmówcę przenikliwym wzrokiem.

– To może w takim razie opowiesz mi o swojej znajomości z Arturem Krynickim?

Sambor zmrużył oczy.

– Znajomości? Od lat nie mam z tym człowiekiem żadnego kontaktu.

– Mam na myśli waszą szkolną znajomość. Słyszałem, że nie miałeś z nim łatwo.

– Skąd to wiesz? Albert ci powiedział?

Na twarzy komisarza pojawił się cwaniacki uśmieszek. Nagle zniknął sympatyczny miłośnik psów, a w jego miejsce pojawił się rasowy gliniarz.

– Jako policjant, a raczej były policjant, powinieneś wiedzieć, że nie zdradzamy swoich źródeł. Zresztą to nieistotne.

Sambor położył dłonie na stole i pochylił się do przodu.

– Podejrzewasz mnie o coś? – spytał Popowskiego, patrząc mu prosto w oczy.

– Spokojnie, Malczewski, nikt ciebie o nic nie podejrzewa. Ale przyznasz, że to dość dziwne, iż najpierw znika twój szkolny oprawca, a potem w rzece zostaje odnalezione ciało twojej siostry.

– Po pierwsze: nie wiemy, czy to moja siostra – poprawił go Sambor.

– A po drugie: nie mam nic wspólnego z tymi sprawami.

– Mhm. – Popowski postukał kilka razy palcem wskazującym po dolnej wardze. – A jeśli to wszystko, co się teraz dzieje, stanowi pokłosie roku dziewięćdziesiątego siódmego?

Sambor zmrużył oczy i zapytał:

- Co sugerujesz?

- Chyba najlepiej wiesz, co się wtedy stało...

Po pożarze domu Lilia zeznała, że ojciec Artura, Czesław Krynicki, miał romans z ich matką. W efekcie mężczyzna stał się głównym podejrzanym w sprawie podpalenia domu. Motywem miał być gniew spowodowany odtrąceniem przez Zytę Malczewską, która nie zdecydowała się odejść od rodziny.

- Słyszałam ich rozmowę, a właściwie kłótnię. Krynicki namawiał mamę, by porzuciła nas i wyjechała z nim za granicę. Chciał, by zaczęli wszystko od nowa. Mama odmówiła i kazała mu się więcej z nią nie kontaktować - utrzymywała Lilia.

Gdy do domu Krynickich wysłano patrol policji, zdenerwowana żona wykazała funkcjonariuszom, że chwilę wcześniej jej mąż wsiadł do samochodu i odjechał...

- Przecież w dziewięćdziesiątym siódmym Krynicki stracił panowanie nad rozpędzonym autem i wpadł prosto na rosnące na poboczu drzewo. Uderzenie było tak silne, że wyrzuciło go z samochodu. Ciało odnaleziono w wysokiej trawie kilkanaście metrów dalej. Zgon na miejscu - przypomniał tę sprawę Popowski.

- Czyli mam rozumieć, że twoim zdaniem Artur postanowił zemścić się na Lilii po prawie trzydziestu latach od tamtych wydarzeń? Przecież śmierć jego ojca nie była jej winą! - oburzył się Sambor.

- Niby nie, ale zeznanie Lilii zapoczątkowało tragiczny bieg wydarzeń...

- Wątpię. Jeśli już Artur miał kogoś nienawidzić, to swojego ojca za to, że chciał porzucić rodzinę.

Popowski przez dłuższą chwilę badał swojego rozmówcę wzrokiem.

- Może i masz rację... Zresztą nie ma co teraz gdybać. Najpierw przeprowadźmy identyfikację zwłok. Jesteś gotowy?

- Tak - skłamał Malczewski.

Popowski wziął do ręki smartfon i odblokował ekran.

- Prokurator odpisał przed chwilą, że będzie tam do dwudziestu minut. Zbierajmy się.

ROZDZIAŁ 6

Po opuszczeniu budynku Sambor odruchowo ruszył ku zaparkowanemu nieco dalej mercedesowi. Zanim odblokował zamek, zerknął przez ramię na stojącego przed wejściem do komendy Popowskiego, który przyglądał mu się uważnie.

- Jakiś problem, komisarzu?

- Nie, ale pomyślałem, że pojedziemy moim autem. - Wskazał wyprostowaną ręką na zaparkowany wzdłuż budynku radiowóz. - Zapraszam.

- Skoro nalegasz.

Wkrótce Popowski zatrzymał radiowóz na parkingu rozciągającym się wzdłuż długiego piętrowego budynku w kolorze zgniłej zieleni. Następnie zadzwonił do prokuratora.

- Dobra, czekamy na parkingu - zakończył już po chwili rozmowę telefoniczną i zwrócił się do Malczewskiego: - Będzie za pięć minut.

Sambor objął wzrokiem znajdujący się przed nim budynek i poczuł rosnącą mu w gardle gulę. Przeraziła go wizja ciała jego siostry leżącego na zimnym metalowym stole. Pracując w policji, uczestniczył w wielu identyfikacjach zwłok, również topielców. Wiedział zatem, czego się spodziewać. Mimo to żołądek zaciskał mu się z nerwów na myśl o tym, że to mogłaby być ona. Wprawdzie nie widział Lili od lat, ale znał jej cechy szczególnie: szramę na prawym przedramieniu stanowiącą pamiątkę po rozcięciu skóry ostrym kawałkiem szkła, znamię w kształcie kwadratu na prawej łydce, a także bliznę po usunięciu zajęczej wargi, zabiegu, który przeszła w dzieciństwie. Biorąc pod uwagę, że w ostatnich tygodniach przez Polskę przetaczała się fala mrozów, temperatura w rzece mogła być wystarczająco niska, by

spowolnić rozkład zwłok, a to oznaczało, że Sambor rzeczywiście mógłby ją rozpoznać.

Cztery minuty później na parking wjechał czarny lexus i zajął ostatnie wolne miejsce.

- Zawsze punktualny – skomentował komisarz, po czym ruszył ku ogolonemu na łyso, wyprostowanemu dryblasowi z gęstą, równo przystrzyżoną brodą, haczykowatym nosem i niemal pozbawioną zmarszczek cerą. Mężczyzna trzymał w lewej dłoni czarną teczkę, połyskującą w słońcu przebijającym się przez chmury.

- Czas jest luksusem i tylko głupcy go nie szanują – odparł niskim, acz donośnym głosem prokurator, spoglądając z obojętnością na stojącego nieopodal Sambora.

- Malczewski – przedstawił się, wyciągając ku mężczyźnie rękę. Oszacował szybko, że musiał mieć około trzydziestu pięciu lat i co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Rzadko obcował z ludźmi wyższymi od siebie, przez co nie czuł się przy prokuratorze komfortowo.

- Witam. Lucjan Ratajczyk z Prokuratury Rejonowej. Chodźmy, Kamil już czeka w prosektorium.

- Patomorfolog. Kamil Głowacki – rzucił do Sambora komisarz Popowski.

Pięć minut później w drzwiach chłodni zjawiał się drobny, ubrany w białą fartuch szatyn z kozią bródką i okrągłymi okularami spoczywającymi na zadartym nosie. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak student pierwszego roku, który może i otrzymywał dobre oceny z egzaminów, ale najszybciej mdlał na zajęciach praktycznych z oględzin zwłok.

- Bry. Wszystko już gotowe – rzekł, próbując objąć wzrokiem całą trójkę.

Sambor zastygł w bezruchu, a po plecach spłynęły mu dwie strużki zimnego potu. Lada moment wszystko miało się wyjaśnić. „Oby i tym razem ci się pofarciło, Koniczyno”, przywołał w myślach przewisko,

które nadał siostrze w dzieciństwie. Przez długi czas uważał bowiem Lilię za czarodziejkę, która w sobie tylko znany sposób wygrzebywała się nawet z największych tarapatów. Kiedyś spadła z wysokiego drzewa wprost do głębokiej kałuży i skończyła tylko z lekkim stłuczeniem ramienia i paroma zadrapaniami. Innym razem wybiegła wprost pod koła samochodu. Kierowca w ostatniej chwili wyhamował i zatrzymał auto dosłownie centymetry od sparaliżowanej ze strachu Lili. Sambor mógłby tak wymieniać i wymieniać sytuacje, z których jego siostra uszła cało. Jakby tego było mało, rodzice przez lata pობлаżali jej w niemal każdej sprawie. Przymykali oko na jej późne powroty z domu, alkoholowe ekscesy, agresywne odzywki i problemy w szkole. Lilia nieustannie popadała w konflikty z nauczycielami, jednak ojciec zawsze powtarzał, że dopóki przynosi do domu świadectwo z paskiem, wszystko inne jest bez znaczenia.

- Bierz przykład z siostry, bo inaczej nigdy nie opuścisz tej zatęchłej wsiury - powiedział kiedyś do Sambora, któremu groziła dwójka z matematyki. Gdyby wiedział, jak bardzo się mylił...

Z zamyślenia wyrwał go niski głos prokuratora:

- Wchodzi pan?

- No raczej. - Sambor wziął głęboki wdech, a potem ruszył w kierunku drzwi.

Po przekroczeniu progu uderzył go wyrazisty cytrynowy zapach substancji neutralizującej woń ciała. W uszach zabrzęczał mu zaś odgłos wydawany przez pracującą na najwyższych obrotach klimatyzację. Malczewski nie pamiętał, czy kiedykolwiek przebywał w tak sterylnej chłodni. Większość z tych, które przez lata odwiedzał na służbie, przepelniał tak silny fetor rozkładających się ciał, że parę razy tylko cudem udało mu się nie zwymiotować na oczach zrozpaczonych rodzin denatów. Często też po powrocie do domu brał godzinny prysznic i prał ubrania nawet trzy razy z rzędu. Mimo to jeszcze przez długi czas nie mógł się opędzić od tego duszącego, słodkawego zapachu śmierci.

Rozejrzał się po ciemnym, przestrzennym i pozbawionym okien pomieszczeniu. Nagle przeszedł go dreszcz ekscytacji. Musiał przyznać, że niekiedy żałował, że tamta przygoda dobiegła końca. Decydując się na zawód policjanta, myślał jedynie o godnej pensji i perspektywie wczesnej emerytury. Gdy zaś zatrudnił się w zgorzeleckiej policji, wyobrażał sobie siebie jeżdżącego bez celu po mieście i okazjonalnie wlepiającego kierowcom mandaty za przekroczenie prędkości. Nie przypuszczał, że życie rzuci go na głęboką wodę, do wydziału kryminalnego, który szybko stał się jego miejscem na ziemi. Ambitny Sambor piął się po szczeblach kariery i po latach awansował na naczelnika wydziału. Niedługo potem pojawiła się szansa objęcia przez niego stanowiska komendanta. Komisarz Malczewski był blisko upragnionego szczytu. Idylla trwała i nic nie zapowiadało bolesnego upadku.

Cztery lata później upodlony przez życie i odarty z marzeń oszukiwał siebie i innych, że policja to dla niego zamknięty rozdział. Tymczasem w głębi duszy tęsknił za odrażającym smrodem trupów. Gdyby to zależało tylko od niego, wyłączyłby klimatyzację i wyciągnął wszystkie zwłoki. Znów byłby tym przebojowym gliną, który rozwiązuje trudne sprawy i każdego dnia funduje sobie zastrzyk adrenaliny.

- Tędy - odezwał się Głowacki, wskazując ręką na znajdujący się mniej więcej w połowie chłodni metalowy stół, na którym leżało przykryte białym prześcieradłem ciało. Dopiero teraz Sambor poczuł dobrze znaną woń. Choć słaba, nasiliła w nim wspomnienia najbardziej intensywnych lat pracy. To nie był jednak czas na fantazje, a zderzenie z okrutną rzeczywistością. - Proszę powiedzieć, kiedy będzie pan gotowy.

Sambor okrążył stół, nie spuszczać wzroku z białego, wybruszonego w kilku miejscach prześcieradła.

- Chcę ją zobaczyć.

Słyszac to, lekarz chwycił koniec prześcieradła i ostrożnie odsłonił głowę. Sambor poczuł silne zawroty głowy, a przed oczami na moment

rozpostarła mu się gęsta mgła.

– Co pan może nam powiedzieć? – usłyszał głos stojącego za nim prokuratora. Dopiero wtedy udało mu się nieco uspokoić.

– Twarz jest zbyt uszkodzona – odrzekł łamiącym się głosem, przyglądając się czemuś, co jeszcze miesiąc temu było kobiecą twarzą. Teraz przypominało zgniłe jabłko z przyklejonymi do niego paroma włosami.

– Mówiłem – mruknął stojący przy prokuratorze Popowski.

Sambor zbliżył się do stołu i nachylił lekko nad denatką. Było to ciało kobiety, to nie ulegało wątpliwości. Jej przebarwiona, śliska skóra, pozbawione gałek ocznych oczodoły, zapadnięty nos i wielka dziura w miejscu ust nie były dla niego czymś nowym. Widywał już ciała w głębokim rozkładzie, ale nigdy nie widział aż tak zniekształconej twarzy.

– Ktoś ją zmasakrował?

– Ciało znaleziono na dnie rumowiska. Podejrzewamy, że uszkodzenia to w dużej mierze efekt kontaktu zwłok z niesionymi przez szybki nurt rzeki kamieniami i kijami – wyjaśnił prokurator Ratajczyk.

Sambor skupił się na odurzającym smrodzie zwłok.

– Niech pan pokaże resztę – zwrócił się do patomorfologa.

– Oczywiście.

Po zdjęciu prześcieradła oczom zgromadzonych ukazał się rozdęty tułów w zaawansowanym procesie gnilnym.

– Cholera – syknął Sambor.

– Poznaje ją pan? – spytał prokurator Ratajczyk.

– Nic nie widzę. Udo i ręka, na których miała znaki, są zbyt poharatane.

– No nic. Dziękujemy panu za chęci. Pozostaje nam badanie DNA, a na wyniki zwykle trzeba trochę poczekać.

Na dźwięk słowa „poczekać” Samborowi zabiło szybciej serce. Czekanie na prawdę nie wchodziło w grę. Skoro już zrobił pierwszy krok

i wszedł do tego pomieszczenia, chciał wiedzieć, czy leżące na stole ciało należało do jego siostry.

- Jeszcze chwilę - zwrócił się do prokuratora, po czym ponownie spojrzął na zdeformowaną twarz. Następnie przeniósł wzrok niżej, na przebarwioną szyję. Nie był w stanie ocenić, czy widniejące na niej ślady powstały w wyniku uduszenia.

- Co pan o tym myśli? - zwrócił się do patomorfologa, pokazując ręką na ślady.

- Wstrzymam się z opinią do czasu sekcji. W przypadku utonięcia otarcia naskórka i sińce mogą mieć różne podłoże.

- No tak - mruknął Malczewski, zanim objął wzrokiem zdeformowane piersi i brzuch. - Koniczyna, czy to ty? - Cofnął się o dwa kroki i przebiegł wzrokiem wzdłuż rąk aż do gnijących dłoni z oddzielającym się strzępiasto naskórkiem. Palce prawej dłoni były pozbawione paznokci, a na opuszcze leżącego bokiem kciuka widoczna była tak zwana skóra praczek.

- Czego pan szuka? - spytał zaintrygowany Ratajczyk.

- Czegokolwiek. - Zdesperowany Sambor okrążył stół i spojrzął na drugą, lepiej zachowaną rękę. A potem wydał z siebie głośne westchnięcie i chwycił denatkę za dłoń.

- Ostrożnie, dam panu rękawiczki - odezwał się Głowacki i błyskawicznie podbiegł do metalowej szafki. Było już jednak za późno.

- Mama - jęknął Sambor, ściskając mocno rozmiękłą gnijącą dłoń.

- Co takiego? - Popowski podszedł do niego i spostrzegł na serdecznym palcu denatki cienki, zdobiony amazonitem pierścionek. - Czy to...

Malczewski przeniósł wzrok na komisarza i odrzekł:

- Pierścionek zaręczynowy mojej matki. Że też nie zauważyłem go od razu...

- Jest pan pewny? - spytał prokurator, który wszedł pomiędzy mężczyzn i pochylił się z zaciekawieniem nad stołem.

Sambor nie odpowiadał. Stał w bezruchu z kamienną twarzą i patrzył na zwłoki.

- Malczewski - usłyszał zniekształcony przez szum w głowie głos komisarza Popowskiego. - Malczewski!

- Lilia... Moja siostra nie żyje.

ROZDZIAŁ 7

ROK 1996

- Zgubiliśmy się. Kurwa, no, nie wyjdziemy stąd - powtarzał zdenerwowany Sambor, który od blisko dwóch godzin błąkał się z Albertem między rosnącymi gęsto drzewami i szukał ścieżki prowadzącej do wyjścia z lasu. - Zachciało ci się szukać tego jelenia...

- Mnie? Przecież to ty się na niego uparłeś - zauważył Albert, po czym zarzucił mu, że uwierzył w opowieści mieszkańców wsi o tym, że ten, kto dostąpi zaszczytu zbliżenia się do odwiedzającego ich rejony jelenia albinosa, zostanie obdarzony przez niego prastarą mocą przemieniania żywicy w złoto.

- Ale to ty kazałeś nam iść dalej, gdy chciałem zawrócić - upierał się Sambor.

Choć od najmłodszych lat młody Malczewski spędzał tam każdą wolną chwilę, mroczny las runowski niezmiennie wzbudzał w nim respekt. I to nawet nie tyle za sprawą lokalnych mitów i opowieści najstarszych mieszkańców Runowa, co jego własnych doświadczeń. Sambor doskonale pamiętał swoje ósme urodziny, gdy w ramach prezentu ojciec postanowił zabrać jego i Lilię na piknik nad mieszczące się w sąsiedztwie lasu jezioro Chaszczce. Kwadrans po wejściu do lasu zmienił zdanie i zaproponował, że pokaże im swoje ulubione miejsce z dzieciństwa. Gdy wreszcie udało im się dotrzeć na skropioną promieniami popołudniowego słońca i porośniętą chabrami polanę, Sambor zaniemówił z wrażenia. Nie sądził, że ponury, przekłety przez miejscowych las skrywał w sobie takie piękno.

- Tylko nie wchodź za daleko - powiedział do syna Janusz Malczewski, gdy po wypiciu butelki domowej lemoniady chłopca

dopadła nagła potrzeba.

Sambor minął kilka drzew i zatrzymał się przy wysokiej sośnie, wokół której spostrzegł liczne ślady pozostawione prawdopodobnie przez stado dzików. Miał nadzieję, że nie zerowały gdzieś w pobliżu. Doskonale wiedział, że potrafiły być niebezpieczne, i dziwił się, iż ludzie dużo bardziej bali się wilków. Sporadycznie widywał te drugie w lesie i nigdy nie czuł z ich strony zagrożenia. Majestatyczne, pokryte srebrzystym futrem zwierzęta obserwowały go bacznie z oddali, po czym wycofywały się i znikaly w leśnej gęstwinie. Tymczasem dużo bardziej nieprzewidywalne i agresywne dziki kilka razy do roku atakowały zapuszczających się zbyt głęboko w las spacerowiczów, nierzadko zadając im poważne obrażenia. Zeszłego lata ojciec Bartka Nowika, kolegi Sambora ze szkoły, cudem uszedł z życiem po tym, jak dzik rozszarpał mu udo. Gdyby któryś z jego siekaczy dosięgnął tętnicy, pan Nowik mógłby wykrwawić się na śmierć, bo pomoc nadeszłaby za późno.

Sambor w milczeniu załatwiał potrzebę, co chwilę obracając się za siebie i sięgając wzrokiem ku przebijającemu się przez drzewa blaskowi polany. W pewnym momencie dobiegł go śmiech Lili i niezrozumiałe słowa wypowiedziane przez ojca. Już miał do nich wracać, gdy nagle ugiął się pod wpływem uderzenia lodowatego wiatru. Sekundę później zapadła niepokojąca ciemność. Zupełnie jakby słońce momentalnie zaszło za horyzont, a drzewa dodatkowo rozpostarły swoje korony, doszczętnie zasłaniając niebo.

– Tato! – zawołał zdenerwowany Sambor, ale zamiast odpowiedzi mężczyzny usłyszał odbijające się od drzew echo własnego głosu. Gdy zaś ponownie się odwrócił, spostrzegł za sobą jedynie mrok leśnej gęstwiny i sunącą tuż ponad runem mgłę. – Tato!

Przerażony Sambor spędził cały wieczór, błakając się po ciemnym lesie i drżąc ze strachu o własne bezpieczeństwo. Po kilku godzinach nasłuchiwania odgłosów dzikich zwierząt, szumu wiatru i pękających wokół suchych gałęzi, wycieńczony z głodu i pragnienia chłopiec oparł

się o pień młodego świerku, a następnie osunął na chłodną ziemię. Nie miał pojęcia, jak to się stało, że zgubił tatę i siostrę. Przecież oddalił się od nich tylko na kilkadziesiąt metrów. Czy to możliwe, że demony lasu zwabiły go w pułapkę? Sambor nigdy nie dawał wiary opowieściom babci i jej koleżanek o drzemiących w gęstwinie złowrogich siłach, które tylko czekały, by wcielić w swoje szeregi dusze zagubionych wędrowców. Miejscowi przekazywali sobie legendy na ich temat z pokolenia na pokolenie. Również w rodzinie Malczewskich słynna była historia pradziadka Sambora, który pewnego razu w trakcie polowania natknął się na Borowego – budzącego postrach demona przybierającego postać wysokiego mężczyzny o nienaturalnie białej twarzy, porożu jelenia i ostrych szponach w miejscu dłoni. Na południu nazywano go wilczym pasterzem, gdyż często ukazywał się ludziom pod postacią brodatego starca przemierzającego las na dużym wilku. Demon strzegł porządku w lesie i pilnował, by nikt nie zapuszczał się w niedostępne dla ludzi rejony. Śmiazków, którzy zlekceważyli narzucone przez niego zasady, czekała surowa kara.

– I co zrobiłeś, dziadziu? – spytał z zaciekawieniem sześciolatek Sambor, gdy pradziadek po raz pierwszy opowiedział mu tę historię.

– Jak to co? Pokłoniłem się przed Borowym i wytłumaczyłem mu, że zabiłem. On jednak dostrzegł przewieszoną przez moje ramię strzelbę i spytał, czy zabiłem już dziś jakieś zwierzę. Powiedziałem mu, że od pewnego czasu poluję na dużego byka, ale tego dnia jeszcze na niego nie natrafiłem. – Schylił się po stojący na stole kubek gorącej herbaty.

– Co było dalej? No weź! – niecierpliwiał się podekscytowany Sambor, podczas gdy mężczyzna niespiesznie sączył herbatę.

– Mój świętej pamięci ojciec mawiał, że spotkanie z Borowym to najgorsze, co może się przytrafić myśliwemu. Trzeba mu bowiem od tej pory składać regularne ofiary. Inaczej można zapomnieć o udanych łowach.

– Jakie ofiary? – odezwała się siedząca na dywanie obok brata Lilia.

- No na przykład zwierzęta domowe lub plony. Ojciec nie poszedł na układ z Borowym, który domagał się połowy plonów pszenicy. Parę dni później na jego gospodarstwo spadła tajemnicza zaraza. Podobno w krótkim czasie wymarła mu większość trzody. - Staruszek wziął kolejny łyk herbaty i dodał: - Wiedziałem, że Borowy nie puści mnie ot tak. Musiałem mu dać coś w zamian. On jednak zażądał wszystkich świń i krów. Nie mogłem się ich pozbyć, dlatego poszedłem z nim na układ.

- Hm? - mruknął wpatrzony w pradziadka Sambor.

- Umówiłem się z Borowym, że będę mógł zatrzymać trzodę pod warunkiem, że zrezygnuję z polowań i co roku, tego samego sierpniowego poranka, będę zostawiał na pobliskiej polanie dwa worki: jeden wypełniony pieniędzmi lub drogocennymi przedmiotami, a drugi ziarnami zbóż. Przez prawie czterdzieści lat chodziłem na polanę i zostawiałem dary. Dzięki temu nasza rodzina żyła w spokoju i dostatku. Później podupadłem na zdrowiu, a mój syn, czyli wasz dziadek, nie chciał kontynuować tej tradycji.

Nagle do pomieszczenia wszedł dziadek Sambora i Lili.

- Tato, chyba nie opowiadasz moim wnukom bajki o ukrytym w lesie skarbie i strzegącym go diable? - spytał, przyglądając się brodatemu staruszkowi z nietęgą miną.

- Nie o diable, a Borowym.

- Jak zwał, tak zwał. Przestań ich straszyć, bo jeszcze uwierzą, że gdzieś tam naprawdę znajduje się skarb i postanowią go odnaleźć.

- Trochę więcej wiary w te maluchy. - Pradziadek zachęcił Sambora i Lilię do podejścia bliżej, a następnie pomasaował ich po głowach. - Zapamiętajcie sobie: nie próbujcie odebrać Borowemu tego, co należy do niego. I nie bójcie się, gdy wyłoni się kiedyś spomiędzy drzew. Jeśli macie dobre serce i czyste sumienie, bezpiecznie zaprowadzi was do domu, a może i nagrodzi.

„Zaprowadzi was do domu... nagrodzi” - słowa pradziadka pobrzmiwały w głowie opierającego się o drzewo i drżącego z zimna

Sambora. Czy to o tej polanie mu opowiadał? A jeśli tata nieświadomie zaprowadził ich w zakazane miejsce i naraził na ogromne niebezpieczeństwo? Skoro tak, to dlaczego las nie porwał też jego i Lilii? Czym Sambor naraził się Borowemu, że ten postanowił odciąć go od najbliższych? Oczywiście zakładając, że to faktycznie była jego sprawka...

Z każdą upływającą godziną temperatura niebezpiecznie spadała. W pewnym momencie wyczerpany Sambor przeszedł do pozycji leżącej i przysunął kolana do podbródka. Pięć minut później powieki mimowolnie mu opadły. Chłopiec błyskawicznie zasnął, a gdy się ocknął, spostrzegł wokół siebie gęstą mgłę. Wystraszony zmusił się do wstania, podpierając się o pień drzewa. Tym razem mgła sięgała mu nie do połowy łydek, a po samą szyję. Zupełnie jakby las stopniowo go pochłaniał, by nad ranem przejąć kontrolę nad jego duszą. Sambor nie mógł na to pozwolić, dlatego napiął wszystkie mięśnie, a potem wystrzelił i ruszył biegiem prosto w mrok, nie zważając na to, co w nim zastanie. Instykt podpowiadał mu bowiem, że nie mógł stać w miejscu i dać się wciągnąć mgłę. Dopóki miał siłę, musiał uciekać. A tej niestety starczyło mu na raptem pięć minut biegu. Zdyszany upadł na kolana, doczołgał się do pobliskiego drzewa i zamknął oczy. Chciał wierzyć, że obudzi się w swoim łóżku i uzmysłowi sobie, że ostatnie godziny były tylko złym snem. I gdy był już bliski odpłynięcia, usłyszał odgłos trzaskających gałęzi. Ktoś lub coś krążyło wokół niego niczym wygłodniały sęp. Sambor próbował poderwać się z ziemi, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Czuł jednak, że tym razem nie było to spowodowane zmęczeniem. Jakaś tajemnicza siła uniemożliwiała mu wykonanie choćby najmniejszego ruchu.

– Zostaw mnie! Idź sobie! – stęknął, zatapiając wzrok we mgłę, która podążała za nim jak cień i na nowo wypełniała przestrzeń wokół niego.

Nagle ujrzał wyłaniającą się spomiędzy dwóch sosen parę długich i grubych tyk z silnie rozbudowanymi koronami. Chwilę później na tle mgły zarysowały się kontury twarzy i szerokie ramiona. Sambor

wiedział, z czym miał do czynienia. I zdawał sobie sprawę z tego, że było już za późno na ucieczkę.

- Proszę, nie... Ja chcę do mamy - zajęczał, po czym zacisnął mocno powieki. Na szczęście to był w stanie zrobić. Tymczasem wzmógł się zimny wiatr, który zaszumiał złowrogo między drzewami, zwiastując nadejście pana lasu. - Nie krzywdź mnie, nie krzywdź mnie, nie krzywdź mnie - powtórzył chyba z pięćdziesiąt razy Sambor, przygotowując się na najgorsze. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał.

- Sambor! Synu! - rozległ się w oddali znajomy krzyk.

- Tata! - westchnął chłopiec i uniósł powieki. Ku jego zaskoczeniu nie otaczała go już mgła, a w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał Borowy, rosła młoda sosna. Ucichł też doprowadzający go do szaleństwa wiatr. Sambor momentalnie rozluźnił się i poczuł przepływające przez jego ciało ciepło.

Tymczasem krzyk stawał się coraz bardziej donośny. Kilka sekund później chłopiec dostrzegł między drzewami ruchome światła pochodzące z latarek. Uradowany nadciągającą pomocą, zacisnął zęby, objął rękami pień drzewa i podciągnął się. A potem ruszył w stronę wyraźnie przejętego ojca, który upuścił latarkę i chwycił syna, zanim ten stracił równowagę i wylądował na ziemi.

- Dziecko! Wiesz, jak nas wszystkich wystraszyłeś? Twoja mama wpadła w taką histerię, że omal nie zemdlą! - Janusz Malczewski przycisnął do siebie syna. - Dlaczego uciekłeś?!

- Ja nie uciekłem! - zajęczał mu do ucha Sambor. - On mnie porwał!

- Kto? - spytał jakiś mężczyzna, który świecił w niego latarką, przez co chłopiec nie mógł mu się przyjrzeć.

- B-b-borowy - wydukał roztrzęsiony Sambor, a jego ojciec uniósł wysoko brwi.

- Co takiego? Że niby porwał cię ten potwór z bajek twojego pradziadka? - Gdyby był mniej zdenerwowany, pewnie parsknąłby śmiechem.

– Ja nie kłamię! Widziałem go!

– Dość tego, Sambor. Nie chcę o tym słyszeć. – Ojciec pomógł mu wstać, a potem poprowadził za rękę ku grupce stojących nieopodal i świecących w nich latarkami osób. – Wracamy do domu. Boże, jakiś ty zimny... Musi cię obejrzeć lekarz. I nie myśl sobie, że ten numer ujdzie ci płazem.

W następnych latach bliscy Sambora często przywoływali tę historię, zwłaszcza podczas rodzinnych imprez czy świątecznych spotkań. Z czasem przybrała ona formę żartobliwej anegdotki. Chłopiec długo trzymał się wersji, że tamtego dnia spotkał wilczego pasterza we własnej osobie. Twierdził, że demon pewnie wyrządziłby mu krzywdę, gdyby nie nagłe pojawienie się ojca i jego pomocników. Bliscy Sambora przeforsowali jednak inną wersję wydarzeń, zgodnie z którą chłopiec prawdopodobnie wpadł w popłoch na widok jakiegoś leśnego zwierzęcia, uciekł w głąb lasu i zabłądził.

– Cokolwiek powiem, i tak mi nie uwierzycie – stwierdził podczas jednej z wielu kłótni o tamtą historię. Postanowił dłużej nie walczyć. Najważniejsze, że on znał prawdę.

Po długim marszu zmęczeni Sambor i Albert rozłożyli koc pod wysokim dębem, w rzucanym przez rozłożystą koronę cieniu.

– Która godzina? – spytał ten drugi.

Sambor spojrział na zegarek i odrzekł:

– Dochodzi szósta. Mamy trochę ponad dwie godziny do zachodu.

– Ja pierdzielę, a jak nie znajdziemy wyjścia? Nie chcę nocować w lesie – powiedział zmartwiony Albert. – Po cholere się na to godziłem... Co mnie obchodzi jakiś jeleni albinos? Skoro tak chciałeś go zobaczyć, to powinienes stanąć przed lustrem – zadrwił z przyjaciela.

– Opanuj się, Bert – wycedził poirytowany Sambor.

– Ja mam się opanować? Przecież to ty, hipokryto, dopiero co darłeś ryja, że nie wyjdziemy stąd do rana.

Kwadrans później chłopcy postanowili ruszyć w dalszą drogę.

– Jesteś pewien, że idziemy we właściwym kierunku? – spytał Albert, któremu doskwierał coraz większy głód.

– Tam jest południe. – Sambor wskazał wyprostowaną ręką kierunek. – A my musimy iść na południowy zachód.

– Na pewno? – dopytywał Czerski.

Sambor w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Na, powiedzmy, osiemdziesiąt procent.

Albert rozglądał się wkoło i drapał się po brodzie.

– No nie wiem... Wydaje mi się, że wieś jest tam. – Wyciągnął rękę w przeciwnym kierunku.

Sambor przewrócił oczami i oparł ręce na biodrach.

– Możesz mi choć raz zaufać?

Przyjaciel namyślał się przez chwilę, mierząc Malczewskiego surowym wzrokiem.

– Ostatni raz. Prowadź.

Po blisko półgodzinnym marszu dotarli do zarośniętej, spowitej kolorowymi kwiatami polany. Sambor od razu zorientował się, że to ta sama, na którą wiele lat wcześniej zabrał go ojciec. Od tamtej pory nie zapuszczał się w te rejony. Obawiał się, że powrót na polanę ześle na niego Borowego, który tym razem wykorzysta okazję i pożre jego duszę.

– Co to za miejsce? Byłeś tu kiedyś? – pytał przyjaciela Albert.

– Dawno temu. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że już tu nie wrócę. – Sambor skrzyżował ręce na piersiach i przez dłuższą chwilę przyglądał się stada ptaków latających ponad koronami rosnących po przeciwnej stronie polany drzew. W pewnym momencie kilka zwierząt odłączyło się od stada i sfrunęło na łąkę, znikając w kolorowym gąszczu. Sambor pamiętał, że dawniej rosły tu głównie chabry. Tym razem ustępowały one różowym astrom, które jego mama uprawiała też w ogrodzie.

– Czyli wiesz, jak dalej iść? – spytał Albert, po czym odetchnął głośno z ulgą i rozłożył na trawie koc. – Odsapnijmy chwilę, a potem się

stąd wynośmy.

Przez następne trzy minuty Sambor przechadzał się po polanie, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie drogę powrotną do domu. Jednocześnie wzdygał się na każdy podmuch wiatru i niepewnie spoglądał w kierunku leśnej gęstwiny. Instykt podpowiadał mu, że powinni się stąd czym prędzej wynosić. Problem w tym, że nie wiedział, w którym kierunku iść. Wziął więc głęboki wdech i zamknął na moment oczy. Następnie powoli wypuścił powietrze ustami, starając się zrelaksować. Gdy uniósł powieki, zwizualizował sobie siebie, tatę i Lilię biwakujących na tej polanie wiele lat temu. O ile go pamięć nie myliła, rozłożyli koc nieco bardziej z prawej strony. Sambor zwrócił twarz ku rosnącym gęsto młodym sosnom. Część z nich wybijała się przed szereg, zajmując fragment polany. Chłopak był niemal pewny, że właśnie tam udał się kiedyś za potrzebą. Wprawdzie nie przebijał się wtedy przez rzędy sosen, ale coś przyciągało go ku rozpościerającej się za nimi ciemności.

- Ruszajmy - powiedział do siedzącego po turecku na kocu i palącego papierosa przyjaciela. Na razie nie zamierzał mu zdradzać, że nie zna drogi do domu. Wolał nie ryzykować, że zmęczony i drażliwy Albert uzna, że dalsze błąkanie się po ciemnym lesie nie ma sensu. Pewnie w innych okolicznościach Sambor pierwszy zaproponowałby pozostanie na polanie i oczekiwanie na pomoc lub przypadkowego spacerowicza. Czuł jednak, że pan lasu ich obserwował. I tylko czekał na odpowiedni moment, by uderzyć. - Bert, idziemy.

- No już, tylko dopalę...

W oczekiwaniu na przyjaciela Sambor obserwował zlatujące nad polaną gawrony. Ptaki zataczały duże kręgi, jakby wykonywały jakiś rytualny taniec.

- Ile jeszcze mam na ciebie cze... - urwał Sambor, po czym zrobił wielkie oczy na widok wyłaniającej się z trawy postaci. Nie od razu rozpoznał swoją siostrę. - Lilia?

– He? – Albert poderwał się z miejsca i stanął obok przyjaciela. – Co jest, kurwa?

Chłopcy w milczeniu obserwowali stojącą po drugiej stronie polany i ubraną w zwiewną białą sukienkę dziewczynę. W pewnym momencie wyprostowała ręce ku niebu i zaczęła obracać się szybko wokół własnej osi, wydając przy tym głośne pomruki.

– Lilia! – krzyknął Sambor, po czym wystrzelił ku siostrze. Ta na dźwięk jego głosu zastygła w bezruchu i zatopiła w nim ciekawskie spojrzenie.

– Samek, czekaj! – Albert ruszył za przyjacielem, który wbiegł wprost w najgęstszą trawę.

Tymczasem Lilia zrobiła kilka kroków do przodu i wyciągnęła przed siebie wyprostowaną rękę.

– Nie podchodź! Stój! – zwróciła się do brata, który zatrzymał się w pół kroku.

– Lilia, co ty tu robisz? O co chodzi?

– Tylko spróbujcie podejść, a przysięgam, że rzucę na was klątwę – odgrażała się bratu i jego przyjacielowi, którzy spojrzeli wymownie po sobie, nie rozumiejąc, czego właśnie są świadkami. – Wynocha stąd. Tylko wybrani mają tu wstęp.

– A niby z jakiej racji? – spytał Sambor.

– Bo ja tak mówię. No już, wracajcie, skąd przyszliście.

– To właśnie próbujemy zrobić – zauważył Albert, a następnie zrobił duży krok do przodu, dając Lili do zrozumienia, że nie zamierza słuchać jej rozkazów. – Co tam ukrywasz?

Lilia zagryzła dolną wargę i podbiegła do znajomego.

– Ani kroku! – Odepchnęła go mocno obiema rękami.

Albert gwałtownie się cofnął i wydał z siebie lekceważące prychnięcie.

– Silna jesteś. Lubię takie. No pokaż, co tam masz...

– Stój! – Lilia próbowała zatrzymać chłopaka, ale ten zrezygnował i wybiegł z wysokiej trawy.

– O kurwa! Nie wierzę! Samek, chodź tu, musisz to zobaczyć!

Sambor wymienił szybkie spojrzenia z siostrą, na twarzy której malowała się bezsilność. Następnie ruszył ku przyjacielowi i zamarł na widok leżącego przy granicy z lasem białego jelenia. Masywne zwierzę miało otwarte oczy i pysk oraz zakrwawiony tułów, pośrodku którego znajdowała się duża dziura. Sambor nigdy wcześniej nie widział równie pięknego i majestatycznego stworzenia. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł mieć w sobie tyle zła, by odebrać mu życie.

– Boże – rzucił, zanim przykucnął przy jeleniu i przejechał dłonią po jego długiej, szorstkiej sierści. – Kto mu to zrobił? – spytał obserwującą ich z nietęgą miną siostrę. Ta rozłożyła ręce i odrzekła:

– A skąd mam wiedzieć? Spacerowałam po lesie, gdy usłyszałam huk wystrzału. Czułam, że stało się coś niedobrego, i pobiegłam w kierunku, z którego pochodził dźwięk.

– Nie dość, że silna, to jeszcze odważna – skomentował z uśmiechem Albert.

– Raczej bezmyślna – mruknął Sambor, nie odrywając wzroku od plamy świeżej krwi, która szpeciła śnieżnobiałą sierść jelenia.

– Gdy dotarłam na polanę, biedak jeszcze żył. Stał w trawie i cały drżał, a z głębokiej rany na tułowiu sączyła się krew. Nie mam pojęcia, jakim cudem nie zginął od razu po trafieniu. W każdym razie był tak słaby, że na mój widok nawet nie próbował uciec. Cierpliwie czekał, aż do niego podejść i go przytulę. Patrzyłam mu w oczy i powtarzałam, że wszystko będzie dobrze. Pocieszałam go nawet po tym, jak osunął się na ziemię i odpuścił...

– Rozmawiałaś ze zwierzęciem? – zdziwił się Albert.

– To nie było zwykłe zwierzę. To wcielenie samego Borowego – odparła Lilia.

Na dźwięk tego imienia Sambor gwałtownie odskoczył.

– Co ty powiedziałaś? Borowego?

- Kto to taki? - wtrącił się Albert.

- Gdy byliśmy mali, pradziadek opowiadał nam legendy o duchu, który pilnował porządku w lesie i ścigał myśliwych - wyjaśnił zwięźle Sambor, po czym zwrócił się do siostry: - Od kiedy wierzysz w jego istnienie?

Lilia nie odpowiedziała od razu. Zamiast tego zbliżyła się do jelenia i usiadła, opierając się bokiem o jego tułów i przykładając do niego lewy policzek.

- Zawsze w niego wierzyłam. Zresztą też widziałam go tamtego dnia, gdy zniknąłeś - wyznała, przejeżdżając dłonią po zakrwawionej sierści.

Sambor poczuł, że krew uderza mu do głowy, tak że omal nie stracił równowagi.

- Jak to... wierzyłaś? To dlaczego naśmiewałaś się ze mnie z mamą, tatą i resztą rodziny?

- Bo wiedziałam, że jakakolwiek rozmowa z nimi nie miała sensu. Im dłużej patrzyłam, jak z nimi walczysz, tym bardziej się cieszyłam, że nie byłam taka uparta.

- Mogłaś chociaż nie dolewać oliwy do ognia - powiedział z wyrzutem Sambor, po czym zmienił temat: - Co dokładnie widziałaś tamtego dnia?

- Jakiego dnia? Hm? - odezwał się zdezorientowany Albert, ale rodzeństwo zignorowało jego pytanie.

- Poroże między drzewami i parę świecących oczu. Ukazało mi się chwilę po tym, jak wszedłeś do lasu, by się wysikać - wyjawiała bratu Lilia.

- Może to był zwykły jelen? - zasugerował Albert.

Lilia wyprostowała się i spojrzała w martwe oczy albinosa. Tak bardzo żałowała, że nie mogła mu pomóc.

- Nie. Byłam pewna, że to żadne zwierzę. To coś było dużo wyższe... A do tego te oczy... To musiał być on... A potem rozpląnął się w ciemności, zanim zdążyłam powiedzieć tacie. Wiedziałam, że poszedł

po ciebie, ale moje ciało... Ono... Pamiętam, że stałam jak zamurowana i nie mogłam się poruszyć.

- To tak jak ja tam w lesie... Też nie mogłem...

- Dobra, dosyć tych bajeczek - przerwał im Albert. - Nie wiem, kim jest ten cały Borowy ani o czym w ogóle mówicie. I szczerze, gównu mnie to obchodzi. Chcę tylko wrócić do domu.

- Nie możemy go tu tak zostawić - powiedziała o jeleniu wyraźnie przejęta Lilia.

- Jemu i tak jest już wszystko jedno. Nawet jeśli skrywał się w nim ten wasz duch, to już dawno z niego uleciał.

Sambor od dłuższego czasu mierzył siostrę podejrzliwym wzrokiem.

- Co ty właściwie robiłaś dziś sama w lesie? - wypalił, gdy Lilia przeszła do pozycji klęczącej, zamknęła oczy i przyłożyła do tułowia zwierzęcia obie dłonie. Dziewczyna następnie przez pół minuty wydawała z siebie jednostajne mruczenie.

- Co ona robi? Oddaje mu swoje moce? Może myśli, że go ożywi? - pytał przyjaciela z rozbawieniem Albert.

- Lilia, odpowiedz! - naciskał Sambor.

- Mówiłam już, że spacerowałam.

- Sama? Wiesz, jakie to niebezpieczne?

- Bez przesady. Znam ten las jak własną kieszeń. - Po tych słowach wstała i zwróciła się przodem do towarzyszy. - Pytanie, skąd wy się tu wzięliście? - spytała ich, unosząc wymownie lewy kącik ust.

- Spacerowaliśmy - odpowiedział jej Albert.

- Szukaliśmy jelenia - wyznał prawdę Sambor, czym naraził się przyjacielowi.

- Pogięło cię? - Chłopak spiorunował go wzrokiem.

Tymczasem Lilia uśmiechała się pod nosem, jednocześnie stukając palcem wskazującym po dolnej wardze.

- Tak właśnie myślałam. Może powinnam udać się prosto do leśniczego i powiadomić go, że gdzieś w lesie znajduje się ukryta przez

was strzelba?

- Nie ma żadnej strzelby - wysyczał jej w twarz Albert. - Twój braciszek ubzdurał sobie, że ten, kto pierwszy znajdzie jelenia, stanie się magikiem.

Sambor odepchnął lekko przyjaciela i zwrócił się do siostry:

- Po kolei: powiedziałaś, że jeleni jeszcze żył, gdy przybyłaś na polanę. A wcześniej odprawiałaś nad nim jakieś dziwne rytuały i zagroziłaś, że rzucisz na Berta kłatwę.

Lilia zmarszczyła brwi i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Przecież tylko żartowałam. O co ci chodzi? - spytała, domysłając się, co usłysz.

- Byłaś ostatnią osobą, która widziała jelenia żywego. Sama powiedziałaś, że pozwolił ci się do siebie zbliżyć - kontynuował Sambor.

Lilia zachichotała.

- Ehe, a potem przekazał mi swoje moce... To chcesz powiedzieć, prawda?

Widząc malujące się na twarzy siostry zdenerwowanie, chłopak wyprostował się i oparł ręce na biodrach.

- Nie do końca. Uważam, że jeleni wcale nie chciał ci ich przekazać. Właśnie dlatego go zabiłaś.

Malczewska uniosła wysoko brwi i parsknęła śmiechem.

- Że co? W ogóle niby skąd miałabym wziąć strzelbę?

- Na przykład z komórki? - zasugerował Sambor. - Tata przechowuje tam przecież parę strzelb dziadka. Może po powrocie do domu sprawdzimy, czy żadnej nie brakuje?

- Jasne. Na pewno wzięłam bez pytania strzelbę, a potem poszłam do lasu, odszukałam najrzadszego jelenia na świecie i w niego trafiłam. Dureń - rzuciła opryskliwym tonem Lilia, po czym nachyliła się nad głową zwierzęcia i przyłożyła mu dłoń do pyska. - Biegnijcie do leśniczego i powiedzcie mu, że czekam na polanie. Muszę przy nim być,

w razie gdyby wrócił jego zabójca. Poza tym trzeba biedaka godnie pochować.

- Problem w tym, że nie wiemy, w którą stronę iść - wyjął niechętnie Sambor.

- Kurwa, tak czułem, że blefowałeś - warknął na niego Albert. - Przez ciebie spalibyśmy z wilkami i dzikami!

- Bez przesady. W końcu znaleźlibyśmy wyjście - odparł znużony odpieraniem zarzutów przyjaciela Sambor.

- Dość, chłopaki. Spokój. Wytlumaczę wam, jak dojść do leśniczówki. Potem już bez problemu traficie do domu. - Lilia spojrzała wymownie na brata, czekając na jego potwierdzenie.

- Okej - mruknął niezadowolony z tego, że musi prosić ją o pomoc.

Po tym, jak Lilia dokładnie ich poinstruowała, naburmuszony Albert ruszył we wskazanym przez nią kierunku, nie czekając na Sambora. Ten postanowił po raz ostatni przyjrzeć się białemu jeleniowi.

- Niesamowity... I to wielkie poroże... - Już miał odejść, gdy coś błysnęło mu przed oczami. Zaciekawiony pochylił się i przyjrzał jednej ze środkowych odnóg. - Co to jest?

- To? Nieważne. Idź już.

Zanim Lilia odciągnęła Sambora od zwierzęcia, ten zdążył przykucnąć i zdjąć z odnogi zdobiony amazonitem pierścionek.

- Oddaj! - Próbowała mu go wyrwać, ale skutecznie się przed nią bronił.

- Zaraz... Poznają go. To przecież pierścionek zaręczynowy mamy!

- Bzdura!

- Czyżby? - Sambor oddalił się od siostry na parę kroków, dając sobie czas na przyjrzenie się pierścionkowi. Zyta Malczewska wkładała go tylko na specjalne okazje, a dwa lata temu, podczas przyjęcia urodzinowego taty, upuściła pierścień na podłogę tuż po tym, jak na moment zsunęła go z palca. To właśnie Sambor przez dziesięć minut chodził na czworaka pod stołem, a następnie odsuwał meble, starając

się znaleźć zgubę. Pewnie gdyby nie tamten incydent, nie zwróciłby nawet na niego uwagi. – Zabrałaś go mamie?

– A co? Naskarżysz jej, by zapunktować? – Zdenerwowana dziewczyna wyciągnęła ku niemu rękę i dodała: – Oddaj go.

– A jak nie, to co?

Lilia uniosła delikatnie kąciki ust.

– To ześlesz na siebie gniew Borowego.

Sambor wymusił śmiech i niepewnie rozejrzał się dokoła.

– A więc o to chodzi... Też szukałaś jelenia i liczyłaś, że uda ci się go przekupić skarbem. A gdy ten nie okazał ci zainteresowania, postanowiłaś go zabić. Uznałaś, że skoro ty nie możesz być wyjątkowa, to nikt nie będzie.

Lilia przyglądała się bratu ze zdumieniem.

– To lepsze niż historyjka dziadka, serio – stwierdziła, po czym wyrwała Samborowi z dłoni pierścionek i założyła go z powrotem na odnogę poroża. – Borowy wymaga od napotkanych wędrowców podarku. I to takiego, który niesie ze sobą emocjonalną wartość.

– A niby jaką emocjonalną wartość ma dla ciebie pierścionek mamy? – Sambor spojrział na nią krzywo. – Chyba nie o to chodziło Borowemu. Nie dziwię się, że cię olał...

– Samek, idziesz?! – zawołał przyjaciela Albert, który czekał na niego kilkadziesiąt metrów dalej.

– No idź. I ani słowa mamie – powiedziała do niego Lilia.

– Nic nie powiem, jeśli zwrócisz jej pierścionek.

– Nie ma problemu, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytał Sambor.

Jego siostra uśmiechnęła się złowieszczo.

– Dostanę od ciebie w zamian prezent dla Borowego, który zaspokoi jego głód. Coś, co ma dla ciebie największą wartość.

– Ciekawe co? Piłkę, którą dostałem od taty na urodziny? Myślisz, że to wystarczy? – prychnął Sambor, a wtedy krewna podeszła do niego tak

blisko, że poczuł na sobie jej oddech.

– Przemyśl to i wybierz mądrze – szepnęła Lilia. – Od twojej decyzji wiele zależy. Nie chcesz przecież rozgniewać Borowego, hm?

– Jesteś nawiedzona – wycedził Sambor.

– Ja? To przecież ciebie dzieciaki nazywają Samborem Upiorem.

– Spadaj!

Słyszac to, Lilia złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Och, jak mi miło. Dziękuję. A teraz biegnij po leśniczego. Albo nie, zaczekaj. – Podeszła do jelenia i powiesiła mu na porożu pierścionek. Następnie pochyliła się nad raną w jego tułowiu i powoli wcisnęła w nią dłoń.

– Fee! – Sambor skrzywił się z obrzydzeniem. Wtedy Lilia ponownie się do niego zbliżyła i maznęła go zakrwawionymi palcami po policzku.

– Ej! Co ty wyprawiasz?!

W odpowiedzi Lilia uniosła kąciki ust i przyłożyła sobie do policzka dwa palce. A potem przesunęła nimi w dół, pozostawiając na skórze dwie czerwone kreski.

– „Daremna śmierć przestroga niech będzie...” – Zrobiła pauzę i podbiegła do najbliższej rosnącego drzewa: młodego dębu z pniem węższym niż obwód jej przedramienia. – „Dla każdej żywej istoty w tym lesie” – dokończyła, rozsmarowując po pniu krew jelenia.

– Jesteś chora! – syknął Sambor, wycierając sobie policzek wierzchnią stroną dłoni. Już miał uciekać, gdy Lilia podbiegła do niego, szarpnęła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Słuchaj uważnie, bo jesteś pierwszą i ostatnią osobą, której powierzam sekret lasu. To, co usłyszysz, już zawsze pozostanie między nami.

– O co ci cho...

– „A niech największa przedawnia się wina. Polana Krwi nie zapomina” – weszła mu w słowo Lilia. – „I gdy myślimy, że szczęście nam sprzyja. Polana sługów zemsty wzywa”.

- Lilia, dość...

- „Wzrok odwracamy na ból zadany. Płacz lasu wciąż rozrywa rany. Słudzy zaś patrzą i czekają. Aż czujność stracą ci, którzy cierpienie zadają”.

- Wariatka! - warknął na nią Sambor, po czym zabrał rękę i pobiegł ku zniecierpliwionemu Albertowi.

- Co tam się działo?

- Szkoda gadać. Spadajmy stąd. Jak najdalej od tej wiedźmy!

Zanim przyjaciele zniknęli za drzewami, Sambor spojrzął po raz ostatni na polanę i siostrę, która ponownie uniosła ręce ku niebu i zaczęła obracać się wokół własnej osi.

ROZDZIAŁ 8

ROK 2024

Po zakończonej identyfikacji zwłok i pobraniu materiału do badań genetycznych prokurator pokazał Samborowi zdjęcia plecaka wyłowionego razem ze zwłokami Lili.

– Nigdy go nie widziałem, co nie znaczy, że do niej nie należał – powiedział stanowczo Malczewski.

– Tak myśleliśmy, ale nie zaszkodziło pana spytać.

Krótko potem nad wyraz opanowany Sambor opuścił budynek szpitala w towarzystwie prokuratora Ratajczyka i komisarza Popowskiego.

– Panowie wybaczą, ale muszę wracać do pracy. Jeszcze raz moje kondolencje, panie Malczewski. – Prokurator wyciągnął ku Samborowi dłoń i oddalił się, zanim ten zdążył go spytać o dalsze kroki w sprawie.

– Jak się czujesz? – odezwał się chwilę później Popowski, troskliwie poklepując towarzysza po plecach.

– Chujowo, komisarzu. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

– Z pewnością bardziej niż kłamstwo, że czujesz się fantastycznie.

Sambor wziął głęboki wdech i zacisnął pięści. Nie miał w zwyczajcu okazywać przed innymi emocji, a już na pewno nie okazywał przed innymi słabości. Pilnował więc, by jego usta niezmiennie przybierały kształt cienkiej linii, a z oczu biła obojętność.

– I co dalej? – spytał komisarza lekko znudzonym głosem.

– Jak to co? Ruszam ze śledztwem. A ty mi w tym pomożesz.

– Przeszukaliście już ojcowiznę?

- Tak, ale nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Zresztą zdziwiłbym się, gdyby udało się coś znaleźć w tym chaosie.

- To znaczy?

- Sam się przekonasz. Sugeruję, żebyśmy dokonali ponownego przeszukania, ale tym razem z twoją pomocą. Zgadzasz się?

- Zrobię, co będzie trzeba - zadeklarował Sambor.

- Świetnie. Będziemy też musieli ustalić, z kim twoja siostra kontaktowała się na krótko przed śmiercią. Przesłuchamy wszystkich jej znajomych, kochanków, a nawet listonosza i księdza, który odwiedził ją po kolędzie.

- Tego ostatniego bym odpuścił. Miejscowe klechy omijają jej dom szerokim łukiem.

- Hm?

- W ostatnich latach moja siostra napsuła im nerwów - wyjaśnił Malczewski.

- Doprawdy... Czyli jednak utrzymywałes z nią jakiś tam kontakt? - Zaintrygowany Popowski przyłożył kciuk do dolnej wargi.

- Nic z tych rzeczy. Mój przyjaciel z dzieciństwa raz na jakiś czas dzwonił do mnie i donosił mi o jej wybrykach.

- Albert Czernski? Ten sam, który...

- Tak, tak. Zapomniałem, że przecież z tobą rozmawiał. Albert to jedyna osoba z mojego dawnego życia, z którą przez te wszystkie lata utrzymywałem kontakt. W pewnym momencie byłem już jednak tak zmęczony jego opowieściami o Lili i całej tej patologii, że poprosiłem go, by nigdy więcej nie wspominał mi o siostrze.

- Rozumiem. Mimo to będę chciał z tobą porozmawiać o przeszłości, ale to może na dniach. Dziś już ci tego oszczędzę.

- Doceniam twoją wspaniałomyślność - rzucił kpiąco Sambor, a następnie pomaszzerował w stronę parkingu. - Informuj mnie o wszystkim na bieżąco - odezwał się do komisarza, zanim wsiadł do swojego SUV-a.

- Mam nadzieję, że na razie nie zamierzasz wracać tam, skąd przyjechałeś? Będziesz mi potrzebny na miejscu.

- Spokojnie, nigdzie się nie wybieram. Ktoś musi załatwić formalności związane z pogrzebem.

- Cieszę się. To znaczy, nie z pogrzebu, a z tego, że wesprzesz mnie w śledztwie. Jeśli mogę spytać: czy masz się gdzie zatrzymać?

- Na razie o tym nie myślałem, ale coś wykombinuję.

- W razie czego masz mój numer. Postaram się pomóc.

Sambor otworzył drzwi auta i usiadł za kierownicą.

- Jasne. Do zobaczenia.

*

Sambor od dwudziestu minut siedział przy stoliku w Dusznym Barze i w milczeniu sączył bezalkoholowe piwo. Poza nim w lokalu przebywało kilku mężczyzn, z których najmłodszy musiał być mniej więcej w jego wieku. Malczewski żadnego z nich nie kojarzył, choć odniósł wrażenie, że oni od razu go rozpoznali. Zwłaszcza zajmujący wysokie krzesło przy ladzie łysy staruszek z bulwiastym nosem i odstającymi uszami. Nieustannie zerkał na Sambora i lustrował go od stóp do głów. W pewnym momencie wciąż będący w szoku po wizycie w szpitalu i zestresowany powrotem w rodzinne strony Malczewski miał ochotę rzucić w jego stronę kilka kąśliwych uwag. W ostatniej chwili ugryzł się jednak w język i przesiadł na sąsiednie krzesło, zwracając się do mężczyzny plecami.

Wkrótce do lokalu wszedł odziany w grubą czerwoną kurtkę brodac po pięćdziesiątce. Sambor rozpoznał w nim Piotra Jarosza – strażaka, który przed laty ryzykował własne życie dla niego i jego bliskich. Mężczyzna od ich ostatniego spotkania przybrał na wadze, a po jego bujnej ciemnej czuprynie pozostały ścięte na krótko szarawe włosy. Gdy ich spojrzenia na moment się skrzyżowały, Sambor natychmiast odwrócił wzrok. Nie był gotowy na konfrontację z przeszłością i bez przerwy zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, przyjeżdżając do

Runowa tak szybko po identyfikacji zwłok. Mógł przecież wynająć sobie pokój w porządnym hotelu w Gorzowie i zaszyć się w nim na kilka dni. Potrzebował czasu na ochłonięcie, uporządkowanie sobie w głowie sprzecznych myśli i mentalne przygotowanie się do pogrzebu Lilii. Nie musiał od razu rzucać się na głęboką wodę. A jednak coś podpowiadało mu, że właśnie tu powinien przeżyć żałobę po zmarłej siostrze. I odkryć prawdę na temat tragedii sprzed około miesiąca.

- Jeszcze jedno bezalkoholowe - powiedział chwilę później do młodego barmana. Chłopak niósł przed sobą tacę, na której znajdowały się trzy opróżnione kufle.

- Robi się - odrzekł entuzjastycznym tonem i pomaszerował w kierunku lady.

- Eee... Przepraszam! - zatrzymał go Sambor i wyciągnął ku niemu butelkę. - Możesz to już zabrać.

- Oj... Myślałem, że jeszcze pan nie skończył.

Malczewski nie chciał mu wyjaśniać, że od najmłodszych lat brzydziło go dopijanie piwa z butelki, dlatego zawsze zostawiał kilka łyków do wylania. Gdy się do tego przyznawał, reagowano zdziwieniem, które przemieniało się w rozbawienie. Nawet jego żona Karolina nigdy się do tego nie przyzwyczaiała i regularnie wypominała mu to w żartach.

W oczekiwaniu na kolejne piwo Sambor po raz ostatni wymienił spojrzenia z łysawym staruszką. Nieznajomy pożegnał się następnie z siedzącymi nieco dalej kolegami gestem uniesionej ręki i zniknął za drzwiami.

- Piwko dla pana - odezwał się barman, stawiając na stole zimną butelkę z napojem.

- Znasz tego faceta, który właśnie wyszedł? - spytał go Malczewski.

- Tadeusz Mizera. To nasz stały bywalec. A co, był dla pana nieprzyjemny?

- Nie, ale dziwnie na mnie patrzył...

- Pewnie był ciekawy, kogo nowego do nas przywiał. Nigdy tu pana wcześniej nie widziałem. Jest pan nowy w Runowie?

– I tak, i nie – odrzekł enigmatycznie Sambor, po czym dodał: – Twój szef będzie dziś w pracy?

– Tak, pojechał do banku, a potem do hurtowni. Powinien wrócić – chłopak przeniósł wzrok na zegarek – za mniej więcej godzinę. Ma pan do niego jakąś sprawę? Mogę przedzwonić i poprosić, by przyjechał szybciej.

– Nie trzeba, chciałem się z nim tylko przywitać.

– Hm... Okej.

W oczekiwaniu na właściciela baru Sambor po raz kolejny rozejrzał się po wnętrzu, które niewiele się zmieniło od czasu, gdy mieszkał w Runowie i niekiedy przychodził tu z ojcem, by patrzeć, jak ten upijał się do nieprzytomności. Ponure, szare niegdyś ściany przemalowano na żywszy, oliwkowy kolor, ale poza tym wszystko było jak dawniej: porozwieszane wokół sali zdjęcia starych samochodów, mieszczące się nad niedziałającym kominkiem zakurzone trofeum z głowy łosia czy ustawiony w kącie regał z książkami, głównie kryminałami Agathy Christie. Duszny Bar sprawiał wrażenie, jakby zatrzymał się w czasie. Zresztą nie tylko on. Jadąc główną ulicą na wsi, Gorzowską, Sambor czuł, jakby nie było go tu co najwyżej miesiąc, a nie dwadzieścia sześć lat. Jedynym, co przypominało mu o upływie czasu, były rosnące wzdłuż drogi wysokie dęby. Kilka z nich zasadził samemu, w ramach zainicjowanej przez ówczesnego wójta akcji. Poza tym rozpoznawał każdą dziurę w drodze i potrafił z pamięci powiedzieć, kto dawniej mieszkał w którym domu. W pewnym momencie minął wciąż działający sklep mięsny i głośno prychnął na widok konturów penisu wyrytych na przyczepionej do metalowego słupka tablicy z napisem „U Aliny”. Długo podejrzewał o uszkodzenie tablicy Alberta, ale przyjaciel nigdy się do tego nie przyznał. Najbardziej jednak zaskoczyła go nieodmalowana blacha, która niezmiennie szpeciła zabytkowy budynek mieszczącego się w samym centrum wsi kościoła.

Kilkaset metrów dalej skręcił w ulicę Nieznaną, prowadzącą aż do rozpościerającego się w oddali lasu. W dzieciństwie Lilia nastraszyła go,

że wieczorami spacerował tędy mężczyzna w długim płaszczu i z kopytami zamiast stóp. Podobno polował na zbłąkane dzieci i zaciągał je do lasu, skąd nigdy nie wracały. Nawet po latach widok falujących na wietrze koron drzew i latających ponad nimi kruków wywoływał w Samborze lekki dyskomfort. Naprawdę nie sądził, że kiedykolwiek będzie musiał tu wrócić.

- Cholerna Lilia - syknął pod nosem, a następnie zrobił kolejny skręt i wjechał na równoległą do Gorzowskiej ulicę Żeromskiego. To właśnie przy niej mieścił się Duszny Bar.

Wypił już drugie piwo i zastanawiał się, czy nie zamówić trzeciego, gdy zadzwonił telefon. To był Albert, który miał bardzo zaniepokojony głos, gdy rozpoczęła rozmowę:

- Wybacz, że dzwonię dopiero teraz, ale miałem straszny zapierdziel w pracy. Byłeś w komendzie?

- Tak. W prosektorium też - odparł sucho Malczewski.

Po drugiej stronie zapanowała chwilowa cisza.

- Gdzie teraz jesteś? Przyjadę.

- Dzięki, ale nie musisz.

- A co? To jednak nie Lilia? - spytał niepewnie.

Sambor zacisnął lewą pięść i przygryzł mocno dolną wargę. Następnie wziął głęboki wdech i odpowiedział:

- To ona. Poznałem po pierścionku.

- Kurwa - zaklął cicho przyjaciel. - Tak mi przykro, stary. Powiedz, gdzie jesteś, a przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

- Skoro nalegasz... Siedzę w Dusznym Barze i upijam się bezalkoholowym heinekenem.

- Co? Jesteś w Runowie? Dlaczego nie dałeś mi znać?

- Hm... Może dlatego, że nie chciałem ci zawracać dupy?

- Samek, do cholery, jesteśmy przyjaciółmi!

- Którzy nie widzieli się dwadzieścia sześć lat - zauważył Malczewski. - To co, przyjeżdżasz? Bo nie wiem, czy zamawiać kolejne piwo.

- Zamawiaj i ani mi się waż stamtąd ruszyć. Będę za dziesięć minut.

Tymczasem do lokalu wszedł niski mężczyzna ubrany w skórzaną kurtkę z futerkiem i czarną czapkę. W dłoni trzymał zieloną teczkę i klucze do samochodu.

- Cześć, Olek - rzucił w jego kierunku były policjant. Wtedy właściciel baru zatrzymał się i przez dłuższą chwilę przyglądał się mu podejrzliwie.

- Malczewski? - spytał niepewnie, a gdy Sambor uniósł dłoń na powitanie, Olek uśmiechnął się szeroko i ruszył w jego kierunku z otwartymi rękami. - Chryste, jak ty się zmieniłeś!

- Miałeś na myśli: postarzałeś? - Przyjaciel zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu.

- Może trochę, ale czas dla nikogo nie stoi w miejscu. - Dużo niższy mężczyzna cofnął się następnie o dwa kroki i zmierzył rozmówcę wzrokiem. A potem uderzył go lekko pięścią w tors i dodał: - A taki był z ciebie chudzielec...

Sambor przewrócił oczami i żartobliwie szturchnął znajomego w ramię.

- Też się cieszę, że cię widzę, Olek.

- Zaraz wracam. Odniosę tylko dokumenty.

Kolejne minuty upłynęły Samborowi na wysłuchiowaniu skróconej opowieści Olka o jego ostatnich dwudziestu latach życia. Podobało mu się, że mężczyzna ani razu nie spytał go o Lilię i powstrzymał się od składania kondolencji. A przecież musiał słyszeć o odnalezionych w rzece zwłokach. W małych społecznościach takie wieści rozchodzą się błyskawicznie. Mimo to właściciel baru starał się odciągnąć Sambora od ponurych myśli. Właśnie dlatego Malczewski nie zadzwonił pierwszy do Alberta. Nie czuł się na siłach, by rozmawiać z nim o siostrze i opowiadać o wizycie w prosektorium. Potrzebował czasu, by ochłonąć

i nabrać dystansu do wydarzeń z ostatnich kilkudziesięciu godzin. A jednocześnie czuł, że od śmierci Lili minęło już wystarczająco dużo czasu i trzeba było działać. Zamierzał przypilnować komisarza Popowskiego i upewnić się, że będzie prowadził śledztwo, jak należy.

- Na pewno nie masz ochoty na nic mocniejszego? Mogę ci zaproponować nasz domowy koniak. Rzecz jasna, na koszt firmy.

- Dzięki, ale unikam alkoholu - skłamał Sambor, a na twarzy jego rozmówcy pojawił się grymas zawodu.

- Ale jesteś... Ze mną się nie napijesz? - spytał Olek, po czym wstał i ruszył ku ladzie.

- Stary, ja naprawdę nie...

- Oj, daj spokój. Musimy przecież wznieść toast za spotkanie po latach - upierał się właściciel baru.

Zanim Olek wrócił do stołu z dwoma kieliszkami koniaku, drzwi do lokalu otworzyły się, a do środka wparował niewysoki szatyn z wygolonymi bokami i zaczesanymi do tyłu włosami. Ubrany był w jasne wytarte dżinsy i beżowy płaszcz, nieco mokry od śniegu.

- Samek! - powiedział głośno Albert Czerski, po czym ruszył szybkim krokiem ku przyjacielowi i mocno go wyściskał. - Witaj w domu.

Na dźwięk słowa „dom” Malczewski wzdrygnął się, jakby ktoś poraził go prądem, ale zaraz zmusił się do uśmiechu. To, czego teraz potrzebował, to pozory normalności.

- Ratujesz mi tylek, stary - wyszeptał mu do ucha, zerkając na Olka, który na ich widok wycofał się i odstawił kieliszki na ladę.

- W sensie?

- Nieważne. - Sambor poprawił przyjacielowi płaszcz i dodał: - Zmieniłeś się, Bert. Gdzie się podział tamten buntowniczy dresiarz?

- Mógłbym cię spytać o to samo - rzucił Czerski, badając przyjaciela wzrokiem. - Hm... Ta kurtka wydaje mi się znajoma. - Po tych słowach wyjął z kieszeni dżinsów smartfon i otworzył galerię ulubionych zdjęć.

Następnie pokazał Malczewskiemu fotografię, którą dostał od niego dziesięć lat temu. Została wykonana w trakcie przyjęcia z okazji pierwszych urodzin Mileny. Wyraźnie wzruszony Sambor stał w ogrodzie i trzymał na rękach roześmianą córeczkę. – Cały ty. Sentymentalny do bólu. Pamiętasz, jak staruszkowie kupili ci nowe, większe łóżko? Ściągnąłeś mnie pod ich nieobecność i kazałeś wnosić stare po schodach z powrotem do pokoju, zanim twój ojciec nie przerobił go na drewno do kominka.

– Powiedział człowiek, który ma w telefonie moje stare zdjęcie – ripostował Sambor.

– Nie robiłbym tego, gdybyś pozwolił mi raz na jakiś czas wpaść w odwiedziny. – Czerski uśmiechnął się wymownie, po czym ponownie wtulił się w przyjaciela. – Traciłem już nadzieję, że jeszcze się kiedyś zobaczymy.

Sambor zaczekał, aż niższy, ale mocniej zbudowany równolatek wypuści go z objęć.

– To co, siadamy?

Albert rozejrzał się po sali i zatopił wzrok w siedzącym przy oknie i zerkającym na nich spode łba otyłym brodaczu ubranym w czerwoną koszulę w kratę.

– Nie poznałeś go, prawda?

– Kogo?

– Faceta przy oknie. Gdybyś go poznał, pewnie od razu byś wyszedł.

Malczewski dyskretnie spojrział w kierunku brodacza, który chwilę wcześniej przeniósł wzrok na siedzącego naprzeciwko towarzysza.

– Nie mam pojęcia, kto to jest. Bert?

– Powiem ci, jak stąd wyjdziemy. Uregulowałeś rachunek?

– Daj mi chwilę.

Po opuszczeniu lokalu brat Lilii nałożył na głowę kaptur.

– Ale się rozpadało...

- To i tak nic w porównaniu z tym, co działo się w zeszłym roku. Dawno nie spadło tu tyle śniegu. Pamiętasz, jak kiedyś wpadłeś w przerębiel w jeziorze?

- Znowu będziesz się chwalił, że gdyby nie twoja pomoc, pewnie bym utonął?

- Obaj wiemy, że uratowałem ci wtedy życie - odpowiedział z wymalowaną na twarzy satysfakcją Czerski, po czym zaproponował przyjacielowi obiad w jego domu. - Gosia narobiła tyle schabowych, że wystarczy na tydzień.

Sambor stanął w miejscu i skrzyżował ręce na piersiach.

- Możesz mi wreszcie powiedzieć, kto to był?

- Ireneusz Wierzbicki - odparł powoli i wyraźnie Albert.

Malczewski zmrużył oczy i przyłożył kciuk do podbródka.

- Ireneusz Wie... - Nagle uniósł brwi i opuścił ręce wzdłuż tułowia. - To naprawdę on? W życiu bym go nie poznał...

- Nie dziwię się. W ostatnich latach strasznie się rozrósł. Ale jedno się nie zmieniło: nadal jest takim samym skurwysynem. A może i jeszcze większym.

ROZDZIAŁ 9

ROK 1996

- Tylko żadnych imprez w domu. W ogóle żadnych imprez - powiedziała w piątkowe popołudnie stojąca jedną nogą za drzwiami Zyta Malczewska. Sambor nie rozumiał, dlaczego matka patrzyła na niego, skoro w weekendy większość czasu spędzał w łóżku, a jeśli już się z kimś spotykał, to z Albertem. Co innego Lilia, której prawie nigdy nie było w domu i nikt nie wiedział, z kim się zadawała. - Do zobaczenia w niedzielę.

- O której będziecie? - spytał Sambor.

- Mam wam powiedzieć, żebyście wiedzieli, o której wstać, by posprzątać bałagan po imprezie? Jeszcze czego...

Chwilę później kobieta zniknęła za drzwiami, a na twarzy Lili i pojawił się szeroki uśmiech satysfakcji. Dziewczyna podeszła następnie do brata, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie wchodź mi w drogę, a wszystko będzie dobrze - wysyczała mu w twarz. - I jeszcze jedno: cokolwiek wydarzy się w najbliższych dniach, zostaje między nami. Zrozumiano?

Sambor zmierzył bliźniaczkę nienawistnym spojrzeniem, po czym pobiegł na górę do swojego pokoju, gdzie spędził resztę popołudnia. Choć nie miał dobrych stosunków z rodzicami, nie lubił, gdy wyjeżdżali na weekend. Wprawdzie robili to rzadko, ale Lilia zawsze maksymalnie wykorzystywała ich nieobecność, spraszając podejrzanych ludzi i imprezując dwie noce z rzędu. Gdy któregoś razu wściekły i zmęczony Sambor zszedł po trzeciej do salonu i poprosił siostrę o ściszenie muzyki, ta zasugerowała, że może do nich dołączyć.

– Nie będę twoim partnerem w zbrodni – rzucił opryskliwie.

Lilia uśmiechnęła się złowieszczo i rzekła:

– Już nim jesteś. Dobrze to wiesz.

W odpowiedzi Sambor zacisnął zęby i pobiegł schodami na górę. Lilia miała rację. To przecież on po każdej takiej imprezie poświęcał niedzielne przedpołudnie na sprzątanie salonu i kuchni. Zbierał puste butelki po wódce i walające się po podłodze puszki po piwie. W tym czasie skacowana siora dogorywała w łóżku i ani myślała mu pomóc. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby rodzice zastali bałagan na dole, oskarżyliby o niego również Sambora. A że jej bliźniak miał z nimi pod górkę, musiał wybrać mniejsze zło, jakim było przemęczenie się tych parę godzin. Przynajmniej jeszcze bardziej im się nie narażał.

Gdy po dziewiątej do domu zaczęli się schodzić pierwsi goście, Lilia postanowiła rozruszać ich piosenkami z albumu Nevermind swojego ulubionego zespołu Nirvany. Przez następne minuty muzyka i nakładające się na siebie głosy imprezowiczów przedzierały się do pokoju Sambora. Poirytowany, ale też zaciekawiony chłopak postanowił zejść na dół, by dyskretnie zorientować się, kogo tym razem sprowadziła Lilia. Przyczaił się za ścianą i ostrożnie wychylił. W salonie przebywało około piętnastu osób, z których rozpoznał co najwyżej pięć. Przywykł już do tego, że siostra otaczała się ciągle nowymi ludźmi. Kiedyś rzuciła pół żartem, pół serio, że przyjaciele są dla człowieka tym, czym woda dla pływającej w akwarium ryby. Jeśli się jej zbyt długo nie wymienia, zaczyna się robić toksyczna.

– Luna, chyba mamy towarzystwo – rzucił stojący przy oknie i wpatrzony w niego chłopak w rozpiętej niebieskiej koszuli, pod którą założył czarną koszulkę. Sambor nie zwrócił na niego wcześniej uwagi.

– Nie mówiłaś, że twój brat dziwak jest w domu – odezwała się popijająca piwo dziewczyna z tatuażem w kształcie kolczastej róży na ramieniu.

– A niby gdzie miałby być? – odparła Lilia. – Chodź, Samuś, nie bój się. Udowodnij wszystkim, że jesteś normalny.

Sambor odruchowo schował się za ścianą, a potem uciekł na górę i zatrzasnął drzwi do pokoju.

- Kurwa - zasyczał, jednocześnie zaciskając mocno pięści i powstrzymując się przed uderzeniem nimi o ścianę. Nienawidził tego, że czuł się więźniem we własnym domu. Nie wspominając już o tym, że siostra bliźniaczka, która powinna być dla niego wsparciem, zachowywała się tak, jakby uważała go za największego wroga. Nawet nie stanęła w jego obronie, gdy jej znajomi nazwali go dziwakiem. Pewnie gdyby czuł, że może liczyć na Lilię, wyszedłby na środek i interweniował. Zamiast tego podkulił ogon i uciekł, tylko utwierdzając jej znajomych w przekonaniu, że coś było z nim nie tak.

Kolejne dwie godziny upłynęły Samborowi na nieudanych próbach skupienia się na nauce. Zmęczony coraz głośniejszymi wrzaskami odnosił wrażenie, że do domu nieustannie schodzą się nowi goście. W końcu zrezygnowany opadł na łóżko, przydusił do głowy poduszkę i wyobraził sobie, że przebywa na piaszczystej plaży nad Bałtykiem, z dala od rodziców, Lili i rodzinnego piekiełka. Tylko on, ogrzewające go słońce i łagodny szum fal.

Gdy Sambor ponownie otworzył oczy, stojący na szafce nocnej zegarek wskazywał piątą. Chłopak zdjął z głowy poduszkę i poderwał się energicznie z łóżka. Następnie ruszył ku drzwiom, zaintrygowany dobiegającą zza nich ciszą. Zwykle wyprawiane przez Lilię imprezy kończyły się krótko przed południem, gdy nawet najwytrwalsi uczestnicy nie dawali już rady wlewać w siebie alkoholu. Tymczasem w zawalonym butelkami i puszkami salonie nie było żywej duszy. Zaskoczony Sambor sprawdził jeszcze kuchnię i łazienkę. A potem wszedł z powrotem na piętro i ostrożnie otworzył drzwi do pokoju Lili. Zgodnie z jego przewidywaniami łóżko stało puste. „Cholerna Lilia”, syknął w myślach. „Pewnie poszła z nimi chlać gdzie indziej i nie będzie jej przynajmniej do popołudnia”. Poirytowany wrócił do swojego pokoju i wskoczył pod kołdrę. Zamierzał wykorzystać nieobecność siostry i porządnie się wyspać. I tak nie planował sprzątać bałaganu w salonie.

Wolał poczekać do niedzieli. Nie było sensu ryzykować, że poświęci sobotę na porządki tylko po to, by patrzeć, jak wieczorem Lilia znowu sprosi znajomych i zrujnuje jego wysiłek.

Sambor był już bliski zaśnięcia, gdy usłyszał długi kobiecy krzyk. Z początku myślał, że mu się to przyśniło, ale gdy po chwili zza okna doszedł go drugi, jeszcze dłuższy odgłos, zaniepokojony podbiegł do parapetu. Panująca w graniczącym z lasem ogrodzie ciemność uniemożliwiała mu jednak dostrzeżenie kogokolwiek. Sambor był już bliski powrotu do łóżka, gdy nagle przed oczami mignęła mu masywna sylwetka. Wtedy rozległ się trzeci krzyk. Ktoś kręcił się przy ich domu. Trzeba było to sprawdzić.

Po wyjściu na zewnątrz Sambor kroczył powoli wzdłuż ściany, ściskając w dłoni zgarnięty z kuchni wałek do ciasta. Z każdym kolejnym krokiem tajemnicze odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Wkrótce chłopak zorientował się, że dobiegały z komórki, w której jego ojciec przechowywał między innymi stare strzelby. Ostrożnie zakradł się więc pod uchylone drzwi, nasłuchując męskiego warczenia i kobiecych jęków. A potem zajrzał do środka i spostrzegł zwróconego do niego tyłem wysokiego, barczystego mężczyznę z opuszczonymi do kolan spodniami. Nie od razu spostrzegł stojącą tuż przed nim i opierającą się o stół z narzędziami dziewczynę. Nie widział jej twarzy, ale czuł, że to Lilia. Potwierdzenie uzyskał bardzo szybko, gdy ta wydała z siebie głośne: „Nie! Nie! Nie!”. Zaalarmowany Sambor napiął wszystkie mięśnie, a potem uniósł rękę, w której trzymał wałek, i wbiegł do środka.

– Zostaw ją! – wrzasnął, uderzając mężczyznę w tył głowy.

Nieznajomy zachwiał się i runął na podłogę, zanim zdążył za siebie spojrzeć.

– Kurwa! – zajęczała zaskoczona Lilia.

– Uciekaj! Lilia, uciekaj! – Roztrzęsiony Sambor szarpnął półnągą siostrę za rękę i próbował ją wyciągnąć siłą z pomieszczenia. Ta jednak skutecznie mu się oparła.

– Puszczaj, kretynie! Co ty wyprawiasz?!

Tymczasem nieznajomy powoli podniósł się z podłogi. Zanim zdążył się wyprostować, Sambor zdzielił go z całej siły wałkiem w plecy.

– Biegnij do domu i dzwoń po policję!

Ku jego zaskoczeniu Lilia rzuciła się na niego i popchnęła na regał z narzędziami.

– Popierdoliło cię czy co?! Chcesz go zabić?!

Sambor nie rozumiał, dlaczego jego siostra broniła swojego oprawcy. Przez następne sekundy spoglądał w osłupieniu to na Lilię, to na klęczącego na czworaka mężczyznę.

– Ale... On cię krzywdził. Słyszałem, jak krzyczałaś „nie”...

Lilia przekłęła pod nosem, a następnie szybko naciągnęła na biodra dżinsowe szorty.

– Debilu! Mówiłam mu właśnie, by nie przestawał! – Po tych słowach pochyliła się nad obolałym mężczyzną i pomogła mu wstać. Sambor patrzył, jak nieznajomy zapinał drżącymi dłońmi rozpięty guzik od spodni. Dopiero gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, rozpoznał w nim mechanika samochodowego, z którego usług korzystał jego ojciec.

– Pan... Wierzbicki? Lilia, ale że ty i on...?

Mężczyzna wykorzystał jego zaskoczenie i wyrwał mu z ręki wałek. Następnie cisnął nim w kąt pomieszczenia, po czym popchnął Sambora na ścianę i ścisnął go mocno za szyję.

– Gęba na kłódkę, smarkaczu. Nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Zrozumiano?! – wysyczał mu w twarz, zaciskając dłonie na szyi coraz mocniej.

– Irek, przestań! Tylko narobisz mi problemów – powiedziała Lilia. – Irek, do cholery!

W odpowiedzi Wierzbicki poluzował ucisk, nie przestając jednak mierzyć Sambora nienawistnym spojrzeniem.

– Miało nie być świadków – zwrócił się do Lilii, masując sobie dłońią potylicę.

- Skąd mogłam wiedzieć, że tu przylezie? Zwykle przez całą noc chowa się w pokoju przed moimi znajomymi. Poza tym to ty chciałeś się tu pieprzyć!

- Bo męczyłaś mnie, żebyśmy zrobili coś nietypowego! No to, kurwa, zrobiliśmy! - wykrzyczał jej kochanek, a potem wyjął z kieszeni skórzany pokrowiec i wysunął z niego nieduży nóż myśliwski. Zanim Sambor zdążył zareagować, Wierzbicki przyłożył mu ostrze do szyi i wycedził, piorunując go wzrokiem: - Wspomnij komukolwiek o tym, co widziałeś, a przysięgam, że cię załatwię. Rozumiesz? Powiedz, kurwa, że...

- Rozumiem - powiedział drżącym głosem zdenerwowany Sambor. Wtedy męczyzna schował nóż i ruszył w kierunku wyjścia.

- Irek, zaczekaj!

- Wynoszę się stąd. Narobiłaś mi tylko kłopotów.

- Irek, kotku! Chyba nie myślisz, że ten lamus komukolwiek... Irek, nie odchodź! Noż kurwa mać!

Minutę później rozbrzmiał warkot silnika samochodu i krzyk Lilii, która do ostatniej chwili próbowała zatrzymać kochanka. Wkrótce wzburzona dziewczyna wróciła do komórki i rzuciła się z pięściami na wciąż drżącego z nadmiaru emocji brata.

- Lilia, opanuj się! Przestań! - Sambor próbował robić uniki, ale kilka ciosów dosięgło go w tors i policzek.

- Po cholere tu przychodziłeś?! Nie mogłeś zostać w pokoju?!

- Słyszałem krzyki i widziałem biegającego po ogrodzie faceta. Musiałem sprawdzić, co się dzieje.

- No i sprawdziłeś. A przy okazji spieprzyłeś mi randkę! - Lilia uniosła rękę z zacisniętą pięścią i w ostatniej chwili powstrzymała się przed zadaniem kolejnego ciosu. - Śpisz dziś w ogrodzie - stwierdziła, zanim wyparowała z komórki.

- Co?

- Słyszałeś. Nie masz wstępu do domu.

- Lilia, nie możesz! - krzyknął kroczący za siostrą Sambor. - Chciałem dobrze. W ogóle jakim cudem ty i on...? Przecież ten facet jest od nas dwa razy starszy, a do tego ma żonę i małe dziecko!

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy - rzuciła Lilia, zanim chwyciła za klamkę i popchnęła drzwi. - Nawet nie próbuj wejść do domu.

- Nie możesz...

- Właśnie że mogę. Musisz ponieść karę za swoje wścibstwo.

- Lilia! - Malczewski podbiegł do siostry, która próbowała mu zatrzasać drzwi przed nosem. W ostatniej chwili włożył jednak nogę między drzwi i framugę. - Chcę wejść!

- Nie! Kara to kara! - Dziewczyna kopnęła go w stopę z taką siłą, że Sambor zajęczał z bólu. - Zabieraj ją!

Sambor znał swoją siostrę na tyle, by wiedzieć, że dalsze próby sprzeciwiania się jej tylko bardziej ją rozsierdzą. Lilia zawsze musiała dopiąć swego, nawet kosztem innych. Dla własnego dobra powinien więc pozwolić jej zatrzasać drzwi. Nic się nie stanie, jeśli zdrzemnie się na hamaku w ogrodzie. Tym bardziej że w ostatnich dniach temperatura za dnia nieustannie oscylowała wokół trzydziestu stopni.

- Wariatka! - krzyknął do siostry tuż po tym, jak zabrał nogę.

- Spadaj, lamusie! - zaripostowała Lilia, po czym trzasnęła drzwiami.

Nagle Sambor poczuł rozsadzający go od środka gniew. „Jak długo jeszcze zamierzasz jej pozwalać na takie traktowanie? Suka nie ma prawa cię wyganiać z domu!” - grzmiał mu głos z tyłu głowy. Choć wiedział, że popełnia błąd, nie mógł się powstrzymać. Musiał się w końcu postawić siostrze. Zbyt długo z tym zwlekał.

- Powiem o wszystkim mamie i tacie! - krzyknął, licząc na to, że Lilia usłyszy go przez drzwi. - Tata na pewno będzie zachwycony, że puszczasz się z jego kolegą.

Po tych słowach Sambor wycofał się i ruszył w kierunku wiszącego nieopodal hamaka. Po kilku krokach usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

– Jesteś pewien, że chcesz iść ze mną na wojnę? – spytała Lilia, piorunując go wzrokiem.

– Przestań mnie traktować jak śmiecia, a nic nie powiem.

W odpowiedzi dziewczyna pogardliwie zarechotała.

– Serio będziesz mi stawiał warunki? – Podeszła do brata, bujając nonszalancko ramionami, i dodała: – Zrobimy tak: jeśli ty powiesz starym o Irku, ja wyjawię im, że ukradłeś pierścionek zaręczynowy mamy.

Sambor uniósł wysoko brwi, obrzucając siostrę pytającym spojrzeniem.

– Ale... To ty go ukradłaś i założyłaś na poroże jelenia!

Lilia uniosła jednocześnie oba kąciki ust.

– Naprawdę? A masz jakiś dowód?

Sambor przelknął ślinę i skrzyżował ręce na piersiach. Powinien być już oswojony z tym, że Lilia grała nieczysto, ale takiej manipulacji się po niej nie spodziewał.

– Rodzice ci nie uwierzą. Niby dlaczego miałbym kraść pierścionek mamy?

Lilia podrapała się po brodzie.

– Niech pomyślę... Może dlatego, że próbujesz odzyskać tę grubaskę, z którą zaliczyłeś pierwszy raz w krzakach nad jeziorem? Wręczyłeś go jej już czy jeszcze czekasz?

Sambor gwałtownie się wyprostował, a po plecach spłynął mu zimny pot. Skąd Lilia wiedziała o ich zbliżeniu, do którego doszło zeszłej wiosny? Upewniali się przecież, czy nikogo nie było w pobliżu.

– Judyta to przeszłość. Poza tym od pół roku mieszka we Wrocławiu – zauważył.

– No i...? Wciąż nie możesz się pogodzić z jej wyjazdem, dlatego wysłałeś jej ten pierścionek, żeby o tobie nie zapomniała.

– Przestań pieprzyć – syknął coraz bardziej wzburzony Sambor.

– Łudzisz się, że wasza znajomość przetrwa następne dwa lata, żebyś mógł się wyrwać z domu i zamieszkać z nią we Wrocławiu. To takie słodkie... – Lilia uśmiechnęła się teatralnie, po czym parsknęła gromkim śmiechem.

Sambor poczuł, jak miękną mu nogi.

– Czytałaś moje listy...

W odpowiedzi jego siostra zaklaskała dłońmi.

– Brawo. Trochę ci to zajęło, ale w końcu się połapałaś.

– Ty suko... – Sambor zacisnął pięści, powstrzymując się przed zaatakowaniem Lilii.

– Na wszelki wypadek zabrałam parę najciekawszych listów i ukryłam je w bezpiecznym miejscu. Jeśli spróbujesz mi zaszkodzić, pokażę je starym wraz z listem, w którym wspominasz o miejscu ukrycia pierścionka.

– Co, kurwa?! Przecież ja nie wiem, gdzie jest ten zasrany pierścionek! Podrobiłaś moje pismo?

– Nie było łatwo, ale po kilku próbach wyszło całkiem autentycznie. Starzy na pewno się nie skapną. – Lilia zbliżyła się do brata na odległość dwóch kroków. – To jak będzie? Sztama? – spytała, wyciągając ku niemu rękę.

Sambor odniósł wrażenie, że świat wiruje mu przed oczami. Lilia znów wygrała.

– Kiedyś cię załatwię – wyszeptał, niechętnie ściskając jej dłoń.

Dziewczyna zdusiła śmiech i odparła:

– To się okaże. – Następnie obróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom. – Aha, to niczego nie zmienia. Śpisz w ogrodzie. No i nie zapomnij o wysprzątaniu salonu. Nie chcę się wieczorem wstydzić przed znajomymi.

ROZDZIAŁ 10

ROK 2024

Sambor drapał się nerwowo po karku i zastanawiał, czy powinien wrócić do środka i rozmówić się z Wierzbickim.

- Nie radzę. To stary alkoholik i awanturnik. Jeśli w Dusznym dochodzi do jakichś bójek, to niemal zawsze on jest prowokatorem - powiedział Albert.

- To gwałcieł mojej siostry. A jeśli wie coś, co może się przydać w śledztwie?

- Po pierwsze: żaden gwałcieł. O ile dobrze pamiętam, Lilia chciała się z nim bzykać.

- Co nie zmienia faktu, że chłop po trzydziestce nie powinien wykorzystywać szesnastolatki - upierał się Malczewski.

- Masz rację, ale na ile znałem twoją siostrę, na tyle jestem skłonny uwierzyć, że to wcale nie ona była wykorzystywana w tym układzie.

Sambor zmarszczył brwi i zmierzył przyjaciela surowym wzrokiem.

- Mógłbyś sobie darować ten komentarz.

- Może i mógłbym, ale wiesz, że mam rację. Zresztą nieważne. Nie wracaj tam, okej? Nie warto. Wierzbicki przez te wszystkie lata narobił tyle głupstw, że pewnie już dawno zapomniał o Lili. Tylko byś sobie niepotrzebnie popsuł humor.

- Stary, dopiero co zidentyfikowałem ciało siostry i zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyrzucę z głowy widok jej gnijącego ciała. A jakby tego było mało, przede mną organizacja pogrzebu i wyczerpujące śledztwo, które być może nie przyniesie rezultatu. O jakim humorze mówisz? - Na samo wspomnienie ostatnich godzin Sambora ogarniało

dobijające poczucie bezradności. Znów był tym zagubionym, przytłoczonym brutalną rzeczywistością nastolatkiem, który pragnął tylko świętego spokoju.

- Przepraszam, palnąłem bez pomysłu. - Albert klepnął przyjaciela po ramieniu i spytał: - To co, idziemy?

- Muszę z nim porozmawiać - odrzekł bez zająknięcia Malczewski.

- Nie możesz tego zrobić jutro? Odpocznij. Pojedziemy do mnie, zjemy zajebisty stek, a potem obejrzymy coś w telewizji. Jagódka od wczoraj o ciebie wypytuje.

- Hę?

- Powiedziałem jej, że przyjedzie mój najlepszy przyjaciel, któremu zawdzięcza swoje imię. - Albert nawiązał do sytuacji z dnia piętnastych urodzin Sambora, gdy zabrał przyjaciela nad jezioro i namówił go do napicia się po raz pierwszy w życiu alkoholu. Po sześciu piwach kompletnie pijani chłopcy założyli się, że ten, który pierwszy zwymiotuje, będzie musiał spełnić żądanie towarzysza.

- Ja pierdołę - zajęczał Albert, kucając pod drzewem i wymiotując od dwóch minut. - To wszystko przez ten ohydny bigos matki.

- Każda wymówka jest dobra - skomentował dumny z siebie Sambor, któremu jakimś cudem przez ostatnią godzinę udało się nie puścić pawia.

Wkrótce zawstydzony z powodu przegranej Albert wrócił na koc i przez dłuższą chwilę unikał spojrzenia przyjaciela.

- To co mam zrobić? Tylko niech to nie będzie nic głupiego.

Po chwili namysłu Sambor dopił piwo, zostawiając na dnie butelki kilka łyków. A potem poprosił zaskoczonego towarzysza, by ten nadał kiedyś swojej córce imię Jagoda.

- Rzecz jasna, o ile będziesz miał córkę.

- Eee... To najdziwniejsze, o co mnie kiedykolwiek poproszono. Dlaczego w ogóle Jagoda?

Z twarzy Sambora momentalnie zniknął uśmiech.

- Gdy mieliśmy z Lilią trzy lata, mama zaszła ponownie w ciążę, ale urodziła martwą dziewczynkę. Dała jej na imię Jagoda.

- Nigdy o tym nie wspominałeś...

- Bo nie ma o czym. Byłem za mały, by cokolwiek pamiętać z tamtego okresu. Zresztą w naszej rodzinie to temat tabu. Pomyślałem jednak, że byłoby fajnie uczcić jakoś pamięć Jagody...

- A co w sytuacji, gdy to ty pierwszy doczekasz się córki? - spytał Albert.

- Wtedy będę miał pierwszeństwo w wymyśleniu innego imienia dla twojej.

Czerski pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Niech będzie. Obym tego kiedyś nie pożałował.

Sambor podszedł do okna i zerknął na pijącego piwo brodacza w czerwonej koszuli.

- O jakich głupstwach Wierzbickiego mówiłeś? - spytał zaintrygowany Alberta.

- Jakbym zaczął wymieniać wszystkie, o których słyszałem, toby nie starczyło dnia. Generalnie facet znany jest we wsi z tego, że gdy nie pije, to ugania się za młodymi dziewczynami.

- Czyli Lilia nie była wyjątkiem?

- Nie wiem, na ile to prawda, a na ile plotka, ale swego czasu było głośno o jego rzekomym gwałcie na piętnastoletniej córce Cieślaków. Pamiętasz Mietka?

- Tego, który zrobił dziurę w ogrodzeniu starego Fludera? Biedak chyba ze dwa dni latał po wsi i szukał swoich krów.

Albert uśmiechnął się na wspomnienie tamtych czasów.

- Właśnie tego. W każdym razie sprawa rzekomego gwałtu z jakiegoś powodu rozeszła się po kościach. Zawsze mnie to dziwiło, bo podobno młoda Cieślakowa nie miała skończonych piętnastu lat. Później głośno było o znęcaniu się Wierzbickiego nad żoną i jego romansie z sołtysową.

Facet narobił sobie wielu wrogów, ale nic mi nie wiadomo na temat tego, by utrzymywał kontakt z twoją siostrą.

- Trzeba się zatem tego dowiedzieć u źródła. Zaczekaj na mnie w samochodzie – odrzekł Sambor, po czym ruszył w kierunku wejścia. Pół minuty później zatrzymał się przy stoliku otyłego brodacza, który nie sprawiał wrażenia zaskoczonego jego obecnością. – Możemy porozmawiać? – Malczewski spojrzał wymownie na jego towarzysza.

- Czyli to ona... – Wierzbicki powoli wstał z krzesła, a potem wyprostował się i spojrzał Samborowi w oczy. – Pogadamy na zewnątrz.

Malczewski podążał za dawnym kochankiem swojej siostry, który okrążył budynek i zatrzymał się przy pochylonym dębie.

- Czemu nie mogliśmy porozmawiać przy wszystkich? Masz coś do ukrycia? – prowokował Wierzbickiego.

- Morda! – warknął brodacz, na którego czole pojawiła się nagle głęboka pozioma zmarszczka. Następnie zbliżył się do rozmówcy i powiedział cicho, ale wyraźnie: – Od razu cię poznałem. Może i wyrosłeś, ale wciąż masz to samo zagubione spojrzenie.

- Co wiesz o śmierci mojej siostry? Gadaj!

- A co mam wiedzieć? Do tej pory nie było nawet wiadomo, czy to jej ciało. Co prawda po wsi krążyły plotki, ale wiele razy się przekonałem, że ludzie lubią wymyślać bajki, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Byłeś na identyfikacji?

- Nie twoja sprawa – odparł podenerwowany spotkaniem po latach Sambor.

Wierzbicki uśmiechnął się złowieszczo i odrzekł:

- Byłeś, byłeś... Widzę ten strach w twoich oczach. – Po tych słowach zbliżył się do Malczewskiego i dodał cicho: – Czuję, że wrócisz i wywleciesz na wierzch dawne brudy. Nie wrobisz mnie w morderstwo Rusałki, rozumiesz?

- Chwila... Skąd wiesz, że została zamordowana?

Wierzbicki wydał z siebie zduszony rechot.

- Mam gdzieś, co jej się stało. Od lat nie mam z nią żadnego kontaktu i nie pozwolę, byś zrobił ze mnie kozła ofiarnego.

Malczewski postanowił zignorować słowa rozmówcy i zadał kolejne pytanie:

- O co chodzi z tą Rusałką? Doszły mnie słuchy, że tak nazywano Lilię...

Jego rozmówca głośno prychnął.

- Twoja siostrunia była zdziwa, która rozkładała nogi przed wszystkimi chłopami na wsi. Co, nie słyszałeś o jej... - chrząknął - otwartości?

- Powiedział ruchacz małoletnich dziewczyn - rzucił kąśliwie Sambor.

Wierzbicki zacisnął zęby i wziął głęboki wdech.

- Wciąż nie mogę pojąć, jakim cudem takie strachliwe chuchro zostało glina...

- Skąd wiesz?

- Każdy, kto cię zna, od kogoś o tym słyszał - odrzekł enigmatycznie mężczyzna. - Biedny, pokrzywdzony przez los Sambor wyrwał się z tego zadupia i odniósł sukces. Nie to, co my wszyscy, którzy skiśliśmy tu na dobre, he?

- Nigdy w ten sposób o was nie myślałem - zaznaczył Malczewski.

- Nie? Akurat pamięć mam dobrą. Rusałka dużo mi o tobie opowiadała. A zwłaszcza o twoich kompleksach i nienawiści do tego miejsca - mówił Wierzbicki, badając go wzrokiem od stóp do głów. - Zapyziałe Runowo nie było godne kogoś takiego jak ty, he?

- Co ty pieprzysz, człowieku?! - obruszył się Sambor.

- Wieś nieudaczników. Przyznaj, że tak o nas mówiłeś.

- Po cholere wymyślasz te bzdury? Nie sprowokujesz mnie.

Wierzbicki nie zamierzał jednak kończyć szarży.

- Trzeba było zostać w Zgorzelcu, czy gdzie tam cię wywiało.

Sambor przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w Wierzbickiego i zastanawiał nad tym, co jeszcze mężczyzna może wiedzieć na jego temat. Czy to możliwe, że doszły go też słuchy o tragedii sprzed czterech lat?

– Nie jestem tu, by rozmawiać o mnie. Wspomniałeś, że Lilia wdawała się w liczne romanse...

– Tak liczne, że przez nią rozpadł się klub wędkarza. Zazdrosne baby zabroniły mężom chodzić nad jezioro.

– A co ma jezioro do mojej siostry? – dociekał Sambor.

– To, że ludzie ciągle ją widywali, jak biegła goła przy brzegu i nagabywała wędkarzy i spacerowiczów. Jednego omal nie utopiła. Nie wierzysz? Spytaj kogokolwiek o Tacka Brezińskiego, to ci powiedzą, jak wabiła go do wody i obiecywała mu nagrodę.

– Czyli mam rozumieć, że nie kontaktowałeś się z nią krótko przed jej śmiercią? – dopytywał Malczewski.

– Nie. I Bogu dzięki ona też trzymała się ode mnie z daleka.

– Mógłbyś mi podać nazwiska kochanków Lilii? Przynajmniej kilku.

Wierzbicki spojrział na rozmówcę z rozbawieniem.

– Kto by pomyślał, że szczył, który kiedyś omal nie rozwalił mi łba wałkiem, pewnego dnia przyjdzie do mnie i poprosi o pomoc... Chcesz wiedzieć, kto posuwał Rusałkę? Ja ci nie powiem. Ludzie i tak już wystarczająco się na mnie uwzięli. Jeszcze tego brakuje, by zaczęli mnie wyzywać od donosicieli. Lepiej popytaj tych starych hipokrytek, które non stop okupują pierwsze rzędy w kościele i myślą, że jak polecą w każdą niedzielę do spowiedzi, to Bozia odpuści im grzechy i będą mogły z czystym sumieniem przez kolejny tydzień napierdalać na ludzi. Akurat ich nikt nie rozlicza z podłego charakteru.

– Jeszcze nie skończyliśmy – rzucił Sambor, gdy rozmówca zwrócił się do niego plecami i zrobił kilka kroków w kierunku budynku. – Co twoim zdaniem przytrafiło się Lilii? Czy ktoś mógł chcieć ją zabić?

Wierzbicki przystanął i zerknął ku niemu przez ramię.

- Moje zdanie nie ma tu żadnego znaczenia.

- A właśnie że ma - nie odpuszczał Malczewski. - Znałeś ją aż za dobrze. Zresztą po tym wszystkim, co kiedyś między wami zaszło, potrafiłście przez wiele lat żyć obok siebie, jak gdyby nigdy nic.

- No i?

- Trochę to dziwne.

Wierzbicki ponownie podrapał się po brodzie i uśmiechnął pod nosem.

- W odróżnieniu od ciebie niektórzy umieją zostawiać za sobą przeszłość i koncentrować się na tym, co nadejdzie. Tobie nie pomogła nawet ucieczka.

- Morda! - Sambor czuł, że jeśli da się sprowokować Wierzbickiemu, ten pójdzie za ciosem. Postanowił więc szybko przejąć inicjatywę: - W porządku. Jeśli nie chcesz mi wyjawić nazwisk kochanków Lilii, to wyjawisz je policjantom w komendzie w Gorzowie. Zapraszam na przesłuchanie.

- Nigdzie nie pojedę! - zadeklarował wzburzony mężczyzna. - Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tej kurwy. Była dla mnie zupełnie obca.

- No niezupełnie. Znałeś ją i pieprzyłeś.

- Sto lat temu - zauważył Wierzbicki. - Od tamtej pory wiele się zmieniło. Może ciężko ci w to uwierzyć, ale czas w Runowie też nie stoi w miejscu.

- Patrząc na dziurawe drogi i budynki, które nie zmieniły się od lat, faktycznie ciężko mi uwierzyć... Nazwiska.

- Spierdalaj, Malczewski. - Brodacz machnął ręką i ruszył z miejsca.

- Artur Krynicki!

- Hm?

- Facet, który zaginął miesiąc temu - sprecyzował Sambor.

Wierzbicki zmarszczył brwi.

- Przecież, kurwa, wiem. Co z nim?

– Wiesz, czy zadawał się w ostatnim czasie z Lilią? – odpowiedział pytaniem na pytanie Malczewski.

– Już ci mówiłem: pogadaj z miejscowymi plotkarami. One znają wszystkie szczegóły.

– A ty co możesz mi powiedzieć o Krynickim?

Zapanowała kilkusekundowa cisza, którą przerwał pogardliwy chichot Wierzbickiego.

– Myślałem, że się dobrze znacie. O ile mnie pamięć nie myli, jego staruszek posuwał twoją matkę...

– Zamknij się! – Sambor impulsywnie uniośł rękę z zaciśniętą pięścią.

– No, dalej. Uderz mnie. Pokaż, że jesteś wciąż tym samym agresywnym skurwielem – prowokował go Wierzbicki.

Sambor wziął kilka głębszych wdechów i zmusił się do opuszczenia ręki.

– Co możesz mi powiedzieć o Krynickim? – powtórzył pytanie drżącym z nerwów głosem.

Wierzbicki oddalił się od niego na kilka kroków i odpowiedział:

– Przez pewien czas się kolegowaliśmy, choć wszyscy mi radzili, bym trzymał się od niego z daleka. Powiniennem był ich posłuchać...

– Co ci zrobił?

Wierzbicki pokręcił z irytacją głową. Ostatnie, na co miał ochotę, to wspominać Artura.

– Powiedzmy, że nadużył mojego zaufania. Zresztą nie tylko mojego.

– To znaczy?

– Nie znam osoby, której ten śmieć nie naciągnąłby na mniejszą lub większą sumę.

– Hm... Czyli chodzi o pieniądze?

Wierzbicki spojrział wymownie na rozmówcę i spytał:

– A czy na tym świecie kiedykolwiek chodzi o coś innego? Idę.

– Zaczekaj! Moja siostra prawdopodobnie spędziła miesiąc na dnie rzeki. To znaczy, że zginęła mniej więcej wtedy, gdy Krynicki rozplątał się w powietrzu...

– No i?

– Nie wydaje ci się to dziwne? – dociekał Sambor, szukając punktu zaczepienia.

– Wszystko, co wyprawiała Rusałka, było dziwne – podsumował ją Wierzbicki, po czym zbliżył się do dużo szczuplejszego, lecz odrobinę wyższego rozmówcy. – Koniec. Nie chcę już nigdy więcej o niej gadać. Lepiej nie próbuj mnie ciągać po komendach...

– Znów mi grozisz. Nic się nie zmieniłeś...

Słysząc to, Wierzbicki szarpnął Sambora lekko za kurtkę. Ten w odpowiedzi ścisnął mu mocno przedramię i odepchnął go od siebie.

– Proszę, proszę. Jednak coś tam się wzmocniłeś przez te lata – odrzekł zaskoczony jego siłą brodacza. – Powodzenia w śledztwie. Obyś szybko odkrył prawdę i wrócił tam, gdzie możesz macić ludzi, że jesteś kimś więcej niż śmieciem bojącym się własnego cienia.

– Karol Węgrzyn – rzucił Malczewski. – Ponoć u niego też Krynicki narobił sobie długów.

– W takim razie nic dziwnego, że postanowił stąd spierdolić – odparł Wierzbicki, krocząc ku bocznej ścianie budynku.

– A jeśli wcale nie spierdolił? Może Węgrzyn stoi za zniknięciem Artura i śmiercią Lili? – zastanawiał się Sambor.

– Nie pozostaje ci zatem nic innego, jak złożyć wizytę w Pieczarze...

– Czym?

– Tak nazywamy willę Węgrzyna – wyjaśnił Wierzbicki. – Słyszałem, że dzieją się tam chore rzeczy. Chyba wolałbym już odwiedzić piekło...

– Jakie rzeczy? Zaczekaj. – Podążył za rozmówcą, który nagle zwrócił się do niego przodem i wyciągnął ku niemu wyprostowaną rękę.

– Nie idź za mną. Nic więcej nie powiem. I nie próbuj więcej wciągać mnie w to gówno. Inaczej odpłacę ci za to, jak mnie wtedy

urządziłeś. Mówię poważnie.

- Dzięki za pomoc - odpowiedział niechętnie Sambor, po czym zaczął, aż mężczyzna zniknie za ścianą, i szybkim krokiem ruszył w kierunku parkingu. Bardzo chciał, by Wierzbicki miał coś wspólnego ze śmiercią Lili. Przerażała go bowiem wizja przeciągającego się śledztwa. Intuicja podpowiadała mu jednak, że prawda była dużo bardziej skomplikowana. I czekała na niego na końcu długiego, skomplikowanego labiryntu.

ROZDZIAŁ 11

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? Może zaczekaj parę dni? - spytał troskliwym tonem Albert, któremu nie podobał się pomysł odwiedzenia przez Sambora ojcowizny.

- Parę dni nic nie zmieni. Zresztą wolę to mieć już za sobą.

- A uprzedziłeś chociaż prokuratora lub tego policjanta, któremu dałem twój numer? Może jeszcze nie zdążyli przeszukać chaty?

- Przeszukali i nic nie znaleźli - wyjął Sambor, po czym zwrócił się do przyjaciela: - To też mój dom, Bert. Mam prawo tam wejść.

„Mój dom” - te słowa brzęczały mu w głowie przez kolejne sekundy. Czy miał prawo nazywać tak miejsce, które porzucił wiele lat temu?

- Jak uważasz. Wsiadaj, zawiozę cię.

- Nie trzeba. Sam pojedę. - Sambor zerknął w kierunku stojącego nieopodal SUV-a.

- Niech ci będzie, ale pod jednym warunkiem: za godzinę widzimy się u mnie na obiedzie. Zgoda?

- Godzina może mi nie wystarczyć.

- Okej, dwie, ale nie spóźnij się. Nie chcę, byś zbyt długo tam siedział.

Sambor odpowiedział skinięciem głowy. Wtedy przyjaciel spytał go, czy ma gdzieś zapisany jego adres.

- Taaa...

- Zatem będę czekał. Aha, Samek, jeszcze jedno: przygotowałem już dla ciebie pokój gościnny.

- Bert, naprawdę nie musisz...

- Nie przyjmuję odmowy. Zostań tak długo, jak będziesz chciał.

- Mhm. Pomyślę - odrzekł bez entuzjazmu Sambor.

Tymczasem na parking przed Dusznym Barem zajechał stary, brudny ford, z którego wysiadł wysoki mężczyzna koło pięćdziesiątki. Miał na sobie luźny dres, okulary przeciwsłoneczne i brązową czapkę bejsbolówkę, spod której wystawały rudawe włosy.

- Cześć - rzucił do niego Albert.

Ten odpowiedział mu skinieniem głowy i pomaszerował ku wejściu.

- Kto to był?

- Nie poznałeś go? Konrad Szafranski, syn tego gliny, który kiedyś przesłuchiwał nas w sprawie podpalenia lasu. - Albert nawiązał do incydentu z dziewięćdziesiątego trzeciego, gdy w trakcie upalnego lata spłonął spory obszar lasu. Ogień omal nie dotarł do kilku sąsiadujących z nim posesji. Śledztwo szybko wykazało, że doszło do podpalenia. Winnego jednak nigdy nie odnaleziono.

- Ach, coś mi świta... Czyli on też tu został?

Bert spojrzał na niego krzywo.

- Zabrzmiało to tak, jakby mieszkanie w Runowie było synonimem porażki. Nie każdy czuł potrzebę zmiany otoczenia. Powinieneś to zrozumieć.

- Sorry, nie miałem niczego złego na myśli - zrehabilitował się Sambor.

- Wybaczam. Masz ciężki dzień. A co do Szafranskiego, przez wiele lat mieszkał, o ile mi wiadomo, gdzieś na Lubelszczyźnie. Wrócił w zeszłym roku i szybko zaczął skupować lokalne ziemie - wyjaśnił Albert.

- Kolejny biznesmen? Nigdy bym nie pomyślał...

Czerski wzruszył ramionami i dopowiedział:

- Niestety. Rozpanoszyli się tu jak szkodniki i szkodzą naszej społeczności. Najgorsze, że omamieni ich dobroczynnością ludzie nie potrafią dostrzec ich prawdziwych intencji.

- Jaką dobroczynnością? - dopytywał przyjaciel.

- Gosia wspominała niedawno, że proboszcz dziękował Szafrąnskiemu w trakcie mszy za hojny datek na remont kościoła. Podobno też chce uruchomić na nowo podstawówkę i zbudować wielką salę gimnastyczną.

- Nasza szkoła nie działa?

Albert rozłożył wymownie ręce i wyjaśnił:

- Od co najmniej piętnastu lat. Brakowało uczniów. Dzieci uczą się w Kłodawie.

- Hm... W sumie to było nieuniknione. Czyli twierdzisz, że ten cały Szafrąnski to kawał skurwysyna?

- No właśnie nie do końca... Powiem tak: facet też swoje przeszedł. Pamiętam, jak głośno było o próbie samobójczej jego młodszego brata. Na pewno go pamiętasz...

- Ten łysol z bliznami na głowie i twarzy?

- Tak. Wołali na niego Mięśny Piter, bo przez te blizny wyglądał tak, jakby ktoś przykleił mu do twarzy plaster steku. Ktoś mi kiedyś powiedział, że gdy miał pięć lat, przypadkiem wylał sobie na głowę garnek z gorącym olejem i tylko cudem go uratowano. Po tym wydarzeniu Szafrąnscy przeprowadzili się na wieś. Podobno w Gorzowie nie mogli znieść ciekawskich spojrzeń na ulicy. W Runowie liczyli na odrobinę spokoju...

- No to go dostali - prychnął Sambor.

- Co nie? Kiedyś Piter omal nie wskoczył nam pod samochód. Normalnie wbiegł na ulicę akurat wtedy, gdy przejeżdżaliśmy obok. Ojciec strasznie się na niego wydarł, a ten tylko się zaśmiał i uciekł. Dziwny typ. Kiedyś było mi go szkoda i w sumie nie dziwiłem się, że tak mu odwaliło. Każdy straciłby zmysły, wyglądając jak potwór i będąc pośmiewiskiem. Ale później zaczął robić te wszystkie głupoty... Najbardziej zapadło w pamięć, jak kiedyś wywalił wacka w kościele, wracając od komunii. Ludzie krytykowali potem proboszcza, że ten nie zakazał mu udziału w mszach.

- Coś mi świta - przyznał Sambor.

– Iles miesięcy po twoim wyjeździe Mięśny Piter podciął sobie żyły. Przez dobry tydzień ludzie na wsi nie mówili o niczym innym. Wielu żałowało, że Konrad w porę go odnalazł i wezwał pomoc.

– Co było potem?

– Jak wspominałem, Szafrzańscy wysłali Pitera do dobrego wariatkownika na Lubelszczyźnie. Jakiś czas później sami się tam wyprowadzili, pewnie by być bliżej niego. A teraz Konrad wrócił tu z bratem i wykorzystuje go, by przypodobać się miejscowym.

– Wykorzystuje człowieka, którego dawniej wszyscy uważali za czarną owcę? – spytał zdziwiony Sambor.

– Dawniej może tak, ale dziś Piter to lokalna gwiazda. Pisali o nim w gazetach.

– Eee? A niby z jakiej racji?

– Z powodu jego kolejnej próby samobójczej – wyjął Albert. – Bo widzisz, dziś Mięśny Piter, choćby chciał, nie wskoczyłby nikomu pod auto. Facet jest przykuty do wózka i z tego, co przeczytałem, może ruszać jedynie oczami. Podobno parę lat temu próbował się powiesić. Wprawdzie udało się go odratować, ale doszło do tak poważnych uszkodzeń w jego mózgu, że Piter jest dziś warzywem. Konrad rzadko go pokazuje, ale dużo o nim opowiada i ciągle powtarza te kliki historyjki o tym, jaką to długą drogę do normalności przeszła w ostatnich latach jego rodzina. Zorganizował nawet w Kłodawie konferencję na temat zdrowia psychicznego. No i zawsze podkreśla, że poświęcił dla brata swoje wygodne życie w Lublinie i ze względu na niego wrócił na stare śmieci.

– Jak to?

– Naiwnie wierzy, że może tutaj Piterowi się polepszy. Przy takim stopniu niepełnosprawności to raczej niemożliwe.

Sambor podrapał się po brodzie.

– A zatem Szafrński wyciera sobie gębę niepełnosprawnym bratem.

– W zasadzie to tak.

- Czyli jednak potwierdzasz, że to kawał skurwysyna.

- Nie nazwałbym tak kogoś, kto troszczy się o bliską osobę. Ale na pewno ma chrapkę na stołek wójta.

- Czyli o to chodzi.

- Szafrański ciągle krąży po okolicznych wsiach i próbuje się przypodobać ludziom. A wiadomo, że wzruszające opowiadki o niepełnosprawnym bracie pomagają - kontynuował Albert. - Parę razy widziałem, jak jechał w odwiedziny do Węgrzyna. Pewnie kminia, jak zapewnić Szafrańskiemu wygraną w wyborach. Przypuszczam, że obaj na tym skorzystają - westchnął z rezygnacją. - Ludzie to są jednak naiwni. Zobaczysz, że jeszcze będą płakali, gdy Szafrański na spółę z Węgrzynem wykupią większość terenu wokół wsi, a potem wytną las i zbudują w okolicy jakąś wielką fabrykę czy hurtownię.

- Wiesz, zawsze to nowe miejsca pracy...

Słyszac to, Czerski zmarszczył czoło.

- Dawny Samek nigdy nie powiedziałby czegoś takiego...

- Dawnego Samka już nie ma. Zginął wtedy w pożarze - mruknął Malczewski.

- Jak zwykle pieprzysz głupoty. - Albert lekko szturchnął przyjaciela i otworzył drzwi auta. - Będę czekał ze stekiem.

Przygnębiony wspomnieniami Sambor patrzył, jak jego przyjaciel wsiada do auta, po czym wyjeżdża z parkingu. Gdy pojazd zniknął za rogiem, Malczewski ruszył ku swojemu mercedesowi, tocząc w głowie wewnętrzną debatę na temat słuszności udania się w miejsce, które budziło tyle złych skojarzeń. Z jednej strony zgadzał się z Albertem: powinien najpierw ochłonąć z szoku wywołanego wizytą w prosektorium, a dopiero potem konfrontować się ze swoimi traumami. Z drugiej jednak czuł, że skoro już Lilia ściągnęła go tu z powrotem, nie było sensu odkładać na później tego, co nieuniknione.

W drodze do ojcowizny Sambor zadzwonił do komisarza Popowskiego i uprzedził go o swoich zamiarach.

- Wydawało mi się, że mieliśmy dopiero ustalić termin wspólnego przeszukania – odrzekł niepoczyszony policjant.

- Wiem i przepraszam za zamieszanie, ale czuję, że najpierw muszę tam pojechać sam i spokojnie rozejrzeć się po starych śmieciach.

- W innych okolicznościach pewnie bym oponował, ale rozumiem... Tylko niczego nie ruszaj.

- Oczywiście, komisarzu.

Wkrótce Malczewski wjechał na wąską żwirowatą drogę, na końcu której mieścił się jego dawny dom. Po obu jej stronach rosły wysokie świerki. Nie takiego widoku się spodziewał. Pamiętał, że krótko przed wyprowadzką do dziadków większość tego terenu ogrodzono i zaczęto po kolei wycinać z niego drzewa. Mówiono, że jakiś prywatny inwestor wykupił duży obszar ziemi i zamierzał wybudować na nim luksusowe osiedle. Sambor zażartował nawet w rozmowie z babcią, że może dobrze się stało, że ich dom spłonął.

- Przynajmniej nie będę musiał słuchać ryku koparek i gapić się codziennie na wstrętne blokowisko.

Najwidoczniej inwestycja nie wypaliła, bo nie było nawet śladu po ogrodzeniu, a w miejsce wyciętych drzew wyrosły gęste, ośnieżone i wzbudzające niepokój krzaki.

- I dobrze – powiedział pod nosem Sambor, dojeżdżając do łagodnego zakrętu. Nagle mężczyzna wzdrygnął się na widok przedzierającej się pomiędzy drzew i omal nie dosięgającej drogi gęstwiny. Znów poczuł strach, który towarzyszył mu w noc porwania przez Borowego. Na samą myśl, że zza któregoś z drzew mogłaby się wyłonić ludzka postać z rogami, miał gulę w gardle. Na szczęście po przejechaniu zakrętu zobaczył, że krzaki cofnęły się za drzewa. Malczewski odetchnął z ulgą, a potem zatopił wzrok w znajdującej się około sto metrów dalej ambonie. Dawniej często wspinał się tam z lornetką i obserwował przechadzające się w okolicy jelenie i sarny.

Parę razy zdarzyło mu się wypatrzeć wilka. Chwilę później spojrzął na stojącą po drugiej stronie drogi drewnianą chatę z powybijanymi oknami. Dawniej służyła za domek letniskowy sympatycznej rodziny z Gorzowa. „Najwyraźniej ich też coś spłoszyło”, pomyślał, po czym wcisnął gwałtownie pedał gazu. Nagle na drogę wybiegły trzy dorosłe dziki, były w odległości około dwudziestu metrów od auta. Na ich widok Sambor delikatnie uniósł kąciki ust. Dzika natura... Las... Szum drzew i śpiew ptaków... W głębi duszy kochał te mroczne, tajemnicze, ale i fascynujące rejony. I cieszył się, że tym razem przyroda wzięła górę nad człowiekiem.

Pięć minut później mercedes zatrzymał się przy wybrakowanym drewnianym płocie, za którym znajdował się niemal doszczętnie strawiony przez pożar dom. Widok ten sprawił, że Malczewskiemu momentalnie zapadły się płuca.

– Kurwa – zaklął cicho, wpatrując się w przygnębiający obrazek.

Dom... Miejsce, które wzbudzało w nim wiele uczuć, w którym spotkało go tyle zła. Ale wciąż dom...

Po opuszczeniu auta Sambor wyprostował się i położył obie dłonie na karku. Następnie przez trzy minuty przechadzał się wzdłuż płotu, obserwując z bezpiecznej odległości czarne ściany, powybijane okna i ogromną dziurę w dachu. Albert miał rację. Tego nie dało się uratować. Trzeba by usunąć rumowisko i postawić dom od nowa. Tylko czy był sens to robić? Sambor już dawno spisał ojcowiznę na straty i dla świętego spokoju zostawił ją Lili. A teraz, gdy jego siostra nie żyła, planował sprzedać działkę i zamknąć ten mroczny rozdział.

Po dotarciu do zardzewiałej furtki ujrzał przyczepioną do niej tablicę informującą o zakazie wstępu. Zignorował ją i popchnął skrzypiące, lodowate drzwi. Wciąż nie dowierzał, że znowu tu jest. Przypomniawsobnie swoją ostatnią wizytę w tym miejscu, dwadzieścia sześć lat temu. Przyjechał tu dzień przed wyprowadzką z Runowa i szybko tego pożałował. Miał nadzieję, że zapamięta dom pozytywnie: jako pełen szczęścia, uśmiechu i miłości. Niestety aktualny stan budynku idealnie

oddawał to, co stało się z jego rodziną. Obiema rodzinami. Pozostało po nich wielkie rumowisko i on: dwukrotnie złamany przez życie człowiek, który każdego dnia zmuszał się do tego, by wstać z łóżka.

- Chryste - westchnął po tym, jak zajrzał do wnętrza ruiny przez otwór będący pozostałością po oknie salonowym.

W pomieszczeniu wciąż znajdowało się kilka starych mebli: dwa regały i duży dębowy stół, a raczej to, co z niego pozostało. Sambor pamiętał, że matka zabraniała mu przy nim jeść. Nieustannie powtarzała, że mebel za dużo kosztował, by niechłujny Sambor miał go zabrudzić lub, co gorsza, porysować. Wyjątkiem były rodzinne uroczystości, podczas których Zyta Malczewska łaskawie pozwalała mu siadać ze wszystkimi. Mimo to na każdym kroku go upominała. Tak, jego matka była wprost przewrażliwiona na punkcie czystości. I pewnie w najśmielszych snach nie przypuszczała, że będący jej największą dumą stół kiedyś rozpadnie się na dwie części i pokryje gęstym osadem z sadzy.

Przytłoczony bolesnymi wspomnieniami Sambor ruszył ku furtce, ale zatrzymał się w połowie drogi. Oparł ręce na biodrach, zacisnął powieki i wziął kilka głębokich wdechów.

- Dasz radę, chłopie. Wytrzymałeś do tej pory, to wytrzymasz do końca - motywował się na głos. A potem otworzył oczy i udał się ku chacie, w której do niedawna zamieszkiwała jego siostra. Stawianie kroków przychodziło mu jednak z coraz większym wysiłkiem. Zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła przyczepiła mu do nóg obciążenia i dokładała kolejne. Nie zamierzał jednak odpuszczać. Zacisnął zęby i ruszył na spotkanie z przeszłością.

Gdy od zaklejonych policyjną taśmą drzwi dzieliło go raptem kilka metrów, zatrzymał się i objął wzrokiem nieduży, zaniedbany budynek. Zachodził w głowę, dlaczego inteligentna i przebojowa Lilia nie sprzedała działki i nie wybudowała się gdzieś indziej, choćby po drugiej stronie wsi. Gdyby tylko się z nim w tej sprawie skontaktowała, bez zastanowienia podpisałby wymagane dokumenty i zrzekł się

przysługującej mu połowy kwoty. A jeśli Lilia uznała, że prędzej przemęczy się na ojcowiznie, niż odnowi kontakt z bratem? Istniała też możliwość, że nie widziała szansy na jej sprzedaż. Sambor wcale by się nie dziwił, gdyby zrujnowany dom, w którym spłonęli ich rodzice, odstraszał potencjalnych kupców.

Po zerwaniu taśmy nacisnął miedzianą klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi ustąpiły od razu. Przekroczył ostrożnie wysoki próg i wszedł do wąskiego, przyciemnionego przedpokoju, w którym mimo upływu lat wciąż unosił się charakterystyczny zapach starości. Po śmierci pradziadka Malczewscy nie zmieniali niczego we wnętrzu. Ojciec Sambora rozważał wyburzenie budynku i postawienie w jego miejsce dużego garażu. Później wymyślił sobie, że go wyremontuje i przerobi na domek letniskowy, w którym będą mogli przyjmować gości.

- Ciekawe, kto się będzie nimi zajmował. Niech zgadnę: ja? Nie będziesz mi dokładał obowiązków. Już i tak ledwo panuję nad domem i waszą trójką - burzyła się Zyta Malczewska.

Ostatecznie jej sprzeciw przyniósł efekt i ojciec Sambora zdecydował się na garaż. Mijały jednak kolejne miesiące, a opuszczona chata wciąż zajmowała przestrzeń na posesji. Z czasem domownicy przestali poruszać ten temat. Stało się jasne, że budynek nie zniknie.

Patrząc na beżowe, niemalowane od lat ściany i popękana posadzkę, Sambor wydał z siebie ciche prychnięcie. Jak na ironię dom, o który jego rodzice tak dbali, zmienił się w ruinę. Malczewski stanął przed uchylonymi drzwiami do pokoju dziennego i zajrzał do środka.

- Co jest, kurwa? - westchnął na widok zagraconego najróżniejszymi przedmiotami wnętrza. Było ich tak wiele, że dosłownie nie mógł wykonać kolejnego kroku. Powiódł więc wzrokiem wzdłuż rzędu tekturowych pudeł i walających się wokół nich przedmiotów, między innymi plastikowych figurek, pluszowych misiów, srebrnych sztućców, a nawet popękanych zniczy i koralowych naszyjników. Z kolei na parapecie przy oknie stały trzy różnokolorowe fajki wodne. Na pierwszy rzut oka pokój przypominał odpustowy stragan, który przewrócił się

w wyniku wichury. Znajdowało się w nim dosłownie wszystko, a zarazem nic.

- Wierz mi, że gdy weszliśmy do środka, zastaliśmy jeszcze większy burdel - wyznał mu chwilę później przez telefon komisarz Popowski. Sambor zdecydował się zadzwonić do niego, aby zdać mu relację ze swojej wizyty w dawnym domu rodzinnym.

- Nic z tego nie rozumiem - odrzekł bezradnie Sambor, po czym zerknął na nieduże łóżko i leżącą na nim stertę ubrań. - Nie nazwałbym Lilii pedantką, ale pamiętam, że bardzo dbała o czystość w swoim pokoju. Zawsze zamykała go na klucz, by nikt nie wszedł do środka pod jej nieobecność i nie poprzestawiał jej rzeczy.

- Chciałem o tym z tobą porozmawiać podczas wspólnych oględzin, ale skoro już tam jesteś... Konsultowałem się w tej sprawie z naszym policyjnym psychologiem. Rzecz jasna, ciężko stwierdzić, co było w głowie osoby, z którą nigdy się nie rozmawiało, ale po obejrzeniu zdjęć psycholog zasugerował, że twoja siostra mogła cierpieć na syllogomanię.

- Co takiego?

- Patologiczne zbieractwo - sprecyzował Popowski.

Sambor przyłożył dłoń do żuchwy i ze zdumieniem rozejrzał się po wnętrzu.

- A myślałem, że dzisiaj już nic więcej mnie nie zaskoczy... Co jeszcze powiedział ten psycholog?

- Między innymi to, że syllogomania dotyczy często osób, które mają za sobą trudne dzieciństwo, a w późniejszym życiu doświadczyły jakiegoś traumatycznego przeżycia.

- Lilia nie miała trudnego dzieciństwa. Rodzice ją faworyzowali - zauważył Sambor.

- Wiesz, to jest bardzo subiektywne. Jak powiedziałem, ciężko jest zdiagnozować osobę, która nie żyje.

- Mhm - mruknął bez entuzjazmu Malczewski.

- Natomiast wiemy, że twoja siostra zmagala się z jakimiś problemami, które pchnęły ją ku zbieractwu – ciągnął komisarz.

- Z tego, co zdołałem się już dowiedzieć, „problemy” to jej drugie imię – odrzekł Sambor, po czym postanowił wspomnieć o tym, czego dowiedział się od Ireneusza Wierzbickiego. – To prawda, że Lilia uwodziła żonatyh mężczyzn? Podobno rozbierała się do naga nad jeziorem i kusila rybaków.

- Słyszałem to i owo od kolegi, który przez lata zajmował się sprawami dotyczącymi mieszkańców Runowa. Podobno często sływały do niego skargi na pańską siostrę, zwłaszcza od innych mieszkanki wsi.

- I nic z tym nie zrobiono? – dopytywał Malczewski.

- Nie, bo niby co? W momencie konfrontacji część kobiet wycofywała zarzuty. Wyglądało to tak, jakby próbowały się z jakiegoś powodu odegrać na pani Lili. Poza tym nie przyłapano jej na obnażaniu się w miejscu publicznym.

- Hm... Czyli sugeruje pan, że moja siostra padła ofiarą masowej nagonki? Ludzie zrobili z niej kozła ofiarnego?

- Ja niczego nie sugeruję – zaznaczył Popowski. – To, że mieszkańcy Runowa mieli z nią problem, jest pewne. Pytanie tylko: ile z jej rzekomych przewinień to prawda, a ile to wymysły złośliwców? No i przede wszystkim: czy sama postanowiła ze sobą skończyć, czy ktoś jej pomógł? Jeśli to drugie, to czeka nas masa przesłuchań. Wiele osób nienawidziło pańskiej siostry. Może ktoś nienawidził jej tak bardzo, że postanowił ją usunąć z tego świata.

- Może jednak Krynicki? – rzucił spontanicznie Sambor. Wcześniej odrzucał taką wersję wydarzeń, ale jego nagłe zniknięcie mniej więcej w tym samym czasie, w którym zginęła Lilia, nie mogło być przecież zbiegiem okoliczności.

- Porozmawiamy o tym jutro – odpowiedział Popowski.

Tymczasem Sambor przedarł się przez górę rupieci i zatrzymał przy dużej szafie, którą w dzieciństwie często wybierał na kryjówkę podczas zabawy w chowanego. Przestał, gdy któregoś razu pod nieobecność

pradziadka zatrzasnął się od środka i przez godzinę bezskutecznie wołał o pomoc.

- Muszę kończyć. Jutro z rana przyjadę do komendy.
- Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Po zakończonej rozmowie Sambor przyciągnął do siebie ledwo trzymające się w zawiasach drzwi i gwałtownie odskoczył do tyłu, gdy z wnętrza szafy runęła na niego góra bezużytecznych przedmiotów, głównie puszek po piwie, plastikowych butelek i doniczek po kwiatach. Wyglądało to tak, jakby Lilia przerobiła szafę na kontener na śmieci.

- Ja pierdziele! - syknął, przecierając dłonią mokrą plamę na spodniach, która powstała po zderzeniu z nieopróznioną puszką. Nie pojmował, dlaczego jego siostra zgotowała sobie taki los. Co do jednego miał pewność: musiał stąd jak najszybciej wyjść. Widok panującego w salonie bałaganu tylko nasilał jego wyrzuty sumienia, które dopadły go już w trakcie podróży do Gorzowa. Zrobił więc kilka dużych kroków i w pewnym momencie omal nie przewrócił się po zahaczeniu butem o nogę stojącego na środku pokoju krzesła.

Po wyjściu na zewnątrz zamknął oczy i przyłożył dłoń do czoła. W głowie znów zaczęły mu się kotłować przygnębiające myśli dotyczące podjętych w przeszłości decyzji. A jeśli popełnił błąd, opuszczając Lilię? Czy tragedia sprzed czterech lat była karą od losu za to, że pozostawił siostrę samą sobie? I czy gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak samo?

Nie chciał tu dłużej przebywać. Wprawdzie nie żałował przyjazdu, bo odczekanie kilku dni niczego by mu nie ułatwiło, ale to nie był już jego dom. Gdy śledztwo dobiegnie końca, wyburzy ruiny, wyrówna teren i sprzeda ziemię po atrakcyjnej cenie. Decyzja zapadła.

W drodze do samochodu zerknął ku rosnącej przy płocie jabłoni i znajdującemu się pod nią kilkupoziomowemu skalniakowi. Dawniej jego matka uwielbiała spędzać przy nim wiosenne popołudnia i nieustannie go upiększać. Pomyślał, że może to i dobrze, że tym razem przysłał go śnieg. Wolał nie wiedzieć, co z niego pozostało. Nie ludzi

się bowiem, że Lilia o niego dbała. Niby dlaczego miała to robić, skoro nie potrafiła nawet zadbać o siebie?

Będąc przy furtce, wzdrygnął się i ponownie zatopił wzrok w skalniaku.

- No jasne - powiedział do siebie, po czym ruszył ku niemu truchtem.

Że też już na wstępie nie sprawdził trójki-siódemki. Tak nazwał siódmy, ostatni kamień w trzecim, najwyższym rzędzie skalniaka. To właśnie pod nim Lilia ukrywała niewielkie pudełeczko z przedmiotami, które na pierwszy rzut oka nie miały większej wartości, ale z jakiegoś powodu były dla niej cenne: własnoręcznie wykonane bransoletki, kasety magnetofonowe czy zwinięte w rulonik kartki, na których zapisywała niezbyt udane wiersze. Sambor odkrył skrytkę w listopadzie dziewięćdziesiątego szóstego, cztery miesiące przed pożarem. Pewnego dnia podejrział siostrę krzątającą się przy skalniaku i podnoszącą z trudem kamień numer siedem. Przypuszczał, że miała kilka skrytek, a skalniak wybrała ze względu na porę roku. Wiosną pracująca przy nim matka mogłaby znaleźć pudełeczko. Poza rzeczami Lilii znajdowały się w nim listy Sambora do Judyty, które siostra podkraśla mu z pokoju. Chłopak postanowił ich nie zabierać. Wolał, by Lilia nie wiedziała, że ją zdemaskował. Wtedy jeszcze nie wiedział, że siostra wykorzysta te listy przeciwko niemu.

Malczewski poczuł przyspieszone bicie serca i rozchodzące się po ciele przyjemne ciepło. Znów był ambitnym, dociekliwym glina, który wpadał na nieoczywiste tropy i rozwiązywał skomplikowane zagadki. Wkrótce okrążył skalniak i nachylił się nad trójką-siódemką. Uniesienie przymarzniętego od dołu kamienia okazało się trudniejsze, niż zakładał.

- No dawaj! - krzyknął do siebie, a potem energicznie uniósł kamień i odrzucił na bok. Jego oczom ukazało się wciśnięte w zamarznąłą ziemię metalowe wieko kwadratowego pudełeczka. - Jesteś, maleństwo...

Minutę później opuścił teren ojcowizny i kroczył ku zaparkowanemu nieopodal mercedesowi, ściskając w dłoni znalezisko. Nie mógł się doczekać, aż wsiądzie do auta i sprawdzi zawartość pudełka.

- Walczący samotnie – usłyszał dobiegający zza pleców kobiecy głos. Obejrawszy się za siebie, spostrzegł kobietę opartą o maskę czerwonego seicento.

- Słucham? – spytał nieznajomą, która miała na sobie kremową kurtkę puchową i białą czapkę z pomponem.

- To właśnie znaczy twoje imię. Sambor. Walczący samotnie – powtórzyła kobieta, zmierzając ku niemu powoli z rękami opadającymi swobodnie wzdłuż tułowia. Malczewski schował pudełko do kieszeni kurtki, oparł ręce na biodrach i wpatrywał się w nią podejrzliwie.

- Przepraszam, ale kim właściwie pani jest?

- Nie poznajesz mnie – odpowiedziała, delikatnie się uśmiechając. – Może to ci pomoże. – Zdjęła energicznie czapkę, odsłaniając przed Samborem czarne niczym smoła i sięgające za uszy włosy. Wtedy ten uniół wysoko brwi i przełknął ślinę.

Przeszłość powróciła.

ROZDZIAŁ 12

– Wrona... Boże, nic się nie zmieniłaś.

– Chyba jednak tak, skoro mnie nie poznałeś – powiedziała pół żartem, pół serio Judyta Wrońska, przyjaciółka Sambora z dzieciństwa i jego pierwsza miłość.

– Wybacz. Wzrok już nie ten sam co kiedyś...

– Zawsze byłeś dobry w wymówki, Sami – prychnęła Judyta, którą Sambor ze względu na jej ciemne oczy i włosy od najmłodszych lat nazywał Wroną. Następnie założyła czapkę z powrotem na głowę i zbliżyła się do niego na odległość paru kroków. – Aleś urósł... Gdy cię ostatnio widziałam, byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu.

Malczewski spojrział z góry na niższą o ponad głowę kobietę i wstrzymał oddech. Przez pierwszych piętnaście lat jego życia Judyta była mu najbliższą osobą na świecie. Bliższą nawet niż Albert, który nie ukrywał z tego powodu zazdrości. Sambor przez długi czas podskórnie czuł, że jego przyjaźń z Czerskim nie przetrwałaby, gdyby nie nagła wyprowadzka Wrony latem dziewięćdziesiątego piątego. Tuż po zakończeniu roku szkolnego dziewczyna poinformowała go, że wyjeżdża z rodzicami do Wrocławia.

– Co? Nic nie mówiłaś... Kiedy jedziesz? – zapytał wtedy.

– Za tydzień.

– A kiedy wracasz?

Judyta spuściła głowę i odruchowo podrapała się po czubku nosa. Zawsze tak robiła, gdy w trakcie rozmowy czuła się niekomfortowo.

– Sami, ja chyba nie wracam. Tata na początku roku dostał dobre płatną pracę we Wrocławiu.

– Zaraz. Czyli wiesz o tym od dawna i nic mi nie powiedziałaś? – spytał z wymalowanym na twarzy zaskoczeniem piętnastolatek.

- Chciałam, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić... Poza tym myślałam, że może tata zmieni zdanie... No i dopiero tydzień temu podpisał umowę kupna mieszkania w bloku.

Sambor poczuł, jak zapadają mu się płuca.

- Czekaaś do ostatniej chwili...

- Sami, bałam się ci powiedzieć. - Judyta chwyciła go za rękę, ale ten szybko ją cofnął. - Przepraszam, no!

- Wal się, Wrona - wycedził chłopak, a potem uciekł, by nie zobaczyła, że do oczu napłynęły mu łzy.

Sambor długo nie mógł się pogodzić z tym, że przyjaciółka opuściła go niemalże z dnia na dzień. Wprawdzie później dostał od niej kilka listów i rozmawiał z nią przez telefon krótko po pogrzebie rodziców, ale to już nie było to samo. Gdyby chociaż dała mu kilka miesięcy na oswojenie się z tą nadchodzącą rewolucją, może lepiej by to zniósł... Nie tolerował bowiem zmian. Może i nie miał idealnego życia, ale przynajmniej dotychczas wiedział, czego się spodziewać. Owszem, bywały dni, że marzył tylko o tym, by wreszcie uwolnić się od toksycznej siostry i faworyzujących ją rodziców. Później jednak dopadała go refleksja, że zawsze mogło być gorzej. I choć nie zaznawał w domu zbyt wiele miłości, nie mógł powiedzieć, że oprócz tego czegoś mu brakowało.

- Wrona, ja... - urwał teraz, głęboko zaskoczony jej obecnością.

- Tak, wiem, ja też się cieszę, że cię widzę - dopowiedziała kobieta.

- Właściwie to chciałem powiedzieć, że jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewał. Co ty tu właściwie robisz? - spytał, ani na moment nie odrywając od niej wzroku. Wciąż miała piękną, symetryczną twarz, urocze dołeczki w policzkach, pełne usta i rozbijający uśmiech. Z jej oczu biła teraz dojrzałość. Im dłużej Sambor w nie patrzył, tym bardziej fascynowała go ich głębia. Judyta Wrońska z pewnością nie była już tą beztroską nastolatką, dla której stracił głowę. A mimo to wciąż emanowała znajomym ciepłem.

- Najpierw powiedz mi, skąd wytrzasnąłeś tę furę. - Judyta spojrzała wymownie na SUV-a, którego dach i maskę przykrywała cienka warstwa śniegu. - Znam się na autach i wiem, że musiałeś się sporo wykosztować. Powodzi się, co?

- Powiedzmy - rzucił zachowawczo Sambor, po czym zerknął ku czerwonemu seicento i dodał: - To chyba ja powinienem cię spytać o twoje cacko...

- Co, nie podoba ci się?

- Powiedzmy, że jest dość... nietypowe.

- Nawet nie próbuj się z niego śmiać. - Pogroziła mu palcem Judyta. - Kiedyś wszyscy nabijali się z malucha, a dziś zachwyca się nim sam Tom Hanks. A tak na serio, to mąż każe mi nim jeździć za karę. Mógłby bez problemu dorzucić mi się do czegoś porządnego, ale nigdy nie wspierał moich zawodowych ambicji. Dla niego byłoby najlepiej, gdybym siedziała w domu i była na każde jego zawołanie. Zresztą szkoda gadać... Ma na imię Józek.

- Twój mąż?

- Nie, auto. Zainspirowałam się tobą.

- Eee... w sensie?

- No, pamiętam, jak w podstawówce miałeś fioła na punkcie nazywania rzeczy. Leon? Tak nazywał się rosnący przed szkołą kasztanowiec?

- Nie pamiętam - skłamał Sambor.

- A twoja fura?

- Nie ma imienia.

- A miałam nadzieję, że się nie zmieniłeś - powiedziała z teatralnym zawodem w głosie Judyta.

- Powiesz mi wreszcie, co tu robisz? - spytał ponownie Malczewski.

- Śledziłam cię.

- Śledziłaś... Zawsze to w tobie lubiłem. Walisz prosto z mostu. No, może z jednym wyjątkiem - mówiąc to, nawiązywał do historii

z wyprowadzką.

Judyta szybko pojęła, co miał na myśli.

- Nie okłamywałam cię wtedy. Po prostu nie mówiłam ci wszystkiego.

- Zatajanie prawdy też jest kłamstwem - stwierdził Sambor, na co przyjaciółka odpowiedziała chichotem.

- Mogłam się spodziewać, że nasze pierwsze spotkanie po prawie trzydziestu latach będzie powrotem do tego, na czym skończyliśmy.

- Trudno, żeby było inaczej - rzekł sucho Malczewski.

Judyta miała świadomość, że jej wyprowadzka była dla przyjaciela dużym ciosem. Tak dużym, że zapewne długo nie mógł się z tym pogodzić. Mimo to zakładała, że czas skutecznie zagoił rany. Byli już przecież dorosłymi ludźmi. Nikt normalny w ich wieku nie rozpamiętuje nastoletnich konfliktów. Pokerowa mina Sambora sugerowała jednak co innego. Judyta zapamiętała, że za wszelką cenę unikał okazywania przed innymi słabości. Prędzej pozwoliłby na to, by gniew i rozpacz wyzarły go od środka, niż uronił przed kimś łzę.

- Bert mi powiedział, że tu jesteś - wyjawiała po kilku sekundach niezręcznej ciszy.

- Bert? Nie wspominał, że macie ze sobą kontakt...

- To nie tak. Odezwałam się do niego po tym, jak usłyszałam o ciebie w Duszynie i ktoś powiedział mi, że to może być twoja siostra. Spytałam go, czy dalej się przyjaźnicie...

- To dość skomplikowane - wszedł jej w słowo Malczewski.

- Tak, Bert wspominał, że rok po... - urwała, zerkając wymownie w stronę rumowiska. - Próbowałam cię później odnaleźć, ale...

- To teraz nieistotne - powiedział wyraźnie zakłopotany Sambor.

- Fakt. - Judyta spuściła głowę, jakby i ona poczuła się niezręcznie. Po chwili dodała: - Przyznaję, byłam ciekawa, czy przyjedziesz. Poprosiłam więc Berta, by mnie o wszystkim na bieżąco informował i na razie nie wspominał o tym, że badam tę sprawę.

Malczewski zmrużył oczy.

– Jak to badasz? Jesteś jakąś policjantką czy co?

– Nie no, skąd. Jeszcze czego...

– Wiesz, akurat bić to ty się umiesz.

Judyta, której ojciec był utytułowanym bokserem, od najmłodszych lat trenowała pod jego okiem. W efekcie mimo niskiego wzrostu była silniejsza od wszystkich chłopców w szkole. W podstawówce obroniła Sambora przed Arturem Krynickim i innymi szkolnymi oprawcami, którzy wraz z początkiem roku obrali go sobie za cel. Dzięki jej interwencji już nikt nigdy go nie uderzył. Sambor jednak długo jeszcze mierzył się z docinkami Artura i sugestiami, że musiał się wyręczyć dziewczyną, bo sam nie miał jaj, by się obronić. Chłopak nigdy nie miał o to żalu do przyjaciółki. Wręcz przeciwnie. Czuł, że wsparcie i silny charakter Judyty pchały go do przodu.

– Poprawka: umiałam. Od dawna nie trenuję.

– Swego czasu śledziłem twoje poczynania. Wicemistrzyni Polski w boksie. No, no – powiedział z niekrytym podziwem.

– Naprawdę interesowałaś się moją karierą? To miłe – odparła zdumiona Judyta. – Szkoda tylko, że długo się tym nie nacieszyłam. Kontuzja szybko sprowadziła mnie na ziemię.

– Czasem tak bywa. Przykro mi – rzucił Sambor. – Ale muszę ci powiedzieć, że byłaś naprawdę dobra. Wręcz zajebista.

Judyta wyprostowała się i delikatnie uśmiechnęła.

– Jakbym tego nie wiedziała. – Po tych słowach zrobiła pauzę, po której dodała: – Po przejściu na sportową emeryturę zrobiłam studia dziennikarskie i dostałam pracę w „Dzienniku Gorzowskim”. Później przesłam do portalu Gorzów Non Stop, a od pięciu lat prowadzę też kanał na YouTube...

– No nieźle... To mnie zaskoczyłaś. A co to za kanał?

– *Wrona na tropie.*

Sambor zdusił śmiech.

- Użyłaś ksywki, którą dla ciebie wymyśliłem? Powinienem zażądać tantiem...

Judyta otworzyła szeroko usta i przyłożyła dłoń do klatki piersiowej.

- Proszę cię, nie słyszałeś o *Wronie na tropie*? - spytała z teatralnym oburzeniem. - Mam prawie dwieście pięćdziesiąt tysięcy obserwujących! To jakieś dwa razy tyle, ile wynosi liczba mieszkańców Gorzowa.

- Niesamowite, gratuluje - odrzekł lekko ironicznym tonem Sambor. - Czyli rozumiem, że tropisz niebezpiecznych morderców?

- Niezupełnie. Raczej opowiadam o tajemniczych sprawach z przeszłości.

- To w takim razie co tu robisz? Ledwo zdążyłem zidentyfikować zwłoki. - Po tych słowach z twarzy Malczewskiego zniknęła radość wywołana przyjemną rozmową.

- Mhm. Bert mi powiedział. Moje kondolencje, Sami. Nie przepadałam za Lilią, no ale jednak to twoja siostra...

- Taaa, dzięki - mruknął jeszcze bardziej przygnębiony Malczewski.

- To jak, chcesz od teraz pomagać w śledztwie? Co właściwie zamierzasz?

- Będę szczerą...

- Zawsze jesteś szczerą - przerwał jej Sambor. - Prawie zawsze.

- Ty za to nadal uwielbiasz mnie łapać za słówka - zaśmiała się, a po chwili wyznała: - Ta sprawa nie nadaje się na mój kanał. Zainteresowałam się nią tylko ze względu na ciebie.

- Ale... dlaczego?

Judyta wzruszyła ramionami.

- Gdy o tym usłyszałam, przypomniałam sobie dawne czasy. - Zrobiła pauzę i przygryzła dolną wargę. Następnie stanęła bokiem do Malczewskiego i głośno westchnęła. - Wiesz, że milion razy wyobrażałam sobie tę rozmowę i zastanawiałam się, co ci powiem? A teraz, gdy wreszcie mam okazję, brakuje mi słów. Noż kurwa mać...

– Kurwa mać. To chyba najlepiej podsumowuje całą tę sytuację. – Sambor momentalnie się ożywił i lekko szturchnął rozmówczynię pięścią w ramię. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że naruszył jej prywatną przestrzeń. – Sorry. Ja... To był odruch...

– Zawsze prawe ramię – skomentowała rozbawiona Judyta.

– Hę?

– No zawsze, gdy mnie szturchałeś, robiłeś to w prawe ramię. Naprawdę tego nie zauważyłeś?

Sambor zmarszczył brwi.

– Yyy... Kto się zastanawia nad takimi rzeczami?

– Chociażby ja? Zawsze lubiłam obserwować ludzi. Zwłaszcza ciebie, bo jesteś skarbnicą dziwacznych nawyków.

– Jeśli masz na myśli niedopijanie wody z butelki, to lepiej sobie daruj.

– Nadal to robisz? Urocze. – Judyta zasłoniła usta dłonią i zachichotała. – A czy ktoś ci zwrócił uwagę na to, że gdy z kimś idziesz, to musisz iść po jego prawej stronie?

– Bzdura.

– Czyżby? Zawsze mnie to bawiło, gdy podczas naszych spacerów próbowałeś dyskretnie zmienić stronę.

– Mogłaś mi powiedzieć – odrzekł skwaszony Sambor.

– A po co? Lubiałam to w tobie i nie chciałam cię zmieniać.

Malczewski przeniósł wzrok na ruinę domu.

– Nie obraż się, ale chcę już stąd jechać. Źle się tu czuję.

– Tak, jasne. Przepraszam, że cię przytrzymałam.

– Nie szkodzi. Miło cię było zobaczyć.

Zapanowała kilkusekundowa cisza, którą przełamała Judyta:

– To cześć.

– No cześć.

– Sami, a czy nie masz nic przeciwko, jeśli będę się odzywać do Berta w sprawie śledztwa? Przysięgam, że nie robię tego dla materiału

na kanał.

Malczewski wzruszył ramionami i odparł:

- Mogę ci podać mój numer, jeśli chcesz. Będzie szybciej.
- Hm... Jakoś nie miałam śmiałości o to prosić. Jesteś pewien?
- Wyciągaj telefon i zapisuj.

Po wymianie numerów Judyta pożegnała się z Samborem oficjalnym uściskiem dłoni.

- W takim razie do zobaczenia... kiedyś tam.
- Tak... Do zobaczenia.

Przez kolejne sekundy Malczewski przyglądał się kroczącej ku wtapiającemu się w śnieżną aurę samochodowi.

- Wrona! - zawołał, zanim kobieta otworzyła drzwi. Ta natychmiast spojrzała w jego stronę, jakby tylko na to czekała.

- No?

- Jadę teraz do Berta na żarcie i pogawędki. Nie masz ochoty na tłustego steka?

- Jeszcze pytasz? Nie masz, kurwa, pojęcia, jak mi burczy w brzuchu!

- Oj mam... Cały las słyszy tę orkiestrę.

Judyta spiorunowała rozmówcę wzrokiem.

- A jednak wciąż drzemie w tobie stary, dobry Sami...

ROZDZIAŁ 13

Przez całą drogę do Alberta Sambor zerkał w lusterko na jadące za nim seicento. Wciąż nie mógł uwierzyć, że drogi jego i Judyty ponownie się skrzyżowały. I zdumiewało go, że mimo upływu blisko trzydziestu lat poczuł się tak, jakby nie widzieli się co najwyżej miesiąc.

- Wrona... - powiedział do niej chwilę później przez telefon. Rozmawiał z nią na głosnomówiącym, odkąd wyjechali z ojcowizny.

- No co?

- To chyba najbardziej popierdzielony dzień w moim życiu. Serio. A konkurencja jest duża.

- Powiedziałeś to w taki sposób, że nie wiem, czy się cieszyć, czy obrazić.

- Wiesz, o co mi chodzi... Najpierw zidentyfikowałem ciało siostry, z którą dłużej nie rozmawiałem, niż rozmawiałem... A teraz ty...

- Właśnie, ja. Popierdzielone, co?

- Teraz to ty łapiesz mnie za słówka - zwrócił jej uwagę, a następnie doprecyzował: - Przyszaj, że ta sytuacja jest dość... surrealistyczna.

- Mało powiedziane - prychnęła do telefonu Judyta. - Aczkolwiek tę scenę też wyobrażałam sobie miliony razy przed snem.

- Aż boję się spytać, co jeszcze sobie wyobrażałaś - zażartował Sambor.

- Akurat tego nie musiałam, bo wszystko pamiętam - odparła zalotnie jego rozmówczyni. - Hej, tylko żartuję - dodała, gdy po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Spoko, ja też. Żartuję i pamiętam.

- Oż ty. Gdybym siedziała obok, tobym cię szturchnęła.

- W prawe ramię?

- Akurat mi to obojętne.

Po wyjeździe na główną drogę Sambor spytał znajomą o jej losy po ich rozłące, tak jakby dopiero teraz, gdy nie rozmawiali już w cztery oczy, tylko byli jednocześnie tak blisko siebie i tak daleko, nabrał odwagi, by poruszyć ten temat.

– Cóż, przede wszystkim zmieniłam nazwisko.

– A tak się zarzekałaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż – odrzekł Malczewski, a następnie powrócił wspomnieniami do romantycznego wieczoru nad jeziorem, podczas którego oświadczył się dziewczynie pierścieniem zakupionym w spożywczaku wraz z dołączoną do niego gumą do żucia.

– Wstawaj, głupku! – zawołała wtedy głośno Judyta i zaśmiała się, a Sambor odpowiedział tym samym. Nie chciał pokazywać jej, jak bardzo był zawiedziony, że dziewczyna nie potraktowała jego miłosnego wyznania poważnie.

– Wiesz, długo trzymałam się swojego postanowienia. I nie chodziło wcale o to, że nie chciałam mieć dzieci. Zwyczajnie łudziłam się, że najlepsze w karierze bokerskiej przede mną. Kornela poznałam, gdy miałam dwadzieścia dwa lata. Trenował amatersko w tym samym klubie i kiedyś zaczepił mnie przed wejściem, by podpytać o parę wskazówek.

– Chyba raczej poderwać – odezwał się Sambor.

– Jeszcze tego samego wieczora poszliśmy na randkę. Co najlepsze, nazajutrz wyjeżdżałam na dwutygodniowe zgrupowanie. Kornel powiedział, że skoro czekał tak długo, by mi powiedzieć, że mu się podobam, to może jeszcze trochę poczekać na drugą randkę.

– Romantyk.

Po drugiej stronie zapanowała kilkusekundowa cisza.

– Wysłałam za niego, gdy miałam trzydzieści lat.

– Długo kazałaś mu na siebie czekać – zauważył Sambor.

– Całe nasze małżeństwo to jedno wielkie czekanie. Najpierw on czekał na mnie, a teraz ja czekam, aż przestanie być takim... Wybacz,

nie wiem, po co ci to mówię. Masz teraz ważniejsze rzeczy na głowie niż problemy sfrustrowanej żony i matki w średnim wieku.

Na dźwięk słowa „matka” Sambor poczuł lekkie ukłucie w sercu.

– Masz dzieci?

– Syna. Ma na imię Cyprian i jest powodem, dla którego zgodziłam się na ślub. Zwyczajnie uległam naciskom rodziców, którzy powtarzali, że dziecko musi mieć normalną rodzinę. – Po krótkiej pauzie Judyta dodała: – Ostatnimi czasy nie wiem, jak mam rozmawiać z Cyprianem. Przestałam go chyba rozumieć. Nie jest już tym samym słodkim chłopaczkiem, który wieczorem przychodził do mnie do łóżka i prosił, bym go uśpiła.

– Czas dla nikogo nie stoi w miejscu.

– Niestety... Znowu marudzę.

– Nie zaprzeczę.

Chwilę później przejechali obok dwupiętrowego, podłużnego budynku niedziałającej szkoły. Sambor uśmiechnął się pod nosem na widok kasztanowca Leona, którego najwyższe gałęzie sięgały znacznie ponad stary blaszany dach.

– Czyli jak masz teraz na nazwisko? – spytał nieśmiało Judytę.

– Surma. Mój mąż to starosta gorzowski – wyjawiała.

– No, no... Ładnie się ustawiłaś – zażartował Malczewski.

– Daj spokój. Kornel nie zaszedłby tak daleko, gdyby nie moje wsparcie. Jak to mówią: za każdym sukcesem mężczyzny stoi jego kobieta. Zresztą nie rozmawiajmy już o nim, bo coraz bardziej się nakręcam.

– I tak już dojeżdżamy.

Sto metrów dalej Sambor skręcił w prawo i wjechał na ulicę, przy której mieszkał Albert. Zanim zatrzymał się przed jego domem, minął jadące w przeciwnym kierunku czarne bmw. Domyślił się, że należało albo do Karola Węgrzyna, albo do któregoś z gości.

- Jesteś wreszcie – powiedział pół minuty później Czernski, który kroczył ku furgonce ubrany jedynie w dresowe spodnie i cienki niebieski sweter. Następnie spojrzął ku zaparkowanemu nieco dalej czerwonemu seicento, z którego wysiadła Judyta.

- Zaprosiłem Wronę na wspólne jedzenie i uzalanie się nad życiem. Chyba nie masz nic przeciwko?

- Jasne, że nie. Sam jestem ciekawy, co tam u niej słychać. Jak leci, Wrona? – zwrócił się do kroczącej w ich stronę brunetki.

- Chciałabym powiedzieć, że po staremu, ale jest jak jest.

- Ciekawe auto. Zawsze miałaś dyskusyjny gust.

- A ty zawsze musiałaś się do czegoś dopierdolić – odparła, zanim przywitała się z Czernskim szybkim uściskiem. Sambor natychmiast odnotował, że jemu podała jedynie dłoń. – Dobrze wyglądasz, Bert. Pasuje ci ten zarost.

- Dzięki. Tobie też.

Judyta zrobiła duże oczy i przyłożyła dłoń do górnej wargi.

- Wara od mojego wąsika! – Posłała mu groźne spojrzenie, po którym oboje zachichotali. – Znów razem. Kto by pomyślał...

- Wypada chyba rzec: dzięki ci, Lilio – ironizował Malczewski. Domyślał się, że jego towarzysze myśleli podobnie, ale nie mieli odwagi powiedzieć tego na głos.

- Osoba, która kiedyś chciała nas rozdzielić, teraz nas połączyła – podsumował ośmielony komentarzem przyjaciela Albert. – Chodźmy do środka. Zaraz tu zamrznę.

*

Kwadrans później Sambor miał już za sobą przywitanie z żoną i córką przyjaciela. Zdążył też już zjeść pierwszy kawałek steka.

- Cieszę się, że ci smakuje – powiedział Albert.

Po skończonym posiłku Malczewski usiadł na kanapie obok sześćioletniej Jagody i opowiedział jej o tym, jak zaczęła się przyjaźń

jego i jej taty. Im dłużej patrzył na roześmianą dziewczynkę, tym bardziej dostrzegał w niej swoją Milenkę, chociaż wyglądem Jagoda różniła się bardzo od jego córki. Była niższa, bardziej pyzata i miała dużo jaśniejsze włosy. Sambor od pewnego czasu widział jednak Milenkę w każdym napotkanym dziecku. I tylko on wiedział, ile sił kosztowało go zachowanie w takich chwilach spokoju.

Po skończonej opowieści mężczyzna poprosił Alberta o rozmowę na osobności.

- Co jest? - spytał go przyjaciel po tym, jak przeszli do kuchni.

- Słuchaj, znalazłem coś - odrzekł Malczewski, po czym wyjął z kieszeni niewielkie pudełko i opowiedział przyjacielowi o skrytce Lilii w skalniaku. - Uznałem, że będzie lepiej, jeśli otworzę je przy tobie. Sam nie wiem, jakoś nie miałem odwagi zrobić tego na miejscu...

- Dlaczego? Boisz się tego, co tam znajdziesz?

Sambor skinął lekko głową.

- Tam może być wszystko, Bert.

- Albo nic. Przecież równie dobrze Lilia mogła po tylu latach zapomnieć o tej skrytce - zasugerował Czerski i dodał: - Nie dowiemy się, póki nie zajrzemy do środka.

- Przeszkadzam? - przerwała im Judyta, która niespodziewanie zjawiała się w progu. - Jagódce chyba coś zaszkodziło, bo położyła się na plecach i zaczęła masować po brzuchu.

- Zaraz do niej pójde. Pewnie znowu ukrywa przed nami batoniki. Tyle razy ją prosiłem, by unikała słodkiego. - Czerski pokręcił głową z niezadowoleniem.

Tymczasem Judyta zatopiła wzrok w metalowym pudełku.

- A co to jest?

- Zawsze byłaś ciekawska i wtykałaś nos w nie swoje sprawy - wypowiedział jej Sambor.

- Najwidoczniej od małego była mi pisana praca dziennikarki - odrzekła z satysfakcją Judyta, a następnie zrobiła dwa kroki do przodu

i spytała: – Chyba nie wygonicie mnie z kuchni po tym, jak rozbudziliście mój apetyt?

Sambor i Albert spojrzeli po sobie.

– Okej, zostań – odrzekł Malczewski, zanim zdjął mocno przylegające do spodu pudełka wieko. Ku jego zaskoczeniu w środku znajdował się jedynie foliowy woreczek z wciśniętym do środka skrawkiem papieru.

– Co tam jest napisane? – dopytywał zaintrygowany Albert.

Sambor odłożył pudełko na stół, a potem ostrożnie wyjął papieraek z woreczka. Wszędzie rozpoznałby pismo swojej siostry. Nikt bowiem w tak charakterystyczny sposób nie podkreślał wąsów w literkach.

– To wiersz. Lilia lubiła je pisać, choć kiepsko jej to wychodziło. – Zanim podyktował im jego treść, przeczytał go w ciszy. – Dziwne... To brzmi jak przestroga.

– Czytaj, Samek – ponaglał go Albert.

Malczewski przełknął ślinę i przeczytał na głos:

– „Gdzie śmierci z drzew wypływa sok, zemsta po chytrych wyciągnie dłoń. Wycofaj się, póki masz czas. Zostań, a wchłonie cię las”.

– Cóż, nie każdy musi mieć zadatki na drugą Szymborską. – Judyta kaśliwie podsumowała tekst.

– Domyślasz się, o co może jej chodzić? – zwrócił się do przyjaciela Albert. – „Gdzie śmierci z drzew wypływa sok”? Sok śmierci... Chodzi o żywicę?

Sambor wzruszył lekko ramionami.

– Nie sądzę. Żywica zabezpiecza przecież rany drzew. A co sądzicie o tym? – Pokazał towarzyszom narysowane pod tekstem dwie podłużne linie. – To jakiś symbol.

– Szczerze? Wygląda jak płuca lub nerki. Ale bardziej płuca – stwierdził Albert. – Może Lilia w ten sposób podpisywała swoje, ekhm, dzieła?

- Mnie to raczej wygląda na odcisk łapy sarny lub jelenia - powiedział Malczewski. Wtedy Lilia stanęła tuż za nim i spojrzała mu przez ramię na skrawek.

- To Studzy Lasu - rzuciła z przekonaniem w głosie. - Ciekawe... Już dawno nic o nich nie słyszałam.

- Kto? - spytał Sambor.

- Ciężko powiedzieć, bo zaskakująco mało o nich wiadomo. Najprawdopodobniej jest to grupa lokalnych aktywistów środowiskowych, którzy postawili sobie za cel ochronę Puszczy Gorzowskiej. Zajmowałam się ich tematem przez parę lat, w czasie, gdy było o nich najgłośniejsze, a każdy artykuł na ich temat w Gorzów Non Stop zbierał sporo wyświetleń. To za sprawą Sług Lasu upadł plan wycięcia dużych połączy lasów na obszarach niechronionych pod budowę nowoczesnych hoteli. Najgłośniejsze było o hotelu Globcomfort. Zablokowali też budowę drogi przecinającej spory obszar parku krajobrazowego i nagłośnili przekręty w sejmiku województwa, doprowadzając do wielu dymisji.

- Mam rozumieć, że to jest ich symbol? - spytał Sambor, wskazując palcem linie.

- Tak. Pamiętam akcję z bodajże dwa tysiące osiemnastego, gdy porozrzucali nocą tysiące ulotek po całej Kłodawie. Najwięcej leżało na placu handlowym. Oskarżali w nich ówczesnego sołtysa o łapówkarstwo i układanie się z prezesem Sterpharmu.

- Czego?

- Dużej firmy chemicznej, która miała zakopywać w ziemi tysiące ton chemicznych odpadów - wyjaśniła Wrona.

- Mieli rację? - dopytywał Malczewski.

- Mieli, mieli. Mało tego, sołtys za odpowiednim wynagrodzeniem użyczył Sterpharmowi kilka wielkich magazynów, z których jeden mieścił się jakieś sto metrów od szkoły. Dzieciaki przez prawie rok funkcjonowały w sąsiedztwie chuj wie ilu ton potwornie toksycznych chemikaliów. Wyobrażasz to sobie?

W odpowiedzi Sambor posłał pytające spojrzenie milczącemu Albertowi.

– Słyszałeś o tym?

Czerski wzruszył lekko ramionami.

– Może i coś tam obito mi się o uszy...

– Obito o uszy? Przecież to twoje rejony – zauważył Malczewski.

– I co z tego? Myślisz, że miałem czas, by codziennie przeglądać internet i zawracać sobie głowę jakimiś aktywistami? Zanim w zeszłym roku przeszedłem na swoje, zapierdziałałem od rana do nocy. Akurat ty powinieneś wiedzieć, jak to jest...

Sambor przełknął ślinę na wspomnienie wszystkich kłótni z Karoliną. Z tyłu głowy pobrzmiwał mu rozpaczliwy krzyk żony, która odgrażała się, że jeśli czegoś nie zmieni, to będzie zmuszona od niego odejść. Gdyby tylko wtedy wziął sobie jej słowa do serca...

Widząc podrygujący lekko prawy kącik ust Sambora, Judyta postanowiła rozładować napięcie, wracając do głównego tematu:

– Generalnie wszyscy ekscytowali się tym, że mimo rozgłosu i natężonych działań policji Słudzy Lasu pozostawali nieuchwytni. Do dziś nie wiadomo, kim tak naprawdę są.

– Jak to w ogóle możliwe? – spytał zdziwiony Malczewski, na co Wrona rozłożyła ręce.

– Nie namierzono ani jednego Sługi. Nie wiadomo nawet, ilu członków liczy ich stowarzyszenie, czy też sekta... – Widząc uniesione brwi dawnego przyjaciela, wyjaśniła: – Niektóre media i środowiska forsują teorię, jakoby Słudzy Lasu byli członkami tajemnej sekty czcicieli lokalnych leśnych bóstw. Ja jednak od początku miałam wątpliwości, dlatego nigdy się o nich w ten sposób nie wyrażałam.

– Czcciele leśnych bóstw? Opis jak nic pasuje do Lilii – odezwał się Albert, po czym zwrócił się do Sambora: – Do ciebie zresztą też.

– Coś sugerujesz? – Malczewski spojrział na niego krzywo. Następnie przeniósł wzrok na Judytę i spytał: – Co jeszcze o nich wiesz? Mów

wszystko, co może nam się przydać.

- Podesłałam ci artykuły, które napisałam. Podaj tylko maila - zaproponowała Wrona.

- A skąd się w ogóle wzięły podejrzenia, że Słudzy Lasu mogą być sektą?

- Zaczęło się od słów biskupa diecezji zielonogórsko-gorzowskiej, który na początku dwa tysiące osiemnastego oskarżył Sług o zdewastowanie zabytkowego kościoła w Rychnowie. Ktoś namalował sprayem na drzwiach ich symbol, a na ścianie hasło „KOPCIŃSKI MORDERCA PRZYRODY”. Kopciński to ówczesny proboszcz, który, jak się potem okazało, chciał sprzedać część należącego do parafii zalesionego terenu jakiemuś prywatnemu inwestorowi. Ten planował wyciąć wszystkie drzewa i wybudować tam osiedle domów jednorodzinnych.

- Wszędzie te machlojki - mruknął drapiący się po zarośniętym policzku Albert.

- Hm... A wiesz, kiedy odnotowano pierwszą aktywność Sług Lasu?

- dopytywał Sambor.

- Ciężko powiedzieć. Z moich informacji wynika, że już w dwa tysiące dwunastym dokonali kilku sabotaży.

- Na pewno nie działali wcześniej? Pamiętam, że teren nieopodal ojcowizny miał być przerobiony na osiedle. Tymczasem po latach wróciłem do miejsca, które jest teraz jeszcze dziksze, niż było wtedy, gdy je opuszczałem.

- Nie przypominam sobie, by udzielali się w Runowie, ale to ciekawe, co mówisz... Zawsze możemy wypytać o to w Urzędzie Gminy. Sołtys też powinien coś wiedzieć...

- Wystarczy stanąć przed kościołem i zaczepić pierwszą lepszą dewotkę - powiedział pół żartem, pół serio Albert.

Tymczasem Sambor powrócił do tematu konfliktu z kościołem:

- Co się działo po akcji w Rychnowie?

- Jakiej akcji? - spytała nagle stojąca w progu Gosia, żona Alberta. - Nie chciałam podsłuchiwać. Przyszłam tylko, by wam zaproponować ciasto...

- Co wiesz o Sługach Lasu? - zwrócił się do niej Malczewski.

Czerska dotknęła palcem wskazującym podbródka i przeniosła wzrok na sufit.

- Hm... Chodzi ci o tych wariatów, którzy zostawiali graffiti na kościołach ze swoim logo albo rozrzucali wszędzie ulotki i naklejali plakaty? Swego czasu, gdy jeszcze pracowałam w pralni w Kłodawie, nie można się było od nich opędzić. Ulotki były chyba wysmarowane jakimś klejem, bo ciągle przyczepiały się ludziom do butów.

- „Wariatów” to słowo klucz - powiedziała Judyta, a następnie wyjawiała Samborowi: - Przez kolejne miesiące Słudzy często ścierali się z kościołem, prowadząc nagonkę na księży. Gdy okazało się, że prawie wszystkie ich oskarżenia były wyssane z palca, coraz więcej internautów zaczęło ich traktować z przymrużeniem oka. W pewnym momencie ich działania przestały robić na kimkolwiek wrażenie.

- Nic dziwnego. Banda oszołomów, która robiła więcej szkód niż pożytku - podsumowała Gosia i ruszyła ku lodówce. - To co, może spróbujecie sernika z białą czekoladą?

- Nawet nie próbujcie jej odmówić - wyszeptał do towarzyszy Albert. - To jej popisowe danie. Zjedzcie posłusznie i wychwalajcie pod niebiosami.

Po wepchniętych w siebie siłą trzech kawałkach sernika Sambor zaproponował Wronie i Czerskiemu spacer przy domu.

- Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. A później pojedziemy do kościoła.

- A od kiedy ty taki religijny? - zdziwił się Albert.

- Nie jedziemy tam, by się modlić - wyjawiał Malczewski.

- W takim razie po co? - odezwała się Judyta.

- Wszystko wam wyjaśnię, ale na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 14

Po wyjściu przed dom Sambor zwrócił się do przyjaciela:

– Pamiętasz, jak jakieś pięć lat temu opowiadałeś mi o konflikcie proboszcza z Lilią? Wspominałeś, że próbowała zdewastować zakrystię...

– Nie próbowała, tylko zdewastowała. Oblała podłogę, ściany i meble czarną farbą – odpowiedział Albert.

– Nigdy mi nie wyjawiałeś, dlaczego w ogóle to zrobiła...

– Bo wtedy nie wiedziałem. Ludzie, jak to ludzie, mówili różne rzeczy. A później zabroniłeś mi w ogóle o niej wspominać...

– To znaczy, że znasz motyw Lilii? – spytał Malczewski.

– Podobno miała romans z wikarym i postanowiła się na nim zemścić, gdy ten odmówił wspólnej ucieczki za granicę, ale czy rzeczywiście tak było...? – Czerski wzruszył ramionami.

– Czy ten ksiądz wciąż tu służy?

– Nie, przenieśli go do innej parafii krótko po incydencie w zakrystii. Proboszcz liczył, że w ten sposób wyciszy plotki, ale tylko je podsycił.

– A przy okazji pewnie jeszcze bardziej nastawił ludzi przeciwko mojej siostrze – mruknął Sambor.

– Wierz mi, że nie trzeba ich było bardziej nastawiać – rzucił Albert.

– A proboszcz? Nadal tu jest?

– No raczej. Czcigodny Teodor Guzdecki. Ludzie traktują go tu niczym bóstwo i przymykają oko na jego znajomość z Węgrzynem. Tymczasem od Olka Konstantego wiem, że kierowca Węgrzyna w każdy weekend zgarnia proboszcza spod plebanii i zawozi go do jego willi. Ponoć urządzają sobie turnieje pokera i dzikie orgie do białego rana.

– A jednak plotkarstwo w Runowie to nie tylko domena dewotek... – Sambor nawiązał kąśliwie do wcześniejszej wypowiedzi przyjaciela.

- Akurat w to jestem w stanie uwierzyć bardziej niż w romans Lili z wikarym. Nie twierdę, że twoja siostra była święta, ale zawsze uważałem, że atakowanie jej było po prostu niektórym na rękę.

- Dzięki, Bert.

Tymczasem Judyta przysłuchiwała się ich rozmowie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

- Myślisz, że Lilia należała do Sług? - spytała w pewnym momencie Sambora.

- Bardzo możliwe. Wszyscy tutaj wiemy, że była zafascynowana lasem i robiła w nim dziwne rzeczy. Najpierw jednak porozmawiajmy z proboszczem. Jeśli zaprzeczy, że Lilia miała romans z wikarym, będziemy drążyć dalej.

Chwilę później na ganku zjawiała się Jagoda.

- Tato, miałeś ze mną pograć w monopoly!

- Dobrze, już idę - powiedział do córki Albert, a następnie zwrócił się do towarzyszy: - Jedźcie sami. Obowiązki rodzicielskie wzywają.

- To co, zbieramy się? - odezwał się Sambor tuż po tym, jak Czerski zniknął za drzwiami.

- Tak, ale pod jednym warunkiem.

Malczewski zmrużył oczy.

- Hm?

- Jedziemy twoim mercem i ja prowadzę. Nie mogę sobie odpuścić takiej przyjemności.

- Skoro nalegasz... Swoją drogą to dziwne, że taka gwiazda internetu jeszcze nie sprawiła sobie podobnej bryki - prowokował ją.

Judyta w odpowiedzi rozłożyła ręce.

- Co mogę powiedzieć, Sami? Nie zawsze można mieć wszystko. Kto jak kto, ale my dobitnie się o tym przekonaliśmy.

Sambor i Judyta kroczyli ku jego SUV-owi, skrywając głowy pod grubymi kapturami. Wcześniej przez kwadrans rozmawiali z proboszczem, który potwierdził plotki o romansie Lilii z wikarym i wyznał, że dzięki jego staraniom kobieta uniknęła kary.

– Wstawiłem się za nią w kurii na prośbę księdza Damiana. Biedak stracił dla niej głowę. A był tak dobrym księdzem... Kuria następnie dogadała się z policją i sprawę wyciszono. Ksiądz Damian musiał jednak ponieść konsekwencje i opuścić parafię. Incydent w zakrystii nie miał jednak nic wspólnego z ich romansem.

– A z czym?

– Z tą chorą sektą.

– Sługami Lasu? To oni kazali jej to zrobić?

– Lilia nigdy nie wyjawiała prawdy, ale ja wiem, że to ich sprawka. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że parę dni po tym, jak w „Dzienniku Gorzowskim” pojawił się ten kłamiwy artykuł na mój temat, pańska siostra zdewastowała zakrystię? – pytał lekko wzburzony Teodor Guzdecki. – Powinienem być jej wtedy zagrozić, że jeśli się nie przyzna, wszystko odkręcę i pošlę ją za kratki.

– Zaraz... O jakim artykule ksiądz mówi?

– Ach, myślałem, że pan słyszał... Jakiś dziennikarzyna oskarżył mnie o zlecenie wycinki starych drzew na cmentarzu bez wymaganych zezwoleń, a następnie palenie nimi w kominku na plebanii. I to, i to było kompletną bzdurą. Oczywiście do dziś nikt mnie za to nie przeprosił.

Sambor spojrzał wymownie na Judytę, która uniosła ręce w geście kapitulacji.

– Nie pracowałam już wtedy w „Dzienniku”!

Mężczyzna wypytał następnie Guzdeckiego o jego zdanie na temat Sług Lasu. Proboszcz nie szczędził pod ich adresem ostrych słów:

– Jak dla mnie to nie Słudzy Lasu, a Słudzy Szatana. Wandale niszczący kościoły, naśmiewający się z wiary i kultuwujący niebezpieczne mity. Ten symbol, który mi pan pokazywał, to symbol ich

bożków. Oni wcale nie rozpowszechniali go po całej okolicy, by promować swoją sektę...

- Zatem po co?

- By poszerzać obszar panoszenia się zła - odpowiedział z powagą w głosie duchowny. - Jeśli prześledzą państwo wszystkie incydenty z ich udziałem, zobaczą pewną prawidłowość: z roku na rok zapuszczali się coraz dalej i omal nie przeniknęli poza granicę z Niemcami.

- Widzę, że żywo się ksiądz interesuje tym tematem - zauważył zdumiony Malczewski.

- Spytał pan, to powiedziałem, co wiem - odrzekł asekuracyjnie Guzdecki.

- Podsumowując: zdaniem księdza to Słudzy Lasu są źli, a nie ci, których piętnują - odezwała się Judyta.

- Nie twierdzę, że wszyscy, których obrali sobie za cel, byli nieskazitelni, ale pani jako dziennikarka na pewno pamięta, że wielokrotnie rzucali oskarżenia bez pokrycia. Zresztą nie to jest najważniejsze. Słudzy Lasu to niebezpieczna sekta, której zadaniem jest walka z kościołem i rozsiewanie w Polsce zła w najczystszej postaci.

- Mówi o nich ksiądz w czasie teraźniejszym, choć od dawna nie doszło do żadnych incydentów z ich udziałem...

- Po każdej ciszy przychodzi burza, a każdy skrywający się w mroku potwór prędzej czy później wyjdzie z ukrycia. Jestem przekonany, że Słudzy Lasu nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. I przykro patrzeć na to, że nikt nie robi nic, by się do tego przygotować.

- Kurwa! - syknął Sambor po tym, jak w twarz uderzył go porywisty wiatr, który niósł ze sobą gęste płatki śniegu. - A tyle się pieprzy o ociepleniu klimatu.

- Ja tam lubię zimę. Kiedyś co roku spędzaliśmy całą rodziną ferie w Karkonoszach. Cyprian i Kornel spędzali pół dnia na stoku, a ja w tym czasie spacerowałam po okolicy i rozkoszowałam się ciszą i spokojem. A potem Kornel praktycznie zamieszkał w starostwie...

- Pracoholizm... Skąd ja to znam - odrzekł Sambor.

– Gdyby tu chodziło tylko o to – mruknęła do siebie Judyta, po czym otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą.

Przez kolejne minuty dyskutowali na temat tego, czego dowiedzieli się od Guzdeckiego i ustalali dalszy plan działania. Malczewski zasugerował, by od razu pojechali do sąsiadki Lilii, o której wspomniał proboszcz.

– Bogna Kastek. Nic mi nie mówi to nazwisko...

– Mieszka pod dawnym adresem Ladenbergów. Pamiętasz ich?

– Słabo, bo z nikim się nie spoufalali. Pamiętam za to ich dobermana, który siał postrach w okolicy, ilekroć wybiegał przez uchyloną furtkę.

– Dolores. Uśpili ją po tym, jak pogryzła tego szczerbatego osiłka... Cholera, zapomniałam jego nazwiska.

– Panecki? – odezwał się Sambor.

– Chyba tak.

– Dobra, zatem jedźmy.

Bogna Kastek ugościła ich plackiem ze śliwkami i rozgrzewającą herbatą z cynamonem i anyżem. Po wymianie uprzejmości i złożeniu Samborowi kondolencji drobna szatynka po pięćdziesiątce opowiedziała gościom o swojej znajomości z Lilią:

– Gdy wprowadziliśmy się tu z mężem jakieś dziesięć lat temu, pańska siostra była pierwszą osobą, z którą nawiązaliśmy bliską relację. Pamiętam, że już pierwszego dnia przysłała do nas z nalewką domowej roboty. Przez kolejne lata regularnie się widywałyśmy i chyba mogę stwierdzić, że Lilia była moją przyjaciółką.

– Coś jednak się między wami popsło, mam rację? – spytał Malczewski.

Kastek wzruszyła ramionami i odrzekła:

– Jak to w życiu bywa, czasem nawet największa przyjaźń musi się skończyć.

- Co się stało? - odezwała się Judyta tuż po tym, jak przełknęła drugi kawałek soczystego placka.

- Nie było jednego konkretnego powodu. To znaczy, do czasu. Z miesiąca na miesiąc Lilia miała dla mnie coraz mniej czasu, a gdy już się spotykałyśmy, niechętnie opowiadała o sobie. W pewnym momencie dowiadywałam się na jej temat więcej z plotek niż od niej samej. Nie chciałam im jednak wierzyć, bo wiedziałam, że wielu tutejszych najchętniej wykurzyłoby Lilię ze wsi. Ale potem pańska siostra zaczęła robić dziwne rzeczy...

- Sugeruje pani, że wcześniej zachowywała się normalnie? - spytał zdumiony Sambor.

- Hm... Ujmę to tak: była specyficzna, ale szybko się do tego przyzwyczaiłam. Nie brałam na poważnie jej opowieści o romansie z jakimś duchem lasu... Zrzucałam to na karb jej zamięłowania do astrologii i tych wszystkich tutejszych legend.

- Miejscowi nadal je kultywują?

- Może nie aż tak jak wtedy, gdy się tu przeprowadziłam, ale na pewno zagnieździły się ludziom w podświadomości. Przykładowo: kilka moich koleżanek w ogóle nie chodzi do lasu. Co roku omija je przez to festyn nad jeziorem.

- Akurat obszar, przez który biegnie dróżka, nie jest wcale mocno zalesiony - zauważyła zdziwiona Judyta.

- Ich to nie przekona. Las to las, a drzewa to drzewa.

- Dziwne zatem, że wciąż jeszcze nie uciekły do jakiegoś zabetonowanego miasta - prychnął Sambor, po czym wrócił do tematu siostry: - Jakie dziwne rzeczy robiła Lilia?

Po twarzy Bogny Kastek przemknął wyraz zakłopotania.

- No wie pan, sprowadzała do siebie różnych dziwnych ludzi... Z początku myślałam, że to kolejne głupie plotki, ale kiedyś przyszedłam do niej bez zapowiedzi i zastałam ją siedzącą na podłodze pośrodku pokoju i śpiącego w łóżku nagiego mężczyznę.

- Jakiś miejscowy?

– Nie, raczej nie... Próbowałam wypytać Lilię, ale wściekła się na mój widok i wygoniła mnie z domu. Ewidentnie była pod wpływem jakichś substancji. Widziałam to w jej oczach. Po tamtym incydencie kompletnie przestała się do mnie odzywać. A później zaczęło być głośno o jej kolejnych romansach i paradowaniu nago nad jeziorem...

– Rusałka. Tak ją tutaj nazywają, prawda?

– Owszem. Zresztą zapracowała sobie na taki przydomek. Kiedyś poszłam nad jezioro, by się przekonać, czy to, co o niej mówili, było prawdą. A potem patrzyłam w osłupieniu, jak pańska siostra tańczyła przy brzegu, jakby wznosiła modły do nieba. – Po tych słowach kobieta spuściła głowę i dodała: – Proszę mi wierzyć, że chciałam jej pomóc. Naprawdę chciałam, ale Lilia zrobiła wszystko, bym ją znienawidziła.

– Jak to?

Kastek westchnęła głośno, a potem odczekała chwilę, zanim opowiedziała gościom o romansie Lilii z jej mężem:

– Nabrałam podejrzeń, gdy Rysiek, mój były już mąż, zaczął częściej niż zwykle chodzić na ryby. Później... – urwała i przyłożyła palec do lewej skroni. – Ech, szkoda gadać. Po prostu jeden z jego kolegów doniósł mi, że Rysiek i Lilia regularnie pieprzyli się w lesie.

– Mówił prawdę?

– Tak. Rysiek do wszystkiego się przyznał. To był całkowity koniec mojej znajomości z Lilią.

Sambor podrapał się po brodzie i spytał:

– Czy słyszała pani o Sługach Lasu?

Gospodyni spojrzała na niego wymownie.

– Chce pan wiedzieć, czy moim zdaniem Lilia do nich należała? Wcale bym się nie dziwiła. Zapytałam ją zresztą kiedyś o to wprost.

– Co odpowiedziała?

– Chciała wiedzieć, co bym zrobiła, gdyby potwierdziła. Czułam, że przestała mi ufać, dlatego nie poruszałam przy niej więcej tego tematu.

Malczewski wypytał następnie kobietę o Artura Krynickiego.

- Czy mogło go coś łączyć z Lilią? Oboje zaginęli w podobnym czasie...

- Nic o tym nie wiem, ale jak już mówiłam, w ostatnich latach praktycznie nie miałam z Lilią kontaktu. Natomiast ani nie widziałam ich razem, ani nie słyszałam żadnych plotek od ludzi. No może poza tymi o starym Krynickim i państwa ma... - urwała, widząc malujące się na twarzy Sambora zmieszanie, i dodała pospiesznie: - Ale to było tak dawno temu. Lilia nie zaprzętała sobie tym już głowy. Nigdy mi nawet o tym nie wspomniała.

Sambor zaczekał, aż Judyta dokończy czwarty kawałek placka, po czym wstał z krzesła i podziękował gospodyni za rozmowę.

- Podam pani mój numer. Proszę dzwonić, gdyby chciała mi pani o czymś powiedzieć.

- Zaraz... To już idziecie? Siadajcie, doleję wam herbaty...

- Dziękuję, ale musimy się zbierać. Mamy jeszcze...

- Lepiej niech państwo siadają - weszła mu w słowo rozmówczyni. - Jeszcze nie skończyłam. Właściwie to dopiero zaczęłam...

ROZDZIAŁ 15

Sambor uniósł wysoko brwi, gdy Bogna Kastek wyjawiała jemu i Judycie, co jej zdaniem spotkało Lilię Malczewską:

- Nikomu tego nie mówiłam, bo nie chciałam rzucać bezpodstawnych oskarżeń i fundować sobie problemów, ale skoro już państwo tu są, to muszę to z siebie wyrzucić: uważam, że Szafrański załatwił Lilię.

- Konrad Szafrański? To oni się znali?

- Znali, znali. Trzy razy widziałam, jak jego auto mijало mój dom. Ewidentnie jechał do Lili.

- Albo do lasu - odezwała się dopijająca herbatę Judyta.

- Nie sądzę, bo za trzecim razem poszłam tam i widziałam na własne oczy, jak Szafrański i Lilia kłócili się o coś w ogrodzie. Niech pani tak na mnie nie patrzy - zwróciła się do Wrony. - Wiem, nie powinnam być wścibska, ale nie pojmowałam, co te wszystkie chłopy w niej widziały... Bo na pewno Rysiek i Szafrański nie byli jedyni.

Sambor przewrócił dyskretnie oczami. Nie miał ochoty dyskutować z obcą kobietą na temat moralności swojej siostry.

- Kiedy ich pani razem widziała?

Gospodyni zgarnęła ze stołu kubek.

- No, jeśli przyjmiemy, że Lilia zaginęła miesiąc przed wyłowieniem ciała, to może jakiś tydzień wcześniej? - zapytała, wzięła głęboki oddech i dodała: - Zaraz wracam.

- Proszę zostać - zatrzymał ją Sambor i natychmiast zadał kolejne pytanie: - Czy po tej kłótni Szafrański dalej jeździł do Lili?

- Chyba nie. Przynajmniej go nie widziałam. Właśnie dlatego wydaje mi się podejrzany.

- A może po tamtej kłótni zwyczajnie dał sobie z nią spokój? - zasugerowała sceptycznym tonem Judyta.

- Może... Tylko proszę, nie mówcie nikomu, że oskarżam o cokolwiek Szafrąńskiego. Ten człowiek ma wielu zwolenników i jeszcze więcej pieniędzy...

- Tego nie mogę pani obiecać. Tak samo jak tego, że będzie pani musiała złożyć zeznania w komendzie w Gorzowie - powiedział Sambor, po czym ponownie odszedł od stołu i pożegnał się z gospodynią.

- Zostańcie jeszcze. Ostatnio tak rzadko mam gości... Lubi pan pierogi z grzybami?

- Bardzo dziękuję, ale spróbuję następnym razem.

- Co za natrętna baba - rzuciła Judyta, gdy już opuścili z Samborem dom Bogny i zmierzali powoli do auta.

- Widziałem, że nie przypadła ci do gustu - odrzekł Sambor, po czym obszedł znajomą tak, by znaleźć się po jej prawej stronie.

- Po prostu brzydzę się plotkami i intrygantkami, a ona ewidentnie do takich należy - kontynuowała Wrona.

- Sądzisz, że blefowała w sprawie Szafrąńskiego?

- Raczej wysnuwała daleko idące wnioski. Tak czy siak, będziemy musieli porozmawiać z Szafrąńskim.

- „Będziemy”? - Sambor spojrzał na nią podejrzliwie.

- No co? - Judyta zmarszczyła brwi. - Jeśli nie chcesz, bym ci pomagała, to powiedz. Przeszanę się narzucać.

Malczewski prychnął cicho.

- Może jeszcze pomożesz mi ze zorganizowaniem pogrzebu Lilii?

- Sorki, ale aż tak jej nie lubiłam...

- Ja też nie, ale nie mam wyjścia... Muszę za nią zabulić. Najwyżej odbiję sobie na sprzedaż ojcowizny.

- O ile Lilia nie przepisała jej komuś innemu. Rozmawiałeś z notariuszem?

- Niby kiedy? Zresztą wątpię, by Lilia sporządziła testament. Skoro nie umiała ogarnąć spraw doczesnych, to jakim cudem miałyby ogarnąć całą resztę? Poza tym połowa całej nieruchomości należy do mnie. Jeśli założymy, że Lilia przepisała swoją połowę na kogoś innego niż ja, ta osoba albo będzie musiała mnie spłacić, albo zgodzi się na sprzedaż.

- W sumie racja... Czyli co, pozbędziesz się ojcowizny? - spytała zdziwiona Wrona.

- A ty byś się nie pozbyła? Widziałas przecież, że to ruina. Zresztą nawet gdyby ktoś mi postawił tam za darmo luksusowy pałac, i tak bym się do niego nie wprowadził.

- Zbyt wiele złych wspomnień?

- Taa...

Judyta odblokowała drzwi należącego do Sambora mercedesa i usiadła za kierownicą.

- To dokąd teraz? - spytała po tym, jak Malczewski zajął miejsce w fotelu pasażera.

- Do Alberta.

- Jak to? Nie jedziemy do Szafrąńskiego?

- A wiesz, gdzie mieszka? - odpowiedział pytaniem na pytanie jej przyjaciela, a gdy Judyta pokręciła głową, dodał: - Robi się już późno i powinnaś wracać do domu. Nie chcę, by twój mąż pytał, gdzie się tyle szwendałaś...

- Znając go, pewnie jest jeszcze w starostwie.

- No a co z synem?

- Nasza gosposia go pilnuje.

- Gosposia... Fiu, fiu.

Judyta spojrzała na niego z politowaniem.

- Będziemy się teraz licytować, komu bardziej się powiodło w życiu? - Następnie zrobiła krótką pauzę i dodała: - Jak coś, to mam czas.

- W porządku, ale i tak nie chcę cię dłużej przytrzymywać. Wolę nie prowadzić śledztwa bez uzgadniania kolejnych kroków z policją. Jutro

rano jadę do komendy. Przede mną oficjalne oględziny ojcowizny. Ech, ja pierdolę...

- Współczuję - powiedziała Judyta, po czym uruchomiła silnik. - Zatem daj znać, jeśli dostaniesz od nich zielone światło w sprawie Szafrąńskiego. Chętnie się z tobą do niego przejadę.

- Wrona...

- No?

- Ale przysięgasz, że robisz to jako moja dawna kumpela, a nie wścibska dziennikarka?

Słyszac to, Judyta spiorunowała Sambora wzrokiem.

- Co, nie ufasz mi?

- Minęło tyle lat...

- No minęło, i co? Może nie jestem już tą samą osobą, którą znałeś, ale jednego możesz być pewien: nadal jestem po twojej stronie, czy w to wierzysz, czy nie.

*

Judyta zaparkowała SUV-a przed domem Alberta.

- Och, moje cudeńko... Tak ciężko mi się z tobą rozstawać - powiedziała, masując powoli kierownicę od góry do dołu.

- Nie rozpieszczaj go tak, bo zacznę być zazdrosny.

- Gdybyś go lepiej traktował, nie szukałby pocieszenia u innych.

- Mam ci przypomnieć, że dosłownie wyrwałaś mi kluczyk z dłoni?

- Tak to sobie tłumacz - odparła z rozbawieniem Judyta, po czym przyłożyła dłoń do klamki i niemal od razu ją zabrała. - Sami, ale jeśli potrzebujesz wsparcia przy organizacji pogrzebu, to pomogę...

- Dzięki, Wrona, ale naprawdę sobie poradzę.

- Okej. Ale gdybyś jednak...

- Czuję się tak, jakbyś stopniowo mnie kastrowała.

- Dobra, dobra. Nic już nie mówię. - Judyta otworzyła drzwi. Zanim jednak wysiadła z auta, rzuciła do Sambora: - Dlaczego przez te

wszystkie lata ani razu się nie odezwał? Nie umiałeś mi wybaczyć?

- A dlaczego ty się nie odezwałaś?

- Skoro już mówimy o kastrowaniu...

- Aha, bo niby to facet zawsze musi robić pierwszy krok? - Ton głosu Malczewskiego zdradzał lekką irytację.

- Oj, tylko żartowałam - odrzekła Judyta i wyznała: - Nie wiedziałam, co ci powiedzieć. Chciałam wiele razy się spotkać i przeprosić za to, że wyjechałam, ale czułam, że tylko pogorszę sytuację... Po co ja w ogóle o tym wspominam? Było, minęło... Nie wracajmy do tego.

Sambor chwycił znajomą za przedramię, uniemożliwiając jej opuszczenie auta.

- Było mi chujowo bez ciebie. Ale wróciłaś. I na tym się skupmy. Zgoda?

Judyta uniosła delikatnie kąciki ust.

- Zgoda, Sami.

- Tylko nie „Sami”. Nie mam już piętnastu lat.

- To jak mam cię nazywać? Sambor jakoś nigdy mi do ciebie nie pasowało...

Malczewski uśmiechnął się złowieszczo.

- Prokurator ze Zgorzelca wymyślił kiedyś dla mnie idealną ksywkę: Ten Jebany Malczewski, Który Zawsze Wciska Swoje Umięśnione Dupsko Tam, Gdzie Nie Powinien.

Judyta zmarszczyła czoło tak, że pojawiły się na nim dwie poziome kreski.

- Pozwól, że pozostanę przy Samim - powiedziała, zanim wysiadła z auta i ruszyła ku swojemu seicento. - Dzięki za dzisiaj. Naprawdę dobrze cię było zobaczyć.

Sambor przewrócił oczami.

- Skończ, bo zaraz się rozplacę.

- Okej, panie poważny. - Judyta otworzyła drzwi i siadła za kierownicą. - Właściwie to jest coś jeszcze...

- Hę?

- Nie wiem, czy powinnam cię o to pytać, ale to nie daje mi spokoju. Chodzi o twoją ojcowiznę...

- Chcesz ją kupić? Proszę bardzo - odrzekł Sambor.

- Rozczaruję cię, ale nie. Wolałabym nie mieszkać aż tak na uboczu. Zawsze uważałam tę okolicę za upiorną...

- Nie zaprzeczę. W takim razie co chcesz wiedzieć?

- Cały czas zastanawiam się, co właściwie twoim zdaniem wydarzyło się w dziewięćdziesiątym siódmym... Słyszałam tę historię o romansie Krynickiego z...

- Pytasz, czy moim zdaniem ojciec Artura zabił mi rodziców? - wszedł jej w słowo Sambor. - Nie.

- Nie? Ale przecież Lilia zeznała, że...

- Moja siostra mówiła różne rzeczy. - Malczewski zbliżył się do auta i pochylił ku Judycie. A potem dodał ściszym głosem: - Tylko niech to zostanie na razie między nami, okej?

- Jasne.

Nagle do Sambora powróciły wszystkie bolesne wspomnienia tamtego tragicznego dnia. Nabrał więc powietrza w płuca i postarał się z całych sił wyrzucić z głowy widok zionącego ognia i przeraźliwy pisk jego matki.

- Wierzę, że to sprawka Lilii - powiedział stanowczo.

- Ale... Nie rozumiem...

- Nienawidziła całego świata, a najbardziej naszych rodziców, którzy nadstawiali dla niej karku. Kompletnie nie doceniała ich oddania. Wiem, że najchętniej by się ich pozbyła. Była zdolna do wszystkiego. To, że postanowiła mnie oszczędzić, nie zmieniło mojego stosunku do niej.

- Mówiłeś o tym komuś jeszcze?

- Nie. Pewnie powinienem, ale wolę poczekać. Muszę trochę powęszyc za plecami policji. Czuję, że Lilia miała jeszcze niejednego grzech na sumieniu...

ROZDZIAŁ 16

ROK 1997

Szalejący w koronach drzew wiatr wywoływał szum, który wzbudzał u Sambora gęsią skórkę. Chłopak miał coraz większe wątpliwości co do tego, czy wyprawa do lasu w tak niepewną pogodę była dobrym pomysłem. Widział przecież z okna swojego pokoju rozpościerające się nad horyzontem burzowe chmury. Mimo to postanowił zaryzykować. Musiał to zrobić teraz, pod nieobecność Lili, która wraz z rodzicami pojechała do Gorzowa na wielkie zakupy. Został tydzień do świąt wielkanocnych, które Zyta Malczewska obchodziła nawet z większą pompą niż Boże Narodzenie. Przez kilka dni sprowadzała do wysprzątane i ozdobione pisankami domu wszystkich znajomych i znaczną część rodziny, a potem zgrywała przed nimi idealną gospodynię i kochającą matkę. Z roku na rok Sambor coraz gorzej znosił tę szopkę. Obiecał sobie, że jeśli w przyszłości założy rodzinę, zrobi wszystko, by święta w jego domu przebiegały w mniej napiętej atmosferze.

Im głębiej wchodził w las, tym większy ogarniał go niepokój. Odnosił wrażenie, że rosnące gęsto krzaki coraz śmielej wdzierały się na i tak już wąską dróżkę. Musiał się jej trzymać. Wiedział, że jeśli przedwcześnie z niej zbroczy, przebiegły las oplecie go swoimi mackami, a następnie wciągnie w gęstwinię i już nie wypuści.

- Auu! - jęknął, gdy jedna z gałęzi, które próbował od siebie odciągnąć, wyslizgnęła mu się z dłoni i uderzyła go w twarz. Jeszcze miał szansę odwołać misję i wrócić do domu przed rozpętanem się burzy. Przecież nie musiał tego robić dzisiaj.

A potem przypomniał sobie ostatnie miesiące, a zwłaszcza przełom roku, gdy agresja Lili nasiliła się do tego stopnia, że stłamszony i zrezygnowany Sambor zaczął się zmagać z myślami samobójczymi. Nic już nie miało dla niego sensu. Odkąd stracił Judytę, która była dla niego największym wsparciem, nie miał nawet z kim porozmawiać o zmartwieniach i coraz gorszej sytuacji rodzinnej. Najgorsze, że Albert, który wcześniej był cały dla niego, zmagał się z własnymi demonami. Nagła śmierć matki tuż przed świętami kompletnie go rozbiła. Chłopak odizolował się od ludzi i przestał chodzić do szkoły. Odtrącił też Sambora, który do pewnego momentu niemal codziennie składał mu niezapowiedziane wizyty.

- Daj mu trochę czasu. Gdy ochłonie, na pewno sam do ciebie przyjdzie – powiedział ojciec Alberta, Lucjan Czernski.

Sambor pozostał więc osamotniony na placu boju i musiał toczyć nierówną walkę z wyjątkowo agresywnym przeciwnikiem. Lilia na każdym kroku uprzykrzała mu życie wyzwiskami, intrygami i ciągłymi manipulacjami. To przez nią ojciec oskarżył go dwa tygodnie temu o kradzież przenośnego sejfu z komórki.

- Niby po co miałbym go zabierać?! – pytał drżącym z nerwów głosem Sambor.

- Może po to, by ukryć w nim biżuterię mamy? – zasugerowała przy rodzicach Lilia. Czuł, że prędzej czy później wykorzysta to kłamstwo przeciwko niemu.

- To ty ją ukradłeś! Mamo, przysięgam, że widziałem, jak Lilia...

- Dość tego, Sambor – przerwała mu Zyta Malczewska. – Czytałam twoje listy do Judyty. Rozumiem, że za nią tęsknisz, ale nie sprawisz, że wróci, próbując ją przekupić moimi pierścionkami i naszyjnikami.

- Niczego takiego nie napisałem! Mamo, ja naprawdę...

- Nie chcę tego słuchać. Oddaj to, co zabrałeś mi i mamie, a może zapomnimy o całej sprawie – powiedział surowym tonem jego ojciec.

Kolejne kradzieże Lili przelały czarę goryczy. Sambor domyślał się, że jego siostra od pewnego czasu miała co najmniej dwie skrytki: jedną

w skalniaku, a drugą gdzieś w lesie, przy czym wszystkie cenniejsze przedmioty musiała przechowywać w tej leśnej. W pudełeczku pod trójką-siódemką znalazł bowiem jedynie kilka zmiętych kartek z wierszami Lili i szmacianą lalkę, która ledwo się w nim mieściła. Jedynym sposobem na zdemaskowanie siostry było zatem odnalezienie skrytki w lesie. A raczej zatroszczenie się o to, by niczego nieświadoma dziewczyna sama go do niej doprowadziła. Sambor podjął więc ryzyko i przez ostatnie dni dosłownie nie spuszczał z niej wzroku. Śledził każdy jej krok i chodził za nią do lasu. Z początku nie zapuszczał się zbyt głęboko, by nie ryzykować, że Lilia przytapie go na gorącym uczynku. Poza tym nie znał lasu tak dobrze jak ona.

Przedwczoraj jednak śledził siostrę tak długo, że poczuł, iż jest blisko... Podążał za nią w bezpiecznej odległości, czając się za drzewami, a ilekroć tracił ją z pola widzenia, śpiew Lili i wznoszone na głos modły wskazywały mu kierunek. W pewnym momencie niebezpiecznie zbliżył się do siostry, która usiadła przy jednym z drzew i odpaliła skręta. Po pierwszym zaciągnięciu głośno westchnęła i zanuciła inną melodię, którą w ostatnich dniach słyszał tyle razy, że zdążyła mu zbrzydnąć. W obawie, że go zauważy, wycofał się na kilka kroków i niechcący nadepnął na gałąź, która trzasnęła mu pod butem. Nagle melodia ucichła. Przez kolejne sekundy wstrzymywał oddech i w napięciu czekał na rozwój wypadków. Już nic nie zależało od niego. Mógł jedynie liczyć na to, że zjarana Lilia zlekceważy odgłos. Na jego szczęście tak się właśnie stało. Po chwili dziewczyna ponownie się zaciągnęła i zanuciła niepokojącą melodię. A potem wstała i ruszyła w podskokach w dalszą drogę.

Sambor podszedł do dębu, przy którym przedwczoraj siedziała Lilia, i szybko namierzył wgnieciony w ziemię niedopałek. W tym miejscu się od niej odseparował. Dalsza podróż miała być zatem podróżą w nieznane, a skrytka mogła się znajdować dosłownie pod każdym drzewem. Musiał zatem uważnie rozglądać się wkoło i liczyć, że Lilia zostawiła w miejscu ukrycia sejf u jakiegoś znaku. Albo odpuścić i poczekać

na jej kolejną wyprawę do lasu. Może następnym razem uda mu się za nią dojść aż na sam koniec?

- Nie odpuszczaj. Dasz radę - wyszeptał do siebie, po czym wziął głęboki wdech i ruszył naprzód, prosto w mroczną otchłań.

Po kilku minutach powolnego marszu dotarł do końca dróżki i poczuł, jak podeszwy butów wrastają mu w ziemię. Choćby chciał, dalsza podróż nie wchodziła w grę. Przerzątał go rozpościerający się za rzędem wysokich sosen mrok i bijący z niego chłód. Brakowało tylko gęstej mgły, która zwiastowałaby nadejście Borowego. Ducha lasu, który już raz wypuścił Sambora ze swoich sideł. Drugi raz z pewnością nie popełni tego błędu.

„Co ci strzeliło do łba, by podawać mu się na tacy?” - pytał Sambora głos z tyłu głowy. Już miał się wycofywać, gdy nagle niebo tuż nad jego głową przysłoniła wielka burzowa chmura. W jednej chwili zapanowała kompletna ciemność, a jego ciałem wstrząsnęły silne drgawki. Choć wzbierała w nim panika i myślał tylko o ucieczce, kompletnie nie mógł się poruszyć. Zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła dociskała go coraz bardziej do ziemi. Na dodatek nie był w stanie odwrócić wzroku od bezkresnego mroku. Czuł, że coś go obserwuje i czeka na odpowiedni moment, by wyjść z ukrycia.

Wtem ze wszystkich stron wybrzmiał szum przypominający ryk leśnego potwora. Wystraszony Sambor gwałtownie się cofnął i stracił równowagę. Nim zdążył zareagować, runął na plecy prosto w błotnistą ziemię.

- Auuu! - zajęczał i zacisnął powieki, gdy na twarz spadło mu kilka dużych kropel deszczu.

Po otwarciu oczu ujrzał przesywającą niebo błyskawicę, która na ułamek sekundy rozświetliła las. Chwilę później rozległ się huk grzmotu. Sambor poderwał się z ziemi i ruszył w drogę powrotną. Wiedział, że nie zdąży do domu przed największymi opadami, ale w tej chwili nie miało to dla niego znaczenia. Zależało mu tylko na tym, by znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Od Borowego, który

demonstrował mu swoją potęgę każdym błyskiem na niebie, uderzeniem zimnego wiatru i przesywającym gęstwinę rykiem. Ten las należał do niego. Sambor był w nim intruzem. A intruzów trzeba tępić.

Roztrzęsiony nastolatek biegł dróżką i co jakiś czas nerwowo zerkał za siebie. Tymczasem deszcz przybierał na sile, a potężny wiatr targał koronami drzew na wszystkie strony. Nagle, w odległości około dziesięciu metrów od Sambora, z krzaków wyskoczyły trzy duże jelenie z imponującym porożem. Zwierzęta w mgnieniu oka przeskoczyły przez dróżkę i zniknęły w gęstwinie. Ewidentnie przed czymś uciekały. W głowie zaświtała mu myśl, że może wcale nie przed pogodą? „Nie, to bez sensu”, pomyślał. „Zwierzęta nie bałyby się przecież swojego opiekuna”. No, chyba że do lasu wtargnęły złowrogie siły, które wyparły Borowego i postanowiły oczyścić okolicę z życia. Bez względu na to, kto panował teraz nad lasem, stanowił dla Sambora śmiertelne zagrożenie. Musiał przyspieszyć.

Po pokonaniu najbliższego zakrętu zobaczył, jak niebo przeszły kolejna błyskawica. Sekundę później rozległ się tak głośny grzmot, że Sambor odniósł wrażenie, jakby nagle wszystkie drzewa w zasięgu jego wzroku zadrżały ze strachu przed nadciągającym zagrożeniem.

- Nie! - jęknął, uciekając przed pochłaniającym kolejne drzewa i nieuchronnie zbliżającym się ku niemu mrokiem.

Nagle las rozświetlił kolejny błysk, a na dróżce pojawiła się słabo widoczna w deszczu sylwetka. Sambor gwałtownie się zatrzymał i wyteżył wzrok. To nie mógł być Borowy. Postać była za niska i nie miała charakterystycznego poroża, które lata temu dojrzał w leśnej gęstwinie. Mimo to jej widok wzbudzał w nim tak ogromny strach, że roztrzęsiony chłopak bez zastanowienia zawrócił i ruszył sprintem ku ciemności. Po kilku sekundach zwolnił jednak i zrezygnowany upadł na kolana. Bez względu na to, co by zrobił, i tak był skazany na klęskę. Złe siły nadciągały ze wszystkich stron. Przegrał i był zdany na ich łaskę.

- Błagam, pozwól mi wrócić do domu! - krzyknął do kroczącej ku niemu postaci. A potem pochylił się do przodu, niemal dotykając

czołem błotnistej ziemi. – Przysięgam, że nie chciałem skrzywdzić żadnego zwierzęcia. Nigdy bym tego nie zrobił. Proszę, zlituj się. Chcę tylko wrócić do domu. Chcę tylko...

– Przymknij się wreszcie, lamusie – odezwał się znajomy głos, po którym wybrzmiał pogardliwy rechot. – Wstawaj.

Sambor powoli uniósł głowę i objął wzrokiem stojącą ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Lilię. Miała na sobie szarą ortalionową kurtkę, a głowę skrywała pod kapturem.

– Lilia?

– Niespodzianka, frajerze. Myślałeś, że jestem tak głupia jak ty i cię nie przejrzałam?

– Ale przecież pojechałaś...

– Powiedziałam starym, że się rozmyśliłam. Wyszadzi mi przy remizie. Wolałam spędzić ten czas z moim wścibskim braciszkiem.

– Wszystko ci wytłumaczę – powiedział Sambor drżącym głosem.

Wtedy Lilia błyskawicznie do niego doskoczyła i kopnęła go w brzuch twardym jak skała trzewikiem.

– Stul pysk! – warknęła do jęczącego z bólu brata. – I tylko spróbuj się podnieść, a dostaniesz jeszcze mocniej!

Sambor odruchowo osłonił się rękami.

– Okej, nie wstanę. Tylko pozwól mi wyjaśnić...

– Ale co tu wyjaśniać? Śledziłeś mnie już od jakiegoś czasu i polowałeś na moje skarby. Uwierzyłeś, że jesteś przebieglejszy ode mnie, i czekałeś na odpowiedni moment, by zakraść się pod moją nieobecność do lasu. A potem wystarczyło parę grzmotów, byś narobił w gacie – zarechotała ponownie. – Żałuj, że nie widzisz teraz swojej miny...

– Dlaczego taka jesteś?! – spytał z wyrzutem Sambor. – O co ci chodzi?! Jak masz ze mną jakiś problem, to powiedz!

– Żebyś wiedział, że mam! Ciągłe stajesz mi na drodze i doprowadzasz mnie do szału. Bez ciebie wszystko byłoby łatwiejsze...

- Ale ja nic ci nie zrobiłem! - krzyknął Sambor, a wtedy Lilia uniosła prawą nogę z zamiarem zadania mu kolejnego ciosu. Chłopak był jednak szybszy i kopnął ją mocno w łydkę. Zaskoczona Lilia wydała z siebie jęk w momencie, w którym rozległ się potężny grzmot, a następnie straciła równowagę i upadła obok brata. Sambor wykorzystał sytuację i poderwał się z ziemi. - Wyżywaj się na kimś innym, suko! - warknął tuż po tym, jak przygniótł Lilię ciężarem swojego ciała i unieruchomił jej nadgarstki. Czuł, że nie ma nic do stracenia. Lilia przyłapała go na gorącym uczynku. Już zawsze będzie się mściła za szpiegowanie. Mógł albo jej na to pozwolić, albo spróbować coś ugrać. Teraz albo nigdy.

- Puszczaj!

- Najpierw pokaż mi, gdzie chowasz biżuterię mamy!

- Nie mam jej! Ty ją ukradłeś! - Lilia spięła wszystkie mięśnie i próbowała zrzucić z siebie Sambora. Nie miała jednak wystarczająco siły, by przeciwstawić się bratu.

- Daj mi sejf albo...

- Albo co? Zabijesz mnie? Proszę bardzo. Wtedy nigdy go nie dostaniesz! - Lilia uśmiechnęła się szyderczo, a Sambor puścił jej nadgarstki i ścisnął dłońmi szyję.

- Dawaj, kurwa, sejf! Dawaj! - Zaciskał ręce coraz mocniej, podczas gdy walcząca o każdy oddech Lilia otwierała szeroko usta, wierzgała nogami i próbowała go odepchnąć. Po kilkudziesięciu sekundach walki osłabła i opuściła powieki. Wtedy Sambor poluzował ucisk. - Lilia? Cholera, no! - Klepał ją w policzki tak długo, aż dziewczyna otworzyła oczy.

- Kretynie! Omal mnie nie zabiłeś! - krzyknęła, zanosząc się kaszlem. - Złaż ze mnie!

- Najpierw powiedz, gdzie trzymasz biżuterię - nie odpuszczaj Sambor. Tymczasem kilka jednoczesnych błysków na niebie rozjaśniło las do tego stopnia, że przez ułamek sekundy chłopak był w stanie dostrzec obserwującego ich z dużej odległości lisa.

- A jak nie, to co? - prowokowała go Lilia w akompaniamencie dudniących mu w uszach grzmotów.

- Oddaj mi ją i przestańmy się wreszcie kłócić.

Lilia przez dłuższą chwilę mierzyła brata surowym wzrokiem.

- Mam propozycję: zawrzemy rozejm, ale zatrzymam sejf.

Sambor uniósł wysoko brwi.

- Żebyś dalej mogła rozdawać karty? Nie ma mowy.

- Spójrz prawdzie w oczy: nawet jeśli odzyskasz błyskotki mamy, nic dzięki nim nie ugrasz. Zwracając je, tylko się przyznasz do bycia złodziejem. No bo jak udowodnisz, że to ja je zabrałam? Ja na pewno do niczego się nie przyznam.

Chłopak wziął dwa głębokie wdechy. Ta suka tak bardzo działała mu na nerwy...

- Powiesz im prawdę!

- W twoich snach!

Wzburzony Sambor chwycił siostrę obiema dłońmi i mocno nią potrząsnął. W tym samym czasie porywisty wiatr złamał grubą gałąź jednego z pobliskich drzew. Rozległ się donośny trzask, po którym gałąź runęła na ziemię.

- Nienawidzę cię! - warczał, ignorując szalejący wokół nich żywioł.

- A ja ciebie! - prowokowała go ze złowieszczym uśmiechem na twarzy Lilia. - Dawaj! Zrób to! Zakończmy to tu i teraz!

Sambor na moment puścił siostrę, a potem wyprostował się, spojrzał w niebo i pozwolił, by rzęsiste krople deszczu obmyły mu twarz. Czuł wzbierającą w nim moc. Teraz to on rozdawał karty. Lilia była zbyt słaba, by mu się oprzeć. Mógł z nią skończyć, a potem zakopać ciało lub wrzucić je do jeziora i raz na zawsze pozbyć się problemu. Miał już dość ciągłego stresu i niepewności co do kolejnych intryg siostry. Nadszedł czas, by się uwolnić. Uniósł więc rękę z zacisniętą pięścią i spojrzał Lilii prosto w oczy. Już miał ją uderzyć, gdy rozległ się kolejny huk grzmotu, a dziewczyna uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Nadchodzi. W samą porę.

Sambor poczuł przebiegający mu przez plecy chłód. A gdy dobiegł go odgłos łamiących się gałęzi, przełknął ślinę i niepewnie się odwrócił. Wtedy ją ujrzał. Wysoka ciemna postać z masywnym porożem na głowie stała nieruchomo między drzewami po drugiej stronie dróżki. Sambor w pośpiechu poderwał się z miejsca i chwycił siostrę za dłoń.

– Uciekajmy.

W odpowiedzi Lilia spojrzała na niego z rozbawieniem i wydała z siebie zduszony rechot. Następnie odepchnęła go od siebie i podniosła się z błotnistej ziemi.

– Za późno, frajerze – rzekła, wycierając brudne ręce o przemoczone spodnie. – Długo kazałeś na siebie czekać – zwróciła się teraz do Borowego, krocząc ku niemu powoli.

Sambor poczuł przyspieszone bicie serca, po którym zakręciło mu się w głowie. Zdezorientowany upadł na kolana i przez kolejne sekundy powtarzał sobie w myślach, że to nie dzieje się naprawdę. Miał zwidy albo niezwykle realistyczny sen. Zacisnął więc powieki najmocniej, jak umiał, w nadziei, że gdy je otworzy, ujrzy swój pokój i wdzierające się przez okno promienie porannego słońca. A potem zajęczał z przerażeniem na widok zmierzającej ku niemu Lilii. Trzymała w dłoni długi gruby kij i co chwilę zerknęła ku Borowemu.

– Wstań – powiedziała stanowczym głosem.

– Nie... błagam!

– Rób, co ci każę, albo go tu zawołam.

– Nie! Powiem rodzicom, co zechcesz, tylko...

– Wstań – powtórzyła Lilia.

Roztrzęsiony Sambor wykonał jej polecenie i osłonił się dłońmi.

– Błagam, nie...

Tymczasem Lilia odrzuciła kij na bok, spojrzała w niebo i wzniosła ku niemu ręce.

– Zadzierając ze mną, zadzieras z całym lasem. Wystarczy, że skinę palcem, a spadnie na ciebie cały jego gniew. Tego właśnie chcesz?!

Słyszac to, Sambor uświadomił sobie, że od początku nic od niego nie zależało. To Lilia, nowa królowa lasu, przez cały ten czas pociągała za sznurki.

– Nie jesteś zła – powiedział do niej łamiącym się głosem. – Nie jesteś taka jak on!

– Nic nie rozumiesz, idioto! Ja jestem nim! – Wybuchnęła śmiechem, obróciła się na pięcie i ruszyła ku Borowemu. – Chodź, kochany. Zademonstrujemy mu potęgę naszej miłości.

– Nie! – Spanikowany Sambor wystrzelił w przeciwnym kierunku i po przebiegnięciu kilku kroków wdepnął w kałużę gęstego błota, które sięgnęło mu prawie połowy łydki. – Zostawcie mnie! – krzyczał, starając się wyciągnąć z niej nogę. Gdy wreszcie mu się udało, ruszył do dalszej ucieczki, nasłuchując gromkiego śmiechu Lilii.

– A uciekaj sobie, frajerze, choćby na koniec świata. I tak nic ci to nie da. Znajdziemy cię wszędzie, słyszysz?! Należysz do nas. Tylko do nas!

ROZDZIAŁ 17

ROK 2024

Sambor obudził się w szerokim łóżku w gorzowskim hotelu. Choć Albert usilnie namawiał przyjaciela, by ten zatrzymał się u niego, Malczewski nie skorzystał z zaproszenia.

– To nic osobistego, Bert. Zwyczajnie wolę nie nocować w Runowie. Jeszcze tego brakuje, by duch Lilii nawiedził mnie w nocy i udusił.

– Bez przesady. Nie sądzę, by aż tak cię nienawidziła. A nawet jeśli, to dopadłaby cię choćby na Malediwach.

– Słyszałem już kiedyś z jej ust podobne groźby...

Po przyjeździe do hotelu wziął szybki prysznic, po którym włączył laptop i zabrał się do lektury przesłanych przez Judytę artykułów o Sługach Lasu. Dziennikarka analizowała temat z każdej strony. Każdemu, nawet najmniejszemu incydentowi z ich udziałem poświęcała osobny artykuł. Sambora rozbawił tekst o starszym mieszkańcu Kłodawy, który twierdził, że podczas wieczornego spaceru został zaatakowany przez stado dzików. Zwierzęta miały zachowywać się agresywnie, a ich oczy ponoć świeciły na zielono. Staruszek utrzymywał, że to Sługi zaczarowały je i nastawiły przeciwko ludziom. Z kolei inny artykuł, opublikowany kilka miesięcy później, skupiał się na grupie mieszkańców Runowa i okolicznych wiosek, którzy wystosowali do starostwa wnioski o otoczenie lasu Runowskiego wysokim płotem. Żądali, by na jego teren wpuszczane były wyłącznie osoby posiadające zezwolenia. „Las runowski zamknięty w obawie przed Sługami Lasu? Majestatyczne jezioro Chaszczce, tajemnicza Polana Krwi czy zjawiskowa trasa spacerowa wzdłuż krętej rzeki Duszyna już wkrótce mogą być dostępne tylko dla wybranych. Wszystko to za sprawą

mieszkańców sąsiadujących z lasem miejscowości. Liczą oni, że w ten sposób uda im się przegonić uzurpujących sobie prawo do lasu Sług” – pisała Judyta. Oczywiście pomysł był skazany na porażkę, ale Sambor nie wątpił, że artykuł poprawił statystyki strony. Na szczęście Wrona poruszała też poważniejsze kwestie, jak choćby zablokowane przez Sługi inwestycje uderzające w środowisko. Sambor wyszukał w sieci informacje na temat skonfliktowanych z nimi przedsiębiorstw. Wreszcie, zmęczony, tuż przed drugą zasnął.

Po piętnastu minutach dobudzania się Sambor zadzwonił do Renaty, pracownicy swojego przyjaciela Gustawa Budyńskiego.

– Tylko nie mów, że tęsknisz...

– Nie powiem. Natomiast wiedz, że słuchanie Julio Iglesiasa bez ciebie to nie to samo.

– Czyli tęsknisz.

Po drugiej stronie rozległo się głośne westchnięcie.

– Czy dla ciebie zawsze wszystko musi być zero-jedynkowe?

– Tak – odparł Sambor, po czym zaśmiał się i dodał: – Julio Iglesias... To chyba najbardziej gówniany komplement, jaki w życiu usłyszałem.

– Nawet jeśli, to przyznaj, że trochę zmiękczył twoje serce. A przy okazji może i tego potwora między nogami...

– Kurwa, Renata, nie dzwonię po to, by pieprzyć się przez telefon. Czeka mnie ciężki dzień.

– Tym bardziej przydałoby ci się poranne rozładowanie napięcia – prowokowała go znajoma. – Połóż się wygodnie na plecach, a ja powiem ci, co z tobą zrobię...

Pół godziny później zrelaksowany Sambor założył swoją ulubioną skórzaną kurtkę i wyszedł z hotelowego pokoju. Wkrótce przemierzał korytarz Komendy Miejskiej i zatrzymał się przy drzwiach do gabinetu Popowskiego.

– Proszę – odezwał się znajomy głos.

– Jestem, komisarzu – powiedział po otwarciu drzwi.

- Świetnie... komisarzu. Piłeś już dziś kawę?

Przez następne minuty Sambor opowiadał Popowskiemu o wszystkim, czego się dowiedział zeszłego dnia. Pokazał mu też skrawek papieru z wierszykiem, który znalazł w kryjówce Lilii.

- Co o tym myślisz?

Popowski przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu znalezisku.

- To na pewno jej pismo?

- Na sto procent.

- Mhm. Ten symbol... To ewidentnie znak Sług Lasu.

- To już wiem. Co w ogóle możesz mi o nich powiedzieć?

Popowski poprawił się na krześle i wziął duży łyk kawy.

- Mówiąc delikatnie, nie przepadamy tu za nimi w komendzie. Śledztwo w ich sprawie pochłonęło mnóstwo pieniędzy i czasu, a właściwie nie zbliżyło nas do nich ani na centymetr.

- Jak to w ogóle możliwe? - dopytywał Sambor.

- Gdybyśmy wiedzieli, już dawno mielibyśmy ich w garści. Moim zdaniem nie działali sami.

- To znaczy?

- Musieli mieć jakiegoś sprzymierzeńca na najwyższych szczeblach władzy, który skutecznie ich krył. Pewnie myślisz, że brnę w teorie spiskowe, ale naprawdę w to wierzę.

- Czyli twoim zdaniem to nie była sekta, tylko banda aktywistów?

- Możliwe, że to i to.

- A czy moja siostra była jedną z nich? Nie wierzę, że nikt jej o to nie podejrzewał po akcji w kościele...

Popowski wziął kolejny łyk, a następnie pochylił się i oparł łokcie na biurku.

- Wiele razy sprawdzaliśmy Lilię, ale nie znaleźliśmy dowodu na jej powiązanie ze Sługami Lasu. Aż do teraz. Ten świstek papieru wiele

zmienia. Musimy jeszcze raz dokładnie przeszukać chatę i cały ogród. Kto wie, może przegapiliśmy jakieś łakome kąski?

- No dobrze, a co z Szafrzańskim?

- Pojedziemy do niego po przeszukaniu. A potem do Krynickich. Jeśli mogę ci coś poradzić, to podchodź z dystansem do wszystkiego, co usłyszysz od jego żony i brata.

- Dlaczego?

- Nie wydają się wiarygodni. Czuję, że tak naprawdę nie zależy im na tym, by odnaleziono Artura.

- I dopiero teraz mi to mówisz?

- A niby kiedy miałem to zrobić? Dziś jest twój pierwszy dzień w nowej pracy. Wcześniej nie mogłem odśłaniać wszystkich kart.

- Nie zapędzałbym się tak z tą pracą... To, że ci pomagam, nie znaczy, że zamierzam wrócić do policji.

Popowski uśmiechnął się wymownie i odrzekł:

- Jeszcze się przekonamy. Polubiłem cię, Malczewski. A tak się składa, że brakuje nam pracowników. Jeśli się spiszesz, dopilnuję, byś zajął moje miejsce, gdy sam awansuję na komendanta.

- Ten świat należy do ambitnych, czyż nie?

- A żebyś wiedział - skwitował Popowski.

Sambor napił się kawy, po czym spytał:

- W takim razie po co Kryniccy zatrudniali pletwonurka miesiąc po zaginięciu Artura?

- Pytanie powinno brzmieć: dlaczego prywatny pletwonurek natrafił na zwłoki twojej siostry po paru godzinach poszukiwań w mętnej rzece, skoro nawet policijni pletwonurkowie ich nie znaleźli.

Sambor zmarszczył brwi i przez chwilę przyglądał się rozmówcy w milczeniu.

- Twoim zdaniem Kryniccy podrzucili tam ciało Lilii?

- To już daleko idąca hipoteza, ale nie ukrywam, że przeszła mi przez myśl.

- Tylko dlaczego Artur, lub ktoś z jego rodziny, miałby ją zabić?

- Teraz pytasz, a wczoraj przez telefon sam zasugerowałeś, że to mógł być Artur - zauważył Popowski.

- Pamiętam, ale zrobiłem to chyba bardziej z desperacji niż pod wpływem logicznych argumentów. Nadal uważam, że Artur miał więcej powodów, by nienawidzić swojego ojca niż Lilii. Ona tylko ujawniła jego skurwysyństwo. Zresztą nawet jeśli Krynicki zamordował Lilie, to po co uciekał ze wsi i rzucał na siebie podejrzenia? Nie byłoby rozsądniej, gdyby żył normalnie, nie dawał po sobie nic poznać i liczył, że nikt nigdy nie odnajdzie jej ciała?

Popowski wpatrywał się w Sambora z wymalowaną na twarzy satysfakcją.

- Mówisz jak rasowy śledczy. A do tego ten błysk w oku...

- Proszę cię...

- Witamy z powrotem, komisarzu Malczewski. To co, bierzemy się do roboty?

*

W trakcie żmudnego przeszukiwania terenu ojcowizny prokurator Ratajczyk i komisarz Popowski zostali pilnie wezwani do komendy. Sambor wykorzystał więc wolny czas na załatwienie formalności dotyczących pogrzebu Lilii. Proboszcz Guzdecki zaproponował, by uroczystość odbyła się za tydzień.

- Im szybciej, tym lepiej - rzucił zniechęcony Malczewski.

W drodze powrotnej do Gorzowa odebrał telefon od Judyty.

- Znaleźliście coś?

- Nie, ale na miejscu wciąż pracuje paru gliniarzy - wyjaśnił znajomej.

- I co dalej?

- Możliwe, że pod wieczór pojedziemy do Szafrąńskiego. Na razie wracam do hotelu. Prokurator i komisarz, z którymi współpracuję przy

śledztwie, są teraz zajęci, a nie chcę robić niczego bez ich wiedzy.

- Sambor Malczewski i posłuszeństwo? Nie takiego cię pamiętam. -
Judyta zaśmiała się do telefonu.

- Pomyliłaś mnie chyba z Bertem. To on zawsze namawiał mnie do łamania zasad.

- A ty nie umiałaś mu się sprzeciwić, więc w głębi duszy musiałeś chcieć tego samego.

- Jedyne, czego chciałem, to mieć przyjaciela - stwierdził Sambor, po czym zmienił temat: - To co, jedziesz z nami później do Szafrąńskiego?

- Raczej nie. Gospościa dzwoniła rano i powiedziała, że źle się czuje i nie przyjdzie.

- Twój mąż nie poradzi sobie w domu? - spytał z delikatnym uśmiechem Malczewski.

- Kornel i tak pewnie nie wróci przed północą. Mam więc na głowie cały dom. A jakby tego było mało, zaproponowałam Cyprianowi, że odbiorę go ze szkoły i zabiorę na pizzę. Wydaje mi się, że ostatnimi czasy coś go trapi. Chodzi jakiś przygnębiony, a gdy go pytam, czy ma jakiś problem, kłamie, że wszystko jest w porządku.

- Kiedy kończy zajęcia?

- O wpół do trzeciej.

- Świetnie. Zatem wpraszam się na kawę.

- Teraz?

- No a kiedy?

- Hm... Nie wiem, czy to dobry pomysł. Jeszcze Kornel się dowie, że spraszam obcych facetów pod jego nieobecność...

- Nie jestem obcy.

- Dla niego jesteś - zauważyła Judyta.

- Nawet jeśli, to niby kto miałby mu donieść o mojej wizycie? Mówiłaś, że gospościa dziś nie przyszła...

- No nie, ale jeszcze ktoś z sąsiadów cię zauważy i mu powie...

– Popadasz w paranoję, Wrona. Ale w porządku, możemy się umówić gdzieś na mieście. Znasz jakąś dobrą kawiarnię?

– Znam. Wyślę ci zaraz adres. Daj mi chwilę.

Pół minuty później Sambor odczytał SMS-a od Judyty.

„Mogę tam być za dwadzieścia minut” – odpisał jej.

„Ja za trzy kwadranse. Muszę przypudrować policzki”.

„Daruj sobie pudrowanie i przyjeżdżaj. Potrzebuję cię”.

„Tak szybko się stęskniłeś? W takim razie jak udało ci się wytrzymać beze mnie prawie trzydzieści lat?”

„Nie wnerwiał mnie, Wrona. Nudzę się i zaczynam rozmyślać o Lili i całej tej chorej sytuacji. Potrzebuję jakiegoś zajęcia”.

„Ech... A już zaczynało się robić romantycznie... Dobra, zbieram się”.

*

Po wejściu do kameralnej kawiarenki Sambor zajął miejsce przy stoliku w samym rogu i zamówił podwójne espresso.

– Łeb mi dziś chyba pęknie od nadmiaru kawy, ale co tam – rzucił do pracownicy.

– Może skusi się pan na coś słodkiego? Polecam ciasto malinowe z...

– Nie trzeba. Zaraz się widzę z taką jedną słodyczą – prychnął usatysfakcjonowany swoim niewyszukanym żartem. – W dodatku całkiem charakterną...

W oczekiwaniu na Judytę przeglądał najnowsze wydanie lokalnej gazety, którą kupił w drodze do kawiarni. Ku jego zaskoczeniu nie wspomniano w niej o Lili. Czyżby gorzowianie tak szybko znudzili się tematem wyłowionego z rzeki ciała? A może policja działała sprawniej, niż zakładał, i do mediów nie przeciekły informacje na temat śledztwa?

– Szybciej się nie dało? – spytał z wyrzutem Judytę chwilę po tym, jak wparowała zdyszana do lokalu.

- Daruj sobie. Tak pędziłam, że omal nie staranowałam jakiejś staruszki, która weszła na jezdnię na czerwonym świetle.

- Przynajmniej dostałaby nauczkę, że przepisów się przestrzega.

- O ile cokolwiek by z niej zostało.

- Widzę, że humor ci dopisuje – powiedział z rozbawieniem Sambor.

- Bardzo – odrzekła bez entuzjazmu Judyta. Następnie powiesiła na krześle ortalicionową kurtkę i zajęła miejsce po przeciwnej stronie stolika. – Od rana zamęczają mnie telefonami i mailami z redakcji. Mam już tego wszystkiego dość.

- Myślałem, że lubisz swoją pracę.

- Lubię, ale czasem bym to wszystko rzuciła i uciekła gdzieś daleko, gdzie nie ma zasięgu.

- Po co daleko? Zapraszam do Runowa – prychnął Sambor, po czym spytał: – Na pewno chcesz uciekać tylko od pracy...?

Judyta świdrowała rozmówcę wzrokiem.

- Wciąż tak samo wścibski.

- Trzeba było nie dawać mi wcześniej do zrozumienia, że masz męża palanta...

Rozmowę przerwała im kelnerka, która przyjęła od Judyty zamówienie. Gdy odeszła, Wrona zwróciła się do Sambora:

- Kornel zamęczał mnie wczoraj pytaniami, co tak długo robiłam poza domem. Doniosła mu nasza gospodyni. Głupia suka tańczy tak, jak jej zagra. Powinnam się była tego spodziewać.

- Co mu powiedziałaś?

- Skłamałam, że zbierałam materiały do nowego filmiku na kanale.

- Czyli zrobiłaś ze mnie swój mały sekret...

- Aż tak sobie nie schlebiaj – odparła Judyta. – Po prostu zaoszczędziłam sobie nerwów. Kornel... Powiedzmy, że ma problem z zazdrością. A gdyby się dowiedział, że odnowiłam kontakt z dawnym...

- urwała, na co Sambor wymownie się uśmiechnął.

- Czyli jednak sekrecik.

– Ani słowa więcej, Sami.

Malczewski zachichotał, po czym spytał:

– Czy on w ogóle wie o moim istnieniu?

– Chyba nie...

– „Chyba”?

– Mam na myśli to, że nawet jeśli kiedyś wspomniałam o przyjacielu z dzieciństwa, to nie sądzę, by utkwilo mu to w pamięci. Dobra, zmieńmy temat. Opowiedz o przeszukaniu.

*

Przed drugą Judyta odebrała telefon od redaktora naczelnego portalu Gorzów Non Stop.

– Noż kurwa – syknęła po zakończonej rozmowie.

– Co? Musisz jechać do biura?

– Tak. Grzesiek chce ze mną przegadać parę spraw. Oczywiście spotkanie online nie wchodzi w grę.

– Szef starej daty?

– Raczej skończony paranoik. Uważa, że giganci typu Google czy Meta nieustannie nas szpiegują i pewnego dnia wykorzystają przeciwko całej ludzkości zdobyte informacje. Tak jakby dyskusje na temat tego, czy na główną stronę dajemy artykuł o pijanej przedszkolance czy kločku pływającym w fontannie Pauckscha, miały jakieś znaczenie.

– I co teraz? Miałas jechać po syna...

– Nie zdążę. Biuro znajduje się na drugim końcu miasta. Zadzwoń do Cypriana i poproszę go, by wrócił sam. Najwyżej pójdziemy na pizzę innym razem.

– Długo potrwa to spotkanie z szefem?

Judyta w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Godzinę albo trochę dłużej... A czemu pytasz?

– Mógłbym odebrać Cypriana, poszwendać się z nim po mieście, a potem odwieźć go do domu.

- Eee... Ty tak na serio? Mam oddać syna w ręce kompletnie obcego faceta?

- A więc za takiego mnie uważasz?

- Chciałam powiedzieć: obcego mu faceta - sprecyzowała Judyta. - Poza tym przyznaj, że każdy rozsądny człowiek podchodziłby z dystansem do kogoś, z kim nie miał kontaktu prawie trzydzieści lat...

Sambor westchnął z wymalowaną na twarzy rezygnacją.

- Wrona, muszę mieć dziś jakieś zajęcie, bo inaczej dostanę pierdolca. Kolejna wizyta w ojcowiznie jeszcze bardziej zryła mi banię.

- Nie dość, że obcy, to jeszcze niestabilny emocjonalnie. I mam ci niby powierzyć jedyne dziecko?

Sambor zaczął, aż z twarzy Judyty zniknie teatralne zgorszenie. Wreszcie kobieta nie wytrzymała i uniosła delikatnie kąciki ust.

- To do której szkoły chodzi?

ROZDZIAŁ 18

Po piątej Judyta zajrzała do salonu i spostrzegła Sambora majstrującego przy nodze od sosnowego stołu, przy którym Surmowie jedli razem posiłki.

– Co ty robisz?

– Stół się chwia, więc pomyślałem, że go naprawię.

– A skąd wzięłeś narzędzia?

– Z pomieszczenia gospodarczego.

Judyta uniosła brwi.

– Węszyłeś bez pytania w moim domu?

Sambor odłożył narzędzia i podniósł się z podłogi.

– Już nie przesadzaj. Cyprian powiedział mi, gdzie co znajdzie.

– Mogłeś mnie spytać.

– Byłaś zajęta gotowaniem. Nie chciałem ci przeszkadzać.

– Mhm – mruknęła bez przekonania Judyta. – Kornel się wścieknie, że pozwoliłam innemu facetowi ruszać jego narzędzia.

– Myślę, że sam rzadko ich używa – odrzekł, rozglądając się z wymownym uśmiechem po wnętrzu. – Chwiejący się stół to wierzchołek góry lodowej. Twój mężulek myślał, że wystarczy sypanąć mamoną, ale jeśli już się porywa na luksus, to powinien o ten luksus dbać.

– Odezwał się ekspert od luksusu – rzuciła z teatralną opryskliwością Judyta.

– A żebyś wiedziała. W moim domu nigdy nic się nie chwiało i nie skrzypiało.

Na wspomnienie zlokalizowanej na obrzeżach Zgorzelca dwustumetrowej posiadłości z wielkim ogrodem Sambor wzdrygnął się i poczuł łomotanie serca. Miejsce, które osobiście dopieścił

w najmniejszym szczególe i które z dumą nazywał swoim azylem, zamieszkiwała teraz rodzina pewnego biznesmena z Niemiec. Kupiec był pod tak dużym wrażeniem nieruchomości, że nie negocjował nawet ceny. Finalnie Sambor odrobił z nawiązką koszty inwestycji. Ogromna suma spoczywała na jego koncie oszczędnościowym, generując co miesiąc pokaźne odsetki. Ciężka praca i mądre decyzje Malczewskiego przyniosły efekt: nie musiał się martwić o pieniądze i mógł prowadzić wygodne, beztróskie życie. Tylko co to za życie, gdy nie ma się nikogo, z kim mogłoby się dzielić tę beztróskę?

Widząc malujące się na twarzy rozmówcy zmieszanie, Judyta postanowiła zmienić temat. W tym celu przymknęła za sobą drzwi, podeszła do Sambora i spytała szeptem:

– I co możesz mi powiedzieć o Cyprianie?

– W sensie?

– No, zauważyłeś coś dziwnego w jego zachowaniu?

– Właściwie to niewiele rozmawialiśmy. Od razu po wejściu do samochodu założył słuchawki na uszy. Przed wejściem spytał jedynie, czy go nie wywiozę za miasto i nie zabiję. Pogroził mi, że ma przy sobie gaz pieprzowy i włączony lokalizator w telefonie.

– Cały Cyprian – prychnęła Judyta.

– Moim zdaniem bardzo dobrze się zachował. W dzisiejszych czasach trzeba mieć oczy dookoła głowy i patrzeć każdemu na ręce.

– Ile jeszcze razy będziesz mnie utwierdzał w przekonaniu, że zachowałam się nierozważnie, wpuszczając cię do domu i powierzając ci moje jedyne dziecko?

– Akurat mi możesz zaufać. Zawsze mogłaś.

– Ehe. Czy nie tak powiedziałyby każdy złoczyńca? – Judyta wymownie puściła do Sambora oko, po czym zaproponowała mu obiad.

– Nie jestem głodny. Poza tym niedługo muszę jechać do Runowa. Prokurator wysłał mi SMS-a. Szafrąński zgodził się z nami spotkać o wpół do siódmej.

- Wybacz, ale nie będę mogła z tobą pojechać. Odezwiiesz się, jak już skończycie?

- Dobra - odpowiedział Sambor, po czym przeniósł wzrok na stół. - Ale zanim wyjdę, dokończę robotę. Nic mnie tak nie wkurwia jak chwiejący się stół. W ogóle nic mnie tak nie wkurwia jak totalna fuszerka.

- Skoro tak bardzo nalegasz. - Judyta się uśmiechnęła. - Aha, Sambor...

- No?

- Nie chcę cię zamęczać swoimi problemami, bo masz na głowie własne, ale nie mam się do kogo zwrócić w pewnej sprawie...

- Wal śmiało.

- Od dłuższego czasu podejrzewam, że Cyprian ma problemy w szkole.

- Prosisz, bym go podszkolił z matmy? Zapomnij.

- Miałam raczej na myśli problemy z rówieśnikami. - Judyta opowiedziała następnie Samborowi o wyraźnej zmianie w zachowaniu syna, która nastąpiła w ostatnich miesiącach, a także siniakach, które kilka razy zaobserwowała na jego ciele. - Cyprian wszystkiego się wypiera i twierdzi, że nabawił się ich na wuefie. Czuję jednak, że chodzi o coś poważniejszego. Coraz częściej wymiguje się od szkoły, symulując chorobę, a gdy już uda mi się go zmusić, by wyszedł, i tak odkrywam później, że urządził sobie wagary. Na pewno nie chodzi o oceny, bo te ma dobre.

- Co na to Kornel?

- Właśnie, Kornel - westchnęła z rezygnacją Judyta. - Gdy ostatnio z nim o tym rozmawiałam, zabronił mi reagować. Twierdzi, że Cyprian musi sobie sam radzić w takich sytuacjach, jeśli chce wyrosnąć na silnego i zaradnego mężczyznę.

- Ja pierdziele, twój mąż to kawał toksycznego gnoja - skomentował ze zgorzeniem Sambor. - Sorry, ale taka prawda.

W odpowiedzi Judyta rozłożyła ręce.

– Ty to powiedziałaś.

– Okej, to co proponujesz? Mogę odebrać Cypriana parę razy ze szkoły. Spróbuję wybadać sytuację. Może zauważę coś podejrzanego.

– Naprawdę mógłbyś to dla mnie zrobić? – spytała nieśmiało Judyta.

– Biorąc pod uwagę to, że desperacko muszę się czymś zająć, to twoja prośba spadła mi z nieba.

– Dzięki, Sambor. I jeszcze raz przepraszam, że mieszam cię w moje prywatne sprawy.

– Luz, Wrona. Wielu facetów to egoistyczne gnoje, które nie potrafią zadbać o tych, którzy najbardziej na nich liczą. Coś o tym wiem...

*

Po szóstej Judyta wręczyła Samborowi zawiniętą w folię aluminiową kanapkę.

– Masz. Jeśli mam mieć z ciebie pożytek, to nie pozwolę, byś umarł z głodu. I nie myśl sobie, że następnym razem wymigasz się od obiadu.

– Kogoś mi przypominasz, Wrona...

– Błagam, tylko nie mów, że jakąś zakochaną w tobie do szaleństwa biedaczkę, która codziennie gotowała ci obiady, a koniec końców i tak kopnąłeś ją w dupę.

Sambor zdusił rechot, po czym odrzekł:

– Trochę zbyt dramatycznie to przedstawiłaś.

Następnie włożył skórzaną kurtkę i ruszył ku drzwiom. Zanim wyszedł, Judyta zbliżyła się do niego i powiedziała poważnym tonem:

– Nie jestem desperatką, Sami. Fakt, moje małżeństwo nie jest idealne, ale to nie znaczy, że szukam odskoczni.

– Szkoda, bo ja tak – odrzekł żartobliwie Malczewski.

– Głupek! – Judyta szturchnęła go lekko.

– No co? Spójrz na to w ten sposób: skoro już spotkaliśmy się po tylu latach rozłąki, to chyba głupio byłoby znowu stracić kontakt?

– Coś w tym jest. Ale wiedz, że będę ci patrzeć na ręce. To, że kiedyś miałam do ciebie słabość, nie znaczy, że teraz będę ci ślepo ufać. Najpierw muszę się upewnić, że wciąż masz w sobie wystarczająco wiele z tamtego Sambora. A potem pomyślimy.

– Czyli proponujesz mi przyjaźń?

– Przyjaźń to za duże słowo. Raczej serdeczną znajomość.

Sambor mimowolnie uniósł kąciki ust.

– Dotychczas to ja zbywałem w ten sposób kobiety. Pierwszy raz rolę się odwróciły. I muszę przyznać, że cholernie mnie to kręci.

Słyszając to, Judyta przewróciła oczami.

– Na razie, Sami.

*

Wkrótce Sambor zatrzymał się przed wysokim drewnianym płotem, za którym rozciągał się okazały, nowoczesny dom z wielkimi, zasłoniętymi oknami i długim, biegnącym przez całe piętro balkonem. Zanim zdążył podejść do furtki, w głównych drzwiach stanął Konrad Szafrąński. Rudowłosy mężczyzna ubrany był w zgniłozielony sweter w serek i eleganckie szare spodnie. Prezentował się bardziej oficjalnie niż wtedy, przed Dusznym Barem, gdy miał na sobie luźny dres i bejsbolówkę.

– Zapraszam – powiedział, po czym wcisnął przycisk otwierający furtkę i ruszył ku swojemu gościowi z wyciągniętą ręką. – Malczewski, prawda? Minęliśmy się ostatnio, ale nie poznałem cię. Kopę lat...

Sambora zdziwił bezpośredni ton Szafrąńskiego. Wprawdzie dzieliło ich tylko kilka lat, ale w przeszłości nie mieli żadnej relacji. Mieszkali w tej samej wsi i wiedzieli o swoim istnieniu. I nic więcej.

– Dzięki, że zgodziłeś się spotkać – odrzekł.

– A miałem jakieś wyjście? – zaśmiał się Szafrąński, po czym momentalnie ułożył usta w poziomą linię i dodał: – Moje kondolencje z powodu...

– Tak, tak – przerwał mu Sambor i przeniósł wzrok na dom. – Ładna chata. A co z ojcowizną? O ile dobrze pamiętam, mieszkałeś nieopodal kościoła...

– Rodzice sprzedali dom i działkę parę lat po wyprowadzce, gdy już ułożyliśmy sobie życie w Lublinie. A gdzie twoi towarzysze? Zdaje się, że miał być jeszcze...

– Prokurator Ratajczyk i komisarz Popowski. Z tego, co mi wiadomo, są już w drodze.

Na twarzy Szafrąńskiego ponownie zagościło rozbawienie.

– Zanosi się na ciekawy wieczór. Powiniennem spakować szczoteczkę do zębów i piżamę na wypadek aresztowania?

– To zależy, czy wiesz, że masz coś na sumieniu w sprawie mojej siostry – odpowiedział Sambor, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie.

– Podobno jesteś policjantem...

– Byłem – poprawił go Malczewski.

– Tak czy siak, na pewno wiesz, jak działają służby. Jeśli się kogoś bardzo chce za coś upierdzielić, to zawsze znajdzie się powód. A tak się składa, że niejedna osoba ucieszyłaby się, widząc mnie za kratami. Zresztą nie stójmy tu tak. Wejdz.

Przez kolejne minuty Konrad oprowadzał gościa po przytulnych, utrzymanych w skandynawskim stylu pomieszczeniach. Dominowały w nim barwy bieli i szarości, a podłogi i meble wykonane były z jasnego drewna. Sambora nie dziwiło to, że człowiek, któremu zależało na sympatii ludu, zdecydował się na tak skromną aranżację wnętrza czy że miał starego forda, a nie złote porsche. Ewidentnie dbał o wizerunek i dobrze mu to wychodziło.

W pewnym momencie Szafrąński zaczął temat rodziny i brata:

– Poza Piotrem nie mam nikogo. Byłem kiedyś żonaty, ale moja partnerka nie wytrzymała tego, że poświęcam bratu tyle czasu. Jak to powiedziała w trakcie rozwodu, czuła się tak, jakby żyła w trójkącie. A ty się ustatkowałeś?

– To długa historia. Nie chcę o tym mówić – zbył go Sambor.

Konrad nie dociekał. Zamiast tego zaproponował, że przedstawi mu brata.

– Jest w swoim pokoju. Wieczorami zwykle relaksuje się przy muzyce klasycznej lub dźwiękach lasu. Między innymi dlatego tu z nim wróciłem. Pewnie słyszałeś o jego niepełnosprawności...

– Coś tam słyszałem.

– Ludzie mają mnie za naiwniaka, ale ja naprawdę wierzę, że powrót do domu mu pomoże. Codziennie zabieram go na spacer po ogrodzie. Piotr uwielbia siedzieć z twarzą zwróconą w stronę lasu i nasłuchiwać śpiewu ptaków. Kojarzą mu się z dzieciństwem. – W jego głosie słychać było tęsknotę za przeszłością.

– Hm... Raczej nie chciałbym mu przeszkadzać.

– Spokojnie, Piotr zawsze się cieszy na widok gości. Może dlatego, że tak rzadko ich miewa. Ma niską odporność, dlatego zwykle nie dopuszczam do niego ludzi.

– Tym bardziej wolałbym nie ryzykować, że...

– Nic mu nie będzie. Zapraszam. – Konrad zaprowadził go do pokoju na końcu korytarza i otworzył drzwi. – Piotruś, masz gościa.

Sambor niechętnie stanął w przejściu i ujrzał siedzącego w wózku łysego mężczyznę z licznymi bliznami od czubka głowy aż po szyję. Przechylał mocno w lewo głowę i wyraźnie się krzywił. Jego łokcie spoczywały na oparciach, przy czym prawa dłoń była nienaturalnie wykrzywiona spodem do zewnętrznej strony.

– Dzień dobry – przywitał się niepewnie Sambor, patrząc pytająco na Konrada. Ten odczekał parę sekund i rzekł:

– Piotr odpowiada tym samym.

– Hę?

– Opracowaliśmy sposób komunikacji za pomocą mrugnięć oczami. Dzięki temu wiem na przykład, kiedy Piotr jest głodny albo kiedy go coś boli.

- Sprytnie - skomentował Sambor, po czym wyjął z kieszeni dzinsów wibrujący telefon. - Oho, dzwoni komisarz - dodał z niekrytą ulgą w głosie. Miał już dość ckiego teatryku w wykonaniu Szafrńskiego. Dobrze znał takich jak on i wiedział, że pod maską dobrodusności skrywały się wyrachowanie i brak jakichkolwiek skrupułów. A traktowany niczym zwierzę na wybiegu brat stanowił tego najlepszy dowód.

ROZDZIAŁ 19

Przez następne pół godziny Sambor przy wsparciu Ratajczyka i Popowskiego wypytywał go o wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z Lilią lub Arturem Krynickim. Szafrański już na wstępie wyjawiał im, że wbrew plotkom nie miał romansu z Lilią:

- Przyznaję, jeździłem do niej, ale to dlatego, że chciałem kupić od niej ziemię. Od dłuższego czasu pracuję przy pewnym ogromnym przedsięwzięciu...

- Jakim przedsięwzięciu? - spytał go prokurator.

- Powiem panom, tylko proszę o dyskrecję, bo nie podawaliśmy na razie tej informacji do przestrzeni publicznej. - Gdy cała trójka skinęła głowami, Szafrański dopił whisky ze szklanki i kontynuował: - Chodzi o projekt wielkiego kompleksu wypoczynkowo-inwestycyjnego, do którego ściągaliby turyści z całej Polski i Niemiec. Mamy w planach wybudowanie dwóch hoteli, aquaparku i osiedla domków na wynajem. A wszystko w sąsiedztwie puszczy, jezior. Tylko pomyślcie, ile zyskałby na tym nasz region.

- Powiedział pan „my”. Węgrzyn też w tym uczestniczy, prawda? - odezwał się Popowski.

- Wiem, do czego pan zmierza, komisarzu. Zapewniam pana, że nie działamy poza prawem.

- W takim razie skąd ta dyskrecja? - spytał z wymownym uśmiechem Sambor.

Szafrański zgarnął ze stołu butelkę whisky i nalał sobie trunku do połowy szklanki.

- Właśnie ze względu na takie aluzje. Woleliśmy najpierw po cichu zorientować się, czy takie przedsięwzięcie miałyby w ogóle rację bytu. To dlatego osobiście jeździłem do Lilii i próbowałem ją namówić na

sprzedaż działki. Tak się składa, że w tamtej okolicy – przeniósł wzrok na Sambora – poza waszym domem nie ma żadnego innego. O ile zakup pustych terenów graniczących z lasem nie stanowiłyby problemu...

– O tyle trudniej było wykurzyć moją siostrę – dopowiedział za niego Malczewski.

– Nie nazwałbym tego wykurzeniem. Proponowałem jej uczciwą stawkę. Lilia była twardą negocjatorką, stąd kilka wizyt. Za każdym razem przyjeżdżałem z korzystniejszą dla niej propozycją, ale ciągle chciała więcej.

– Dlaczego się pokłóciliście? Widziała was koleżanka Lili.

Szafrąński wziął łyk whisky. Następnie odczekał chwilę i powiedział do Sambora:

– Twoja siostra postawiła mi niemożliwy do spełnienia warunek.

– Jaki?

Konrad odstawił szklanekę, oparł się o krzesło i skrzyżował ręce na piersiach.

– A jak myślisz? Chciała mnie.

Pozostała trójka spojrzała po sobie.

– Proponowała ci seks? – dopytywał Sambor.

– Tak zinterpretowałem podniesienie przez nią koszulki i zaświecenie cycami – prychnął gospodarz.

– Dlaczego nikomu pan tego nie zgłosił? – odezwał się Popowski.

– A niby z jakiej racji? Przecież dobieranie się do kogoś nie jest przestępstwem.

– Każda informacja w sprawie Lili jest cenna dla śledztwa.

– Śledztwo dopiero co ruszyło, komisarzu – zauważył Szafrąński. – Proszę nie oczekiwać, że nagle cała wieś zleci się do komendy i powie wszystko, co wie o Lili. – Następnie spojrzął na Sambora i dorzucił: – Przykro mi, że to mówię, ale twoja siostra była mocno niezrównoważona. Wiele osób mnie przed nią ostrzegało, ale nie chciałem im wierzyć. Pamiętam, że zanim odjechałem, rzuciła na mnie

jakaś klątwę i straszyla zemstą lasu. Pewnie to samo mówiła wszystkim mężczyznom, których próbowała uwieść.

- A jeśli wcale nie chodziło o gniew wynikający z odrzucenia? - zasugerował Malczewski.

- Co ma pan na myśli? - spytał go prokurator.

- Z tego, co mi wiadomo, parę lat temu próbowano postawić w tej okolicy kilka luksusowych hoteli. Za każdym razem wycofywano się z inwestycji pod naciskiem Sług Lasu.

Szafrąński przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Do czego zmierzasz?

- Co wiesz o Sługach? - odpowiedział pytaniem na pytanie Sambor.

- W sumie to tylko to, co przeczytaliśmy w internecie i gazetach. Choć przynajmniej mieliśmy na względzie ich działania sabotażowe, gdy opracowywaliśmy wstępny plan.

- To ciekawe, bo przecież od dłuższego czasu nikt o nich nie słyszał... Po co się nimi przejmować?

- Nie twierdzą, że się przejmowaliśmy, ale choćby ze względu na projekt, o którym wspominałeś, i jeszcze kilka innych, o których swego czasu było głośno, musieliśmy być przygotowani na ewentualny atak z ich strony. Co nie znaczy, że się ich baliśmy. - Szafrąński upił whisky i spytał: - Dlaczego w ogóle o nich rozmawiamy?

- Niech pomyślę... Może dlatego, że moim zdaniem od początku ciśniesz z nas wała? - Sambor objął następnie wzrokiem prokuratora i komisarza i wyjaśnił: - Pewnie pomyślicie, że ponosi mnie fantazja, ale coraz bardziej wierzę, że Lilia należała do Sług Lasu. I nie zdziwię się, jeśli ty i Węgrzyn - ponownie spojrzął na Szafrąńskiego - wiecie na ten temat więcej, niż ktokolwiek przypuszcza.

Konrad zmarszczył brwi i przez kilka sekund w milczeniu wpatrywał się w Sambora. A potem parsknął śmiechem i przyłożył do ust szklanekę whisky.

- Właśnie to miałem na myśli, gdy ci mówiłem, że jeśli ktoś bardzo chce coś na kogoś znaleźć, to zawsze znajdzie.

- Nie mam żadnego personalnego powodu, by chcieć cię za wszelką cenę w to wmieszać. Ja po prostu czuję, że łiesz jak pies. - Widząc coraz mocniej odznaczającą się na czole Szafrąńskiego żyłę, usatysfakcjonowany wypracowaną przewagą Sambor przysunął się do stołu, oparł na nim łokcie i kontynuował szarżę: - Twierdzisz, że przez długi czas próbowałeś przekonać Lilię do sprzedaży działki, ale gdyby naprawdę ci zależało na tym skrawku ziemi, to w przypadku odmowy z jej strony skontaktowałbyś się ze mną. Co taki zdziwiony? Nie pofatygowałeś się nawet, by sprawdzić w księdze wieczystej, do kogo należy działka? Tak się składa, że odziedziczyliśmy z Lilią spadek po równo, a ja nigdy nie zrzekłem się swojej połowy. Po prostu wyjechałem i zostawiłem ojcowiznę pod opieką Lili.

Czując na sobie spojrzenia całej trójki, Szafrąński wyprostował się i odrzekł:

- Twoja siostra była na miejscu, więc z oczywistych względów najpierw skontaktowaliśmy się z nią...

- No nie wiem, czy takich oczywistych, biorąc pod uwagę jej reputację - nie odpuszczał Sambor. - Ciężko mi uwierzyć, że woleliście się szarpać z lokalną wariatką niż dogadać się ze mną za jej plecami i postawić ją przed faktem dokonanym.

- Zamierzaliśmy się z tobą skontaktować, gdy Lilia dała nam jasno do zrozumienia, że...

- Od tamtej pory minął ponad miesiąc. Jakoś długo się zbieraliście - punktował Konrada, którego twarz przybierała coraz mocniejszy buraczany kolor.

- To dlatego, że w międzyczasie napotkaliśmy kilka trudności, które najpierw trzeba było rozwiązać - powiedział po tym, jak dopił zawartość szklanki.

- Dobry jesteś w wymyślaniu na poczekaniu wymówek.

Tymczasem prokurator podniósł się z krzesła i spojrzął na rozmówców z góry.

- Domyślam się, do czego pan zmierza, ale chcę to usłyszeć od pana - zwrócił się do Malczewskiego, masując się po łysej głowie.

- Moja teoria jest taka, że Konrad nie pojechał do Lili, by z nią negocjować kupno działki, tylko by nie doprowadzić do reaktywacji Sług Lasu. On, Węgrzyn i pewnie wielu innych biznesmenów zaangażowanych w ten projekt chciało przypomnieć Lili i jej kompanom, że słono zapłacą za próbę sabotażu.

Słyszając to, lekko podpity Szafrąński zdusił śmiech.

- Musicie być w niezłej dupie ze śledztwem, skoro wyskakujesz z czymś takim...

- Czyżby? To jak wytłumaczysz historię z Globcomfortem?

- Tym hotelem?

- Nie „tym hotelem”, tylko hotelem należącym do spółki Brickpol, w której twój kumpel Węgrzyn jest jednym z głównych udziałowców. Wszystko dokładnie sprawdziłem. Parę lat temu Słudzy Lasu skutecznie zablokowali jego budowę, a spółce groziły wielomilionowe straty. Jakiś czas później Słudzy znacznie ograniczyli swoją działalność, a w pewnym momencie praktycznie zapadli się pod ziemię. I nagle, kilkanaście kilometrów od pierwotnie zakładanej lokalizacji, rozpoczęto budowę hotelu Globcomfort.

- Co w tym dziwnego? Chuligani odpuścili, więc to chyba normalne, że wznowiono budowę? Nie było sensu dłużej czekać...

- Sęk w tym, że w ogóle nie czekano - odparł Sambor, po czym zerknął na wpatrującego się w niego z zaciekawieniem prokuratora. - Dotarłem do artykułu na portalu Gorzów Non Stop zatytułowanego *Pół roku bez Sług*. Wspomniano w nim o ostatniej przypisywanej im akcji. Co ciekawe, już tydzień później pierwsze koparki przyjechały na plac budowy Globcomfortu. Albo Brickpol postanowił iść na czołowe zderzenie ze Sługami, albo skutecznie ich wyciszył.

– Myśli pan, że Lilia planowała reaktywację Sług? – spytał Sambora prokurator.

– To zależy od jej pozycji w hierarchii, zakładając rzecz jasna, że była jej członkiem. Natomiast dopuszczam też możliwość, że w obliczu przekupienia najważniejszych Sług lub rozbitcia całej organizacji Lilia mogła chcieć utworzyć coś własnego. A ty dostałeś zadanie, by zdusić jej zapędy – powiedział do Konrada Sambora.

– Jak się pan do tego ustosunkuje? – spytał gospodarza prokurator.

Wtedy Szafranski wziął do ręki butelkę whisky, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed napełnieniem szklanki.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z siostrą? – spytał Sambora, siłąc się na cwaniacki uśmieszek. Jego oczy i buraczana twarz zdradzały jednak duże zdenerwowanie.

– A co to ma do rzeczy?

– Z tego, co mi wiadomo, nie utrzymywaliście ze sobą kontaktu. Tymczasem pierdolisz na jej temat tyle, jakbyś wiedział o niej wszystko.

– Po tych słowach wyciągnął przed siebie ręce nadgarstkami do góry. – Może od razu mnie aresztujcie?

– Panie Szafranski... – Prokurator pokręcił głową, przyglądając mu się z politowaniem. – Próbujemy tylko ustalić przyczyny śmierci Lilii Malczewskiej.

– Oskarżając mnie o jej morderstwo – dopowiedział Konrad. – No dalej, skujcie mnie. Przecież i tak już wydaliście wyrok.

– A zatem nie przyznajesz się do winy – odezwał się Sambora, który ani na moment nie spuszczał z niego wzroku.

– Pytasz, czy zabiłem Lilię? Chyba cię pojebało – odparł znacznie bardziej agresywnym tonem Szafranski. Z jego twarzy zniknęła serdeczność. – Nie wiem też nic o jej powiązaniach ze Sługami. Zresztą nawet jeśli była jedną z nich, to chyba nie myślisz, że ktokolwiek się aż tak nimi przejmował? – Widząc uniesione brwi Sambora, wyjaśnił: – Człowieku, jakaś banda pierdolniętych aktywistów nie ma aż takiej mocy, by doprowadzić do wstrzymania lub anulowania

wielomilionowej inwestycji. Nie ma znaczenia, że narobiliby szumu i ewentualnie namazali graffiti na ścianach budynków. Decyzja o wstrzymaniu budowy Globcomfortu nie miała z nimi nic wspólnego.

- A z czym? - spytał Popowski.

- Tego nie mogę powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica biznesowa. Mogę jedynie zdradzić, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o kasę. - Zrobił krótką pauzę, po której dodał: - Jeszcze jakieś pytania? Bo jak nie, to żegnam. Muszę przygotować brata do snu.

- Dziękujemy za poświęcony czas. Będziemy w kontakcie - powiedział do niego przed wyjściem prokurator Ratajczyk.

- Yhy. - Szafranski zaczekał, aż przekroczą próg, i zatrzasnął drzwi.

- A taki był na początku miły. Już myślałem, że uda mu się dotrzeć do samego końca - skomentował jego zachowanie komisarz, po czym zwrócił się do Sambora: - Pięknie wyprowadziłeś go z równowagi.

- O to chodziło.

- No nie wiem... Moim zdaniem niepotrzebnie wyjawiliście mu teorię.

- Ja tam uważam, że dobrze się stało - stwierdził prokurator. - Niby śledztwo dopiero ruszyło, ale tak naprawdę jesteśmy ponad miesiąc w plecy. Potrzebujemy na już punktu zaczepienia. Właśnie dlatego nie ma się co bawić w podchody, tylko precyzyjnie uderzać w cel. Świetna robota, panie Malczewski. Spłoszony Szafranski może popełnić błąd. Musimy mieć na niego oko od rana do nocy. Komisarzu, znajdzie pan ludzi do jego śledzenia?

- Spróbuję, ale nie mogę nic obiecać. Mamy braki w komendzie, a obecny personel i tak jest już przeładowany obowiązkami. Jeszcze tego brakuje, by kolejni pracownicy rzucili wypowiedzenie.

- Proszę coś wymyślić. Kluczowe będą najbliższe dni - naciskał Ratajczyk.

- Ja mogę obserwować Szafranskiego. Przynajmniej do czasu, aż nie uda się kogoś znaleźć - zaferował się Sambor. - I tak nie mam nic innego do roboty.

- W porządku. Tylko proszę być ostrożnym - poradził mu prokurator.

- O to niech się pan nie martwi. Przepracowałem w policji piętnaście lat i śledziłem już niejednego skurwysyna. Poza tym znam kogoś, kto ewentualnie mógłby mi pomóc...

*

Kwadrans przed północą Sambor siedział za kierownicą wynajętego peugeota i obserwował przez lornetkę z noktowizorem posiadłość Szafrąńskiego. Gospodarz od blisko godziny rozmawiał przez telefon, a jego sylwetka co chwilę pojawiała się w jedynym odsłoniętym oknie.

- Sami, nie możesz do mnie dzwonić o tej porze - powiedziała szeptem Judyta.

- Dlaczego? Wspominałaś, że Kornel wróci z roboty dopiero po północy.

- Tak, ale nie chcę zbudzić Cypriana.

- Daj spokój. Macie tak wielki dom, że moglibyście w nim prowadzić dwie oddzielne dyskoteki.

- Już nie przesadzaj. To o co chodzi? Zauważyłeś coś podejrzanego?

- Nie, Szafrąński gada z kimś przez telefon. Cholera, trzeba było od razu podrzucić mu podsłuch.

- W takim razie dlaczego dzwonisz? Wybudziłeś mnie z drzemki...

- A tak po prostu... Przyda mi się towarzystwo w ten nudny wieczór.

- Wybacz, ale ja ci go dziś nie dotrzymam. Zawsze możesz zadzwonić na sekstelefon.

- No patrz, że też sam na to nie wpadłem! Wrona...

- Hm?

- Na pewno nie chcesz mi pomóc w śledzeniu Szafrąńskiego?

- Nie chodzi o to, że nie chcę. Mam rodzinę i pracę, które pochłaniają mój czas - wyjaśniła Judyta. - No, chyba że...

- Że co?

– Chyba że przyznasz, iż się stęskniłeś. – Po jej tonie głosu Sambor wniósł, że powiedziała to z szerokim uśmiechem.

– A ty znowu o tym – westchnął do telefonu, po czym spytał: – Pojedziesz ze mną jutro do Krynickich?

– O której?

– Nie wiem. Nie kontaktowałem się z nimi. Może koło południa? Najpierw jednak muszę się spotkać z gliniarzem, który prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia Krynickiego.

Po drugiej stronie zapadło kilkusekundowe milczenie, po którym Judyta odrzekła:

– Mogę zrobić sobie okienko między pierwszą a trzecią. Później muszę odebrać Cypriana ze szkoły.

– Znowu?

– Tak. Postanowiłam, że przez kilka najbliższych tygodni będę go odbierała codziennie, o ile dam radę.

– Wrona, co się dzieje? – spytał Sambor, którego zaskoczyła nagle zmiana tonu jej głosu na smutny i poważny.

– Sami, to nie temat na teraz. Masz zadanie do wykonania, nie powinieś się rozpraszać moimi problemami.

– Kisnę z nudów w ciasnym, cuchnącym rzęchu, który wynająłem dla niepoznaki, i zastanawiam się, czy plama na siedzeniu to ślad po zaschniętej spermie jakiegoś bezdomnego, a ty mi mówisz o rozpraszaniu się? Już bardziej nie dam rady być rozproszony... Gadaj.

– Nie odpuścisz, co?

– Odpuściłem, gdy pozwoliłem ci spierdolić do Wrocławia. Koniec z tym – zadeklarował Sambor.

– Oho, jaki groźny – prychnęła do telefonu Judyta, po czym wyjawiała: – Jakies dwie godziny temu Cyprian dostał strasznego ataku paniki. Biegał po domu jak opętany i krzyczał, że nie wie, kim jest ani czy w ogóle istnieje.

Sambor doskonale znał ten stan. Doświadczał go regularnie przez prawie trzy lata. Dopiero w ostatnich miesiącach udało mu się nieco okiełznać dewastujące umysł ataki. Zastanawiał się, na ile była to zasługa jego silnej woli, a na ile alkoholu. Bo jeśli tego drugiego, to wpadł z deszczu pod rynnę.

– Przytrafiało mu się to już wcześniej?

– Parę razy w ciągu ostatniego roku, ale jeszcze nigdy nie widziałam, by aż tak histeryzował. Mówiłam do niego, przytulałam go i próbowałam uspokoić, ale on jakby mnie nie poznawał...

– Klasyczny przypadek nerwicy lękowej – ocenił Sambor. – Wspominałaś, że ma problem z rówieśnikami...

– Tak, i chyba powinnam w końcu pójść w tej sprawie do wychowawczynie. Nie mogę patrzeć, jak mój syn cierpi.

– Dobry pomysł.

– Słuchaj, kończę, bo Kornel chyba wrócił. – Judyta odczekała chwilę i dodała: – Tak, właśnie wjechał na posesję.

– Miło z jego strony, że przyspieszył przyjazd do stęsknionej żony – powiedział z nutą ironii w głosie Sambor. – Zatem dobranoc, Wrona. I daj mi koniecznie znać, jak poszła rozmowa z wychowawczynią.

– Jasne. Sami...

– Hm?

– Gdyby Cyprian coś sobie zrobił... Wiesz, jak wielu młodych ludzi w dzisiejszych czasach się samookalecza? A ilu decyduje się na jeszcze bardziej radykalne kroki, bo nie widzi innego sposobu na poradzenie sobie z depresją? Nic nie przeraża mnie bardziej niż przeżycie własnego dziecka. Chyba bym tego nie udźwignęła... Jesteś tam, Sami?

– Dobranoc, Wrona – odpowiedział po chwili Malczewski. Następnie w pośpiechu się rozłączył i zaklął pod nosem. A potem włożył do uszu bezprzewodowe słuchawki i otworzył w smartfonie playlistę z deathmetalowymi kawałkami.

Przez kolejną godzinę katował się puszczanymi na cały głos agresywnymi utworami, zagryzając mocno dolną wargę i drapiąc się po przedramionach. Ze wszystkich sił odpychał od siebie wspomnienia Karoliny i Mileny.

- Kurwa, kurwa, kurwa - zawarczał, gdy w pewnym momencie przed oczami roztoczyła mu się gęsta mgła, z której wyłoniły się żona i córka. Obie szeroko się uśmiechały i trzymały za ręce. Sambor oddałby absolutnie wszystko, by móc choć na chwilę do nich dołączyć. Wystarczyłoby kilka minut, w trakcie których powiedziałby im wszystko to, czego nie zdążył powiedzieć. - Przepraszam - rzekł łamiącym się głosem, wyciągając ku nim rękę. Był tak blisko, już prawie ich dotykał... I wtedy kąciki ich ust gwałtownie opadły. Karolina zmierzyła męża surowym wzrokiem i przysunęła do siebie Milenę. - Zaczekajcie! - zawołał Sambor, ale zanim zdążył do nich dobiec, te odwróciły się od niego i błyskawicznie oddaliły. - Nie! Stójcie! Kurwaaa! - Załamany Sambor zacisnął pięści i uderzył nimi jednocześnie o kierownicę. A potem zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek i wsłuchał się w dudniącą mu w głowie muzykę.

ROZDZIAŁ 20

O dziewiątej niewyspany i zdenerwowany Sambor wszedł do budynku komendy w Gorzowie. Udał się prosto do gabinetu komisarza Popowskiego.

– Tak, wiem, że wyglądam jak gówno. I tak się czuję.

Popowski bez pośpiechu dopił kawę i odrzekł:

– W takim razie muszę czym prędzej znaleźć kogoś, kto cię wyręczy w obserwowaniu Szafrąńskiego.

– Podważasz moje kompetencje? – spytał podejrzliwie gość.

Komisarz oparł łokcie o biurko i spojrzał mu prosto w oczy.

– Kiedy ostatnio przespałeś całą noc?

– A jakie to ma znaczenie?

– Eee, pomyślmy... Kluczowe? Potrzebuję gliny, który jest zwarty i gotowy. Na co mi chodzące zombie?

Sambor przejechał palcami po szorstkim policzku.

– A mówią, że zmarszczki dodają mężczyznom urody.

Po krótkich przekomarzaniach komisarz zaprowadził Sambora do gabinetu podkomisarza Ernesta Okońskiego. Krępy, gęsto zarośnięty na twarzy brunet z włosami spiętymi w kucyk podzielił się z nimi najważniejszymi informacjami uzyskanymi w toku śledztwa. Udało mu się między innymi ustalić, że Artur Krynicki narobił sobie długów u dwunastu osób na kwotę co najmniej trzystu tysięcy złotych.

– Z tego połowa to dług zaciągnięty u Węgrzyna – zakończył swoje wprowadzenie podkomisarz.

– Czyli to prawda, co mówią – odezwał się Sambor. – Myślisz, że Węgrzyn jest zamieszany w jego zniknięcie?

– Nie mamy na to żadnych dowodów, choć jak dla mnie jest głównym podejrzanym.

- Nie ma alibi?

Podkomisarz uniósł prawą brew.

- Jasne, że ma. Całą noc, cytuję, spędził na omawianiu z partnerami biznesowymi planów na najbliższe miesiące. Twierdził, że w razie potrzeby piętnaście osób potwierdzi, że nie wychodził poza teren posesji.

- To żadne alibi - stwierdził Malczewski.

- Z punktu widzenia prawa wystarczające.

- A mimo to go podejrzewasz...

- Staram się słuchać intuicji. Dotychczas nigdy mnie nie zawiodła. Ponadto ustaliłem, że dwa dni przed zaginięciem Artur strasznie się spił w Dusznym Barze i wdał w bijatykę z kumplami Węgrzyna - wyjawiał Okoński.

- Taa, słyszałem, że tam przesiadują i sieją zamęt.

- Przeważnie tak, ale tym razem to Artur zaczął. Z relacji świadków wynika, że poszło o kobietę. Nie wiem, o kogo dokładnie, bo kumple Węgrzyna obrali wspólny front i w trakcie przesłuchania udawali głupich. Z kolei klienci baru podawali różne wersje wydarzeń. Najbardziej prawdopodobny wydaje się konflikt o jakąś kurwę. Tych na imprezach Węgrzyna nie brakuje...

- To znaczy, że Artur uczestniczył w imprezach Węgrzyna?

- Na to wygląda, ale nikt tego nie potwierdził.

- Strasznie dziwna sprawa - skwitował Malczewski. - Poza tym, skoro wiecie, że Węgrzyn bawi się w alfonsa, dlaczego nic z tym nie robicie?

Okoński zerknął w kierunku drzwi, po czym przysunął się do rozmówcy i rzekł ściszym głosem:

- Gdyby to było takie proste... Oficjalnie Węgrzyn nie miał problemów z prawem, a zarejestrowana przez niego działalność jest legalna. To zasługa jego ogromnych wpływów w regionie i tego, że dobrze żyje z górą. Stary nie przyzna tego wprost, ale nie pozwoli, by

spadł mu włos z głowy. Kazał mi z byle powodu zignorować zeznania starej Krynickiej, która miała słyszeć, jak jeden z ludzi Węgrzyna groził Arturowi śmiercią.

– Może w takim razie zacząć od jego kumpli? Czy ktoś się im w ogóle przyjrzał? – drażył temat Malczewski.

Okoński rozłożył ręce i odpowiedział:

– Też nie do końca mi się to wszystko podoba, ale co mam zrobić? Postawić na szali swoją karierę i wypowiedzieć Węgrzynowi wojnę? Gwarantuję ci, że załatwiliby mnie, zanim zadałbym pierwszy cios.

Policjant poruszył następnie temat młodszego brata Artura, Macieja, którego Sambor słabo pamiętał. Wyjawiał, że mężczyzna przez wiele lat należał do szajki handlującej narkotykami i dopalaczami. Spędził nawet kilka lat w więzieniu za rozboje i pobicia.

– Wyszedł na wolność nieco ponad rok temu. Od tamtej pory nie ma miesiąca, by sąsiedzi nie donosili nam o wszczynanych przez niego awanturach. Facet chleje na umór i prawdopodobnie ostro ćpa.

– Co na to rodzina? Matka?

– Krynicka stoi za nim murem. Z początku myślałem, że robi to pod wpływem Artura, który zawsze miał dobry kontakt z bratem i tolerował jego wyskoki. Umiał go też w porę wyciszyć, przez co przybyli na miejsce policjanci nie stwierdzali niczego podejrzanego. Tymczasem Krynicka kryje Macieja nawet teraz, i to mimo iż on zachowuje się jeszcze bardziej agresywnie. Gdy u nich ostatnio byłem, skakała wokół niego, jakby był kilkuletnim, nieporadnym chłopcem. Sam nie wiem, czy robi to z przesadnej troski czy ze strachu przed ewentualną karą za nieposłuszeństwo wobec tego szaleńca. Koniecznie podzielcie się ze mną spostrzeżeniami.

– Czy poza długami i Węgrzynem mamy jakiś punkt zaczepienia? Co z alibi Macieja? – dopytywał Sambor.

– Mamy jedynie zeznania Krynickiej, która twierdzi, że tamtego dnia Maciej gorączkował i nie wychodził z łóżka. Podobno przed snem podała mu silne leki, po których zasnął jak dziecko.

- No proszę, że też akurat wtedy biedaka dopadło choróbsko...

Okoński wzruszył lekko ramionami i odrzekł:

- Też tak zareagowałem, ale wciąż mam wątpliwości, że mógł być zamieszany w zniknięcie brata. Niby dlaczego miałby chcieć go skrzywdzić? Artur zawsze stał po jego stronie i gdyby nie on, pewnie już dawno siedziałby za kratami.

- Hm... - Sambor postukał się kilka razy palcem wskazującym po dolnej wardze. - Ciekawe, że wspomniałeś o skrzywdzeniu Artura...

- Też to zauważyłem - wtrącił się Popowski. - Może było wręcz przeciwnie i Maciej pomógł mu się ukryć przed Węgrzynem?

- Niby jak? Ciężko mi sobie wyobrazić, że wiecznie pijany i pogubiony życiowo awanturnik wyskoczył z planem perfekcyjnej ucieczki.

- Nie musiał z niczym wyskakiwać. Wystarczyło, by zawiózł Artura we wskazane przez niego miejsce albo poruszył kilka kontaktów - zauważył komisarz.

- Tym bardziej że mówiłeś o jego kryminalnej przeszłości. Na pewno zna typów, którzy bez problemu udzieliliby Arturowi schronienia - wtórował mu Sambor.

Przyparty do muru Okoński skrzyżował ręce na piersiach i zmierzył rozmówców surowym spojrzeniem.

- Najprostsze wyjaśnienia zawsze są właściwe. Daję sobie rękę uciąć, że człowieka, który zna wyjaśnienie zagadki, mamy na wyciągnięcie ręki. Siedzi teraz w swojej Pieczarze i pewnie dogorywa po kolejnej imprezie z udziałem kumpli mafiozów, prostytutek i chuj wie kogo jeszcze. Pozostaje tylko znaleźć sposób, jak go ugryźć. Przyszaję, mnie na razie się nie udało, ale kto wie, może wy coś zaproponujecie...

*

- Proszę wybaczyć, komisarzu, że to powiem, ale coś mało ogarnięty ten twój kolega - powiedział w drodze do auta Sambor.

- Tak sądzisz?

- Gdybym był czepialski, zarzuciłbym mu spierdolenie śledztwa. Na moje oko trzeba się było od początku lepiej przyjrzeć bratu Artura. Teraz może być już na to za późno.

- Cieszę się, że to mówisz, bo jestem tego samego zdania. Ale co poradzić, Ernest rzadko bierze sobie do serca sugestie innych. Co prawda przy tobie udawał chętnego do współpracy, ale każdy w komendzie przyzna, że to uparty i bezkrytyczny gamoń, który z nikim nie podzielił się tortem. Na dodatek jest strasznie zafiksowany na punkcie Węgrzyna. To dlatego z uporem maniaka próbuje dowieść jego winy, choć na razie bez skutku.

- Czyżby Węgrzyn zalał mu za skórę?

- Starli się parę razy przy okazji różnych spraw. A że Ernest ma większe ambicje niż umiejętności, nie wspominając już o przerośniętym ego, potraktował to honorowo i postawił sobie za cel udupienie Węgrzyna. Właśnie dlatego ty byś się tutaj przydał. Potrzebuję konkretnego, doświadczonego gliny z otwartym umysłem.

- Gdyby tylko kobiety tak się o mnie starały jak ty, komisarzu - prychnął Sambor.

- Nie nabiorę się na tę fałszywą skromność, Sambor. Odkąd pojawiłeś się w komendzie, nasza sekretarka nie przestaje o tobie mówić. A proszę mi wierzyć, Sylwia bywa wybredna. Przez kilka miesięcy próbowałem ją wyrwać i nawet nie dała się wyciągnąć na drinka. Szczerze, aż tak źle wyglądam?

W odpowiedzi Malczewski posłał towarzyszkowi litościwe spojrzenie.

- Jedźmy do Krynickich. Szkoda dnia.

*

Kryniccy mieszkali w starym, nieotynkowanym domu z czerwonej cegły, który otaczał nieduży, przysypany grubą warstwą śniegu ogród.

- Gdyby nie wydeptana ścieżka, pomyślałbym, że nikt tu nie mieszka - skomentował Sambor.

Wkrótce drzwi otworzyła im ubrana w gruby różowy sweter kobieta po siedemdziesiątce.

– Dzień dobry, pani Elżbieto. Nazywam się Sambor Malczewski.

– Syn Zyty, prawda? – spytała, przyglądając mu się ponuro spode łba.

– Wyrosłeś. Zapamiętałam cię jako chuderlawego nastolatka. Choć z twarzy wciąż wyglądasz jak Zyta. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego Czesiek wolał ją niż mnie...

– Przykro mi z powodu tego, co wydarzyło się przed laty, ale nie przyszedłem tu, by o tym z panią rozmawiać. – Sambor starał się brzmieć jak najuprzejmiej.

– Racja... Pewnych spraw lepiej nie wygrzebywać – stwierdziła, po czym zatopiła wzrok w twarzy rozmówcy. – Wykapana Zyta. Te same oczy, nos i usta.

Krynicka zaprowadziła ich do dusznego i zagraconego pokoju gościnnego. Chwilę później goście usiedli na skrzypiących krzesłach przy stole, na którym stał talerz z faworkami.

– Proszę się częstować. Moi chłopcy, a zwłaszcza Arturek, od małego zajadają się faworkami, więc nauczyłam się już piec tyle, by starczyło na kilka dni. – Po tych słowach bez pytania chwyciła za talerzyk Sambora i nałożyła mu drugą dłoń cztery sztuki.

Tymczasem Malczewski spojrział wymownie na Popowskiego. Nie powinno go dziwić, że będąca wciąż w szoku Krynicka mówiła o synu w czasie terazniejszym. Mimo to delikatny uśmiech na jej twarzy przyprowadził go o dyskomfort. Popowski najwyraźniej czuł to samo.

– Macieja nie ma w domu? – spytał.

– Był, ale musiał pilnie wyjść.

– Dokąd?

Staruszka pochyliła się i zgarnęła stojący przed Popowskim talerzyk.

– Panu też nałożę.

– Proszę odpowiedzieć – naciskał ją spokojnym, aczkolwiek stanowczym tonem Sambor. – Uprzedzaliśmy, że przyjedziemy.

Potwierdziła pani, że będziecie w domu.

Krynicka nałożyła na talerz pięć faworków i wręczyła go komisarzowi.

- No potwierdziłam, ale Maciuś codziennie znika o różnych porach. Ciężko przewidzieć, kiedy to się stanie. Mówiłam mu, że się zjawicie, ale...

- Wciąż pani nie powiedziała, dokąd tak znika - zauważył Malczewski.

- A bo ja wiem? Nie zawsze mi mówi. Zwykle biega po lesie albo spaceruje po wsi. Tęskni za bratem i nie może sobie znaleźć miejsca. Arturek jeszcze nigdy nie zniknął na tak długo, ale obiecał mi, że gdy wkrótce wróci, to już nigdy nas nie zostawi.

- Zaraz... To pani z nim rozmawiała? - odezwał się zaskoczony Popowski.

- Tak, przychodzi do mnie co noc. - Krynicka uniosła wysoko kąciuki ust i dodała: - Zawsze stoi przy parapecie i ma na sobie swój ulubiony zielony sweter z wysokim kołnierzem.

Sambor po raz kolejny spojrzął w oczy komisarzowi, który wydawał się tak samo skonsternowany jak on.

- Może to się pani tylko śni? - zasugerował.

- Nie, zareczę wam, że to Arturek. Przychodzi, by mnie uspokoić, bo wie, jak bardzo za nim tęsknię.

- Maciej też go widział? - spytał Popowski.

- Nie, Arturek nie chce mu się pokazywać, bo wie, że Maciuś próbowałby go zatrzymać. A Arturek musi się ukrywać.

- Jak to? Ktoś mu zagraża?

Pytanie komisarza sprawiło, że Krynickiej łzy napłynęły do oczu. Staruszka usiadła następnie na wolnym krześle i głośno westchnęła.

- Nie chciał mi powiedzieć kto, ale ja wiem, że to ten zły człowiek... Ten przestępca Węgrzyn. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Tyle razy prosiłam Arturka, by się u niego nie zapożyczał, ale on tak marzył

o założeniu własnej firmy. Narzekał, że w każdej pracy go wykorzystywano. Mówił, że jak już ruszy z czymś własnym, to zarobi szybko dużo pieniędzy i wybuduje nam nowy dom. A potem wszystko szlag trafił. Arturek uważał, że to sprawka Węgrzyna. Najpierw dał mu pieniądze, a potem zrujnował mu firmę i zażądał wyższej kwoty.

- Z tego, co nam wiadomo, Artur zadłużył się u wielu osób - zauważył Sambor.

- To prawda, ale tylko Węgrzyn groził mu śmiercią. - Następnie wspomniała o kłótni jej syna z człowiekiem biznesmena. - Ile to ja się naprosiłam tego policjanta, jak mu tam...

- Komisarza Okońskiego - powiedział Popowski.

- No, właśnie jego. Prawie że błagałam go, by zrobił porządek z tym Węgrzynem, ale nic nie wskórał.

- Powiedziała pani, że Artur obiecał, iż wkrótce wróci... - odezwał się Sambor, gryząc świeżego, chrupiącego faworka.

- Tak, słyszę to od niego każdej nocy.

- Czy podaje jakąś konkretną datę?

- Nie, ale prosi, bym jeszcze troszkę zaczekała. - W głosie Krynickiej nie było słycać najmniejszego zawahania.

Sambor przelknął ciastko i odrzekł:

- Hm... To znaczy, że zbiera w ukryciu pieniądze na spłatę Węgrzyna? A może opracowuje plan zemsty?

- Tego nie wiem, ale mam nadzieję, że to drugie - powiedziała gospodyni z niepasującą do osoby w tym wieku bezwzględnością. - Takie bestie nie mają litości. Nawet jeśli Arturek odda mu pieniądze, Węgrzyn znajdzie sposób, by dalej go gnębić.

Sambor czuł, że traci czas, słuchając o fantazjach Krynickiej. Postanowił więc poruszyć temat swojej siostry:

- Czy Artur i Lilia utrzymywali ze sobą kontakt?

Gospodyni zmarszczyła czoło.

- A niby po co?

- Oboje zaginęli w tym samym czasie. Nie wydaje się to pani podejrzanę?

- Arturek nie zadawał się z Rusałką. Wszyscy na wsi wiedzieli, że ta wariatka... Po prostu wiem, że na pewno trzymałby się od niej z daleka.

- A może jednak nie? Jakkolwiek by na to patrzeć, oboje byli w pewnym sensie wykluczeni na wsi.

- Nikt nie wykluczył Arturka. To dobry chłopiec, który odda co do grosza - zarzekła się Krynicka. - Za to Rusałka... To znaczy, twoja siostra... Ona oznaczała kłopoty, gdzie tylko się pojawiała. A co gorsza, zionęła nienawiścią do całego świata. Nic dziwnego, że przez miesiąc nikt się nie zorientował, że zniknęła. Każdy omijał ją szerokim łukiem.

Choć Sambor po latach rozłąki nie żywił do siostry głębszych uczuć, tak ostra krytyka pod jej adresem wywołała u niego nieprzyjemne dreszcze.

- Kto pani zdaniem mógł ją zabić?

Jego pytanie sprawiło, że Krynicka spojrzała na niego jak na ducha.

- A skąd ja mam to wiedzieć? To mógł być każdy. Chyba nie podejrzewasz Arturka?

- Nie... A powinienem?

- Sambor - upomniał go komisarz Popowski.

Sekundę później rozległo się skrzywienie otwieranych drzwi, a do pomieszczenia wparował zdyszany szczipły mężczyzna o zaróżowionych policzkach. Miał na sobie rozpiętą puchową kurtkę i czarną czapkę z długimi sznurkami.

- Jesteś, synku. - Na jego widok Krynicka poderwała się z krzesła.

- Coś ci zrobili? - spytał matkę, posyłając nieznanym nieufne spojrzenie. Miał podkrążone, przekrwione oczy, zapadnięte policzki i mocno spierzchnięte usta.

- Nie, spokojnie. Tylko rozmawialiśmy.

Brat Artura oparł ręce na biodrach i odparł:

- Czego chcecie? Powiedzieliśmy już, co wiemy.

- Co pan robił w noc zaginięcia brata? - spytał Sambor.

- Spałem. Mówiłem sto razy, że byłem chory.

- Czy Artur zachowywał się dziwnie tuż przed zniknięciem? Może powiedział coś, co zapadło panu w pamięć?

- Dajcie mi spokój. Jestem zmęczony.

- Gdzie pan był? - odezwał się Popowski.

Maciej wyprostował się i demonstracyjnie zacisnął pięści.

- A co cię to obchodzi? Już mnie przesłuchiwałeś.

- Nie chcesz mówić teraz, to powiesz w komendzie - pogroził mu komisarz.

- Synku, nie rób sobie kłopotów. - Wyraźnie zdenerwowana Krynicka pomasaowała syna po ramieniu. Ten wzdygnął się i lekko ją odepchnął.

- Nie mów mi, co mam robić! - wyszczał. - Zawsze wszystkim doradzasz, a potem są problemy...

- Arturowi też pani doradzała? - spytał Sambor, jeszcze bardziej drażniąc Macieja.

- Wypierdalać. Macie dziesięć sekund - wycedził.

- Co wiesz o znajomości Artura z Węgrzynem? To prawda, że go odwiedzał?

- Dziewięć...

- Człowieku, chcemy ustalić, co się stało z twoim bratem! - wykrzyknął Malczewski.

- Osiem...

- Czy Artur imprezował z Węgrzynem? Podobno pokłócił się z jego ludźmi o jakąś kobietę...

- Nic nie wiem, kurwa! Siedem...

Sambor czuł, że dalsze testowanie wytrzymałości Krynickiego może się źle skończyć.

- Idziemy, komisarzu.

- Dobry pomysł.

– Odprowadzę was – powiedziała drżącym głosem Krynicka.

– Nie trzeba, trafimy do wyjścia – odrzekł Sambor. Zanim wyminął kobietę, spojrzał w jej załzawione oczy i wyszeptał: – Proszę na siebie uważać.

Po opuszczeniu terenu posesji Popowski odetchnął głośno z ulgą.

– Stąpałeś po cienkiej linii. Jeszcze chwila i kompletnie by mu odjechało.

– Fakt, choć trochę żałuję, że go bardziej nie pocisnęliśmy.

– Życie ci niemiłe? – spytał zdumiony komisarz. – Ciekawe, czy mówiłbyś to samo, gdyby ten świr zaatakował nas nożem lub wyciągnął pistolet. Mam ci przypomnieć, że to były kryminalista?

– Pamiętam, komisarzu. Po prostu wiem, że ludzie pod wpływem emocji zwykle chlapią o jedno słowo za dużo. A Maciej ewidentnie coś ukrywa.

– To co, jego też obserwujemy?

– Nie mamy innego wyjścia. Musimy się dowiedzieć, dokąd ciągle wychodzi i z kim się kontaktuje.

Popowski pokręcił z niezadowoleniem głową.

– Jak tak dalej pójdzie, komenda opustoszeje, bo wszyscy będą w terenie.

– Spójrz na to z innej strony: rozwiązanie tak skomplikowanej zagadki zagwarantuje ci medialny rozgłos i chwałę. A poza tym kto wie, może przybliży cię do stołka komendanta...

– Tylko jakim kosztem? Nie zdążyliśmy jeszcze pochować twojej siostry, a ja już rzygam tą sprawą. Wszystko w niej cuchnie, Malczewski. I nie zdziwię się, jeśli największy syf dopiero wypłynie na powierzchnię.

ROZDZIAŁ 21

- Ja pierdolę - szepnął Sambor, rozglądając się po opustoszałym kościele. - Gdybym wiedział, że ludzie będą mieli aż tak wyjebane na moją siostrę, opłaciłbym statystów, by zrobić sztuczny tłok.

- Przesadzasz. Nie jest źle - odrzekła Judyta, po czym spojrzała przez ramię na siedzących dwa rzędy dalej Czerskich. Następnie przeniosła wzrok na cztery siedzące osobno starsze kobiety. - Okej, jest źle.

- Nie przyszła nawet sąsiadka Lili, Bogna Kastek, czy jak jej tam - powiedział z niekrytym żalem w głosie Sambor, ignorując przemawiającego z ambony księdza Teodora Guzdeckiego. - A te staruchy siedzące z tyłu? Daję stówę, że przyłazły tu tylko po to, by później mieć o czym plotkować. Może powinienem rzucić im jakiś łakomy kąsek? Mógłbym na przykład rozpaczliwie zajęczeć i zacząć się tarzać po podłodze...

- Sami, odbija ci. - Judyta wymownie przewróciła oczami.

- Dziwisz się? W chuj tu gorąco. - Malczewski rozpiął kurtkę i chwycił się za kołnierz koszuli. - Nikt nie przyszedł, Wrona. Nawet pies z kulawą nogą nie pofatygował się, by zajrzeć do środka. Zaczynam żałować, że nie pozwoliłem przyjechać Gutkowi i Renacie.

- Komu?

- Moim przyjaciółom z Rzeszowa.

- To ty masz jakichś przyjaciół? - zdziwiła się Judyta. - Myślałam, że jestem jedyna.

- Nie schlebiaj sobie.

Po minucie przysłuchiwania się kazaniu proboszcza Wrona przysunęła się do Sambora i szepnęła mu do ucha:

- Nie mówiłeś, że mieszkałeś w Rzeszowie. Właściwie to, hm... Nic o tobie nie wiem.

- Ale co tu wiedzieć? Żyję, to najważniejsze. Jak widzisz, nie wszyscy mają to szczęście.

- Cieszę się zatem, że żyjesz, Sami. Ale to nie zmienia faktu, że wpuściłam do domu totalnie obcego faceta. Nie wspominając już o tym, że oddałam w jego ręce jedyne dziecko.

- A ty znowu o tym. - Malczewski pokręcił z irytacją głową.

- No co? Próbuję jakoś odwrócić twoją uwagę od całej sytuacji. Przecież widzę, jak ci ciężko.

- Nic mi nie jest - odrzekł nieco podniesionym głosem Sambor. W efekcie zwrócił na siebie uwagę proboszcza, który na moment zamilkł. - Nic mi nie jest - powtórzył następnie szeptem. - A jeśli już tak bardzo chcesz mnie zagadać, to wymyśl mniej wkurwiający temat.

- Z tym może być problem. Odnoszę wrażenie, że wszystko działa ci dziś na nerwy.

- Zatem siedź cicho i słuchaj pierdolenia proboszcza - rzucił opryskliwie Sambor, wpatrując się błagalnie w sufit. - Niech to się już skończy...

*

Godzinę później Sambor stał przed rodzinnym grobem, w którym została pochowana jego siostra, i zaciągał się papierosem.

- Ty palisz? - spytał go zdziwiony Albert.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz. A kiedy jak nie dziś? - Następnie wypuścił z ust chmurę gęstego dymu i zaśmiał się na głos. - Znów są razem. Koniczyna i jej kochani rodzice. Oby dała im popalić w piekle.

- Moje kondolencje, stary. - Albert objął drżącego z nerwów Sambora. Ten natychmiast go od siebie odepchnął.

- Idę stąd.

- Dokąd? – spytała stojąca po drugiej stronie grobu Judyta.
- Nie wiem, ale muszę się najebać. Ta żalosna szopka mnie dobija.
- Sami, zaczekaj!
- Zostaw mnie, Wrona – rzucił idący szybkim krokiem w kierunku bramy Sambor. – Po prostu dajcie mi wszyscy spokój.

*

Sambor od blisko półtorej godziny siedział samotnie przy stoliku w Dusznym Barze. Poza nim w lokalu przebywało kilku stałych bywalców, w tym Ireneusz Wierzbicki. Były kochanek Lili siedział przy oknie, powoli sącząc piwo i od dłuższego czasu wlepiając wzrok w stół. Z jego twarzy nie schodził zaś ponury grymas. Malczewski zastanawiał się, czy przyczyną jego podłego nastroju był pogrzeb Lili.

Z zamyślenia wyrwał go młody barman.

- Podwójne whisky z lodem – powiedział, stawiając przed nim szklanekę i zabierając pustą.

- Dzięki.

Sambor wziął duży łyk czwartego już drinka i po raz kolejny dyskretnie zerknął na wyraźnie przygnębionego Wierzbickiego. Nie był ani trochę zaskoczony tym, że mężczyzna nie podszedł do niego, by złożyć mu kondolencje. Nawet ucieszyła go jego bierność. Był już wystarczająco zmęczony zmuszaniem się do uśmiechu. Właściciel baru, Olek Konstanty, już na wejściu ruszył ku niemu i ucisnął mu dłoń. Nawet strażak Piotr Jarosz, którego kilka dni temu zignorował, podszedł do jego stolika i chwilę z nim porozmawiał. Sambor dopił drinka i zawołał ponownie barmana. Pragnął tylko jednego: by ten dzień wreszcie się skończył.

Po szóstym drinku pijany Sambor opadł plecami na oparcie krzesła i zamknął oczy. W młodości interesował się tematyką świadomego śnienia. Wyobrażał sobie, że w nocy jego dusza opuszcza ciało, przenika przez ścianę do pokoju Lili, a potem dusi ją we śnie. Mimo wielogodzinnych praktyk nie udało mu się jednak osiągnąć

upragnionego stanu. A teraz ktoś odwalił za niego brudną robotę. Lilia zniknęła. A jednak nie czuł się z tego powodu lepiej.

- Żyjesz? - usłyszał znajomy głos. Gdy uniósł powieki, spostrzegł stojącą nieco dalej i świdrującą go wzrokiem Judytę. Elegancki czarny płaszcz, który miała na sobie podczas pogrzebu, zastąpiła białą ortalionową kurtką i fioletową czapkę z pomponem.

- A co ty tu robisz?

- Przyszłam się upewnić, że nie robisz sobie krzywdy.

Sambor poprawił się na krześle i ziewnął.

- Skąd w ogóle wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

Judyta zmarszczyła lekko czoło.

- A niby gdzie indziej miałbyś być?

- W sumie racja.

Znajoma następnie dosiadła się bez pytania do Malczewskiego i zaprotestowała, gdy ten próbował zamówić u barmana kolejnego drinka.

- Dość na dziś. Zabieram cię stąd, póki jeszcze w miarę kontaktujesz.

- A dokąd?

- Zobaczysz. Wstawaj. No już.

Trzy minuty później Sambor zmierzał chwiejnym krokiem w kierunku SUV-a.

- Daj mi kluczyk. Ja prowadzę - oznajmiła Judyta.

- A co z twoim Józkiem? - Zerknął ku zaparkowanemu nieco dalej seicento.

W odpowiedzi Wrona spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przecież nikt go nie ukradnie. A nawet jeśli, to co z tego?

- Też prawda.

Sambor otworzył następnie drzwi od strony pasażera. Zanim wsiadł, usłyszał dobiegający z ulicy ryk silnika. Dziesięć sekund później na

parking przed Dusznym Barem zajeżdżało czarne bmw z przyciemnianymi szybami.

- Jeszcze ich tu brakowało - skomentował, domyślając się, że w środku przebywali ludzie Węgrzyna. Po chwili tylna szyba opuściła się, odsłaniając siedzącego w pojeździe szatyna z tygodniowym zarostem, wysokim czołem i okularami o czarnych oprawkach.

- Moje kondolencje, panie Malczewski - odezwał się do niego niskim, lekko zachrypniętym głosem. Sambor od razu go rozpoznał ze zdjęć znalezionych w internecie.

- Karol Węgrzyn. Cóż za zaszczyt. Powiniennem się uklonić?

- Skąd ten nieprzyjemny ton? Nic mi nie wiadomo o tym, żebyśmy mieli na pieńku. Aczkolwiek doszły mnie słuchy, że interesuje się pan moją działalnością i wypytuje o mnie.

- Pomagam w prowadzeniu bardzo trudnego śledztwa. Moim zadaniem jest zadawać jak najwięcej pytań.

Słyszając to, Węgrzyn uniósł prawy kącik ust.

- W takim razie dlaczego nie zada mi ich pan osobiście, tylko węszyć za moimi plecami?

- Do pana też się wybierałem.

- Miło mi to słyszeć - odrzekł biznesmen, po czym wyrzucił przez okno wizytówkę. Ta przeleciała około półtora metra i wylądowała na oblodzonym asfalcie. - To mój prywatny numer. Czekam na telefon. Chętnie przyjmę pana choćby w środku nocy. Nie mam nic do ukrycia.

Sambor niechętnie zrobił kilka kroków do przodu, a następnie powoli przykucnął i z nietęgą miną podniósł wizytówkę. Przez cały ten czas nie odrywał wzroku od uśmiechającego się szyderczo Węgrzyna.

- A będzie kolacja ze świecami? Może tego po mnie nie widać, ale niepoprawny ze mnie romantyk.

Węgrzyn zdusił rechot i odparł:

- Dla pana wszystko. Jedziemy, chłopaki.

- Zaraz... Myślałem, że zamierza pan wstąpić na piwo? Już miałem proponować bruderszafta i pogawędkę.

- Jakoś mi się odechciało. Zresztą panu już chyba wystarczy na dziś alkoholu - prychnął. Zanim zniknął za ciemną szybą, rozbawiony rzucił do rozmówcy: - Trzymaj się, Sambor. Dosłownie.

- Kretyn - syknął Malczewski, przyglądając się odjeżdżającemu bmw. - Myślisz, że ktoś mu doniósł, gdzie jestem?

- Możliwe. Nie przejmuj się nim. Już sam fakt, że się tu dla ciebie pofatygował, świadczy o tym, że uważa cię za zagrożenie.

- Marne pocieszenie - odparł Sambor, po czym wsiadł do auta. - Tylko jedź powoli.

*

- Daleko jeszcze? - spytał pół godziny później zdyszany Sambor.

- Nie zachowuj się tak, jakbyś nigdy tędy nie szedł - odrzekła Judyta, która dźwigała w obu rękach składane plastikowe krzeselka kempingowe.

- Od ostatniego razu minęło sto lat. Poza tym idziemy już chyba z godzinę.

- Alkohol zaburza ci poczucie czasu - stwierdziła Wrona. - Zaraz będziemy na miejscu. Wytrzymaj, Sami.

Wkrótce pijany i zmęczony Malczewski oparł się o graniczące z niewielką plażą drzewo i spojrzał na przebijające się przez chmury i unoszące ponad koronami drzew słońce. Następnie przesunął wzrokiem wzdłuż brzegu częściowo pokrytego lodem jeziora Chaszczce.

- Czy mi się wydaje, czy woda faluje?

- Wydaje ci się. - Judyta postawiła obok siebie dwa krzeselka i powiedziała: - Siadaj.

Sambor rozsiadł się na miękkim, skrzypiącym krześle i na moment zamknął oczy.

- Po co mnie tu przyprowadziłaś? - spytał, ignorując ból głowy i mdłości.

- Uznałam, że dobrze ci zrobi pobyt w miejscu, z którym masz dobre wspomnienia. Z którym my mamy dobre wspomnienia.

- Masz na myśli dzień, w którym oznajmiłaś mi, że wyjeżdżasz do Wrocławia? - Sambor uniósł powieki i powiódł wzrokiem ku rosnącemu nieco dalej pochylonemu klonowi. - Tam siedzieliśmy. Przyniosłaś wtedy mój ulubiony kaszmirowy koc. Najpierw uspiłaś moją czujność, a potem zadałaś nokautujący cios. Teraz też zamierzasz to zrobić?

- Och, Sami... Akurat nie o tym dniu myślałam. A co do nokautującego ciosu, to z chęcią ci go zadam, jeśli nie przestaniesz pieprzyć głupot. - Po tych słowach wyjęła z niedużego plecaka plastikową buteleczkę i wcisnęła mu ją w dłoń. - Wypij to.

- Co to?

- Koktajl z bananem i miodem. Powinno ci się po nim polepszyć. Mam jeszcze dwie butelki, więc lepiej, by ci smakowało.

- Widzę, że wszystko przewidziałaś i dokładnie zaplanowałaś.

- Zamiast ironizować, powinieneś być mi wdzięczny, że ratuję ci dupę. Inaczej leżałbyś pewnie teraz zarzygany pod stołem w Dusznym. Pij, pij. Tylko do końca. Nie chcę widzieć, że zostało.

ROZDZIAŁ 22

Pół godziny później odrobinę zrelaksowany i uspokojony Sambor przyglądał się zachodzącemu nad lasem słońcu. Wcześniej pożalił się Judycie na śledztwo, które w dniach poprzedzających pogrzeb nie posunęło się ani trochę do przodu. Irytowało go, że obserwowanie Konrada Szafrąńskiego i Macieja Krynickiego nie wykazało niczego podejrzanego. Konrad za dnia jeździł do Gorzowa i załatwiał sprawy służbowe, a wieczorami przesiadywał w domu, prawdopodobnie opiekując się bratem. Z kolei brat Artura wychodził albo na zakupy do pobliskiego sklepu mięsnego „U Aliny”, albo na przebieżkę po lesie.

– Jak tak dalej pójdzie, utknę tu na miesiące. Ja pierdziele...

– Już nie dramatyzuj. Nawet jeśli śledztwo się przedłuży, to co z tego? Masz tu mnie, Alberta... Pomożemy ci się tu zaaklimatyzować.

– Rzecz w tym, że wcale nie chcę się tu aklimatyzować. Nie wiąże z tą norą żadnej przyszłości, Wrona – powiedział stanowczym głosem Sambor.

Chcąc nieco rozweselić towarzysza, Judyta powróciła wspomnieniami do ich dzieciństwa i przywołała kilka zabawnych wydarzeń:

– Nigdy nie zapomnę, jak na urodzinach Antka postanowiłeś popisać się przed wszystkimi i wspiąć na jabłoń w ogrodzie. Byłeś już blisko szczytu, gdy zahaczyłeś dresami o gałąź, poleciałeś do tyłu, puściłeś głośnego bąka i wylądowałeś na dupie – parsknęła śmiechem.

– Boki zrywać – mruknął powoli dochodzący do siebie Sambor. – I tak nic nie przebiję tego, jak dla żartów włożyłaś kiedyś swojego kota do lodówki. To cud, że przeżył.

– Mieliśmy mówić tylko o śmiesznych rzeczach – zwróciła mu uwagę Judyta. – A pamiętasz, jak w wakacje urządzaliśmy sobie we trójkę

błotne walki w twoim ogrodzie?

– No raczej. Któregoś razu Bert strasznie się obraził, bo napił się dużo błota i zaczął rzygać. Nie mógł się pogodzić z tym, że go pokonałem.

– Pamiętam to! – zaśmiała się Judyta. – Złamałeś wtedy regulamin.

– Wcale nie – odrzekł z satysfakcją w głosie Sambor. – To były czasy... Milenka też lubiła się taplać w błocie. Zawsze się śmiałem, że ma to po mnie.

– Milenka? – Judyta natychmiast podchwyciła temat.

Sambor wzdrygnął się, gdy dotarło do niego, że stracił czujność i opuścił gardę.

– Nieważne.

– Wiesz, że możesz mi zaufać.

– Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę o tym rozmawiać. Nie dziś, gdy i tak mam zjebany nastrój.

– A może właśnie powinieneś? – zachęcała go nieśmiało Judyta. – Czasem dla spokoju ducha lepiej wyrzucić z siebie wszystkie bolączki. Zwłaszcza jeśli ma się kogoś, kto chętnie cię wysłucha. Jak myślisz, dlaczego ciągle tak narzekam ci na Kornela?

– Żeby mnie jeszcze bardziej wkurwić?

– Dureń. – Judyta szturchnęła go, po czym wręczyła mu kolejną butelkę z koktajlem. – Wypij na raz.

– Dobrze, mamo.

Chwilę później Sambor wręczył towarzysze butelkę z odrobiną napoju na dnie.

– Nie mogłeś dopić do końca, co?

Malczewski wzruszył ramionami.

– Każdy ma swoje przyzwyczajenia. Twoim jest grzebanie w cudzych sprawach.

– Pamiętaj, że mówisz do dziennikarki – odrzekła Judyta, po czym dodała: – Masz rację, przepraszam. Ciekawość zwyczajnie wzięła górę.

– No co ty nie powiesz?

Judyta przez dłuższą chwilę wpatrywała się w milczeniu w coraz ciemniejsze niebo.

– Powinniśmy już chyba wracać. Zaczynam marznąć, a nie mogę sobie teraz pozwolić na chorobę. Koleżanka z redakcji przebywa na zwolnieniu i wzięłam na siebie prowadzenie jej rubryki. Beze mnie strona stanie w miejscu, a chyba wiesz, co to znaczy...

– Odplyw reklamodawców?

– To też, ale akurat nie o tym mówiłam. Chodziło mi o Kornela. Nie chcę mu sprawiać satysfakcji swoimi potknięciami.

– Kochany mąż – skomentował Sambor.

– Przekochany – rzuciła ze skwaszoną miną Judyta, po czym wstała z krzesła. – Zbierajmy się. I tym razem ty niesiesz krzesła.

W drodze powrotnej Sambor przełamał ciszę i powrócił do tematu toksycznego małżeństwa Judyty:

– Dlaczego męczysz się z takim skurwysynem? Do cholery, Wrona, kto jak kto, ale ty doskonale poradziłabyś sobie na własną rękę.

– Nie znasz mnie, Sami. Nie jestem tą samą fighterką co kiedyś.

– A ja myślę, że jesteś, tylko z jakiegoś powodu pozwalasz Kornelowi się tłamsić.

Słyszac to, Judyta przystanęła i zwróciła się przodem do towarzysza.

– Co chcesz usłyszeć? Że poświęciłam dla niego najlepsze lata życia i nie mogę teraz tak po prostu odejść?

– Dlaczego nie?

– Choćby dlatego, że w ten sposób moje poświęcenie poszłoby na marne? Nie umiałabym tego przeboleć...

– Nie wierzę, że to jedyny powód. – Sambor chciał jej powiedzieć, że w życiu zawsze jest czas na zmiany, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Przypomniał sobie bowiem swoją własną historię i szereg katastrofalnych decyzji, które doprowadziły do jego życiowej tragedii. – O co tak naprawdę chodzi, Wrona?

Judyta zagryzła dolną wargę i spuściła głowę.

- To ty miałeś wyrzucać z siebie żale, a nie ja - zauważyła po chwili.

- Wygląda na to, że jestem lepszym manipulatorem niż ty. Gadaj.

Judyta ruszyła w dalszą drogę i po kilku krokach wyznała:

- Tak naprawdę nie ma konkretnego powodu, dla którego wciąż jesteśmy razem. Ale jeśli już miałabym jakiś wskazać, to chyba to, że zwyczajnie jesteśmy od siebie uzależnieni.

- Finansowo?

- Nawet nie tyle finansowo, co życiowo. Nasza relacja... zawsze była specyficzna.

- Chcesz powiedzieć „toksyczna”?

- Nie zmuszaj mnie do wdawania się w szczegóły. Za krótko się znamy.

- Fakt. Tylko jakieś czterdzieści lat. Czyli podsumowując: uzależniłaś się od tej toksyny i nie potrafisz z niej zrezygnować.

- Coś w ten deseń. To by znaczyło, że sama jestem toksyczna, nie sądzisz?

- Coś w ten deseń - powtórzył Sambor. - Chcesz wiedzieć, co jeszcze myślę?

- Hm?

- Uważam, że naprawdę stać cię na dużo więcej. Nie wiem, co dokładnie wbił ci do głowy ten pojeb, ale postaram się cię naprawić.

- Powiedział facet, który sam nie umie rozmawiać o własnych problemach i zagłusza smutki piwkiem lub whisky - zauważyła z wyczuwalnym przekąsem w głosie Judyta.

- Auć. Zasłużyłem sobie.

*

Po dotarciu do auta Judyta odblokowała drzwi i usiadła za kierownicą.

- Zadzwoń po Berta, by przyszedł pod Duszny Bar. Najwyżej przenocujesz dziś u niego.

- A nie lepiej, jakbyś odwiozła mnie SUV-em do hotelu? Zamówiłbym ci potem ubiera do domu - zaproponował Sambor.

- Ehe, i jak wytłumaczę Kornelowi, że zostawiłam Józka w Runowie? Dzwon.

- Jak chcesz.

Wkrótce Judyta stanęła na opustoszałym parkingu.

- Gdzie ten Bert? - spytała zniecierpliwiona.

- Pisał przed chwilą, że będzie za dziesięć minut. A co? Nie wiedziałem, że aż tak się spieszysz.

- Bo się nie spieszyłam. A potem Kornel napisał, że wrócił wcześniej do domu i od tamtej pory zamęcza mnie pytaniami, gdzie jestem i kiedy wrócę.

- Kiedy napisał?

- Gdy wracaliśmy do auta.

- I nic mi nie powiedziałaś?

- Po co? Jeszcze bardziej byś naciskał, żebyśmy pojechali twoim autem do Gorzowa.

Sambor posłał towarzysze pytające spojrzeenie.

- Albo wciąż jestem pijany, albo kompletnie nie rozumiem twojej logiki. Twój toksyczny mężulek każe ci wracać szybko do domu, więc zamiast spełnić jego żądanie i uniknąć awantury, ty przyjeżdżasz pod Duszny, by zaczekać na Berta. To w końcu spieszysz się czy nie?

Judyta w odpowiedzi rozłożyła bezradnie ręce.

- Pojebane to wszystko. Właśnie tak wygląda moje życie. Nic nie jest tylko czarne lub tylko białe - westchnęła głośno, po czym dodała: - Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz, bo sama często nie rozumiem swojego zachowania.

- Tu nie ma co rozumieć, Wrona. Ten szaleniec wyprał ci mózg. Ale spokojnie, jeszcze nie wszystko stracone.

- Doprawdy? - spytała bez przekonania.

Sambor czuł, że Judyta w głębi duszy chciała zmienić swoje życie. Brakowało jej jednak wiary w to, że jest to możliwe.

– Doprawdy – mruknął, po czym sięgnął po leżącą pod siedzeniem napoczętą butelkę wody mineralnej.

*

Przed północą wybudzony i pochłonięty rozmyślaniami Sambor wysłał Judycie SMS-a o treści: „Śpisz?”

„Nie, ale leżę już w łóżku. Kornel strasznie chrapie. Wychlałem wieczorem butelkę wina. A ty dlaczego nie śpisz? Wydawałeś się zmęczony” – odpisała mu po dwóch minutach.

„Nie mogę przestać myśleć...”

„O czym?”

Chwilę później Sambor wysłał jej zdjęcie przedstawiające kobietę i kilkuletnią dziewczynkę stojące na brzegu morza i uśmiechające się do obiektywu.

„To Karolina, moja żona. A obok stoi nasza córeczka, Milenka”.

„Chcesz porozmawiać?”

„Teraz?”

„Tak, zadzwoń. Kornel śpi jak zabity, ale na wszelki wypadek wyjdę do kuchni”.

Sambor tylko na to czekał. W pośpiechu wcisnął przycisk „Połącz” i odczekał trzy sygnały.

– Jestem – wyszeptwała do telefonu Surma. – Karolina i Milena... Wyglądają pięknie.

– Były piękne. I zawsze się uśmiechały – odrzekł z nostalgią w głosie Sambor. – Straciłem je cztery lata temu.

Po drugiej stronie zapanowała trzysekundowa cisza.

– Sami, tak mi przykro...

– Wiem, że to zabrzmiało beznadziejnie, ale nienawidzę o nich rozmawiać. W ogóle nienawidzę wspominać swojego dawnego życia.

Rozległ się odgłos odsuwanego krzesła, po którym Judyta przemówiła:

– Wielu osobom odcięcie się od przeszłości daje ukojenie i pozwala zachować względną równowagę. Pytanie tylko, czy to zadziała na dłuższą metę...

– Nie zadziała. Widzę to po sobie. Właśnie dlatego zadzwoniłem.

– Doceniam to. – Judyta zrobiła krótką pauzę i powiedziała: – Opowiedz mi o nich...

Przez kolejne minuty Sambor opowiadał znajomej o początkach swojego związku z Karoliną i romantycznym ślubie w zabytkowym kościółku zlokalizowanym przy granicy polsko-czeskiej. Wspominał najszcześniejsze lata małżeństwa i zagrożoną ciążę, która tylko umocniła ich relację.

– Lekarze na początku nie dawali nam szans na to, że Milena urodzi się żywa. Później twierdzili, że nawet jeśli przeżyje, to będzie cierpiała na liczne wady wrodzone. Tymczasem ona zrobiła ich wszystkich w chuja i urodziła się całkowicie zdrowa. – Sambor chrząknął i zacisnął mocno powieki. Cieszył się, że Judyta go nie widziała. – Gdy ją po raz pierwszy wziąłem na ręce, zaczęła strasznie płakać. Pocałowałem ją wtedy w mokre czółko i powiedziałem: „Wrzeszcz, mała. Wyrzuć to wszystko z siebie. Pochwal się światu, że w ciebie wątpił, a ty mu pokazałaś środkowy palec”.

Judyta w odpowiedzi zaśmiała się cicho do telefonu.

– Niepokorna jak tata.

– Była idealna... Nie mogę sobie darować, że w pewnym momencie o tym zapomniałem.

– To znaczy? Wiesz, że jeśli nie czujesz się na siłach...

– Nie czuję, ale chcę to powiedzieć. Muszę, bo inaczej oszaleję.

ROZDZIAŁ 23

- Dobrze. Zatem co się stało cztery lata temu? - spytała Judyta.

Tymczasem Sambor nabrał powietrza w płuca i jeszcze mocniej zacisnął powieki, gdy z ciemności wyłonił mu się obraz ustawionych przed ołtarzem dwóch trumien i zanoszących się płaczem żałobników. Gdy ponownie otworzył oczy, sięgnął po leżący na stole portfel i wyjął z niego to samo zdjęcie, które wysłał wcześniej Judycie.

- Przechodziliśmy jako rodzina trudny czas. Wszystko przez pracę w komendzie w Zgorzelcu. W pewnym momencie służba tak mnie pochłonęła, że praktycznie nie bywałem w domu. Karolina próbowała mi jakoś przemówić do rozumu, ale w ogóle jej nie słuchałem. Wmawiałem sobie, że przecież robię to wszystko dla nich.

- Twoja żona pracowała?

- Była tłumaczką hiszpańskiego, więc pracowała z domu. W każdym razie zarabiałem coraz więcej pieniędzy i powtarzałem Karolinie, że ma dzięki mnie idealne życie. Naprawdę wierzyłem, że zamiast narzekać, powinna być mi wdzięczna. Kretyn ze mnie - westchnął z rezygnacją.

- Sami, ty pijesz? - spytała Judyta, gdy usłyszała brzęk szkła.

- Nie, to tylko woda. Strasznie mnie suszy.

- W porządku. Zatem co było potem?

- Jakiś rok, może półtora przed tragedią Milena zaczęła mieć problemy w szkole. Była agresywna wobec innych uczniów, co, jak się później okazało, było spowodowane między innymi moją nieobecnością.

- Tęskniła za tobą i czuła się zaniedbywana.

- Kiedyś spytała mnie, czy ją jeszcze Kocham. - Sambor zaklął pod nosem, po czym zrobił pauzę, by zapanować nad drżeniem głosu. - Tłumaczyłem jej, że nic się nie zmieniło i zawsze będzie dla mnie

najważniejsza, ale dla niej liczyły się tylko moje czyny. A te mówiły same za siebie.

- A jak na to wszystko reagowała Karolina? - dopytywała Judyta.

- W pewnym momencie odpuściła. Nie miała już chyba siły o nas walczyć. Poza tym widziała, że nie chcę niczego zmieniać. Pracowałem więcej niż kiedykolwiek i czułem, że to ten moment. Byłem bliski osiągnięcia szczytu. Nie mogłem zwolnić i pogrzebać wszystkich lat harówki. A potem... - urwał.

- Hm?

- Potem do mojego zespołu dołączyła Irmina. Młoda, ambitna policjantka.

- Ech, mogłam się spodziewać - skomentowała Judyta.

- Imponowała mi swoją energią. Normalnie tytan pracy. Pod tym względem byliśmy bardzo podobni. Ale chyba najbardziej podobało mi się w niej to, że zawsze potrafiła rozładować nawet najbardziej napiętą atmosferę. Potrafiła w idealnym momencie zarzucić jakimś błyskotliwym żartem. Poza tym była piękna... Niesamowicie piękna.

- Zakochałeś się w niej...

- Mało powiedziane. Totalnie mi na jej punkcie odbiło. Przez kilka miesięcy poprzedzających tragedię spotykaliśmy się po pracy kilka razy w tygodniu. Paru kumpli z komendy miało wobec mnie dług wdzięczności, więc poprosiłem ich, by w razie czego kryli mnie przed Karoliną. Myślała, że przesiaduję w robocie, a ja tymczasem bawiłem się w najlepsze z Irminą - westchnął do telefonu Sambor.

- Przyznaj: planowałeś porzucić rodzinę?

- Z początku nie brałem tego pod uwagę... Bywały dni, gdy między mną i Karoliną było jak dawniej. Pamiętam, jak w któryś weekend wyjechaliśmy za miasto. Zmiana otoczenia sprawiła, że Milenka znów się uśmiechała. Przez głowę przeszła mi wtedy myśl, że może powinienem zakończyć romans, póki jeszcze nie jest za późno. Wyobrażałem sobie, że odchodzę z pracy, sprzedaję dom i zabieram rodzinę na drugi koniec Polski, gdzie będę mógł zacząć od nowa bez

niepotrzebnych pokus. – Sambor przerwał na moment, by napić się wody. – A później znów spotykałem się z Irminą po pracy i zachowywałem jak niewyżyty nastolatek. Jakies dwa tygodnie przed tragedią Irmina po raz pierwszy wyznała mi miłość.

– Jak zareagowałeś?

– Nie spodziewałem się tego i nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć. Tymczasem ona poszła o krok dalej i zaproponowała, bym się do niej wprowadził. Przez następne dni wbijała mi do głowy, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Tłumaczyła, że moje małżeństwo z Karoliną od dawna jest fikcją, a Milenka nie będzie szczęśliwa, widząc kłócących się rodziców. Kurwa, mam ochotę na whisky...

– Nawet nie próbuj – zabroniła mu Judyta. – I co wtedy zdecydowałeś?

– Długo biłem się z myślami. Prawie do końca nie wiedziałem, co robić. I wtedy, na jakies dwa tygodnie przed tragedią, potwornie pokłóciłem się z Karoliną. Poszło o jakąś błahostkę, nawet nie pamiętam co, ale jako że oboje od dawna dusiliśmy w sobie mnóstwo skrajnych emocji, wystarczyła iskra, by zainicjować wybuch... I poszło. Karolina wyrzucała mi wszystko, a zwłaszcza spóźnienie się na kolację wigilijną z jej rodzicami i to, że musiała pójść sama na imprezę sylwestrową do znajomych.

– Powiedziałeś jej o Irminie?

– Nie, choć mało brakowało. Karolina zresztą zaczęła coś podejrzywać.

– Jak to?

– Zauważyła na kołnierzu koszuli ślady szminki i wyczuła kobiece perfumy. Kłamałem, że to nic takiego, że szuka sensacji tam, gdzie jej nie ma, ale ona mi nie wierzyła... W kolejnych dniach spędzałem jeszcze mniej czasu w domu, a gdy już się pojawiałem, to nie zamieniałem z Karoliną ani słowa. Żyliśmy obok siebie, co bardzo źle wpływało na Milenę. Znów dostaliśmy wezwanie do szkoły w związku z pobiciem koleżanki. Wychowawczyni zagroziła, że jeśli czegoś nie

zrobimy, to pozbawi Milenę głównej roli w przedstawieniu z okazji Dnia Babci. Pamiętam, jak bardzo się nim ekscytowała. Mówiła o tym przez cały czas. Porozmawialiśmy wtedy z Karoliną na spokojnie i podjęliśmy decyzję, że dla dobra Mileny zakopujemy topór wojenny. Pojawiła się nadzieja na poprawę naszych relacji.

– Niech zgadnę: Irmina nie zamierzała do tego dopuścić.

– Umiała mną manipulować. Gdy żadne argumenty nie działały, po prostu zaciągała mnie do łóżka. Żalotne, co nie?

– Przynajmniej masz odwagę to przyznać – odrzekła cicho Judyta, po czym przeszła do meritum: – Cały czas wspominasz o tragedii... Co się stało?

Sambor poczuł, jak w gardle staje mu gęła. Napił się wody i uspokoił przyspieszony oddech.

– Był wtorek. Zwyczajne, spokojne popołudnie. Pamiętam, że po pierwszej świeciło słońce, co było miłą odmianą po ostatnich śnieżycach. Właściwie to pamiętam wszystko z tamtego dnia. Zupełnie jakby to było wczoraj. – Zrobił krótką pauzę, gdy przez ciało przebiegły mu silne dreszcze. – Karolina zadzwoniła do mnie jakoś po drugiej i spytała, czy po piątej zawiozę Milenę na próbę do szkoły. Sama nie mogła tego zrobić, bo musiała pilnie skończyć pracę nad jakimś ważnym tekstem.

– I co zrobiłeś?

Sambor cicho zaklął, po czym kontynuował:

– Odmówiłem. Zasłoniłem się masą roboty w komendzie, ale prawda była taka, że byłem już umówiony z Irminą na wieczór. Obiecałem jej romantyczną kolację, seks i wybieranie mebli do pokoju dla gości.

– Czyli postanowiłeś się do niej wprowadzić – zauważyła Judyta.

– Tak. Na dniach miałem powiedzieć o wszystkim Karolinie. A później, koło ósmej, gdy leżeliśmy z Irminą zdyszani w łóżku, odebrałem telefon od teściowej... Wcześniej nawet nie zauważyłem kilkudziesięciu nieodebranych połączeń. – Sambor przełknął ślinę i wyjął: – Był wypadek. Jakiś wariat za kierownicą staranował toyotę

Karoliny. One... nie miały żadnych szans. Auto było doszczętnie zmiążdżone, nie było co zbierać. A najgorsze, że facet, który spowodował wypadek, wyszedł z tego niemal bez szwanku. Trochę się potłukł i podrapał. Powiedz mi, Wrona, dlaczego ten świat jest tak, kurwa, niesprawiedliwy?

– Boże, Sami... Tak mi przykro – westchnęła do telefonu Judyta.

Malczewski odłożył na moment smartfon i zacisnął mocno obie pięści. Miał ochotę podejść do ściany i walić w nią tak długo, aż przestanie czuć własne dłonie. Nagle powróciły do niego emocje, które towarzyszyły mu w tamtym czasie: obezwładniająca smutek, żal, poczucie niewyobrażalnej straty, ale nade wszystko nienawiść i pretensje do siebie.

– Przez długi czas byłem swoim największym wrogiem. Czuję, że to wszystko moja wina. Prawda jest taka, że radziłem sobie za kierownicą lepiej od Karoliny i wmawiałem sobie, że gdybym to ja wtedy prowadził, być może uniknąłbym zderzenia. A nawet jeśli nie, to miałem lepsze auto, więc może ocaliłyby nas poduszki powietrzne...

– Gdybanie jeszcze nigdy nikomu nie wyszło na dobre – zauważyła Judyta.

– Powiedz to ogarniętemu rozpaczą i nafaszerowanemu lekami na uspokojenie czterdziestolatki. Wiesz, ile razy przez głowę przeszła mi myśl, że powinienem ze sobą skończyć?

– Lepiej nie mów.

– I słusznie, bo w pewnym momencie straciłem rachubę.

– Jak na to wszystko zareagowała Irmina? – spytała po chwili Judyta.

– Z początku starała się mnie wspierać. Proponowała nawet, że wprowadzi się do mnie na jakiś czas. Odmówiłem, bo co by pomyśleli moi teściowie? Nigdy im nie powiedziałem o swoim romansie... Z miesiąca na miesiąc Irmina przychodziła coraz rzadziej. Tłumaczyła się głównie natłokiem pracy w związku z moim urlopem. Po pewnym czasie przestała się tłumaczyć. Po prostu dała sobie ze mną spokój. Zresztą wcale jej się nie dziwię. Chlałem na umór, od rana do nocy, i nie

było ze mną kontaktu. Na dodatek zachowywałem się agresywnie. Raz omal jej nie pobiłem.

– Jak ci się udało wyjść z takiego dołka?

– To temat na osobną rozmowę. Generalnie sam nie wiem, jakim cudem wciąż żyję... Chociaż co to za życie? Zostałem całkiem sam. Już nawet Lilia mnie opuściła.

– Nie chrzai, Sami. Nie jesteś sam. Chętnie na nowo się z tobą zaprzyjaźnię i będę ci codziennie działać na nerwy.

– Kusząca propozycja – zaśmiał się cicho do telefonu Sambor.

Judyta przerwała na chwilę, by upewnić się, że Kornel wciąż śpi. Następnie wróciła do kuchni i powiedziała:

– Ten wypadek nie był twoją winą. Nie mogłeś mu zapobiec.

– Niby tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. Domyślam się, że czujesz się z tym fatalnie, ale jedynym winnym jest kierowca drugiego samochodu.

Z jednej strony Sambor wiedział, że Judyta miała rację. Z drugiej zaś nie był w stanie wyrazić słowami bólu, jaki odczuwał w związku z dręczącymi go od lat wyrzutami sumienia. Dzień w dzień wyżerały go one od środka i odbierały mu kawałek duszy.

– Bez nich nic nie ma sensu, Wrona – powiedział po dłuższej chwili.

– Sprzedałem nasz dom, bo nie byłem w stanie wytrzymać w nim choćby dnia. Wszystko mi o nich przypominało. Przez pewien czas mieszkalem w wynajętej kawalerce, a później tułałem się bez celu po Polsce, szukając miejsca, w którym uda mi się zapomnieć...

– Nie wróciłeś już do komendy?

– Nie byłem w stanie pracować. Na szczęście nie musiałem, bo nie dość, że miałem spore oszczędności, to jeszcze zarobiłem mnóstwo kasy na giełdzie. Akcje spółki, w którą kiedyś tam zainwestowałem, szczęśliwie dla mnie wystrzeliły. Pod względem finansowym byłem zabezpieczony. Poza tym nawet gdybym chciał wrócić do pracy, to jak spojrzalbym w oczy Irminie? Musiałem wyjechać. To było jedyne

wyście. I tak pół roku temu wyłądownołem w Rzeszowie. Poznałem tam przypadkiem ludzi, którzy wyciągnęli do mnie pomocną dłoń. Gdyby nie oni, mogłoby być różnie.

- A teraz jesteście tu...

- Taa. W miejscu, do którego najchętniej nigdy bym nie wracał. Wyjechałem stąd krótko po osiemnastce. Wiem, że zraniłem tym babcię i dziadka, którzy opiekowali się nami najlepiej, jak umieli, ale nie mogłem tu zostać. Lilia doprowadzała mnie do szału...

- Czym?

- Swoim istnieniem - wyznał Sambor, a następnie sprecyzował: - Za bardzo kojarzyła mi się ze śmiercią rodziców i generalnie całym tym popierdoleństwem. Widzisz, ja chyba zawsze czułem, że pożar domu to jej sprawka. Z początku próbowała zrzucić winę na starego Krynickiego, który miał romans z naszą matką...

- Słyszałam o tym. Czyli twoim zdaniem on nie miał z tym nic wspólnego?

- Nie sądzę. Wszystko mi mówi, że to Lilia... Uwierz, ona miała nie po kolei w głowie.

- W jakim sensie?

Sambor nie miał siły opowiadać jej w szczegółach o tym, jak Lilia krótko przed pożarem nasłała na niego Borowego. Albo jak odprawiała modły nad ciałem białego jelenia.

- Lilia miała dziwną więź z lasem. Czasem wydawało mi się, że rozmawia z drzewami. W sumie nic dziwnego, że wspomniała o nich nawet w wierszu, który odnalazłem w skrytce w skalniaku. Sok śmierci wpływający z drzew... Co to może znaczyć?

- Chwila, Sami. Najpierw wytłumacz mi, dlaczego Lilia miałyby chcieć was wszystkich zabić.

- Mogła mieć milion powodów. Na pewno nas nienawidziła.

- Lilia wiedziała o romansie waszej matki. Może chciała się na niej odegrać za to, co wam robiła? - zasugerowała Judyta. - To by

tłumaczyło, dlaczego cię uratowała.

– To bez sensu. Gdyby pragnęła zemsty na matce, nie narażałaby nas wszystkich. Szczerze, to wcale bym się nie zdziwił, gdyby to las nakłonił ją do podpalenia domu.

– Eee?

– Poważnie. Ona już wtedy była nawiedzona i żyła w swoim świecie. Słyszała głosy, mówiła sama do siebie i potrafiła udać się na cały dzień do lasu. Raz przyłapałem ją, jak mówiła do jakiejś niewidzialnej postaci, która przed nią stała.

– Rozmawiałeś z nią o tym, zanim wyjechałeś?

– Niby jak? Każda interakcja z nią kończyła się awanturą. W kolejnych miesiącach Lilia zachowywała się coraz dziwniej, a na dodatek zaczęła jeszcze więcej pić i ćpać. Staczała się na moich oczach, a ja nawet nie próbowałem jej pomóc. Pod koniec życzyłem jej śmierci. – Po tych słowach pochylił się do tyłu na oparcie krzesła i spojrzał w przyciemniony sufit. – Czekałem na to dwadzieścia sześć lat.

– Nie jesteś złym człowiekiem, Sami. Nie wmówisz mi, że cię to cieszy.

– A co ty o mnie wiesz, Wrona?

– Wystarczy, że spojrzę ci w oczy. Nadal jesteś tym samym głupkiem, którego tak kochałam.

Sambor poczuł przyspieszone bicie serca.

– Serio? W takim razie nie trzeba było mnie wtedy zostawiać... Halo, Wrona?

– Jestem, jestem. Coś zakręciło mi się w głowie.

– To pewnie ze zmęczenia. Sorry, że przytrzymałem cię tyle czasu.

– Właściwie to powinnam ci podziękować. Wcześniej nie chciało mi się spać, a teraz oczy same mi się zamykają.

– Miło słyszeć, że historia mojego życia tak cię zanudziła.

Judyta prychnęła cicho do telefonu i odparła:

- Nie było tak źle. Musimy tylko popracować nad humorystycznymi wstawkami, bo na dłuższą metę ciężko się słucha tego marudzenia.

- Aha, czyli szczerą opowieść o moim życiowym upadku sprowadziłaś do marudzenia... Dzięki.

- Och, jakiś ty delikatny, Sami. Doceniam twoje zaufanie. Wiesz, gdy się tak tobie przysłuchiwałam, na moment cofnęłam się w czasie. Uwielbiałam nasze biwaki nad jeziorem, wszystkie te twoje historie zasłyszane od dziadka... Zawsze miałaś gadkę.

- Dobra, dobra. Pierwsze słowo do dziennika - odrzekł Sambor, po czym wydał z siebie cichy, krótki chichot. - Idź spać, Wrona. Późno już.

- Ty też się połóż. To był długi dzień i musisz się zregenerować.

- Nic mi nie będzie - zapewnił ją. - Dobranoc.

- Dobranoc. I nie martw się. Wydobędę z ciebie radość. Wszystko w swoim czasie.

- Mówisz jak siostra Ratched do pacjenta w ośrodku psychiatrycznym. A wszyscy wiemy, co później odpierdalała - prychnął Malczewski, a następnie dodał: - Śpij dobrze... obok tego łajdaka.

- Spróbuję. Już od dawna wyobrażam sobie po zamknięciu oczu, że leżę sama w łóżku. Gorzej, gdy Kornel się nawali. Wtedy zawsze chrapie. To do jutra, Sami.

- Aha, Wrona - odezwał się, zanim jego rozmówczyni przerwała połączenie. - Serio, przestań do mnie mówić „Sami”. Jajca wiszą mi już na cienkim kawałku skóry.

- Dobrze, nie będę... Sami.

*

Po siódmej Sambora zbudziło pukanie do drzwi. Mężczyzna niechętnie wygrzebał się spod grubej kołdry i podniósł z łóżka. Dopiero wtedy poczuł promieniujący z potylicy ból, który następnie rozszedł się na całą głowę. Zdecydowanie przesadził poprzedniego dnia z alkoholem. Powoli ruszył ku drzwiom ubrany w ciasne czarne bokserki.

- Co jest? - spytał recepcjonistkę z przypiętą do piersi srebrną plakietką, na której widniało imię Anna.

- Dzień dobry. - Kobieta starała się odwrócić wzrok od jego wyrzeźbionego, owłosionego torsu. - Dzwoniłam na telefon stacjonarny, ale...

- Zgłaszałem, że nie działa.

- Ach, racja. Przepraszam, dziś na pewno przyślę fachowca.

- Świetnie. To wszystko?

- Eee, niezupełnie. Na dole czeka jakiś policjant. Przedstawił się jako komisarz Popowski i pilnie chce z panem rozmawiać.

Sambor uniósł brwi.

- Hm... Proszę go zatem do mnie przyprowadzić.

- Oczywiście.

Po zamknięciu drzwi Sambor podszedł do stolika nocnego i zgarnął z niego swój smartfon. Na ekranie widniało siedemnaście nieodebranych połączeń.

Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

- Otwarte! - powiedział podniesionym głosem Sambor.

Popowski wparował do środka z miną zdradzającą zdenerwowanie.

- Malczewski! Dlaczego nie odbierałeś?!

- Przepraszam, spałem jak zabity, a telefon stacjonarny nie działa. Co się dzieje, komisarzu?

- Dzieje się. I to kurewsko się dzieje! Ubieraj się. Jedziemy do prosektorium.

- Prosektorium?

- Co, nie zrozumiałeś? Mamy nowego trupa!

Sambor poczuł, jak sztywnieją mu wszystkie mięśnie.

- Kogo?

W odpowiedzi Popowski podrapał się po karku.

- Właściwie to powinienem był powiedzieć „starego nowego”...
Znaleziono ciało Artura.

Sambor przelknął ślinę, a po plecach spłynął mu zimny pot.

– Krynickiego? Kiedy?

– Ponoć ktoś podrzucił je pod dom Krynickich w czarnym worku.

– Ja pierdolę – rzucił zaskoczony Sambor.

– Dokładnie. Ja pierdolę – wtórował mu komisarz.

– Wiadomo, że to Artur?

– Oficjalnie rodzina nie zidentyfikowała jeszcze zwłok. Jego brat, który natrafił na ciało po piątej, otworzył jednak worek i rozpoznał ubranie. W południe ma przyjechać do prosektorium.

– Co z matką?

– Na razie nic nie wie. Maciej przeniósł ciało kilkaset metrów, z dała od domu, a potem zadzwonił po policję... Nie patrz tak na mnie. Dla mnie też cała ta sytuacja wydaje się absurdałna.

– Mało powiedziane.

– I ubierz się wreszcie. Jeszcze ktoś tu wejdzie i pomyśli, że zamówiłeś mnie sobie na szybki numerek.

– Przystojniak z ciebie, ale zdecydowanie nie w moim typie – odpowiedział z delikatnym uśmiechem Sambor. Szybko jednak pożałował tych słów. Od pewnego czasu czuł, że Popowski był nim zainteresowany. Wprawdzie nie dawał mu tego do zrozumienia, ale sposób, w jaki na niego patrzył, mówił sam za siebie.

– I jak ja to przeżyję? Zaczekam na dole. Masz pięć minut.

– Komisarzu – zatrzymał go Sambor. – A zatem jedyne, co mamy, to słowa Macieja?

– Na razie tak.

– Możemy więc założyć, że to on podrzucił ciało pod dom.

– Owszem. I gdybyś łaskawie odebrał wcześniej telefon, już dawno doszlibyśmy do tego wniosku – odrzekł Popowski, zanim zniknął za drzwiami.

ROZDZIAŁ 24

Sambor od piętnastu minut spacerował w pobliżu wejścia do szkoły i zniecierpliwiony czekał na Cypriana. Sytuacji nie poprawiała ujemna temperatura, która dawała się mu we znaki.

- Czego pan tu szuka? - spytał go w pewnym momencie starszy mężczyzna ubrany w grubą, sięgającą kolan kurtkę, który zjawił się za jego plecami.

- A przepraszam, pan to kim jest? - odpowiedział pytaniem na pytanie Malczewski.

- Woźnym. Obserwuję już pana jakiś czas. Nigdy wcześniej tu pana nie widziałem. Proszę stąd iść.

- Że co?

Pomiędzy brwiami woźnego pojawiła się pionowa głęboka zmarszczka.

- Głuchys, człowieku?! Nie będziesz mi tu polował na uczniów. Wynocha albo wezwę policję. Tego chcesz?

Słyszac to, Sambor powoli zbliżył się do mężczyzny i zmierzył go z góry surowym wzrokiem.

- A ty chcesz wpierdol, dziadu?

Chwilę później drzwi otworzyły się, a z budynku wyszła grupa rozmawiających głośno nastolatków. Tuż za nimi ze spuszczoną głową podążał Cyprian. Zanim Sambor zdążył go zawołać, do chłopaka doskoczyło dwóch rówieśników: jeden podobnego wzrostu, a drugi wyższy od niego o pół głowy. Sambor patrzył, jak wyższy chłopak popchnął Cypriana z taką siłą, że ten stracił równowagę i upadł na posadzkę. Wtedy drugi na oczach wszystkich kopnął syna Judyty w brzuch i coś do niego powiedział. Sambor wzdrygnął się i już miał pobiec Cyprianowi na ratunek, gdy ten błyskawicznie się podniósł.

Następnie ruszył przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy, ignorując zanoszących się śmiechem oprawców.

- Cyprian! - krzyknął Sambor, a gdy chłopak skręcił z głównego chodnika i pomaszerował ku niemu, spojrział wymownie na woźnego i zapytał: - Łyso ci teraz?

Mężczyzna w odpowiedzi machnął ręką i szybko się oddalił. Tymczasem Cyprian minął Sambora z ponurą miną i rzucił:

- Szybko. Nie chcę, by nas razem zobaczyli. Jeszcze będą gadali, że mama znalazła dla mnie nowego tatusia, bo poprzedni nie miał dla mnie czasu.

- Czego ci kretyni od ciebie chcą? - spytał Malczewski, próbując dotrzymać kroku idącemu coraz szybciej Cyprianowi.

- Wszystkiego.

- Uczepili się bez powodu?

Chłopak spojrział na niego wymownie i odrzekł:

- A od kiedy musi być jakiś powód?

Po dotarciu do zaparkowanego nieopodal mercedesa Sambor odblokował drzwi i pozwolił nastolatкови wejść do środka. Sam powiódł wzrokiem za idącymi nieco dalej chuliganami. Gdyby nie był właśnie świadkiem ich zachowania, nigdy by nie pomyślał, że tych dwóch spokojnych, zwyczajnych chłopców byłoby zdolnych do przemocy. Jeszcze bardziej zdumiewało go jednak to, że nikt z będących w pobliżu uczniów nie stanął w obronie kolegi. Zupełnie jakby agresja była dla nich czymś normalnym i nieszkodliwym.

- Zaraz wracam - rzucił, zanim syn Judyty zamknął drzwi, po czym pobieglł ku idącym w przeciwnym kierunku nastolatkom. - Hej! Czekaście!

Gdy niższy z chłopaków zatopił w nim pytające spojrzenie, Sambor rozejrzał się wkoło i upewnił, że nie będzie miał świadków.

- Eee... O co chodzi? - spytał wyższy nastolatek, gdy Malczewskiego dzieliło od nich parę metrów.

– O to, jak potraktowaliście Cypriana.

Chłopcy spojrzeli po sobie, a na ich twarzach niemal jednocześnie pojawiły się szydercze uśmiechy.

– A ty to kto?

– Nie „ty”, tylko „pan”, smarkaczu.

Słyszac to, wyższy wydał z siebie głośnie prychnięcie.

– Idziemy, Kajtek. To jakiś wariat.

– Stać. – Sambor momentalnie do nich doskoczył i zagroził przejście. – Macie przeprosić Cypriana.

– Niby za co? – spytał niższy.

– Już dobrze wiecie za co.

– A jak nie, to co? – odezwał się wyższy.

– Jak nie, to tak wam wpierdolę, że następnym razem wwiozą was do budy na szpitalnych łózkach. – Sambor czuł, że przesadza, ale nie mógł się powstrzymać.

– Grozisz nam, złamasie? – spytał wyższy. – Dzwon po psy – rzucił nerwowo do kolegi.

W odpowiedzi Sambor wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego starą policyjną odznakę, którą nosił zawsze przy sobie z sentymentu do dawnych czasów.

– Nie ma takiej potrzeby. – Pomachał im nią przed oczami. – To co? Macie dziesięć sekund na podjęcie decyzji. Albo przeprosicie Cypriana i odpiardolicie się od niego raz na zawsze, albo przekonacie się, co to znaczy zadrzeć z wkurwionym psem. – Ostatnie słowo wypowiedział szczególnie wyraźnie.

*

Pół godziny później Malczewski zajechał pod dom Surmów i wyłączył silnik.

– Wszystko okej? – spytał milczącego przez całą drogę Cypriana.

- Nie wiem... A jeśli teraz będą się na mnie jeszcze bardziej wyżywali?

- Jeśli choćby cię dotkna, od razu do mnie dzwoń. Obiecuję, że zrobię z nimi porządek. Spójrz na mnie, młody. - Zaczekał, aż Cyprian wykona jego polecenie, po czym wyznał: - Doskonale wiem, jakie to uczucie, gdy ktoś traktuje cię jak śmiecia. Ten strach, kompletna blokada... Przerabiałem to gównem z moją cudowną siostrą.

Cyprian uniósł brwi.

- Siostrą? Nie mogłeś się jej postawić?

- Może i mogłem, ale nie umiałem. Pewnie gdybym dał jej raz, ale za to porządnie, w pysk, więcej by mi nie podskoczyła. Tylko że ty też mógłbyś bez problemu załatwić tego niższego. A może nawet i wyższego. Nie wyglądają mi na osiłków.

- Łatwo mówić - odparł wyraźnie przygnębiony Cyprian.

- Właśnie. W tym tkwi cały problem.

Zanim Cyprian opuścił auto, poprosił Sambora o dyskrecję.

- Mama i tak lata koło mnie, jakbym wciąż był w przedszkolu. Gdyby się dowiedziała, że...

- Jasna sprawa, młody. Nic nie powiem Wronie.

- Wronie?

- Tak kiedyś nazywałem twoją mamę. Mówiłem ci przecież, że kumpłowaliśmy się w dzieciństwie.

- Mama powiedziała ostatnio, że byłeś w niej zakochany.

Jego słowa zaskoczyły Sambora, który powstrzymał się od uśmiechu.

- A kto nie zakochałby się w takiej lasce?

Chwilę później Cyprian wysiadł z auta i ruszył ku furgonce.

- Młody! - zawołał go Sambor. - Tylko nie gadaj o tym z ojcem.

- O czym? O tym, że ma syna przegrywa, czy że wciąż bujasz się w mamie?

- Już cię lubię - rzucił z rozbawieniem i dodał: - Najlepiej w ogóle nic mu nie mów.

– Spoko. I tak nigdy mnie o nic nie pyta. Na razie.

*

W drodze do komendy Sambor wykonał telefon do Popowskiego. Chciał się dowiedzieć, czy pojawiły się jakieś nowe informacje na temat niejakej Roxxie. Zaczęło się od dziwnego zachowania Szafrąńskiego, który tydzień temu, już kilka godzin po tym, jak gruchnęła wiadomość o podrzuconym pod dom Krynickich ciele, pojechał do Węgrzyna i spędził u niego prawie jedenaście godzin. Nazajutrz ponownie się do niego udał. Kwadrans później Sambor widział, jak z Pieczary wyjeżdżało czarne bmw. Śledził je przez prawie pięćdziesiąt kilometrów. Opuścił, bo wydawało mu się, że kierowca zorientował się, że ma ogon. Po tym wydarzeniu Popowski wyteżył działania i jeszcze tego samego dnia przydzielił Malczewskiemu do pomocy dwóch funkcjonariuszy.

Trzy dni później Węgrzyn urządził w Pieczarze huczną imprezę, na której miało się bawić podobno nawet pięćdziesiąt osób.

– Czuję się oszukany. Ostatnio tak ochoczo mnie do siebie zapraszał, a gdy przyszło co do czego, nawet nie dał mi znać o imprezie – powiedział do telefonu z udawanym żalem Sambor.

– Może powinienes tam wtargnąć i mu to powiedzieć? – podjudzał go Popowski.

Szybko udało się ustalić, że jedną z osób przebywających wtedy w Pieczarze była Roksana Bieńczak. Pijana dziewczyna sama bowiem podłożyła się śledczym, dobijając się do ich zaparkowanego nieopodal posesji auta i zostawiając na karoserii mnóstwo odcisków palców. Szczęśliwie dla śledczych widniały one w policyjnej bazie. Okazało się, że Roksana miała za sobą odsiadkę w związku z handlem narkotykami. Sambor natychmiast wyczuł szansę na pozyskanie kreta.

– Wystarczy, że znajdziemy na nią jakiegoś haka. Może uda się ją przyłapać na rozprowadzaniu dragów.

– Kuba, zajmiesz się nią? – zwrócił się do jednego z policjantów Popowski. Następnie polecił drugiemu, Bartoszowi, by kontynuował

obserwację posesji Węgrzyna. – A ty, Malczewski, miej dalej oko na Szafrzańskiego.

Tymczasem udało się ustalić, że Roxsana aktywnie działała na jednym z portali randkowych i oferowała spotkania za pieniądze.

– „Namiętna Roxxxie. Rozwarta i gotowa” – przeczytał na głos opis jej profilu Popowski, po czym zwrócił się do Sambora: – Może się skusisz, komisarzu?

Malczewski pozostawił jego pytanie bez odpowiedzi. Zamiast tego zaproponował prowokację polegającą na umówieniu się z Roxxxie na zakup narkotyków.

– Sporo ryzykujemy, ale jeśli połknie przynętę, będziemy ją mieli w garści.

Popowski podrapał się po brodzie, spoglądając podejrzliwie na ekran laptopa i roznegliżowane zdjęcia Roxxxie.

– Sam nie wiem... Wolałbym ją jeszcze trochę poobserwować. W końcu popełni jakiś błąd.

– Jak uważasz.

Zeszłego wieczora Popowski zadzwonił do Sambora i powiadomił go, że Kubie udało się nagrać Roxxxie podczas spotkania z innym dealerem. Dziewczyna miała od niego nabyć sporo białego proszku.

– Właśnie jadę do komendy – powiedział Malczewski do komisarza, gdy ten odebrał telefon po czterech sygnałach.

– Świetnie. Ratajczyk też jest już w drodze. Mam dla was dobre wieści.

Wkrótce wyraźnie podekscytowany Popowski pokazał towarzyszom nagranie, na którym wyraźnie było widać Roxsanę wręczającą woreczek z proszkiem brodaczkowi w średnim wieku. Mężczyzna następnie dyskretnie przekazał jej zwinięte w rulonik banknoty.

– Mamy to – skomentował z satysfakcją Malczewski. – Kiedy do niej jedziemy?

- Gdy tylko wróci do domu. Kuba cały czas ją obserwuje. Właśnie w tej chwili zabrała chorą matkę na spacer do parku.

- Kochana córeczka.

- Córeczka, która potrzebuje pieniędzy na leczenie chorej matki. Spójrzcie tylko. - Komisarz zwrócił ekran swojego laptopa przodem do siedzących po drugiej stronie biurka rozmówców.

- Co to jest? - spytał prokurator.

- Zbiórka na leczenie Faustyny Bieńczak. Dwa lata temu zachorowała na rzadki rodzaj nowotworu. Potrzeba pół miliona na eksperymentalną terapię w Szwajcarii.

- Idealnie - rzucił Sambor. - To znaczy, współczuję biedaczce, ale w obliczu tak trudnej sytuacji Roksana raczej nie odważy się nam fikać.

- Zdecydowanie nie. Powrót do pierdła to ostatnie, czego teraz potrzebuje - stwierdził Popowski. - Jej matka ma tylko ją. Lepiej być nie mogło.

*

Dwie godziny później Sambor w towarzystwie komisarza wchodził schodami na trzecie piętro starej kamienicy zlokalizowanej przy ulicy Fabrycznej. Po dotarciu do drzwi z przymocowaną do nich tabliczką, na której widniała cyfra 8, Popowski trzy razy zapukał.

- Może jej nie ma? - spytał szeptem Sambor.

- Niemożliwe. Kuba mówił, że już wróciła - odrzekł komisarz, po czym zapukał ponownie.

Wreszcie rozległ się odgłos szybkich kroków, po których drzwi lekko się uchyliły.

- Czego? Spałam - spytała wyraźnie zmęczona blondynka z pełnymi ustami. Miała drobny nosek i grzywkę zaczesaną na boki.

- Roksana Bieńczak? Chcielibyśmy porozmawiać - odrzekł Popowski.

Dziewczyna, jakby przeczuwając coś złego, szybko zamknęła drzwi.

- Wynoście się albo zadzwonię po policję! - zdążyła jeszcze krzyknąć.

- Komisarz Robert Popowski, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Miejskiej w Gorzowie. Jest ze mną mój partner, komisarz Sambor Malczewski.

Musiała go usłyszeć, bo ponownie uchyliła drzwi i zbadała ich od stóp do głów podejrzliwym wzrokiem.

- Czego?

W odpowiedzi Popowski otworzył galerię zdjęć na smartfonie i pokazał jej kilka fotografii.

- Wygląda na to, że mamy do czynienia z recydywą. Wiesz, czym to się może dla ciebie skończyć?

Roksana wyglądała teraz na jeszcze bardziej zdenerwowaną.

- Śledziliście mnie? Wy skurwy...

- Porozmawiajmy w środku - zaproponował Sambor. - Wpuść nas, nic ci nie zrobimy.

- Na pewno...

- Albo pogadamy na spokojnie u ciebie, albo w komendzie. To drugie raczej źle się dla ciebie skończy - pogroził jej Popowski. - To jak?

Po pięciu sekundach namysłu Roksana niechętnie zdjęła suwak i otworzyła na oścież drzwi. Następnie wpuściła gości do przyciemnionej, dusznej kawalerki. W połączonym z aneksem kuchennym pomieszczeniu znajdowały się stare meble, rozłożona wersalka i drewniany stół z porysowanym blatem.

- Gadajcie, o co chodzi, a potem nara.

W kolejnych minutach Sambor i Popowski podzielili się z nią wszystkimi ustaleniami na jej temat i próbowali ją przekonać do współpracy. Z początku wszystkiego się wypierała, ale gdy Popowski pokazał jej na smartfonie wszystkie zdjęcia i filmiki, skapitulowała.

- Myślicie, że chciałam do tego wrócić? Nie miałam wyjścia. Moja matka umrze, jeśli nie zbiorę tych pieniędzy! - mówiła podniesionym,

drżącym z nerwów głosem.

- Przykro nam z jej powodu, ale fakty to fakty. Znów handlujesz i moglibyśmy bez problemu odesłać cię do paki – odezwał się komisarz.

- Jest tylko jeden sposób na to, żebyśmy skasowali wszystkie dowody i zapomnieli o całej sprawie.

- Chyba was pojechało, jeśli myślicie, że będę dla was szpiegować Węgrzyna! – odparła z oburzeniem Roksana. – Zdajecie sobie w ogóle sprawę z tego, jaki to niebezpieczny typ?

- Taki niebezpieczny, że ciągle do niego jeździsz i bawisz się w najlepsze – zauważył Sambor.

- Bo najlepiej płaci.

Następnie mężczyźni zaczęli nalegać, by opowiedziała im o imprezach Węgrzyna.

- Odbywają się w tak zwanej sali balowej. Wiem jednak, że są też inne pomieszczenia, ale do nich nie mamy wstępu.

- My? – spytał Sambor.

- Tak zwana służba, czyli barmani, muzycy, kelnerzy i...

- Dziewczyny do towarzystwa? – dopowiedział Malczewski.

- Nie tylko dziewczyny. Są też męskie prostytutki, a nawet dzieci.

- Chcesz powiedzieć, że Węgrzyn organizuje zjazdy dla pedofili? – spytał z uniesionymi brwiami Popowski.

- Chodziło mi o to, że część dziewczyn wydaje się naprawdę młoda. Niedawno jedna z nich wyznała mi dyskretnie, że ma czternaście lat.

- To już pedofilia – zauważył Sambor.

- Inne wyglądają na jeszcze młodsze. Nie wolno mi jednak z nimi rozmawiać. I tak dużo zaryzykowałam, pytając tamtą dziewczynę o wiek. Od momentu, gdy zostajemy wprowadzeni do Pieczary, jesteśmy ciągle obserwowani przez ochroniarzy Węgrzyna. Sami możemy jedynie chodzić do łazienki i pokoju odpoczynku.

- A co z kamerami?

- Oficjalnie ich nie ma, ale podejrzewam, że Pieczara jest nimi naszpikowana. Nie wiem, jak z pozostałymi pomieszczeniami.

- Wiesz o nich cokolwiek? - dopytywał Sambor.

- Nie za bardzo, ale musi być jakiś pokój narad czy coś w tym stylu. Czasem większość grubych ryb znika jednocześnie i na przykład wraca po dwóch godzinach. Podejrzewam, że wtedy toczą się najważniejsze rozmowy.

- Albo dzikie orgie niedostępne dla zwykłych śmiertelników - zasugerował Popowski, po czym spytał: - To co, możemy na ciebie liczyć?

Roksana spojrzała z niedowierzaniem na komisarza.

- Oni mnie zapierdolą, jeśli odkryją, że mam kamerkę.

- Rób wszystko, co ci powiemy, a nie spadnie ci włos z głowy - zapewnił ją Sambor. - Decyduj.

Dziewczyna podeszła do okna i przez pół minuty namyślała się w milczeniu.

- Zgoda, ale tylko jedna noc.

- Nie ty ustalasz tu warunki - zauważył Popowski.

- Jedna noc albo wypierdalajcie - wycedziła.

Sambor i Popowski wymienili spojrzenia.

- Niech będzie, ale pod warunkiem, że dostarczysz nam zadowolające kąski - powiedział komisarz.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Roksana wyminęła ich i po chwili znalazła się przy drzwiach. - Idźcie już.

- Najpierw zapisz sobie mój numer. Musimy być w stałym kontakcie - odezwał się Sambor.

Zanim wyszli, Roksana oparła się o drzwi, zmierzyła ich surowym wzrokiem i rzekła:

- Jeśli coś pójdzie nie tak, będziecie mieli na sumieniu nie tylko mnie, ale i moją matkę. Jesteście na to gotowi?

ROZDZIAŁ 25

Trzy dni później Sambor wraz z Popowskim i policyjnym informatykiem siedzieli w zaparkowanym pięćdziesiąt metrów od Pieczary aucie i gapili się w ekran laptopa.

- Jeśli nas dobrze słyszysz, wyciągnij rękę przed kamerę - powiedział do niedużego głośnika Malczewski. Chwilę później ujrzeni dłoń Roksany i jej różowe tipsy. - Świetnie. Zatem zaczynamy.

Przez następne minuty przymocowana do sukienki dziewczyny kamera full HD z wmontowanym mikrofonem rejestrowała wszystko, co działo się w sali balowej: elegancko ubranych i upijających się mężczyzn, wszechobecne kelnerki, a także półnagie, wijące się na kilku rurach tancerki. W pewnym momencie dołączyli do nich ubrani jedynie w czarne stringi mężczyźni. Jeden z nich, umięśniony Latynos, przyciągnął do siebie otyłego starca z białymi włosami i brodą. Biznesmen chwycił tancerza za kroczę i polizał go po ogolonym torsie.

- Na moje oko przypomina to trochę spotkanie znudzonych życiem milionerów, którzy nie wiedzą już, na co wydawać pieniądze - skomentował Popowski.

- Mówisz tak, jakbyś był kiedyś na podobnej imprezie - odrzekł kąśliwie Sambor, po czym poprosił Roksane, by zbliżyła się do długiego marmurowego stołu, przy którym siedziało kilku mężczyzn i towarzyszące im prostytutki. - No, no... Noc jeszcze młoda, a ci już lecą w kokę - dodał, gdy jeden z mężczyzn pochylił się i wciągnął nosem długi pasek białego proszku.

- Pamiętasz zasady, Roxie? Żadnych dragów i alkoholu. Potrzebujemy, żebyś była świadoma i czujna - pouczył ją Popowski.

Po tych słowach na ekranie ponownie pojawiła się jej dłoń.

- Grzeczna dziewczyna - odezwał się Sambor. - A teraz poszukaj Węgrzyna.

- Wygląda na to, że jeszcze nie przyszedł - powiedział komisarz.

- Nie przyszedł na imprezę we własnym domu? To ciekawe...

Kolejne pół godziny upłynęło im na obserwowaniu napływających do ogromnej sali gości. W pewnym momencie w pomieszczeniu musiało się znajdować ze sto osób.

- Gdyby ktoś mi powiedział, że w zabitej dechami wsi odpierdzielają się takie cuda, nigdy bym nie uwierzył - rzucił Popowski tuż po tym, jak na marmurowy stół wskoczyła ubrana w bieliznę brunetka i na oczach wszystkich zerwała z piersi biustonosz. Chwilę później z głośników wybrzmiała głośna klubowa muzyka, a znajdujący się za podestem z rurami parkiet wypełnił się ludźmi.

- Tylko gdzie ten Węgrzyn... I dlaczego jeszcze nie ma Szafrąńskiego? - zastanawiał się Sambor, który powoli tracił cierpliwość. Nie interesowało go oglądanie zabawiających się bogaczy. Potrzebował czegoś, co przybliży go do rozwiązania zagadki śmierci Lili i Artura. - Sekcja zwłok wykazała, że oboje zmarli w podobnym czasie, a ciało Krynickiego przez długi czas leżało pod ziemią. Morderca musiał je ukryć, a następnie odkopać i podrzucić Maciejowi. Pytanie tylko: czy stała za tym ta sama osoba, która wrzuciła ciało Lili do rzeki?

- Schylcie się! - zawołał Popowski, gdy nagle za ich plecami rozblęsnęło mocne światło samochodowych lamp. Po chwili minęła ich kolumna aut, która zatrzymała się przed długą, wysoką bramą. Mniej więcej pół minuty później brama rozsunęła się, a pojazdy wjechały na teren posesji Węgrzyna. - Coś mi mówi, że prawdziwa zabawa dopiero się zaczyna.

Tymczasem Roksana próbowała odpędzić od siebie pijanego i natrętnego starca.

- Uważaj na jego drinka - ostrzegł ją Sambor. - Jeśli zaleje kamerę, będzie po nas.

- A wtedy nasza umowa wygaśnie - zagroził Popowski, który nie ufał jej i podejrzewał, że najchętniej sama pozbyłaby się kamerki.

Cała trójka obserwowała, jak mężczyzna prowadził protestującą Roksanę w kierunku czarnych drzwi. Wkrótce znaleźli się na wąskim, ciemnym korytarzu i zatrzymali przed jakimiś jasnymi drzwiami. Mężczyzna przyłożył dłoń do klamki i zajrzał do środka.

- Przepraszam - powiedział, po czym w pośpiechu zamknął drzwi. Kamera zdążyła jednak zarejestrować siedzącego na łóżku otyłego starca w samej koszulce i stojącą przed nim nagą szatynkę. - Musimy znaleźć wolny pokój.

Po dwóch nieudanych próbach mężczyzna wprowadził Roksanę do przytulnego, oświetlonego na różowo pokoju, w którym znajdowało się jedynie duże, starannie zaścielone łóżo. Następnie polecił dziewczynie, by położyła się na plecy i rozłożyła nogi.

- Mogę w sukience? - spytała go.

- Możesz, ale zdejmij majtusię, dobrze?

- Nie mam bielizny - odrzekła, a zadowolony mężczyzna się obliznął.

- W takim razie bierzmy się do dzieła.

Dziesięć minut później Sambor miał już dość oglądania sufitu i nasłuchiwania udawanych jęków Roksany. A gdy na ekranie laptopa pojawiła się twarz pomarszczonego dziada, wyjął słuchawkę z uszu i zamknął oczy.

- Obudź mnie, gdy skończą.

- Coś mi mówi, że nawet nie zdążysz zasnąć. Tacy zwykle kończą szybko.

Popowski miał rację. Po dwóch minutach twarz mężczyzny wykrzywiła się, a on sam głośno zawarczał. Roksana przeszła następnie do pozycji siedzącej, a policjanci zobaczyli, jak znajomy Węgrzyna podciągał spodnie.

- Mogłaś to sobie darować - powiedział do mikrofonu Sambor.

– Dobra, Roxie. Wracaj na salę – polecił jej Popowski. – Straciliśmy już przez tego pierdziela wystarczająco dużo czasu. Że też musiał cię tu zaciągnąć akurat wtedy, gdy przyjechali nowi goście...

Roksana zaczekała, aż mężczyzna opuści pomieszczenie, i położyła się na łóżku twarzą do pościeli.

– Co robić? Takich jak on będzie dziś więcej.

– Musisz ich unikać. Potrzebujemy cię na sali balowej – odpowiedział jej Popowski.

– Nie rozumiesz. Nie mogę im odmawiać.

– Zapłacimy ci tyle, ile dostałabyś od nich – zaoferował Sambor. – Po prostu nie przychodź z nimi tu więcej.

– Człowieku, tu nie chodzi o kasę. Ja jestem tu po to, by robić wszystko, czego oni chcą. Nie mam prawa głosu.

– Hm... W takim razie musimy ci znaleźć jakieś zajęcie. – Malczewski przyłożył palec wskazujący do dolnej wargi i po krótkiej pauzie dodał: – Umiesz tańczyć?

– Tak sobie, a co?

– Wyłaż tam i wskakuj na rurę. Z podestu będziemy mieli idealny widok na całą salę.

– Wszystkie rury są zajęte przez profesjonalne tancerki.

– Zatem powiedz którejś z nich, żeby spierdała, i zajmij jej miejsce. Ruchy, nie mamy czasu do stracenia!

– Dobra, idę. – Roksana w pośpiechu opuściła pokój i wróciła na główną salę.

– Dziwne. Jakoś się przerzedziło – stwierdził Popowski.

– Może Węgrzyn zwołał zebranie w sali narad, o której wspominała Roxie? – zasugerował Sambor, a następnie ponaglił dziewczynę. Ta ruszyła szybkim krokiem ku podestowi z trzema okupowanymi przez tancerki rurami. Na szczęście już pierwsza zgodziła się ustąpić jej miejsca.

- Tańcz sobie, ile chcesz. Wreszcie będę mogła się zająć tamtym przystojniakiem – powiedziała długowłosa blondynka z ogromnym biustem, po czym zeskoczyła z podestu i zniknęła z widoku.

Tymczasem Roksana podeszła do rury i ustawiła się przodem do widowni.

- Wolniej – powiedział do mikrofonu Sambor, gdy dziewczyna zaczęła wykonywać zmysłowe ruchy. – Widzisz kogoś znajomego?

Popowski chwycił spoczywającego na kolanach informatyka laptopa, a następnie przysunął go bliżej twarzy.

- Hm... Ciężko powiedzieć – odrzekł ze zmrużonymi oczami.

- Jak coś, to mogę przybliżyć obraz – wyjął informatyk.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz? Ja pierdołę! – Popowski spiorunował towarzysza wzrokiem, a następnie polecił mu zrobienie zbliżenia na faceta w błękitnej koszuli. – Poznaję go.

- Kto to? – spytał zaciekawiony Sambor.

- Roman Zwilecki. Biznesmen, a swego czasu także lokalny polityk. O ile dobrze pamiętam, startował nawet w wyborach na prezydenta Gorzowa i był blisko wygranej. O, proszę, jest też Sylwester Luty, prezes Lecha Poznań.

- No nieźle – skwitował Malczewski. – Wygląda na to, że Węgrzyn ma znajomych z wielu dziedzin. Brakuje tu tylko jakiegoś ministra.

Popowski przysunął ekran do twarzy i przez pół minuty w milczeniu analizował wyświetlane obrazy.

- Skoro o ministrach mowa, to wydaje mi się... ale nie jestem pewien... Tamten wysoki facet w szarym garniturze i czerwonym krawacie.

- Widzę go.

- Z tej odległości nie mogę ocenić na sto procent, ale to chyba minister klimatu i środowiska, Marcin Wianowski.

- Robi się coraz ciekawiej – odrzekł Sambor, po czym wzdrygnął się na widok znajomej twarzy. – Roxie, kamera na tego faceta w błękitnej

koszuli. Spróbuj podejść bliżej. Ja pierdziele...

- Zaraz, czy to nie przypadkiem...

- Kornel Surma - odpowiedział za niego wyraźnie zmartwiony Sambor. Od razu rozpoznał męża Judyty. Z ciekawości przeglądał bowiem jego zdjęcia w internecie, a nawet oglądał na YouTubie filmiki z jego występów. - Tylko jego tu brakowało.

- Nawet pan starosta bawi się u Węgrzyna. Facet owinał sobie wszystkich wokół palca. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem - skomentował Popowski.

- Niby czego? Spędu pozbawionych kręgosłupa moralnego sprzedawczyków? Przynajmniej wiemy, na kogo trzeba pluć z drugiego końca ulicy - odrzekł zirytowany nagle Sambor. - Roxie, kamera cały czas na faceta w koszuli. Co za sukinsyn - syknął, przyglądając się Kornelowi, który wsuwał dłoń pod koszulkę szczupłego, krótko ostrzyżonego szatyna. Chłopak musiał mieć nie więcej niż dwadzieścia lat. - Chryste, biedna Wrona...

- Hę? - mruknął Popowski.

- Nieważne.

Tymczasem mąż Judyty zerwał z chłopaka koszulkę i zaczął mu oblizywać na oczach wszystkich prawą pachę. Sambor skrzywił się i polecił Roksanie, by udała się w inne miejsce.

- Nie chcę na to patrzeć.

Malczewski starał się skupić na wyświetlanym na ekranie nagraniu z kamery, ale jego myśli nieustannie powracały do Kornela Surmy. Nagle wszystko stało się jasne. „Zapracowany” mąż w rzeczywistości bawił się w najlepsze u Węgrzyna, uwodząc bez skrępowania dwukrotnie młodszych od siebie chłopców. Czy Judyta wiedziała o jego skłonnościach? Czy pozwalała mu na takie skoki w bok? Sambor czuł, że nie miał prawa wtrącać się w prywatne sprawy Wrony. Dopiero co pojawił się na nowo w jej życiu.

- Kogoś jeszcze poznajesz? - spytał milczącego od dłuższego czasu Popowskiego.

– Średnio. Poza tym staram się wypatrzeć Węgrzyna, ale jak go nie było, tak nie ma. Szafrąńskiego też nigdzie nie widać.

– Może faktycznie przebywają w niedostępnej dla zwykłych śmiertelników sali narad? – zasugerował Popowski.

– Nazywasz „zwykłymi śmiertelnikami” ministra środowiska i niedoszęłego prezydenta miasta? – spytał ze zdziwieniem Sambor. – Aż boję się zatem pomyśleć, kto należy do najbliższego grona Węgrzyna.

Po kwadransie obserwowania upijających się, wciągających kokainę i flirtujących z półnagimi dziewczynami mężczyzn policjanci dostrzegli otwierające się drzwi.

– Roxie, kamera cały czas na drzwi! – krzyknął do mikrofonu Sambor.

Po chwili na salę weszła spora grupa ubranych w czarne garnitury mężczyzn, a na ich czele kroczył Węgrzyn.

– Przybyła elita – skomentował Malczewski, po czym skupił wzrok na krocącym obok Węgrzyna rudowłosym mężczyźnie. – Szafrąński... I jego braciszek. – Spojrzał na prowadzony przez niego wózek inwalidzki, na którym siedział łysy mężczyzna z wykrzywioną twarzą. – Mięśny Piter. Wstydziłby się go tu przyprowadzać.

– Tego się nie spodziewałem. Szafrąńskiemu raczej nie uda mu się tu w nikim wzbudzić współczucia. Ci ludzie nie mają sumienia – ocenił Popowski.

– Nie wiedziałem, że masz aż tak małą wiarę w ludzi.

– I kto to mówi? – prychnął Popowski.

Sambor spytał następnie komisarza, czy kogoś poznaje.

– Hm... Nie za bardzo. W sumie to nie jestem zaskoczony, że Węgrzyn otacza się ludźmi bez twarzy. To właśnie takie szare eminencje rządzą światem.

– Brzmisz jak specjalista od teorii spiskowych. To prawdziwe życie, a nie Discovery Science – rzucił z przekąsem Sambor, nie spuszczać wzroku ze starszego Szafrąńskiego.

Konrad w pewnym momencie odłączył się od Węgrzyna i podszedł do marmurowego stołu, ustawiając obok niego wózek z młodszym bratem. Zaczął wciągać długi pasek białego proszku, podczas gdy jedna z prostytutek masowała Mięsnego Pitera po kroczu i jednocześnie lizała go po tysej, pokrytej bliznami głowie. Po chwili dołączyła do nich druga, która uniosła nienaturalnie wykrzywioną prawą dłoń mężczyzny i zaczęła zmysłowo oblizywać mu palce.

- Nie wiem, co powiedzieć - skomentował Popowski, kręcąc z zażenowaniem głową.

Wkrótce Konrad ruszył na parkiet, gdzie przez kolejne minuty tańczył blisko Roksany z wynajętymi przez Węgrzyna dziewczynami. Nagle w pobliżu niego znalazł się Kornel Surma. Mąż Judyty obejmował w biodrach umięśnionego i mocno owłosionego Latynosa. W pewnym momencie mężczyźni pocałowali się, a Kornel wsunął mu dłoń w bokserki.

Tymczasem pod Pieczarę podjechało kolejne auto.

- A to kto znowu? Joe Biden? - prychnął Sambor.

- Pewnie zaraz się przekonamy.

W pewnym momencie blondynka, która wcześniej tańczyła na rurze, weszła na podest i poprosiła Roxxxie o zamianę.

- Koleś okazał się kretynem z miniaturowym futem. Dobrze ci radzę, trzymaj się od niego z daleka.

- Okej, zjeżdż - powiedział do mikrofonu Sambor, po czym poinstruował dziewczynę, by podeszła jak najbliżej Węgrzyna. Gospodarz od dłuższego czasu rozmawiał o czymś żywo z kimś ze swojej świty. Malczewski liczył, że uda im się ich podsłuchać. - Bliżej... Jeszcze bliżej... Kurwa, niech ściszą tę muzykę.

Gdy Roksana dzieliło od Węgrzyna i jego rozmówcy około półtora metra, mężczyźni przerwali rozmowę i zatopili w niej pytające spojrzenia.

- Uśmiechnij się szeroko - polecił jej Sambor.

- Tak, kochanie? W czym mogę ci pomóc? - spytał troskliwym tonem szatyn z wysokim czołem i zaokrąglonymi okularami.

- Ja tylko... eee... chciałam spytać, czy czegoś panowie potrzebują - odpowiedziała niepewnie Roksana, po czym dodała: - Bo jak coś, to jestem do waszej dyspozycji.

- Ja jebię - syknął zażenowany Sambor.

- Dziękujemy, kochanie. Gdy zapagniemy twojego towarzystwa, na pewno odnajdziemy cię w tłumie. - Węgrzyn wymusił uśmiech i zaczekał, aż Roxxxie się oddali. Dopiero wtedy kontynuował rozmowę.

- I co teraz? - odezwał się komisarz. W jego głosie dało się słyszeć zwątpienie. - Nic specjalnego się nie dzieje. Może Węgrzyn i Szafrąński zwyczajnie lubią się zabawić?

- W takim razie zapewnijmy im zabawę, o jakiej nie śnili - odrzekł Sambor, po czym polecił Roksanie, by weszła na parkiet i spróbowała poderwać Szafrąńskiego.

- Pojechało cię? Ten koleś to zjeb i totalny zwyrol.

- Nic nie mów! Jeszcze ktoś nabierze podejrzeń - zwrócił jej uwagę Malczewski.

- Mam to w piździe. Nie podejść do niego. Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to on tak urządził swojego brata.

- Przecież ci zapłacimy!

- Ja pierdołę, ty naprawdę nic nie czaisz! Nie zrobiłabym tego nawet za milion złotych! - warknęła Roksana, po czym obróciła się szybko na pięcie. Zanim jednak zdążyła zrobić pierwszy krok, Sambor i reszta usłyszeli męski krzyk.

- Hej! Zaczekaj!

Po chwili obiektyw kamery skierował się na Szafrąńskiego, który błyskawicznie znalazł się przy Roksanie.

- Unikasz mnie?

- Co? Nie... Niby dlaczego? Przecież jestem tu cały czas.

- Uśmiechałem się do ciebie, gdy tańczyłaś, ale kompletnie mnie zignorowałaś – odrzekł, nie spuszczać wzroku z jej biustu.

- Coś ci się ubzdurało. Nawet nie zwróciłam na ciebie uwagi.

- Tym gorzej, kiciu. – Szafrąński przyciągnął ją do siebie i przysłonił obraz. – Ciągle o tobie myślę.

- Przestań...

- Kiedy to prawda! Ostatnio nie dałaś się zaprosić do pokoju uciech, co jeszcze bardziej mnie na ciebie nakręciło...

- Ja nie dałam się zaprosić? Zamiast mnie poszedłeś z Marion i tak ją zmasakrowałeś, że...

- Ciii... Marion sama chciała, bym był trochę ostrzejszy. Zresztą nic wielkiego się nie stało.

- Nie?! Podobno nie wiadomo, czy uda się uratować jej oko...

- Kiciu, to tylko plotki. Rozmawiałem dziś z Marion i wiem, że czuje się świetnie.

- Ehe, to dlaczego jej tu nie ma? I dlaczego nie odbiera od nikogo telefonu?

- Spytaj go, od jak dawna znęca się nad kobietami – odezwał się Sambor.

- Komisarzu! – zwrócił mu uwagę Popowski.

Sambor odsunął od siebie mikrofon i powiedział do komisarza:

- A jeśli Lilię też tak traktował? Może faktycznie mieli romans, a gdy Lilia postanowiła z nim zerwać, ten wpadł w szał i posunął się za daleko?

- Założmy, że tak było. Gdzie w tej teorii jest miejsce dla Krynickiego? – odpowiedział pytaniem na pytanie Popowski.

Tymczasem Roksana wyrwała się Szafrąnskiemu i ruszyła szybkim krokiem ku wyjściu.

- Stój! – wołał za nią mężczyzna.

- Odpierdol się ode mnie, zwyrolu! – wrzasnęła, zwracając na siebie uwagę stojących w pobliżu ludzi.

- Roxie, pogięło cię?! Miałaś nie urządać scenek!
- Jakiś problem, Konrad? - rozległ się w tle znajomy głos.

Po chwili na ekranie laptopa pojawił się Karol Węgrzyn.

- Chciałem spędzić z koleżanką miły czas, ale chyba nie jest zainteresowana - powiedział do niego Szafrąński.

- Jak masz na imię, kochanie? - spytał ją gospodarz.

- Roksana. Ale mówią mi Roxie. Przez trzy x.

Węgrzyn uniósł jednocześnie oba kąciki ust i odrzekł:

- Dobrze, Roxie przez trzy x... Chyba zdajesz sobie sprawę, czego od ciebie oczekiwałem, gdy postanowiłem cię tu zaprosić?

- Tak, ale... Ten człowiek jest niebezpieczny... To, co zrobił Marion...

- Niebezpieczny? Mój przyjaciel Konrad? - Węgrzyn spojrzał na towarzysza, po czym poklepał go po ramieniu. - To jeden z najbardziej szanowanych obywateli gminy. Pomógł wielu ludziom i nie skrzywdziłby muchy.

- Ale...

Nagle usta Węgrzyna ułożyły się w poziomy pasek, a na jego czole pojawiła się cienka pozioma zmarszczka.

- Zrobisz wszystko, co powie ci mój przyjaciel Konrad. Absolutnie wszystko. Rozumiemy się?

- Chcę stąd iść. Nie musi mi pan płacić.

W odpowiedzi Węgrzyn głośno prychnął.

- Iść? Kochanie, stąd nie da się tak po prostu wyjść. To ja o tym decyduję.

Jego słowa ewidentnie dodały pewności pijanemu Szafrąnskiemu, który uśmiechnął się złowieszczo i ścisnął Roksanę za przedramię.

- Słyszałaś. Idziemy - powiedział nieprzyjaznym tonem.

- Kurwa - zaklął pod nosem Sambor. - Co teraz? Nie możemy mu pozwolić, by...

- Nic nie możemy na to poradzić - odrzekł Popowski.

- Ale... - Sambor impulsywnie przyłożył dłoń do kłamki.

- Malczewski, albo siedzisz na dupie albo rozpierdalasz całe śledztwo – powiedział do niego stanowczo komisarz.

Sambor wahał się jeszcze przez dłuższą chwilę. Wreszcie puścił kłamkę i opadł plecami na oparcie fotela.

- Chryste... Wytrzymaj to, Roxie.

ROZDZIAŁ 26

Od dwudziestu minut na ekranie laptopa widniało czarne tło. Po zaciągnięciu Roksany do jednego z pokoi uciech Konrad Szafrąński zerwał z niej sukienkę i prawdopodobnie rzucił ją na podłogę w taki sposób, że przymocowana do niej kamera wylądowała obiektywem do podłogi. Sambor i Popowski byli zatem zdani na mikrofon, który rejestrował przeraźliwe odgłosy. Roksana była niczym katowane zwierzę i rozpaczliwie wzywała pomocy.

– Nie. – Komisarz wyrwał Malczewskiemu z dłoni mikrofon. – Milcz, bo jeszcze Roxie zaczniesz do ciebie mówić i nas wyda.

Tymczasem Szafrąński bez przerwy warczał i gdyby nie rzucane przez niego przekleństwa, Sambor pomyślałby, że nad dziewczyną znęcało się jakieś wygłodniałe, dzikie zwierzę. Bezwzględny oprawca delectował się władzą, którą sprawował nad całkowicie bezbronną ofiarą. Istnienie Roksany zależało teraz wyłącznie od niego.

– Komisarzu, do kurwy nędzy, musimy interweniować, zanim ten psychol ją zabije! – naciskał towarzysza zdesperowany Sambor.

– Opanuj się wreszcie – upomniął go nad wyraz spokojny Popowski.

– Jak niby to sobie wyobrażasz? Nie mam nawet ludzi, którzy by nas wsparli.

– W takim razie chodźmy tam we dwójkę.

Popowski spojrział na rozmówcę z niekrytym zdumieniem.

– Życie ci niemiłe, Malczewski? Przecież widziałeś na nagraniu, ilu ochroniarzy pilnuje gości. – Następnie przyłożył dłoń do ramienia Sambora i dodał nieco spokojniejszym tonem: – Na pewne rzeczy nie mamy wpływu, ale przysięgam ci, że skurwiel za to zapłaci. Może nie dziś, ale wkrótce. Osobiście się o to zatroszczę.

- Żyjesz? – odezwał się godzinę później Szafrąński. – Kiciu, pobudka... Tak jest, grzeczna dziewczynka. Jak ci się podobało? Oj, widzę, że bardzo... Wybacz, jeśli trochę mnie poniosło... ale nic na to nie poradzę, że jesteś taka seksowna... Muszę iść. Odpocznij sobie, kiciu... Boże, jaka ty jesteś piękna... Może jednak zostanę?

- Nie! – Z głośników wybrzmiał kobiecy jęk.

- No wiesz? Sprawiasz mi przykrość... Ale niech będzie. Zaslugujesz na odpoczynek. Zdrzemnij się i wróć do mnie. Będę na ciebie czekał na parkiecie...

Chwilę później w tle rozległ się odgłos zamykanych drzwi, a Sambor chwycił mikrofon i przyłożył go do ust.

- Roxie, jesteś tam? Kurwa, co on ci zrobił? Roxie, powiedz coś!

Dziewczyna potrzebowała trzech minut, by doczołgać się do sukienki. Gdy wreszcie udało jej się chwycić kamerkę, policjanci ujrzeli jej podrapaną twarz i rozciętą górną wargę.

- Zostawiliście mnie...

- Nie mogliśmy nic zrobić – odrzekł Sambor. – Kamerka niczego nie zarejestrowała. Ale nie martw się: zawieziemy cię prosto do szpitala, gdzie zrobią ci obdukcję. Dopilnujemy, by Szafrąński...

- Nie będzie żadnej obdukcji – powiedziała stanowczo Roksana. Następnie powoli założyła sukienkę, wydając przy tym ciche jęki. – Chcę do domu.

- Dobrze, zawieziemy cię do domu, tylko spróbuj stamtąd wyjść.

- Ale jak? – spytała łamiącym się głosem. Sambor czuł, że była o krok od wybuchnięcia płaczem. – Stąd nie ma wyjścia.

- Wymyśl coś. Ostatnio ci się udało, gdy próbowałaś wsiąść do auta naszych ludzi. Podobno wyszłaś sama główną bramą i nikt cię nie pilnował.

- Tak, ale wtedy nie było tylu ochroniarzy... Chcę do domu!

- Wracaj na salę i kieruj się do wyjścia - poradził jej Sambor. - Jestem tu z tobą cały czas. O nic się nie martw.

Pięć minut później Roksana kroczyła chwiejnie przez zatłoczoną salę. W pewnym momencie niezamierzenie skierowała obiektyw kamery na marmurowy stół, przy którym pięć osób wciągało jednocześnie biały proszek. Obok nich na brzegu długiej czarnej sofy naga mulatka siedziała na kolanach mężczyzny, który zanurzał twarz w jej piersiach.

- Stój! - powiedział do mikrofonu Sambor, po czym zwrócił się do Popowskiego. - Poznaje pan ten kucyk?

Komisarz zmrużył oczy i przez kilka sekund wpatrywał się w milczeniu w ekran laptopa.

- Chwila... Co do cholery?!

- Wygląda na to, że podkomisarz Okoński wcale nie jest tak wrogo nastawiony do Węgrzyna. Wręcz przeciwnie: chętnie korzysta z jego atrakcji. Ej, Roxie!

- Chcę do domu - odpowiedziała dziewczyna, kontynuując wędrówkę ku wyjściu.

- Zostań tam! Musimy mieć nagranie twarzy. Proszę!

- Dobra, kurwa! - syknęła Roksana, nie dbając o to, czy ktoś zwróci uwagę na to, że mówi do siebie. Następnie nakierowała kamerę z powrotem na mężczyznę z kucykiem i zbliżyła się do niego na kilka kroków. Wtedy jego twarz wyłoniła się zza tułowia wijącej się na nim mulatki. - Świetnie. Zostań tam.

- Co tam? - zwrócił się do niej Ernest Okoński. - Może chcesz się przyłączyć?

- Wystarczy, Roxie. Spadaj stąd - polecił jej Sambor.

- Mamy go - powiedział z satysfakcją Popowski. - Lubisz mielone mięso?

- Co to za pytanie?

- Istotne. Jutro czeka nas konkretna orka. - Komisarz potarł z zadowoleniem dłoń. - Nie daruję sukinsynowi. Wreszcie dostanie to, na co zasłużył.

*

Po siódmej niewyspany Sambor zadzwonił do Renaty i zaproponował jej seks przez telefon.

- Muszę się wyładować. Pomożesz?

- Zawsze. Aczkolwiek byłoby miło, gdybyś czasem zadzwonił i zwyczajnie spytał, co u mnie słychać.

- Renata, miałem kurewsko ciężką noc. Chciałbym sobie szybko zwalić i w końcu zasnąć.

- Okej, okej.

Przed jedenastą Sambora wybudził telefon od Popowskiego.

- Gadalem z Ernestem. Do niczego się nie przyznał, ale jego zachrypnięty głos mówił sam za siebie. Umówiłem się z nim na dwunastą w moim gabinecie. Będiesz?

- Co? I dopiero teraz mi to mówisz?

- Rozmawiałem z nim dosłownie pięć minut temu - wyjawiał komisarz.

- I nie mógł wybrać późniejszej godziny? Ledwo żyję.

- Ja też nie spałem i jakoś się trzymam. Ogarniaj się i przyjeżdżaj. Chcę to już mieć za sobą.

Po dotarciu do komendy Sambor poprosił uśmiechając się do niego szeroko sekretarkę o podwójne espresso.

- Oczywiście, proszę pana. Może ciasto snickers do kawy?

- Nie, dzięki.

- A szkoda. Sama upiekłam - powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku. - To co, może jednak? Tacy mężczyźni jak pan potrzebują dużo białka...

Dopiero teraz Sambor skojarzył, że miał do czynienia z sekretarką Sylwią, która według Popowskiego mocno się w nim zadurzyła.

- Niech będzie, ale tylko jeden kawałek - zgodził się, jednak tylko dlatego, że kobieta była w jego typie. W przeciwnym razie nie dawałby jej żadnych nadziei.

Pół godziny później drzwi do gabinetu Popowskiego otworzyły się i do środka wszedł podkomisarz Okoński. Miał bladą, wysuszoną cerę, przekrwione oczy i tłuste włosy.

- Przepraszam za spóźnienie, ale choróbko mnie dopadło...

- Choróbko czy niezliczone ilości koki i potwornie drogie trunki z barku Węgrzyna? - Popowski już na wstępie uderzył z grubej rury.

Jego komentarz sprawił, że Okoński gwałtownie się wyprostował.

- Nie rozumiem...

- Zamknij drzwi i siadaj. Co? Głuchy jesteś?

Podkomisarz wykonał jego polecenie, a następnie zbliżył się do biurka.

- O co chodzi? - spytał, mierząc kolegę z pracy podejrzliwym wzrokiem.

- Siadaj. - Popowski skinął głową ku przysuniętemu do biurka wolnemu krzesłu.

- Dzięki, ale wolę postać - odrzekł niepewnie Okoński, który zaczął węszyć problemy.

- Dziwne, bo zeszłej nocy chętnie przesiadywałeś na sofie z tą kurwą na kolanach. - Komisarz postanowił odkryć karty. Zanim Okoński zdążył cokolwiek powiedzieć, skierował ku niemu ekran swojego laptopa i puścił nagranie, na którym wyraźnie było widać policjanta obściskującego się z rozneglizowaną mulatką. - Nieźle się bawisz u swojego największego wroga.

Zaskoczony Okoński przez dłuższą chwilę piorunował ich wzrokiem.

- Co to ma być, do kurwy nędzy?! - odezwał się wreszcie. - Śledziliście mnie?

– Nie schlebiaj sobie. Nie wiedzieliśmy, że tam będziesz. Aczkolwiek miło, że sam nam się podłożyłeś.

Podkomisarz zacisnął obie pięści i wycedził:

– Kretyni z was!

– Od jak dawna jesteś kretem Węgrzyna? – spytał go Popowski.

Słyszac to, Okoński złapał się za głowę i nerwowo zaśmiał.

– Ja pierdolę. Wy nic nie rozumiecie!

– Ale co tu jest do rozumienia? – kontynuował szarżę Popowski. – Od dawna mydliłeś nam oczy nienawiścią do Węgrzyna, by odwrócić uwagę od waszej – chrząknął – przyjaźni.

W odpowiedzi Okoński doskoczył do biurka i uderzył pięścią o blat.

– Idioto! Nie ma żadnej przyjaźni! Robię to, bo zbieram informacje...

– Jakie informacje? – odezwał się Sambor.

– Wszystkie. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia.

– Od jak dawna to trwa?

Okoński ponownie się wyprostował i wycofał na trzy kroki.

– Rok, może trochę dłużej.

Popowski zrobił duże oczy.

– Stary wie?

– Tak.

– Łżesz jak pies.

– Jak chcesz, to go spytaj.

– Dobra. – Komisarz chwycił leżący na biurku smartfon.

– Czekaj! – rzucił Okoński, po czym usiadł na wolnym krześle. –

Czego chcecie?

Popowski wydał z siebie zduszony śmiech i odrzekł:

– Próbujesz negocjować, śmieciu? Przez ponad rok układałeś się z Węgrzynem i sprzedawałeś mu tajne informacje. Nic dziwnego, że jest dla nas nieuchwytny.

– Debilu, niczego mu nie sprzedaję! Jeśli coś wie, to od starego.

– Nie pierdol, Ernest – syknął Popowski. – Węgrzyn nie dopuściłby do swojego grona gliniarza, z którym od dawna ma na pieńku. Musiał wiedzieć, że dostanie coś w zamian.

Podkomisarz osunął się na oparcie krzesła i zaklął pod nosem.

– Przysięgam, że zbliżyłem się do niego w ramach prowadzonego śledztwa. Trzymałem to w tajemnicy, bo nikomu tu nie ufam. A już na pewno nie staremu, który od lat robi z Węgrzynem jakieś podejrzane interesy.

– On też bywa na jego imprezach? – spytał Sambor.

– Nie. To znaczy, nigdy go nie widziałem.

– Jakie podejrzane interesy?

– To próbuję ustalić. To i milion innych rzeczy. Udało mi się już zebrać sporo materiału, ale to wciąż za mało. Potrzebuję więcej czasu. Węgrzyn zdaje się coraz bardziej mi ufać. Jeśli mnie wydadcie, wszystko szlag trafi.

– Wygodna linia obrony – skomentował Popowski. – Zrzuciłeś podejrzenia na komendanta i liczysz, że zwiążesz nam w ten sposób rękę.

– Na nic nie liczę. Mówię, jak jest. Już wcześniej wspominałem ci, że stary żyje dobrze z Węgrzynem.

– Dzielisz się z nim tajnymi informacjami? – spytał Sambor.

– Tak, ale przysięgam, że jestem tak ostrożny, jak tylko to możliwe w tej sytuacji. Nigdy nie ujawniam mu kluczowych faktów i skupiam się na starym. Węgrzyn często o niego pyta. Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu chce go udupić.

– A tobie to na rękę – zasugerował Popowski.

– Tobie chyba też, hm? – Okoński uśmiechnął się szyderczo.

Sambor postanowił zmienić temat na bliższy śledztwu w sprawie Lilii i Artura:

– Co nam powiesz o Konradzie Szafrąńskim? – zwrócił się do niego.

– Najpierw powiedzcie, jak udało wam się przeniknąć do Pieczary. Zwerbowaliście którąś z dziwek?

– Żadnych pytań. Nie ty ustalasz zasady, gnoju – odparł Popowski.

– Doprawdy? Jeśli przeprowadziliście tę akcję za zgodą starego, macie totalnie przejebane. Założę się, że zasadzili na was z Węgrzynem zasadzkę i teraz przygotowują się do odwetu. W tej sytuacji jestem waszą jedyną nadzieją. Mogę przekonać Węgrzyna, by wam odpuścił. Aczkolwiek obawiam się, że mogę nie mieć na niego aż takiego wpływu...

– Rozczaruję cię, ale stary o niczym nie wie. Tak się składa, że nie tylko ty mu nie ufasz. – Popowski uniósł wysoko prawy kącik ust. – Wie za to prokurator. Miał tu być, ale coś mu wypadło.

Z twarzy Okońskiego zniknęły wszelkie oznaki zadowolenia z wypracowanej na chwilę przewagi.

– Ty skurwy...

– Gadaj, co wiesz na temat Szafrąńskiego – przycisnął go Sambor.

– A o co konkretnie pytasz?

– Wiemy, że znęca się nad dziewczynami, które Węgrzyn ściąga na imprezy.

– „Znęca” to dość łagodne określenie. On je masakruje, pozbawia człowieczeństwa.

– Od dawna się tak zachowuje?

– Odpierdala mu na każdej imprezie, na której go widzę. W towarzystwie nazywają go Predatorem i żartują, że powinien dostać prywatny pokój, bo za każdym razem, gdy udaje się do któregoś z dziewczyną, zostawia w nim mnóstwo krwi, a nawet powybijane zęby.

– Ile ofiar może mieć na swoim koncie?

– Pewnie dziesiątki. Wiele dziewczyn już nie wraca. Nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Zresztą nikogo to nie obchodzi.

– Masz do nich jakieś namiary? Imiona, ksywki, cokolwiek? – pytał Popowski. – Może uda się jakoś do nich dotrzeć i skłonić do zeznań?

Słowa kolegi z pracy przyprawiły podkomisarza o nerwowy chichot.

- Chłopie, połowa tych lasek pewnie skończyła jako warzywo lub na dnie jakiegoś jeziora. A druga połowa w życiu nie piśnie ani słówka. Węgrzyn wie, jak skutecznie uciszać ludzi. Jak nie ustawił tych lasek finansowo do końca życia, to ma na nie jakieś haki.

- Nikt nie jest bogiem. Każdy posiada jakieś słabe punkty.

- Wiem o tym. I cały czas szukam ich w Węgrzynie. Pytanie tylko, czy pozwolicie mi to dalej robić.

- Czy Węgrzyn zlecił zabójstwo Krynickiego? - spytał go Sambor.

- Nic o tym nie wiem.

- Nie kłam. To dlatego tak zaniedbałeś śledztwo. Zatroszczyłeś się w imieniu Węgrzyna, by niewygodne fakty nie wypłynęły na powierzchnię - zasugerował Popowski.

- Rusz tym pustym łbem, kretynie! Czy gdybym chciał go kryć, powtarzałbym ci od dawna jak mantrę, że to wszystko jego sprawa? Przyznaję, parę razy zamiotłem pod dywan kilka potencjalnych afer z udziałem Węgrzyna, ale nie w tym przypadku.

- Czyli nadal wierzysz, że Artur zginął przez Węgrzyna?

- Przecież, kurwa, mówię! - warknął Ernest.

- Chodzi o tę kłótnię sprzed jego zaginięcia? Wspominałeś, że pożarł się z ludźmi Węgrzyna o jakąś dziewczynę...

- O Beatę - sprecyzował podkomisarz.

- Czyli potwierdzasz, że bawił się na jego imprezach? Ostatnio zgrywał się głupiego...

- To nie tak. Krynicki przyszedł raz, krótko przed zaginięciem. Węgrzyn zaprosił go, by przedyskutować z nim kwestię spłaty długu. Taki przynajmniej był oficjalny powód.

- A jaki był nieoficjalny?

- Węgrzyn wiedział, że Artur nie ma tych pieniędzy i prędko ich nie uzbiera. Postanowił się więc na nim odegrać, kompromitując go na

oczach gości. Z tego, co mi mówił, wynikało, że planował go później zwerbować do jakiejś brudnej roboty.

- Co się wydarzyło na imprezie?

- Artura już na wstępie otoczył wianuszek dziewczyn, a kelnerki bez przerwy podawały mu alkohol - wyjawiał Okoński. - Później straciłem go z oczu, bo byłem zajęty... A gdy kilka godzin później znów go zobaczyłem, był kompletnie pijany i wciągał krechę za krechę. Strasznie mu po tym odjechało.

- Co to za Beata? - spytał Popowski.

- Jedna z dziwek, której Artur nie odstępował na krok. Strasznie się do niej przyklejał. Byłem już nieźle zrobiony, ale niestety za słabo, bo zarejestrowałem, jak kazał jej usiąść na stole i rozłożyć nogi. Frajer próbował w nią wejść, ale miał zbyt sflaczałego fiuta. Oblesny widok. - Skrzywił się. - Chciałbym to wymazać z pamięci.

- Co było potem? - dociekał komisarz.

- Zniknąłem na jakiś czas, a po powrocie zastałem go szarpiącego się z Szafrąnskim.

- Szafrąnskim?

- Artur się wkurwił, bo w czasie, gdy zdychał na sofie, Konrad zabawiał się z Beatą w pokoju uciech - wyjawiał Okoński.

- Czyli poszło o Szafrąnskiego - odezwał się zdumiony Sambor. - Teraz to ma sens... Jak bardzo ją załatwił?

- Nie widziałem, ale chyba bardzo. Inaczej Artur by się tak nie awanturował. Ponoć odgrażał się Węgrzynowi i Szafrąnskiemu, że doniesie na nich policji. Miał też żądać spotkania z Beatą.

- Na czym stańło? - dopytywał Malczewski.

- Na tym, że facet rozpląnął się w powietrzu. A teraz ktoś podrzucił jego ciało pod rodzinny dom. Pytanie tylko, po co?

- Skąd w ogóle wiemy, że ktoś je tam podrzucił? Mamy tylko zeznania młodszego brata Artura - powiedział komisarz Popowski.

- A wy dalej twierdzicie, że to Maciej... Mówię wam, że facet nie miał powodu. Za to Węgrzyn i Szafranski już mieli.

- Zatem kto i po co podrzucił ciało? - dążył Sambor.

W odpowiedzi Okoński wzruszył ramionami.

- Dowiem się tego, tylko dajcie mi działać.

- A przy okazji ruchać tabuny prostytutek - prychnął Popowski.

- Robię, co muszę, by wzbudzić zaufanie Węgrzyna - bronił się Okoński.

- A jak cię poprosi, byś zapodał w ananasa przebranego w damskie ciuszki karła? - spytał z rozbawieniem komisarz.

- Wtedy powiem Węgrzynowi, że znam kogoś, kto chętnie mnie zastąpi.

Popowski spiorunował go wzrokiem i syknął:

- Wal się.

Sambor postanowił przerwać ich słowne przepychanki.

- Co z moją siostrą? - spytał Okońskiego.

- Co z nią?

- Czy Węgrzyn ma coś wspólnego z jej śmiercią?

- Nie sędzę. Nigdy przy mnie o niej nie wspominał. Nawet nie wiem, czy ją znał.

- Musiał znać, skoro oddelegował Szafranskiego do rozmów na temat zakupu ojcowizny. Bo po to Konrad do niej jeździł, prawda?

Sambor spojrział wymownie na Popowskiego. Obaj pamiętali niedawną rozmowę z Szafranskim, podczas której podali w wątpliwość jego wersję wydarzeń. Komisarz szybko zrozumiał, co zamierzał osiągnąć Sambor, i lekko skinął ku niemu głową. Obaj podejrzewali, że Szafranski odwiedzał Lilię z innych powodów, chcąc na przykład nie dopuścić do reaktywacji Sług Lasu. Chcieli jednak sprawdzić, co powie im Okoński. Gdyby potwierdził wersję o negocjacjach w sprawie kupna ojcowizny, mieliby prawo podejrzewać, że albo nie był z nimi szczerzy, albo sam był karmiony kłamstwami przez Węgrzyna.

- Hm... W sumie, gdy teraz o tym myślę, to może Węgrzyn wspominał coś raz lub dwa o twojej siostrze.

- Oho, nagle ci się przypomniało? Co o niej mówił?

- No, chodziło o zakup nieruchomości i otaczających ją terenów. Podobno Lilia stawiała zacięty opór.

- Zupełnie jakbym słyszał Szafrąńskiego – skomentował Sambor. – Gadaj, jak było naprawdę.

- Mówię wszystko, co wiem. Sorry, ale twoja siostra gównie obchodziła Węgrzyna. Chciał tylko jej ziemię.

- Naszą ziemię – poprawił go Sambor. – Jak to możliwe, że nikt się nie pofatygował, by sprawdzić, że jestem współwłaścicielem?

Okoński rozłożył ręce.

- A skąd mam to wiedzieć? Może sprawdzili, ale w międzyczasie zmienili zdanie? Kontaktowali się z tobą w tej sprawie?

- Nie.

- W takim razie musieli uznać, że nie potrzebują waszej działki. Jeśli chcesz, mogę podpytać o to Węgrzyna. – Zmęczony nerwową rozmową podkomisarz spojrzął na wiszący nad drzwiami zegar. – Jeszcze jakieś pytania?

- Powiedziałaś, że Węgrzyn nigdy nie wspominał przy tobie o Lilii. A co z Szafrąńskim?

- Rzadko z nim rozmawiam. On i Węgrzyn mają swoje sprawy i rzadko kogokolwiek do siebie dopuszczają. Sądzisz, że Konrad mógł...

- Teraz, gdy wiem, jaki z niego sadysta... Zwłoki Lilii miały zniekształconą twarz i wielką dziurę w miejscu ust.

- Dziwi cię to? Leżała miesiąc w rumowisku na dnie rzeki. Pochodzisz z Runowa, więc powinieneś lepiej wiedzieć, jak bystry potrafi być nurt Duszyny.

- Niby tak, ale zbyt dużo faktów przemawia przeciwko Szafrąńskiemu... Wiemy, że między nim i Lilią doszło do poważnej sprzeczki. A jeśli Szafrąński stracił nad sobą panowanie i wyżył się na

Lilii tak samo, jak wyżywa się na kurwach Węgrzyna? Sam przyznałeś, że Szafranski jest zdolny do zabójstwa.

- Tylko snułem domysły. Oficjalnie chyba tylko Węgrzyn wie, co się dzieje z ofiarami Konrada.

- Nasze źródło twierdzi, że jedna z dziewczyn nie żyje - skłamał Sambor.

- Zatem macie kijowe źródło. Mówię wam, że to ściśle tajne dane. Że niby miała wam to powiedzieć jakaś dziwka, którą zwerbowaliście? Nawet ja nie mam dostępu do takich informacji.

- Co zatem robimy? - spytał Popowski, którego nastawienie względem kolegi z pracy w ostatnich minutach wyraźnie złagodniało.

- Nie oczekuję, że mi zaufacie, ale powtarzam po raz kolejny: pozwólcie mi robić swoje. Czuję, że jestem już blisko pogrążenia Węgrzyna. Spróbuję się dowiedzieć, czy Konrad mógł coś zrobić Lilii.

- Nie spróbujesz, tylko się dowiesz - poprawił go Sambor.

- Zrobię, co będę mógł - zadeklarował Okoński.

Tymczasem Sambor przeniósł wzrok na Popowskiego.

- Komisarzu?

Mężczyzna podrapał się po podbródku i powiedział do Ernesta:

- Zgoda, na razie cię nie ujawnimy. Ale pod jednym warunkiem: będziesz naszym kretem. Chcemy wiedzieć o wszystkim, czym zajmuje się Węgrzyn, i jakie cuda odpięrdzielają się na jego imprezach. Masz węszyć mocniej niż kiedykolwiek i zbierać tyle informacji, ile zdołasz.

- To niebezpieczne... Przy takiej konspiracji trzeba być bardzo ostrożnym i działać bez pośpiechu.

- Nic się nie stanie, jeśli zamiast dupczyć kolejną panienkę, zakradniesz się do gabinetu Węgrzyna i poszukasz łakomych kąsków - ciągnął Popowski.

- Oszalałeś, człowieku. Węgrzyn urwałby mi łeb.

Słyszając to, komisarz przysunął się do biurka i położył na nim ręce.

- A zatem odmawiasz współpracy?

– Niczego nie odmawiam. Ale wybij sobie z tego kretyńskiego łba, że zrobisz ze mnie cholernego kamikadze. Będę działał jak dotychczas. Jeśli ci się nie podoba, to idź na skargę do starego. Tylko licz się z tym, że wtedy wszyscy będziemy mieli przesrane. To jak będzie?

ROZDZIAŁ 27

- Co ty wyprawiasz, Samek? - spytał Albert, gdy po powrocie do domu zastał przyjaciela posypującego piachem i solą chodnik przed jego domem.

- Oblodziło się i nie chciałem, by ktoś się poślizgnął. A poza tym musiałem się czymś zająć. Mam już dość tego cholernego śledztwa.

- Nadal brak konkretów?

- Wręcz przeciwnie. Zaczyna się robić duszno. I to bardzo.

Albert podszedł do przyjaciela i zabrał mu wiadro.

- Jadłeś coś? Marnie wyglądasz.

- Twoja żona namawiała mnie na naleśniki, ale jakoś nie jestem głodny.

Słyszac to, Czerski odstawił wiadro i objął Sambora w tułowiu.

- Idziemy, Samek. Jeszcze tego brakuje, byś mi tu zemdłał.

Pół godziny później Sambor leżał na kanapie i masował się po brzuchu. Albert zmusił go do zjedzenia siedmiu naleśników.

- Drinka?

- Chętnie, ale muszę jakoś wrócić do Gorzowa.

- Zawsze możesz zostać u nas na noc - zaproponował Czerski. - Przydałaby nam się w końcu taka luźna noc na szczere pogawędki, nie sądzisz?

- Szczerze, to obawiam się, że jeśli teraz zamknę oczy na dłużej niż minutę, to otworzę je dopiero jutro rano.

- Wytrzymaj. Przyniosę whisky i postawię cię na nogi.

W międzyczasie do salonu weszła Jagoda i spytała Sambora, czy umie grać w szachy.

- Nie, ale jak chcesz, mogę cię nauczyć pokera.

– Jeszcze czego! – wykrzyknęła zamiatająca kurze przy drzwiach Gosia. – Córciu, pograj z wujkiem w monopoly.

– Już mi się znudziło. Wujku, a co to jest poker?

– Hm... To taka gra karciana, w którą grają raczej dorośli. Może lepiej przynieś te monopoly.

*

Przed jedenastą Sambor i Albert kończyli już drugą butelkę whisky.

– Wiedziałeś, że mąż Wrony to toksyczny drań? – spytał przyjaciela Malczewski. Miał ochotę powiedzieć mu o tym, co widział na nagraniu z imprezy u Węgrzyna, ale uznał, że dla własnego dobra Albert nie powinien być w to wtajemniczany.

– Ten starosta?

– Taa... Poznałeś go?

– No skąd. Nie miałem z Wroną jakiegoś bliskiego kontaktu. Parę razy poszliśmy na piwo, gdy przyjechała służbowo do Runowa. Czasem też wymienialiśmy wiadomości na WhatsAppie. – Albert wziął łyk whisky i dodał: – Nigdy nie wspominała, że ma problemy małżeńskie. Zresztą dlaczego miałyby mi się zwierzać?

– Mnie się zwierzyła. I vice versa.

– Powiedziałeś jej o...?

– Tak. Wszystko. Musiałem to z siebie wyrzucić.

Na twarzy Alberta zagościł delikatny uśmiech.

– No, no... Szybko działasz, stary...

Słyszac to, Sambor spiorunował go wzrokiem.

– Coś sugerujesz?

Albert wziął kolejny łyk i odrzekł:

– Po prostu jestem zaskoczony, że tak szybko ponownie zbliżyłeś się do Wrony.

– Czy ja wiem... Im dłużej z nią przebywam, tym bardziej czuję się tak, jakbyśmy nie widzieli się co najwyżej rok.

– Tymczasem minęło prawie trzydzieści lat. Nie jesteście już tymi samymi ludźmi.

– Do czego zmierzasz? – spytał podejrzliwie Sambor, po czym chwycił szklanę z drinkiem.

– Radzę ci tylko, byś był ostrożny. Judyta to rasowa dziennikarka. Parę razy widziałem ją w akcji. Czytałem też jej artykuły i wiem, jaka bywa wnikliwa. Być może się myłę... Inaczej: chciałbym się mylić, ale intuicja podpowiada mi, że...

– Nigdy jej nie lubieś, he? – wszedł mu w słowo Sambor. – Wkurzało cię, że spędzam z nią tyle czasu.

– To było dawno temu. Byliśmy wtedy dziećmiakami.

– Pewne urazy zostają w ludziach na zawsze.

Przyparty do muru Albert odstawił szklanę i uniośł obie ręce w geście kapitulacji.

– Jeśli czujesz, że możesz zaufać Wronie, to niech tak będzie. Ja na wszelki wypadek będę jej patrzył na ręce.

*

O wpół do pierwszej kompletnie pijany Sambor doczołgał się do łazienki, a następnie zwymiotował do sedesu. Miał nadzieję, że nie zbudził Gosi, która wcześniej zagroziła jemu i Albertowi, że jeśli nazajutrz wypatrzy gdziekolwiek plamy po wymiotach, to zmusi ich, by zlizywali je językami. Gdyby zobaczyła teraz ubrudzoną deskę, pewnie wyszłaby z siebie. Sambor w pośpiechu przetaił ją więc papierem toaletowym i uciekł do pokoju gościnnego. Następnie przez dobry kwadrans przewracał się z boku na bok, starając się znaleźć pozycję, która złagodzi zawroty głowy. Gdy wszystkie próby zawiodły, zirytowany usiadł i sięgnął po smartfon. Chciał zadzwonić do Wrony i powiedzieć jej o wszystkim, czego się dowiedział na temat jej męża. Judyta nie zasługiwała na sukinsyna, który notorycznie ją okłamywał. Z drugiej strony kim był Sambor, by ingerować w ich małżeństwo?

– Cholerna jasna – syknął, wyobrażając sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby przed laty rodzice nie zmusili Judyty do wyjazdu do Wrocławia. Czy wciąż byłiby razem? A może rozstaliby się krótko po wejściu w dorosłość? Sambor znał statystyki i wiedział, że niewiele nastoletnich związków było trwałych. Nawet jeśli jakimś cudem przetrwaliby młodzieńcze lata, prawdziwe schody pojawiłyby się po trzydziestce. Pochłonięty pracą Sambor zaniedbałby pewnie Judytę tak samo, jak zaniedbał Karolinę. A potem skończyłby sam jak palec, bez żadnych perspektyw na szczęśliwy związek.

– Nie wszyscy są stworzeni do związku – usłyszał kiedyś od poznanej w Aldonie kobiety, która przedstawiła mu się jako Greta.

Spędzili razem wieczór, pijąc tequilę, rozmawiając o seksie i żaląc się na cały świat. Po wszystkim Sambor zaprosił ją do kawalerki na piętrze, gdzie pieprzył się z nią do białego rana. Gdy się obudził, Greta już nie było. Tak samo jak drogiego zegarka, który kupił w ramach inwestycji i nie zdążył go jeszcze zawieźć do skrytki w banku.

W końcu zawroty głowy osłabły, a Sambor poczuł, że odpływa. Zanim zasnął, po raz ostatni odblokował smartfona i przeszedł do zakładki z kontaktami. Jeden przycisk dzielił go od zadzwonienia do Judyty. Zaslugiwała na prawdę. Sambor wierzył bowiem, że nie ma nic gorszego niż mężczyźni, którzy bezczelnie oszukują oddane im partnerki. Sam nigdy nie wybaczył sobie tego, że zdradzał Karolinę. Znieważył matkę swojego dziecka, która stała po jego stronie. I dobijało go, że już nigdy nie będzie miał okazji jej za to przeprosić.

*

Po ósmej zbudziły go dobiegające zza drzwi krzyki Jagody. Dziewczynka wyklócała się z mamą o ubrania, w których miała pojechać do przedszkola. Zaspany Sambor przeciągnął się i niechętnie wygrzebał spod miękkiej pościeli. A potem udał się do kuchni, gdzie czekał na niego talerz ze świeżymi tostami i szklanka wody z dwoma plastrami cytryny i gałązką mięty.

- Dzień dobry. Wyglądasz jak gówno - powiedział siedzący przy stole i pijący kawę Albert.

- Lepiej spójrz w lustro.

- Patrzyłem. I wcale nie jest lepiej. - Czerski przejechał dłonią po zmęczonej twarzy. - Kurwa, a tyle mam dziś roboty...

- Nawet mi nie mów.

Po śniadaniu Sambor zbałał się alkomatem, który przechowywał w SUV-ie.

- Chyba posiedzę tu u was do południa. Wciąż nie wytrzeźwiałem - powiedział do Gosi, która wkładała brudne naczynia do zmywarki.

- Nie ma problemu. Możesz się zdrzemnąć w pokoju gościnnym. Tylko weź wcześniej prysznic i uchyl okno w pokoju, bo cuchnie tam starym capem.

- No wiesz?! Jak już, to w średnim wieku.

O wpół do pierwszej Sambor podziękował Gosi za gościnę, a następnie wyszedł przed dom i ruszył do swojego samochodu. Już z daleka spostrzegł, że ktoś wcisnął coś za jedną z wycieraczek. Zaciekawiony przyspieszył i po chwili trzymał w dłoni niepodpisaną kopertę. Następnie wyjął z niej zgiętą na pół kartkę, na której ktoś zapisał drukowanymi literami słowa wiersza, którego lektura sprawiła, że Samborowi zmiękły nogi:

*Daremna śmierć przestroga niech będzie
Dla każdej żywej istoty w tym lesie.*

*A niech największa przedawnia się wina.
Polana Krwi nie zapomina.*

*I gdy myślimy, że szczęście nam sprzyja.
Polana sługów zemsty wzywa.*

*Wzrok odwracamy na ból zadany.
Płacz lasu wciąż rozrywa rany.*

Słudzy zaś patrzą i czekają.

Aż czujność tracą ci, którzy cierpienie zadają.

Pod wierszem znajdował się dopisek: „Szukaj tam, gdzie spoczęła niewinna krew”.

– O Boże... – Sambor zasłonił usta dłonią i wszedł do SUV-a. Zanim jednak uruchomił silnik, przez kilka minut siedział nieruchomo, zatapiając wzrok w kartce papieru i czytając raz po raz wiersz, którego słowa pamiętał aż za dobrze. Usłyszał go jeden jedyny raz w dziewięćdziesiątym szóstym roku, tamtego popołudnia na polanie, gdy spostrzegli z Albertem Lilię odprawiającą modły nad martwym jeleniem.

– Lilia... – westchnął, po czym zamknął oczy i zawędrował w myślach na polanę. Pamiętał majestatyczne zwierzę o śnieżnobiałej sierści i szpecącą je plamę krwi. Pamiętał też Lilię, która w pewnym momencie wcisnęła dłoń w ranę jelenia, a następnie podeszła do Sambora i pomazała mu policzek krwią. Właśnie wtedy wyrecytowała przy nim wiersz, poprzedzając go słowami: „Słuchaj uważnie, bo jesteś pierwszą i ostatnią osobą, której powierzam sekret lasu. To, co usłyszysz, już zawsze pozostanie między nami”. Malczewski po raz kolejny przeczytał wiersz od początku do końca. Jego treść wciąż wydawała się mu niezrozumiała. Dlaczego Lilia powierzyła „sekret lasu” właśnie jemu? Kim byli „słudzy zemsty”? I kto postanowił po tylu latach przypomnieć mu te słowa?

– Komisarzu, możemy się spotkać? – spytał przez telefon Popowskiego.

– Nie teraz, mam ważne spotkanie. Generalnie od rana wszyscy czegoś ode mnie chcą – odrzekł ściszym głosem mężczyzna. – To coś ważnego?

– Sam nie wiem... Chciałem ci coś pokazać.

– Dobrze, przyjedź koło trzeciej. Muszę kończyć.

Po tym, jak Popowski rozłączył się w pośpiechu, Sambor westchnął z rezygnacją i po raz kolejny przejechał wzrokiem po zapisanym drukowanymi literami wierszu. W głowie kłębiły mu się zaś pytania, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Już miał uruchomić auto, gdy po ciele przeszły go silne dreszcze.

- „Szukaj tam, gdzie spoczęła niewinna krew” - odczytał na głos zdanie, które widniało pod wierszem. Następnie otworzył w smartfonie galerię zdjęć i odszukał liścik, który wy dobył z pudełka przechowywanego przez Lilię w skalniaku. - „Gdzie śmierci z drzew wypływa sok, zemsta po chytrych wyciągnie dłoń. Wycofaj się, póki masz czas. Zostań, a wchłonie cię las” - przeczytał i powiódł wzrokiem ku znakowi symbolizującemu, jak ustalono, Sługi Lasu. Sambor podrapał się po brodzie i wyszeptał: - „Tam, gdzie spoczęła niewinna krew...” „Gdzie śmierci z drzew wypływa sok...” Chryste, Lilia.

Nagle wszystko stało się jasne. Podekscytowany Malczewski odparił auto i pojechał do leśniczówki. Miał nadzieję, że wciąż znajdowała się w tym samym miejscu.

- Polana Krwi? - spytał pół godziny później wysoki, wąsaty mężczyzna po pięćdziesiątce, który przedstawił się mu jako Henryk Gubas. - Nie słyszałem nigdy tej nazwy.

- Na pewno pan wie, o którym miejscu mówię. Pamiętam, że latem na polanie rosło mnóstwo kwiatów, głównie chabry.

- W okolicy sporo jest takich polan - stwierdził leśniczy.

- Tak, ale ta jest inna. Nie umiem tego wyjaśnić, ale roztacza wokół siebie mistyczną aurę. Za każdym razem, gdy tam przychodziłem, czułem to dziwne napięcie... Nie umiałem tego wytłumaczyć.

- Hm... Jest pan pewny, że nie pomylił pan lasów? - prychnął leśniczy, a na twarzy Sambora pojawił się grymas irytacji.

- Pomoże mi pan czy nie?

Gubas podszedł do uchylonego okna i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w rozpościerający się za nim, emanujący spokojem las.

- Hm... Powiem panu tak: pracuję tu pięć lat i słyszałem już wiele opowieści o tym lesie, ale nikt nigdy nie wspomniał o żadnej Polanie Krwi.

- To już wiem – odrzekł Malczewski.

- Jest natomiast w okolicy pewna polana, na którą mało kto się zapuszcza, bo dość trudno do niej dojść. Tamten obszar lasu obfituje w gęste zarośla i raczej nikt o zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się przez nie przedzierać. Sam odwiedziłem tę polanę może ze dwa razy, z czego za pierwszym razem trafiłem tam zupełnie przypadkiem, gdy krótko po przeprowadzce do Runowa szukałem w lesie śladów kłusowników. Mieliśmy z nimi przez pewien czas problem i nawet myślałem o rzuceniu tej roboty. Wściekałem się, że poprzedni leśniczy wpakował mnie na minę. Na szczęście z czasem sytuacja się uspokoiła.

- Mógłby mnie pan tam zaprowadzić? Bardzo mi na tym zależy.

Leśniczy zmarszczył lekko brwi i przeszył rozmówcę podejrzliwym wzrokiem.

- Eee... Ale po co?

- Po odpowiedzi – odrzekł enigmatycznie Sambor. – Bardzo pana proszę. Sam nie znajduję tej polany. Minęło zbyt dużo czasu.

Gubas wyprostował się i oparł ręce na biodrach.

- Jesteś jednym z nich? Przyznaj się.

- O kim pan mówi?

- O kłusownikach! A o kim innym? Hm... Tak czułem, że jeśli już gdzieś macie swoją bazę, to właśnie w tamtych rejonach.

- Nie jestem żadnym kłusownikiem – odrzekł stanowczo Sambor. – Jeśli to pana uspokoi, przez piętnaście lat pracowałem w policji.

- A to policjant nie może łamać prawa? – nie odpuszczał leśniczy.

Zirytowany Sambor wsunął dłoń do kieszeni skórzanej kurtki i wyjął z niej portfel.

- To jak, zaprowadzi mnie pan na tę polanę? – spytał, machając rozmówcy przed oczami dwustuzłotowym banknotem.

- Próbuje mnie pan przekupić? - oburzył się Gubas.

- Uznałem, że skoro nie chce pan po dobroci uwierzyć, że nie jestem kłusownikiem, to uwierzy pan po odpowiedniej zapłacie. - Po tych słowach wyjął z portfela kolejny banknot. - To jak będzie?

Leśniczy przez blisko dziesięć sekund trzymał Sambora w niepewności, mierząc go surowym spojrzeniem i powoli kręcąc przy tym głową. Wreszcie wyciągnął rękę po pieniądze i wcisnął je do kieszeni dżinsów.

- Ech, zgoda.

- Będę potrzebował jeszcze łopaty.

- Łopaty? Hm... A na co panu łopata? - spytał, a w odpowiedzi Sambor wcisnął mu w dłoń dodatkowe sto złotych. - Da się załatwić. Zatem chodźmy. Tylko dam panu jakiś płaszcz, bo w tej kurtce mi pan zamarznie. Czeka nas długi spacer.

ROZDZIAŁ 28

W trakcie blisko godzinnej podróży wąską ścieżką Sambor wielokrotnie zatrzymywał się przy miejscach, które przypominały mu o dzieciństwie. Zaczęło się od starego dębu, do którego była przymocowana zielona tabliczka z wizerunkiem białego orła i tekstem: „POMNIK PRZYRODY PRAWEM CHRONIONY”. Nieco dalej z ziemi wystawał przechylony mocno w prawo metalowy krzyż. Podobno w czasie drugiej wojny światowej Niemcy rozstrzelali w tym miejscu kilku polskich żołnierzy. Sambor zwrócił też uwagę na tabliczkę upamiętniającą leśniczego, który w latach osiemdziesiątych zginął z ręki kłusownika. Uśmiechnął się po dotarciu do wysokiej sosny, którą z Judytą uznawali za symbol ich przyjaźni. Wrona okręciła wokół pnia łańcuch, do którego przymocowała kłódkę, na której wyryli napis „S i J”.

- Brakuje jeszcze serduszka - powiedział wówczas trzynastoletni Sambor.

Mężczyzna uśmiechnął się delikatnie na myśl o tym, że las runowski od jego ostatniej wizyty prawie wcale się nie zmienił. Z drugiej strony czuł ukłucie w sercu, gdy uświadamiał sobie, jak wiele zmian zaszło w nim samym. Nie był już tym samym niewinnym chłopcem. Ostatnie lata uczyniły z niego innego człowieka. Pytanie tylko: czy lepszego?

Dotarli do końca dróżki i stanęli twarzą w twarz z bezkresną gęstwiną.

- Na pewno chce się pan tam zapuszczać? - spytał żartobliwym tonem leśniczy, przykładając do twardej ziemi ostrze łopaty. - Jeszcze możemy się wycofać.

- Prowadź, pan.

Każdy kolejny krok sprawiał Samborowi coraz większą trudność. Wszystko za sprawą buzujących w nim skrajnych emocji. Widok

rosnących gęsto drzew i rozpościerającej się za nimi ciemności przywoływał w nim najstraszniejsze wspomnienia z dzieciństwa. Choć był już dorosłym mężczyzną, z obawą zerkał w bok. Nie chciał przypadkiem wypatrzeć w gęstwinie pary wpatrzonych w niego oczu i dużego poroża. Nie był gotowy na spotkanie z Borowym. A jednak komuś zależało na tym, by tu przyszedł.

- Nareszcie - rzucił Sambor, gdy po kwadransie przedzierania się przez krzaki spostrzegł dobiegające zza drzew jasne światło.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił chwilę potem leśniczy, obejmując wzrokiem pokrytą cienką warstwą śniegu polanę. - To tutaj? Błagam, niech pan powie, że...

- Tak, tutaj - wszedł mu w słowo zdumiony Sambor. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek tu wróci. A jednak wrócił. I miał nieodparte wrażenie, że polana przez wszystkie te lata cierpliwie czekała na ich kolejne spotkanie. - Niech pan tu zostanie, dobrze?

- Eee... A dokąd pan idzie?

- Przespaceruję się po polanie i porozglądam.

- Czegoś pan szuka, he? Czyli jednak kłusownik?

- Kłusownik nie, ale ma pan rację, szukam czegoś.

- No to życzę powodzenia - odrzekł leśniczy, po czym wyjął z kieszeni grubego płaszcza stumililitrową butelkę czystej wódki. - Na rozgrzanie. Chce pan łyka?

- Wytrzymam.

Sambor wziął od leśniczego łopatę i ruszył w poprzek polany, starając się zachować czujność i nieustannie rozglądając się dookoła. Zyskiwał na pewności, że kopertę podrzucili mu Słudzy Lasu. Czy go teraz obserwowali? Sambor badał wzrokiem każde drzewo i wyostrzał spojrzenie, starając się wypatrzeć w ciemności ludzkie kształty. Poza pijącym wódkę leśniczym nikogo jednak nie dostrzegął.

Będąc mniej więcej pośrodku polany, zatrzymał się i powiódł wzrokiem ku miejscu, w którym Lilia odprawiała przed laty modły nad zastrzelonym przez kłusownika jeleniem. Nieopodal rosło wysokie

drzewo z grubym pniem i odchodzącymi od niego licznymi gałęziami. Sambor skojarzył, że musiał to być dąb, który przed laty Lilia pomazała krwią jelenia. „Tam, gdzie spoczęła niewinna krew... Gdzie śmierci z drzew wypływa sok”. Wziął dwa głębokie wdechy i po raz ostatni rozejrzał się dookoła. A potem pomaszzerował ku drzewu, które, jak przypuszczał, skrywało odpowiedzi na nurtujące go pytania.

- Gdzie jesteś? - spytał pod nosem, badając wzrokiem zaśnieżoną ziemię otaczającą dąb.

„Że też wcześniej nie pomyślałem, iż właśnie to miejsce Lilia mogła wybrać na swoją drugą skrytkę”, rugał siebie w myślach. Biorąc pod uwagę jej obsesję na punkcie magii i symboli, podnóże splamionego niewinną krwią dębu pasowało idealnie. Nie mógł jednak przekopać całego tego obszaru. Zwłaszcza że o tej porze roku ziemia była twarda jak skała. Zbliżył się więc jeszcze bardziej do drzewa i zaczął odgarniać prawym butem zalegający pod nim śnieg. Trzy minuty później westchnął na widok wgniecionej w ziemię sporej kamiennej płytki, na której wyryto dwie charakterystyczne kropki. - Mam cię...

Sambor wbił ostrze łopaty w ziemię, a następnie docisnął narzędzie nogą i podważył płytkę. Gdy udało mu się ją usunąć, wbił łopatę w wygładzony fragment ziemi i poczuł opór. Coś tam ewidentnie było. Odgarnął więc ziemię i ujrzał porysowane metalowe wieko. Przenośny sejf ojca. Druga skrytka Lilii. Znalazł ją.

Po wydobyciu niedużego prostokątnego sejfu przypominającego miniaturową walizkę zorientował się, że zamek był uszkodzony. Ktoś ewidentnie przy nim majstrował. No chyba że zrobiła to sama Lilia. Mogła przecież zgubić kluczyk. Bez względu na to, co było przyczyną, miał ułatwione zadanie. Zanim zapoznał się z zawartością sejfu, spojrzął na czekającego po drugiej stronie polany leśniczego, który opierał się o drzewo i palił papierosa.

- Dobra, zobaczmy, co ukrywałaś przed światem, Koniczyno - powiedział pod nosem Sambor, po czym wyjął z sejfu dwie stare, naddarte reklamówki. W jednej z nich znajdował się plik żółkniętych

kartek. Lilia zapisywała na nich wiersze, których Malczewski nie miał teraz czasu analizować. Zjrzał więc do drugiej reklamówki, w której jego siostra przechowywała inne przedmioty, w tym srebrne wisiorki, spinki do włosów i pierścionki należące do ich matki. Był też zegarek ojca, a nawet dwie obrączki.

Sambor poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Nagle przypomniał sobie opowieści pradziadka, z których wynikało, że ci, którzy spotkali w lesie Borowego, zmuszeni byli składać mu ofiary, by nie narazić się na jego gniew. Lilia powiedziała mu zresztą coś podobnego. Gdy przed laty próbował ją zmusić do oddania skradzionego pierścionka matki, siostra postawiła mu warunek:

– Dostanę od ciebie w zamian prezent dla Borowego, który zaspokoi jego głód. Coś, co ma dla ciebie największą wartość.

Sambor nie potraktował wtedy jej słów poważnie. Uznał ją za nawiedzoną i niebezpieczną. Nagle przed oczami stanął mu obraz zwłok leżących na metalowym stole w prosektorium. Ich identyfikacja nie byłaby możliwa, gdyby nie spoczywający na jednym z palców pierścionek zdobiony amazonitem. Lilia nigdy nie zwróciła go matce i miała go na sobie w momencie śmierci. Czy to dlatego zginęła?

– Dałaś prezent Borowemu, a po latach mu go zabrałaś – wyszeptał Sambor.

Wyobraził sobie, że po latach trzymania pierścionka w kryjówce Lilia wyjęła go, założyła na palec i postanowiła, że od teraz należy do niej. Czy właśnie ten czyn zapoczątkował lawinę tragicznych wydarzeń? Wprawdzie w skrytce znajdowało się wiele innych elementów biżuterii, ale co, jeśli Borowemu zależało na tym konkretnym pierścionku? Lilia sprzeciwiła się strażnikowi lasu. Złamała zasady i zapłaciła za to najwyższą cenę. Sambor zresztą też. Wcześniej tego nie dostrzegął, ale teraz wszystko nabierało sensu. Nigdy nie wręczył niczego Borowemu, ignorując słowa Lili. I choć zemsta Borowego nie dosięgła go od razu, to gdy już się to stało, pozostawiła z jego życia zgliszczą. Demon, który nawiedzał go w dzieciństwie, odebrał mu wszystko, na czym mu

zależało. A teraz przywołał go ponownie na tę przeklętą polanę, by wyrównać z nim rachunki.

Zaniepokojony Malczewski włożył wszystkie przedmioty z powrotem do reklamówki, a następnie zamknął sejf, wziął go pod pachę i ruszył z nim ku leśniczemu.

– Co to jest? – spytał go zaciekawiony mężczyzna.

– W zasadzie nic takiego.

– Nie ciągnąłby mnie pan w sam środek lasu dla „niczego takiego”.

W odpowiedzi były policjant wyjął z portfela kolejny banknot.

– Nic takiego, jasne?

– Jasne, szefuńciu.

Po powrocie do leśniczówki Sambor oddał mężczyźnie płaszcz i podziękował mu za pomoc.

– Proszę mnie informować, gdyby w lesie działo się coś podejrzanego.

– A co konkretnie ma pan na myśli?

Sambor nie chciał, by leśniczy wziął go za szaleńca, dlatego darował sobie wzmiankę o wyskakujących zza drzew białych jeleniach, wyłaniającym się z ciemności demonie z porożem na głowie czy czyhających w gęstwinie Sługach Lasu.

– Wszystko, co uzna pan za niepokojące – odrzekł wymijająco, po czym podyktował mężczyźnie swój numer telefonu i ruszył ku zaparkowanemu pod wysoką sosną mercedesowi.

Już po chwili rozmawiał przez telefon:

– Bert, kiedy będziesz w domu?

– Za jakieś dwadzieścia minut, a co? Właśnie wracam z Jagódką z przedszkola.

– Świetnie. Zaczekam na ciebie.

– Coś się stało, Samek? Masz dziwny głos.

– To nie jest rozmowa na telefon.

Pół godziny później Sambor siedział z przyjacielem przy stole w kuchni i przeglądał zawartość sejfu.

- Te wiersze to jakiś kompletny bełkot - skomentował Albert, trzymając w dłoni jedną z kartek. - Ten brzmi jak list miłosny. Lilia pisze w nim o szumie namiętności - prychnął. - Może zakochała się w tym całym Borowym, czy jak mu tam?

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - odrzekł Sambor, wyjmując z reklamówki należące do rodziców przedmioty. Dopiero teraz zwrócił uwagę na czarne ślady na niektórych wisiorach czy pierścionkach, a także zwęglony pasek zegarka ojca. Lilia musiała je wydobyć ze zgłiszczy domu krótko po pożarze i złożyć w darze Borowemu. - Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś chciał, bym to wszystko odnalazł...

- Hm... Coś mi mówi, że odpowiedź znajdziemy w którymś z wierszy.

W kolejnych minutach przyjaciele odczytywali na głos kolejne wiersze. Wylaniał się z nich portret cierpiącej, choć zakochanej młodej dziewczyny, która mimo licznych frustracji wierzyła, że jeszcze nie wszystko dla niej stracone.

- Gdybym nie znał Lilii, pomyślałbym, że pisała o sobie - stwierdził Sambor.

- A może wcale nie była takim potworem, za jakiego ją miałeś?

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś latami żył z nią pod jednym dachem.

- Moim zdaniem pisała te wiersze, by dać wyraz swojej rozpacz. - Albert położył przed nim kartkę z zapisanym na niej wierszem o wyjątkowo bolesnej stracie.

- „Zesłał mi cię gniew. Nasączona trucizną strzała. I gdy do serca wpuściłam cię, ty rozmyślesz się jak mgła”. Czyżby zawód miłosny? - zastanawiał się Sambor.

- Zobacz to. Lilia pisze o „powietrzu, które wdziera się w jej płuca, choć wcale go nie chce”. Brzmi jak myśli samobójcze. Chciała ze sobą

skończyć.

– Musimy ustalić, kiedy napisała ten list.

– Na moje oko wygląda na bardzo stary. Zobacz na ten papier – odrzekł Albert.

– Lepiej niech przyjrzy się temu specjalista. Musimy mieć pewność. Jeśli Lilia napisała go jeszcze jako nastolatka, to zyskam potwierdzenie, że podpaliła nasz dom.

– Rozszerzone samobójstwo? – spytał Albert.

– Bardzo możliwe. Jeśli zaś wiersz pochodzi z ostatnich miesięcy, to czeka nas ustalenie, kto złamał jej serce i spowodował, że postanowiła założyć wypchany kamieniami plecak i wskoczyć do rzeki.

Albert wydał z siebie ciche westchnięcie i powiedział:

– Im dłużej o tym myślę, tym trudniej mi sobie wyobrazić, że twoja siostra mogłaby to zrobić. Jakoś mi to do niej nie pasuje... Tak wiele przeszła i latami wytrzymywała we wrogiej jej społeczności. Po co miałyby niweczyć lata zaciskania zębów?

Słuchając przyjaciela, Sambor pomyślał o niedawnej rozmowie z Wroną, która powiedziała mu dokładnie to samo. Choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, w jak kiepskiej kondycji było jej małżeństwo, nie umiała odejść od Kornela i zawalczyć o lepszą przyszłość. Zbyt dużo energii włożyła bowiem w podtrzymywanie ich relacji. Sambor czuł, że jeśli czegoś nie zrobi, skaże Judytę na kolejne lata spędzone u boku człowieka, który notorycznie ją oszukiwał. Coraz bardziej przymierzał się do pozyskania od komisarza Popowskiego nagrań z kamery szpiegowskiej i pokazania ich dawnej przyjaciółce. „Wszyscy zasługujemy na prawdę. Natomiast to, co z nią zrobimy, to już nasza sprawa”, pomyślał. A potem przeniósł wzrok na Alberta, który wpatrywał się w biurko z szeroko otwartymi ustami.

– Bert, co jest? – spytał, po czym przeniósł spojrzenie na dwa zdjęcia, które przyjaciel trzymał w dłoniach.

– To... wypadło pomiędzy kartek. Samek, widziałeś to?

– Nie. Pokaż.

Sambor wyrwał Albertowi jedno ze zdjęć. Przedstawiało ono stojącą przodem do jeziora młodą dziewczynę. Choć nie było widać jej twarzy, od razu rozpoznał Lilię. Postać z fotografii miała tę samą fryzurę co ona i szeroką koszulkę w słomkowym kolorze. Sambor doskonale pamiętał rodzinny wyjazd na targ w Kłodawie i awanturę, która wybuchła między jego siostrą a matką. Zyta Malczewska nie chciała bowiem kupić córce, jak to określiła, „szmaty w kolorze sraczk”. Była to jedna z niewielu sytuacji, gdy Lilia usłyszała odmowę. Ostatecznie i tak postawiła na swoim, przekonując ojca do pożyczania jej pieniędzy. A później z uporem maniaka nosiła tę koszulkę, by zrobić na złość matce.

– Lilia... – wyszeptał Malczewski.

– Lepiej zobacz to – odrzekł Albert, po czym wręczył przyjacielowi drugie zdjęcie.

Samborowi momentalnie spłynął po plecach zimny pot.

– Nie... – urwał, zatapiając wzrok w niemal identycznej fotografii, z tą różnicą, że tym razem zamiast pleców Lili oglądał plecy ubranego w slipy i biały T-shirt szczupłego chłopaka z bujną czupryną rudych włosów. – Kurwa, wiedziałem. Wiedziałem, Bert, że to ten skurwiel Szafrański.

– I co teraz? Chyba do niego nie pojedziesz?

Sambor nie odpowiedział. Zamiast tego odszedł od stołu i przez dobrą minutę krążył po kuchni, starając się opanować. W głowie miał gonitwę myśli. Konrad Szafrański od początku kłamał w sprawie Lili. Nawet nie pisał słowem, że wiele lat temu był z nią uwikłany w romantyczną relację. To o nim pisała w wierszach Lilia. Wielka miłość, która zrodziła się z początkowej niechęci. Bezczesne szczęście i nadzieja na lepszą przyszłość. A na koniec bolesne rozczarowanie i powrót do ponurej rzeczywistości.

– On ją zabił, Bert – powiedział drżącym głosem Sambor. – Lilia nie popełniła samobójstwa. Szafrański ją zjebał.

– Skąd ta pewność?

– Nie mogę ci powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Malczewski podszedł do okna i usiadł na parapecie. Nagle uszła z niego cała złość, a serce wypełniły mu żal i współczucie do Lilii. Czuł się przez nią skrzywdzony i wielokrotnie życzył jej wszystkiego, co najgorsze, ale byli przecież rodzeństwem. Może dalekim od ideału, ale jednak rodzeństwem. Sambor nie mógł pozwolić, by jej śmierć pozostała niepomszczona. Sadysta Szafrąński podniósł rękę na członka jego rodziny i musiał ponieść za to karę.

– Samek, dokąd idziesz? – Albert poderwał się z krzesła i ruszył za przyjacielem.

– A jak myślisz? Do Szafrąńskiego – odrzekł Malczewski, zanim zdjął z wieszaka swoją skórzaną kurtkę.

Słyszac to, Czerski szarpnął go niespodziewanie za rękę.

– Nie możesz!

– Puszczaj, Bert – wycedził wzburzony Sambor. – Muszę zrobić to, co do mnie należy.

– Nie puszczę cię, do kurwy nędzy!

– Lepiej to zrób albo już nigdy nie będziesz w stanie wyprostować ręki – pogroził mu Sambor.

Albert niechętnie wykonał jego polecenie i zaproponował, że pojedzie z nim.

– Wolę mieć na ciebie oko. Jeszcze tego brakuje, byś zrobił coś, czego pożałujesz.

– Oszalałeś, Bert? Nie będę cię w to mieszał.

– Już wmieszałeś – zauważył Czerski.

Sambor założył kurtkę i podszedł do drzwi.

– Zostań tu i zapomnij o tej rozmowie.

– Kurwa, Samek! – Albert doskoczył do niego i zasłonił mu klamkę. – Weź głęboki wdech i postaraj się myśleć trzeźwo. To ja tu jestem glina czy ty?

– Z technicznego punktu widzenia żaden z nas – odrzekł Sambor, powstrzymując się od uśmiechu. Następnie wypuścił powietrze ustami

i oparł się bokiem o ścianę. – Spotkam się z Popowskim i powiem mu o wszystkim.

– Świetny plan. Obiecujesz?

Malczewski w odpowiedzi spojrział z politowaniem na przyjaciela.

– Obiecuję. Tylko przynieś mi sejf.

– Już się robi. – Albert ruszył żwawo w kierunku kuchni. W pewnym momencie przystanął i obrócił się na pięcie. – Samek...

– No?

– Jeśli wrócę i cię tu nie będzie, nie chcę cię już nigdy widzieć w tym domu. Ani w moim życiu. Zrozumiano?

– Zabrzmiało groźnie – prychnął Sambor.

– I prawidłowo. Nie pozwolę, by mój przyjaciel, który i tak już wystarczająco spierdolił sobie życie, spierdolił je jeszcze bardziej. Zaraz wracam.

ROZDZIAŁ 29

Sambor zaciągnął się papierosem i wydmuchał ustami gęsty dym. Po chwili wyłoniła się z niego sylwetka Konrada Szafrąńskiego, który z wymuszonym uśmiechem stał w pobliżu drzwi do swojego domu i rozmawiał z prokuratorem Ratajczykiem.

- Jutro o dziewiątej? Naturalnie, przyjadę. Nie mam niczego do ukrycia. - Po tych słowach zerknął na Sambora i spiorunował go wzrokiem. - Rozumiem, że pali wam się grunt pod nogami, prokuratorze, ale nie pozwolę, by zrobiono ze mnie kozła ofiarnego.

- Nikt nie zamierza robić z pana kozła ofiarnego - zapewnił go Ratajczyk. - Musimy jednak ustalić kilka faktów. I przeszukać pański dom.

Starszy Szafrąński momentalnie opuścił kąciuki ust.

- Czy to konieczne?

Teraz to prokurator delikatnie się uśmiechnął.

- Owszem. Informuję, że ma pan prawo być przy tym obecny.

Sambor zaciągnął się po raz ostatni i upuścił niedopałek na pokryty cienką warstwą śniegu chodnik. A potem podszedł do stojącego przy radiowozie komisarza Popowskiego, który w milczeniu wpatrywał się w Konrada.

- Co o tym wszystkim myślisz? Nie podoba mi się, że prokurator tak się z nim cacka. Powinien go od razu aresztować i oskarżyć o morderstwo Lili.

- Tak by było najprościej, ale bądźmy realistami: stare zdjęcie znalezione pod drzewem w środku lasu jeszcze niczego nie dowodzi.

- Jak to nie? Znajdowało się w skrytce wraz z listami Lili i przedmiotami należącymi do moich rodziców. Mało tego: identyczne zdjęcie zostało wykonane mojej siostrze.

- Równie dobrze Konrad może stwierdzić, że to ty byłeś wtedy z nimi nad jeziorem i robiłeś te zdjęcia. I co wtedy? Jak udowodnisz, że kłamie?

- Ale to on... Czuję, że...

- Przecucie i pewność to dwie różne rzeczy - wszedł mu w słowo Popowski, po czym wyprostował się, widząc zmierzającego ku nim prokuratora.

- Zajmijcie się przeszukaniem. Najlepiej od razu - powiedział cicho Ratajczyk, zerkając przez ramię na stojącego ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Szafrąńskiego. - Facet jest zdenerwowany, może palnie coś, co wykorzystamy przeciwko niemu. No i dobrze by było coś znaleźć, nawet jeśli nie będzie to związane z pańską siostrą.

- To znaczy?

- Jakieś ślady po innych ofiarach, na przykład zabawki erotyczne, na których moglibyśmy znaleźć DNA którejś z gnębionych przez niego dziewczyn. Mówiliście, że to zwyrodnialec. Jeśli nie uda nam się go posadzić w związku z morderstwem Lili, to załatwmy go za to, co zrobił tym kobietom. Do roboty, panowie. - Poklepał ich obu po ramionach i ruszył ku swojemu czarnemu lexusowi.

Chwilę później Sambor podszedł do wyraźnie niepokieszonego gospodarza.

- Wpuścisz nas do środka?

- A mam inne wyjście? - rzucił starszy Szafrąński. - Co to za ponura mina, Malczewski? Nie udawaj, że nie cieszy cię taki obrót spraw. Od początku obrałeś mnie sobie za cel. Nie wiem, jakie bzdury na mój temat wcisnąłeś prokuratorowi, ale udowodnię, że jestem niewinny. A potem oskarżę cię o zniesławienie.

- Już się boję - prychnął Sambor, po czym wyminął mężczyznę i wszedł do środka. - Chętnie napiłbym się dobrej kawy. Będziesz gospodarzem czy sam mam się obsłużyć?

- Spierdalaj - syknął Konrad.

- Nie to nie.

Przez kolejne minuty Sambor i Popowski przeszukiwali salon, zaglądnąc we wszystkie zakamarki, zdejmując z półek książki i otwierając szuflady w komodzie i regale. Nieufny Konrad Szafrąński siedział ze skwaszoną miną na kanapie, nie spuszczać z nich wzroku i masując po ramieniu siedzącego w ustawionym obok kanapy wózek brata.

- Nie martw się, Piotruś. Ci wandalę wkrótce sobie pójdną.

Tymczasem Popowski polecił Samborowi, by udał się do sypialni.

- Ja tu się jeszcze rozejrzę.

Malczewski ruszył ku drzwiom, na moment krzyżując spojrzenia z gospodarzem. Ten natychmiast poderwał się z kanapy.

- Nie myśl, że cię tam puszcze samego. Zaraz wracam, Piotruś.

Dziesięć minut później Sambor wyjął z dolnej szuflady komody pudełko, w którym znajdowała się cała sterta gadżetów erotycznych: wibratory, zatyczki analne, kajdanki, pejcze i skórzane pasy.

- Hm... Ciekawe - mruknął, przyglądając się widocznym na końcówkach pejcza śladom przypominającym zaschniętą krew.

- O co ci chodzi? To, że jesteś nudziarzem w łóżku, nie znaczy, że wszyscy nimi są.

- Rekwiruję to - oznajmił Sambor, a Szafrąński zmarszczył brwi.

- Pojechało cię? Przecież to tylko głupia zabawka.

Sambor nie chciał zdradzać Konrowi, co wiedzą o jego seksualnych upodobaniach. Zamierzał zrobić to w trakcie przesłuchania lub po zgromadzeniu większej liczby dowodów.

Po dokładnym przeszukaniu sypialni Malczewski wyszedł na korytarz i udał się do sypialni dla gości, w której kręcił się Popowski.

- Znalazłem parę zabawek. Weźmiemy je - powiedział do towarzysza.

- Długo jeszcze zamierzacie marnować mój czas? - spytał z irytacją podążający za nim jak cień starszy Szafrąński.

- Jeśli chcesz, możesz w każdej chwili wyjść i zająć się swoimi sprawami - odrzekł kąśliwie Sambor, na co gospodarz zareagował pogardliwym rechem.

Tymczasem zza uchylonego okna dobiegł ich warkot silnika samochodu.

- A kogo to przywiało? - powiedział do siebie Szafrąński, po czym podszedł szybko do okna. - Hm... Muszę na chwilę wyjść. Zaczekajcie tu na mnie. Zabraniam wam wchodzić do innych pomieszczeń bez mojej zgody.

Sambor miał ochotę mu odpowiedzieć, że nie potrzebowali jego zgody, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Sytuacja była już bowiem wystarczająco napięta. Zaczekał zatem, aż Konrad Szafrąński wyparuje z pokoju, a potem sam podszedł do okna i rzucił okiem na stojące przy bramie czarne bmw.

- Wygląda na to, że Konrad wezwał posiłki - rzucił do Popowskiego.

- I co robimy? - spytał komisarz, odruchowo kładąc dłoń na przymocowanej do paska kaburze.

- Miej na niego oko. Jakby coś się działo, wołaj.

- Mam złe przeczucia. Może na wszelki wypadek wezwijmy chłopaków?

Sambor obserwował otwierające się od strony pasażera drzwi. Po chwili z pojazdu wysiadł ubrany w czarną skórzaną kurtkę brunet, którego nigdy wcześniej nie widział. Podejrzewał, że był to jeden z wielu współpracujących z Węgrzynem i Szafrąńskim biznesmenów.

- Spokojnie... Wygląda mi to na niezapowiedzianą wizytę przydupasa Węgrzyna. - Sambor gwałtownie się cofnął, gdy Konrad uniósł wzrok i powędrował nim ku oknu. To samo zrobił jego towarzysz. - Właśnie mu o nas mówi. Obserwuj ich. Ja się szybko rozejrzę. Tak się składa, że jest jeden pokój, w którym jeszcze nie byliśmy.

Sambor udał się w pośpiechu na koniec korytarza i zatrzymał przed ciemnymi dębowymi drzwiami. Pokój pokrzywdzonego przez los Piotra, wobec którego wszyscy stosowali taryfę ulgową, wydawał się

idealnym miejscem na ukrycie dowodów, które nigdy nie powinny wypłynąć na powierzchnię. Sambor nacisnął klamkę i po chwili przekroczył próg. Następnie rozejrzał się po niedużym pomieszczeniu i podszedł do szafy. Na półkach znajdowały się jedynie starannie poskładane koszulki, swetry, czapki i rude futerko, prawdopodobnie szalik lub czapka z sierści lisa. Sambor sięgnął dalej ręką, licząc, że trafi na jakąś skrytkę w szafie. Nic jednak nie znalazł. Zbliżył się więc do łóżka i wyciągnął spod niego duże tekturowe pudło. Po jego otwarciu rozczarował się, widząc masażery do różnych części ciała, które zapewne wykorzystywano w rehabilitacji Piotra. Na koniec podszedł do komody i po kolei sprawdził szuflady. Górną wypełniały bokserki, a środkową skarpety różnej długości. W dolnej znalazł zaś leżące luzem baterie, puste opakowanie po maszynce do golenia i prostokątny wiklinowy koszyk. Znajdowały się w nim rodzinne pamiątki, między innymi wisiorek z krzyżem, medal za zwycięstwo w jakichś zawodach sportowych, kobiece kolczyki i spięte gumką zdjęcia. Pierwsze z nich przedstawiało uśmiechającą się do aparatu parę. Sambor od razu rozpoznał starego Szafrąńskiego. W dziewięćdziesiątym trzecim, gdy Szafrąński pracował w policji, przesłuchiwał jego i Alberta w sprawie podpalenia lasu.

Malczewski zdjął następnie gumkę i przejrzał kolejne zdjęcia. Przedstawiały one stojących przed ołtarzem Szafrąńskich, uśmiechniętą matkę kąpiącą w misce noworodka, a także kilkuletnich braci ubranych w grube kurtki i pozujących na tle pawilonu widokowego na Kozaczej Górze. Wyższy z nich, zapewne Konrad, miał na głowie czapkę z Myszka Miki, zaś Piotr taką samą, ale z Kaczorem Donaldem. Bracia unosili wysoko ręce i szczerzyli się do aparatu. Choć zdjęcie było słabej jakości, Sambor nie dostrzegł na twarzy tego drugiego blizn. Zdjęcie ewidentnie zrobiono zatem jeszcze w czasach, gdy Szafrąńscy mieszkali w Gorzowie. Chłopcy wydawali się tacy szczęśliwi i normalni. Samborowi przeszła przez głowę myśl, że gdyby nie tragiczny wypadek, Piotr pewnie nigdy nie targnąłby się na swoje życie i prowadził teraz

normalne, być może szczęśliwe życie. A potem zadał sobie pytanie: co, jeśli los każdego z nas jest z góry przesądzony i choćbyśmy robili, co w naszej mocy, nigdy nie uda się nam go zmienić?

Już miał chować zdjęcia do kieszeni dżinsów, gdy jego wyobraźnia włączyła piąty bieg. Nagle zobaczył przed oczami obrazy znęcającego się nad bratem Konrada. A co, jeśli psychika Piotra wcale nie podupadła z powodu jego wyglądu, tylko przez fizyczne i psychiczne tortury, których doznał z ręki brata? Czy Konrad gnębił i poniżał go tak samo jak te biedne dziewczyny? Myśl o tym sprawiła, że Samborowi spłynął po plecach zimny pot.

– Skurwysyn – syknął, patrząc na zdjęcie braci.

Tak bardzo żałował, że Piotr nie mógł im opowiedzieć o wszystkim, czego doświadczył. Ale zaraz, przecież Konrad wspomniał, że mógł się z nim porozumiewać za pomocą oczu! Podbudowany Sambor uniósł lekko kąćki ust. Istniała szansa na potwierdzenie jego teorii. Musiał zatem czym prędzej wrócić do salonu i napędce wymyślić sposób komunikacji z Piotrem. Mógł go, na przykład, poprosić o to, by mrugnął szybko dwa razy, jeśli zamierza coś potwierdzić, i trzy razy, jeśli zaprzeczyć. Zanim opuścił pokój, przygotował sobie w głowie pytania. „Czy Konrad stosował wobec ciebie przemoc fizyczną i psychiczną?” „Czy twój brat byłby zdolny do morderstwa?” I wreszcie: „Czy Konrad zabił moją siostrę?”

Po wyjściu na korytarz Sambor wziął głęboki wdech i pomaszerował w kierunku salonu. W połowie drogi niechący wypuścił z dłoni kilka zabranych z pokoju Piotra zdjęć. Gdy się po nie schylił, spostrzegł fotografię, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi. Przedstawiała dwóch chłopców, z których starszy musiał mieć nie więcej niż sześć lat. Mieli na sobie jedynie kąpielówki i pozowali na tle basenu. Konrad i Piotr. Beztroscy i szczęśliwi. Sambor podparł się ręką o ścianę i wstał, nie odrywając wzroku od zdjęcia. Bracia mieli na głowach bujne rude czupryny. Gdyby nie różnica wzrostu, można by ich wziąć za bliźniaków jednojajowych. Chwilę później Malczewski zorientował się, że od tyłu

do zdjęcia było przyklejone inne. Gdy je oderwał, zrobił duże oczy i wydał z siebie ciche westchnięcie.

– Ja jebię. – Zatapiał wzrok w prześwieتلonym zdjęciu Piotra.

Chłopak na fotografii siedział po turecku na łóżku w pokoju i trzymał się za głowę, którą... pokrywały rude włosy.

Sambor poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Gdy udało mu się nieco uspokoić, wrócił w pośpiechu do pokoju Piotra. Po chwili stał przed otwartą szafą i grzebał w jego ubraniach. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Rudą perukę, którą wcześniej omyłkowo wziął za szalik lub czapkę.

– Co jest, kurwa?! – spytał siebie, obejmując wzrokiem fotografię i perukę.

Wyglądało na to, że Piotr nigdy nie pogodził się z tym, że wypadek z dzieciństwa odebrał mu normalny wygląd. Sambor nie przypominał sobie jednak, by w przeszłości widywał go na wsi w peruce. Czyżby Mięśny Piter przeczuwał, że rówieśnicy będą go z tego powodu jeszcze bardziej gnębili? Nastolatkowie potrafią być przecież okrutni. Pewnie szybko wyśmialiby go i zabrali mu perukę. A jeśli to Konrad zabronił mu ją nosić? Sambor wcale by się nie dziwił, gdyby starszy z braci napawał się cierpieniem młodszego. Musiał to wyjaśnić z Piotrem. I ustalić, kogo Lilia uwieczniła na zdjęciu, które przechowywała w skrytce w lesie.

W drodze do salonu zajrzał do sypialni dla gości. Nie zastał w niej jednak Popowskiego.

– Komisarzu?

– Jestem w salonie – odpowiedział mu donośnym głosem Popowski.

Przed opuszczeniem pokoju Sambor podszedł do okna i przez chwilę obserwował Konrada, który wciąż rozmawiał ze znajomym. Mężczyzna stał przy otwartych drzwiach do czarnego bmw, co oznaczało, że Sambor miał mało czasu. Musiał czym prędzej wyciągnąć prawdę z Piotra. Obawiał się, że w obecności brata nie będzie miał odwagi go zdemaskować.

Chwilę później stanął u progu salonu i uniósł brwi na widok rozbawionego Popowskiego, który wsuwał swój pistolet w wykrzywioną lewą dłoń Piotra.

– Miałeś pilnować Konrada, a nie poniżać jego brata.

– Oj, już nie bądź taki delikatny. Niech chłopak ma trochę uciechy w życiu. Założę się, że nigdy nie trzymał w ręku spluwy. Poza tym nie jest naładowana.

– Jakby to miało jakieś znaczenie.

Sambor pokręcił z zażenowaniem głową, a następnie rzucił okiem na trzymane w dłoni zdjęcia i perukę. Już miał podejść do Piotra, gdy w głowie zaświtała mu myśl, po której serce zaczęło mu walić jak młot, a w gardle wyrosła mu ogromna gula.

„Boże... Ale jak?”

– Zabierz mu pistolet! – zawołał drżącym głosem, wskazując ręką na Pitera.

Komisarz spojrział na niego z widocznym na twarzy zmieszaniem.

– Co?

– Jego dłoń! Poprzednio to prawa była wykrzywiona!

Popowski powoli przeniósł wzrok na siedzącego w wózku Piotra.

– Zaraz... Jesteś pewien?

– Zabieraj mu pistolet! – krzyknął Sambor, po czym ruszył biegiem ku Piotrowi.

Wystarczyła sekunda, by przechylona głowa mężczyzny wyprostowała się, a jego skrzywione usta ułożyły się w poziomą linię.

– O kurwa! – jęknął Popowski, po czym napiął wszystkie mięśnie i wystrzelił ku Piotrowi.

Było już jednak za późno. Brat Konrada błyskawicznie przeładował magazynek, a potem chwycił pistolet obiema dłońmi, wyprostował ręce i oddał strzał prosto w klatkę piersiową komisarza. Rozległ się huk, po którym Popowski runął na podłogę, krzycząc:

– Nie!

Zszokowany tym, co widzi, Sambor rzucił się na młodego Szafrąńskiego i przewrócił go wraz z wózkiem. Po kilkusekundowej szarpaninie udało mu się wytrącić z dłoni pistolet, który posunął po podłodze i wylądował pod ścianą.

- Skurwysynu! - warknął Sambor, starając się ze wszystkich sił przejąć kontrolę. Piotr zaskoczył go jednak ciosem z łokcia i wykorzystał chwilowe zamroczenie przeciwnika, doskakując do pistoletu. Po naciśnięciu spustu nic się jednak nie wydarzyło. Nacisnął więc po raz drugi, a gdy otworzył magazynek, zorientował się, że brakowało w nim naboji. Sambor wydał z siebie ciche westchnięcie. Wyglądało na to, że spłacił już dług u Borowego, który zdjął z niego klątwę i przestał zsyłać na niego nieszczęścia.

- Stój! - zawołał po tym, jak Piotr cisnął pistoletem o podłogę i ruszył w kierunku wyjścia.

Nagle Szafrąński przystanął, po czym zawrócił i zadał Samborowi trzy bolesne kopnięcia w brzuch.

- Auuu!

Gdy Piotr opuścił pomieszczenie, Sambor doczołgał się do leżącego nieruchomo na brzuchu komisarza. Popowski miał puste spojrzenie, a spod jego ciała wypływała ciemna krew.

- Kurwa mać - zaklął Malczewski, a następnie zabrał mu przyczepione do paska kajdanki i zmusił się do wstania, zaciskając mocno zęby.

Chciał pobiec za Piotrem i odegrać się za to, co zrobił prawdopodobnie nie tylko komisarzowi, ale również Lili. I gdy już miał wyjść z domu, w drzwiach stanął Konrad. Miał bladą twarz i strach w oczach. Nie był przygotowany na to, że ktokolwiek pozna ich wielką tajemnicę.

- Od początku... Kłamałeś w żywe oczy. Ty skurwy... - urwał, gdy Konrad ruszył sprintem wprost na niego.

Tym razem to Sambor zrobił unik i podstawił nogę Szafrąnskiemu, który upadł przodem na podłogę. Zanim zdążył się obrócić, Malczewski

przygniótł go ciężarem swojego ciała, wygiął mu ręce do tyłu i skuł go kajdankami.

– Zostaw! Puszczaj! Kurwa! – jęczał Konrad.

– Ani mi się waź wstać z podłogi – pogroził mu, głośno dysząc i trzęsąc się z nerwów. Następnie potruchtał ku drzwiom, żałując, że nie miał przy sobie pistoletu. Szanse były wyrównane. I Sambor obawiał się, że tylko jeden z nich mógł wyjść z tej konfrontacji cało.

Po wyjściu przed dom rozejrzał się i spostrzegł Piotra wbiegającego do lasu. Ruszył więc w jego stronę, sycząc z bólu i przykładając dłoń do brzucha. Po drodze wyjął z kieszeni smartfon i zadzwonił po policję, prosząc o przysłanie posiłków. Wspomniał też o karetce, choć wiedział, że nie uda się już pomóc Popowskiemu.

Wkrótce minął pierwsze drzewa i poczuł wiejący mu w twarz lodowaty wiatr. Następnie zatrzymał się i maksymalnie wyciszył. Docierały do niego jedynie sporadyczne odgłosy wydawane przez latające ponad koronami drzew ptaki. To oznaczało, że Piotr ukrywał się w pobliżu i czekał na odpowiedni moment, by zaatakować. Sambor spojrział za siebie. Wciąż jeszcze mógł się wycofać, wrócić do domu Szafrzańskich i spokojnie poczekać na przyjazd policji, która prędzej czy później dorwie Piotra. A jednak nie potrafił odpuścić. Chciał osobiście rozprawić się z człowiekiem, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozbawił życia jego jedyną krewną. Nikt nie ma prawa decydować o życiu lub śmierci członka jego rodziny. A skoro zdecydował, to teraz Sambor zrobi to samo jemu.

Przez kolejne minuty powoli mijał kolejne drzewa, rozglądając się czujnie dookoła i nieustannie zaciskając pięści. Wiedział, że Piotr mógł w każdej chwili wyskoczyć z ukrycia i zaatakować. Nie uciekł daleko. Ucieczka w jego przypadku nie miała najmniejszego sensu. Gdyby puścił Sambora wolno, wszyscy poznaliby jego skrzętnie skrywany sekret. Malczewski zachodził w głowę, dlaczego nikt nie prześwietlił przeszłości Piotra. Z drugiej strony, po co ktoś miałby to robić? On sam nigdy nie przypuszczałby, że Piotr przez cały ten czas udawał

sparaliżowanego. Dopiero teraz wszystko nabrało sensu. Po jego pierwszej próbie samobójczej Szafrąnscy przeprowadzili się na Lubelszczyznę. Chcieli rzekomo być bliżej przebywającego w szpitalu psychiatrycznym syna. Od tamtej pory ich losy pozostawały zagadką. Po powrocie do Runowa Konrad mógł opowiadać ludziom, co tylko chciał. Kłamał w celu wzbudzenia w ludziach współczucia. Kłamał, bo pragnął władzy i pieniędzy.

„Który z was zabił Lilię? A może obaj to zrobiliście? I kto widnieje na zdjęciu?”, posyłał myślami pytania do czającego się w pobliżu Szafrąńskiego. Desperacko pragnął uzyskać odpowiedzi. Czuł, że jest o krok od rozwiązania tej mrocznej, zawilej sprawy.

Nagle rozległ się odgłos trzeszczących gałęzi, a zza jednego z drzew wyskoczył Piotr. Szafrąński biegł wprost na rywala, szczerząc zaciśnięte zęby i trzymając w uniesionej ręce długi, gruby kij. Sambor w ostatniej chwili odskoczył w bok i ukrył się za pnem wysokiej sosny. Piotr zaś błyskawicznie zrobił zwrot i zamachnął się, omal nie trafiając Malczewskiego końcówką kija. Ten wycofał się na kilka kroków i spuścił wzrok. Rozglądał się po twardej, oprószonej śniegiem ściółce, szukając czegoś, co pomogłoby mu w walce z Piotrem. Niczego jednak nie znalazł. Tymczasem Szafrąński zawarczał wściekle, po czym zrobił kolejny zamach i rzucił się na przeciwnika. Malczewski ukrył się jednak za drzewem.

– Wyłaż, tchórzu! – prowokował go rozjuszony Piotr, po czym okrążył drzewo, nie czekając na reakcję Sambora. Ten postawił wszystko na jedną kartę i skoczył na mężczyznę, próbując mu wyrwać kij.

– Aaa! – zawył Szafrąński, gdy tuż po tym, jak zrobił krok do tyłu, niespodziewanie zahaczył lewym butem o nieduży pień ściętego drzewa.

Sambor wykorzystał sytuację i ścisnął kij nieco powyżej dłoni Piotra. Drugą zaś ręką uderzył mężczyznę w bok na wysokości żeber. Szafrąński zawarczał z bólu, starając się odepchnąć Sambora. Ten

jednak poszedł za ciosem i przewrócił przeciwnika na plecy. A potem wyrwał mu z ręki kij, przyłożył mu go do szyi i mocno przycisnął.

- Który z was zabił Lilię?! - spytał spocony, zdyszany i ogarnięty furją. - Gadaj!

Piotr z początku próbował podważyć kij, a gdy jego wysiłki spełzły na niczym, zaczął uderzać Sambora pięściami po rękach.

- Duszę... się - wydukał, wpatrując się w niego wielkimi oczami, w których Sambor dostrzegł paniczny strach.

- Gadaj, skurwysynu! Zabiłeś ją?!

- D-dusz-szę...

Rozsierdzony do granic możliwości Sambor docisnął kij jeszcze mocniej, nie zważając na to, że zabije Piotra, zanim ten zdąży mu cokolwiek powiedzieć.

- Mów, śmieciu! Mów! - wrzeszczał, nie odrywając wzroku od jego pokrytej bliznami twarzy. - Zabiłeś Lilię czy nie?! Odpowiedz: tak lub nie!

Walczący o każdy oddech Piotr w akcie desperacji skinął lekko głową. Wtedy Sambor poluzował ucisk, a Szafranski otworzył usta jeszcze szerzej. Następnie przez dłuższą chwilę głośno kasłał, po czym wziął kilka głębszych wdechów.

- Ja... kochałem... Lilię.

- Co ty pierdolisz, człowieku?! - spytał z niedowierzaniem Sambor. Najchętniej wbiłby mu końcówkę kija z całej siły w szyję, ale wiedział, że to nie rozwiązałoby problemu.

- Nie chciałem jej... zabić. To nie tak miało być - powiedział zachrypniętym, łamiącym się głosem Piotr. A potem, ku zaskoczeniu Sambora, wybuchnął płaczem i skulił się do pozycji embrionalnej. - Kochałem ją... Kochałem... Kochałem...

Sambor podniósł się z zimnej ziemi i spojrzał z góry na szlochającego Piotra. Czuł, że to, czego właśnie się dowiedział, było zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Najważniejsze jednak, że

pomścił śmierć siostry i schwytał jej oprawcę. Zrobił, co do niego należało.

ROZDZIAŁ 30

CZERWIEC, ROK 1995

Lilia od dziesięciu minut tuliła się do pnia drzewa, dławiąc się własnymi łzami i cicho pojękując.

- Zamknij się - wysyczał gwałcący ją od tyłu ojciec, po czym szarpnął córkę za włosy z taką siłą, że jej głowa nienaturalnie odchyliła się do tyłu. - Chcesz, żeby ktoś nas usłyszał?

Dziewczyna zacisnęła zęby i przez kolejne trzy minuty powtarzała sobie w myślach, że musi za wszelką cenę to wytrzymać. Nie mogła dać mu się złamać. Jeśli okaże słabość, ten potwór na pewno wykorzysta to przeciwko niej.

- Moja kochana córeczka... - szeptał jej do ucha Janusz Malczewski, jednocześnie ściskając dziewczynę za pośladek. - Moja piękna, cudowna... och! - westchnął, po czym opadł na Lilię, przyciskając ją jeszcze mocniej do drzewa. Po wszystkim powoli wyszedł z niej, zapiął spodnie i rozejrzał się dookoła. Choć było już dawno po zachodzie słońca i istniała mała szansa, że ktoś by ich zauważył, wolał dmuchać na zimne. - Jak się czujesz? - Odkąd pół roku temu po raz pierwszy ją zgwałcił, po każdym stosunku zadawał jej to pytanie.

- Dobrze - odpowiedziała piskliwie. Zawsze to mówiła. Jedno pieprzone „dobrze”.

- Podobało ci się? - Kolejne pytanie, które doprowadzało ją do szału. I znowu krótkie kłamstwo:

- Tak.

- Cudownie... Zatem ubierz się i wróć pierwsza do domu. Jak mama spyta, gdzie tak długo byłaś, skłam, że u koleżanki.

LIPIEC, ROK 1995

MIESIĄC PÓŹNIEJ

– Dzięki, że tu ze mną jesteś – powiedziała Lilia do siedzącego obok niej na brzegu jeziora Piotrka, po czym położyła mu głowę na ramieniu. – Nie chciałam być dzisiaj sama.

– Dlaczego nie powiesz mi, co się stało? – spytał ubrany w biały T-shirt chłopak, który w obecności przyjaciółki zawsze nosił rudą perukę. Nie robił tego bynajmniej dlatego, że Lilia nie akceptowała jego prawdziwego wyglądu. Wręcz przeciwnie: jako jedyna potrafiła przyłożyć mu dłoń do policzka i ze szczerym uśmiechem na twarzy nazwać „pięknym”.

Piotrek pragnął poczuć, jak by to było, gdyby nie doznał w dzieciństwie tego okropnego wypadku, podczas którego wylał mu się na głowę gorący olej. Nosił więc perukę zawsze, gdy spotykał się z Lilią. Nie mógł tego robić przy innych, a już na pewno nie w szkole. Doskonale wiedział, do czego byli zdolni jego rówieśnicy. Gdyby tylko przekroczył w peruce próg szkoły, po paru minutach pływałaby w sedesie lub płonąła na boisku.

Piotrkowi przez długi czas wydawało się, że pamiętał z najmniejszymi szczegółami chwile poprzedzające incydent, który zmienił jego życie. Nie było dnia, by nie powracał do niego widok starszego brata, który najpierw zawołał go do kuchni, a potem zgarnął z kuchenki garnek, uśmiechnął się złowieszczo i wylał na niego gorącą substancję. Konrad nigdy nie wyjaśnił bratu, dlaczego to zrobił. Przez długi czas twierdził, że Piotrek wszystko sobie ubzdurał. Pewnego dnia wyprowadzony z równowagi chwycił go za koszulkę i zagroził, że jeśli nie przestanie wygadywać kłamstw na jego temat, to zapłaci dużo

większą cenę niż „parę blizn”. A potem rozplakał się, przytulił go i przeprosił za swoje zachowanie.

– Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził, prawda? Jesteś przecież moim bratem.

Z czasem Piotrek przestał poruszać ten temat. Tłumaczył sobie, że w gruncie rzeczy Konrad nie był dla niego taki zły. Kiedy tylko mógł, starał się bronić go przed oprawcami, pomagał mu w nauce i wyręczał w obowiązkach domowych. Z czasem chłopak doszedł do wniosku, że być może wspomnienie tamtego dnia było jedynie wytworem jego wyobraźni i próbą obarczenia kogoś winą za własną nierozwagę. Wiedział tylko, że bez peruki wygląda jak potwór. Spotkania z Lilią sprawiały, że choć przez parę godzin czuł się normalnie.

– Lilia, powiesz mi, co się dzieje? – ponowił prośbę. – Możesz mi zaufać...

Słyszac to, Malczewska uniosła głowę i usiadła do niego przodem.

– Ufam ci. Nie dlatego milczę.

– Zatem dlaczego?

Lilia zacisnęła powieki, gdy do oczu napłynęły jej łzy.

– Bo mam już dość krzyku.

Czując, że dziewczyna tego potrzebuje, Piotrek przyciągnął ją do siebie i czule objął.

– Jestem przy tobie. Zawsze będę. Pamiętaj, że możesz ze mną o wszystkim porozmawiać. Pomogę ci.

– Nie, Piotrek. Mnie już nikt nie pomoże.

Zatroskany chłopak pocałował ją w głowę i przez następne minuty masował powoli po plecach. Gdy Lilia nieco się uspokoiła, wręczył jej własnoręcznie przyrządzoną kanapkę, którą zawinął w folię aluminiową.

– Wiesz, że jutro miną trzy miesiące, odkąd przyszliśmy tu po raz pierwszy? Trzy najlepsze miesiące mojego życia. Zanim cię poznałem, nie wiedziałem, co to znaczy mieć przyjaciela.

- Ja w sumie też nie - odrzekła Lilia, przeżuując kęs świeżutkiej kanapki z boczkiem.

- Mogę cię o coś spytać?

- Zależy o co.

- Dlaczego w ogóle się ze mną zadajesz? - spytał nieśmiało Piotrek.

- Eee... Lubię cię.

- Mnie? Przecież mnie nikt nie lubi.

Lilia zmarszczyła czoło.

- Twierdzisz, że jestem nikim?

Zawstydzony Piotrek podrapał się za uchem.

- Czyli polubiłaś mnie, mimo że...

- Mimo że co?

Chłopak przełknął ślinę i dokończył:

- Mimo że jestem inny?

Lilia w odpowiedzi żartobliwie go szturchnęła.

- Polubiłam cię, bo mam skłonność do gamoni. Takie wytłumaczenie ci wystarczy?

- Zdecydowanie.

Przez resztę popołudnia przyjaciele kąpali się w ciepłej wodzie i robili sobie zdjęcia. Najpierw młodszy Szafranski sfotografował Lilię stojącą przodem do jeziora, a później ona zrobiła mu takie samo zdjęcie.

- Wywołamy je i sprzedamy jakiemuś zespołowi rockowemu. Zrobią z nich okładki płyt - powiedziała podekscytowana dziewczyna.

- Zarobimy kupę forsy, wyjedziemy za granicę i kupimy dom w jakimś spokojnym miejscu.

- O tak! Zobaczysz, tak będzie - odrzekła Lilia.

Nie powiedziała tego na głos, ale nie miałyby nic przeciwko, gdyby spakowali się i uciekli jeszcze tego dnia. Tylko przy nim czuła się bezpiecznie. Oboje byli wykluczeni, nienawidzeni i gnębieni. Piotrek - przez cały świat. Lilia - przez osobę, która dawniej była dla niej całym

światem. Musieli o siebie zawalczyć. Inaczej nigdy nie zrealizują marzeń.

*

MARZEC, ROK 1996

OSIEM MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Gdy Lilia uniosła powieki, zorientowała się, że kłęczy w błotnistej ziemi na polanie, którą często odwiedzała z Piotrkiem. Lubili ten fragment lasu, bo rzadko ktoś się tam zapuszczał. Miejscowi od lat przekazywali sobie legendy o groźnych demonach, które czyhały na zabłąkanych wędrowców. Dziewczyna pamiętała, jak w dzieciństwie Sambor zagubił się podczas pikniku na tej polanie, a później próbował wmówić wszystkim, że porwał go demon Borowy. Jeszcze do niedawna wyśmiewała wszelkie wzmianki o nadnaturalnych zjawiskach. Za sprawą Piotrka powoli zmieniała jednak podejście. Fascynowały ją opowieści, którymi regularnie raczył ją przyjaciel. I podobała jej się wizja mściwego Borowego. Wyobrażała sobie, jak jego szpony dosięgają ojca, który wielokrotnie splamił ten las swoim nasieniem. A ostatnio także i ją samą.

Lilia przeniosła wzrok na jasne materiałowe spodnie, na których oprócz plam błota widniały także ślady krwi. Nie miała pojęcia, jak udało jej się zająć aż tutaj w tak kiepską pogodę i przy tak silnym bólu brzucha. Coś jednak kazało jej się za wszelką cenę oddalić od domu. A gdzie miałyby się udać, jak nie tutaj, gdzie na pewno nikt nie będzie jej szukał?

Nie wiedziała, ile minęło czasu. Godzina, dwie, może dłużej. Gdy ponownie obudziła się pod dębem, była tak zziębnięta, że nie czuła palców u obu dłoni, a zęby niekontrolowanie jej zgrzytały. Brzuch wciąż ją bolał, ale nie tak jak poprzednio. Stało się. Po, jak szacowała, czterech

miesiącach ciąży straciła dziecko swojego ojca. Od dawna czuła, że działo się z nim coś niedobrego. Zupełnie jakby czuła, że nie miało prawa przyjść na ten świat. A teraz zostały po nim jedynie zakrwawione spodnie. Wycieńczona Lilia nie miała nawet siły płakać. Zamiast tego zmusiła się do wstania i chwiejnym krokiem weszła do lasu.

Nieopodal domu natknęła się na błądzącą po lesie matkę.

– Boże, dziecko! Już miałam wzywać policję! Gdzieś ty... – urwała, po czym spojrziała na spodnie córki i głośno westchnęła. – Boże, Lilia, czy ty...

Dopiero wtedy dziewczyna osunęła się na ziemię i zaniósła szlochem.

– Zrób coś, mamó! Proszę!

Zyta Malczewska ruszyła ku córce i zatrzymała się w odległości metra od niej. Przez dłuższą chwilę przyglądała jej się z przerażeniem w oczach. A potem nabrała powietrza w płuca i zmusiła się do tego, by z jej twarzy zniknęły jakiekolwiek emocje.

– Wstań – powiedziała sucho.

– Mamusiu, pomóż!

– Wstań, powiedziałam.

Zaskoczona Lilia obrzuciła matkę pytającym spojrzeniem.

– Ale...

– Idziemy do domu. Muszę cię umyć i wyprać ubrania. Potem zawiozę cię do doktor Joli, która zrobi ci badania. – Miała na myśli swoją znajomą ginekolog. – Zajmę się tobą. Wszystko wróci do normy szybciej, nim się obejrzyysz.

*

SIERPIEŃ, ROK 1996

PIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

„Jesteś taki piękny”, pomyślała Lilia, obserwując kroczącego powoli po polanie białego jelenia. Jakiś szaleniec postrzelił biedaka w tułów, pozostawiając w nim głęboką ranę, z której sączyła się jasnoczerwona krew. Lilia знаła miejscowe wierzenia dotyczące tych pięknych stworzeń. Ten, kto dostąpi zaszczytu zbliżenia się do odwiedzającego ich rejonu jelenia albinosa, zostanie obdarzony przez niego mocą przemieniania żywicy w złoto.

Właśnie mogła stać się najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Musiała się jednak spieszyć. Wiedziała, że jeleniowi zostało niewiele czasu. Ruszyła więc ku zwierzęciu, które w pewnym momencie zorientowało się, że nie jest samo. Spłoszone ruszyło do ucieczki, ale sił wystarczyło mu jedynie na kilka sekund biegu. Wycieńczone upadło na ziemię w pobliżu młodego dębu, pod którym Lilia od niedawna przechowywała cenne przedmioty: głównie wiersze i podkradzione matce błyskotki, w tym zdobiony amazonitem pierścionek zaręczynowy, który Zyta Malczewska zakładała na wyjątkowe okazje. Poruszona dziewczyna usiadła obok zwierzęcia, które już nie próbowało uciekać. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie chciała jego mocy. Nie miała sumienia, by cokolwiek od niego brać w tak smutnej chwili. Przyłożyła dłoń do jego śnieżnobiałej sierści i wyszeptła:

– Jestem przy tobie. Już nic ci nie grozi...

Trwając przy konającym jeleniu, Lilia rozejrzała się dookoła i pomyślała, że wybór właśnie tej polany nie mógł być przypadkowy. Drzewo, pod którym pięć miesięcy temu pożegnała swoje nienarodzone dzieciątko, teraz przyglądało się kolejnej śmierci. Czy jeleni chciał wydać ostatnie tchnienie w miejscu, gdzie już wcześniej przelano niewinną krew?

Lilia pociągnęła nosem i przetarła palcem zwilżone oczy. A potem spontanicznie wyrecytowała trzy zwrotki wiersza, który miał symbolizować nie tylko cierpienie jej i polany, ale i obietnicę zemsty na tych, którzy krzywdzą niewinnych:

*Daremna śmierć przestrogą niech będzie
Dla każdej żywej istoty w tym lesie.*

*A niech największa przedawnia się wina.
Polana Krwi nie zapomina.*

*I gdy myślimy, że szczęście nam sprzyja.
Polana sługów zemsty wzywa.*

- Do zobaczenia w lepszym świecie - wyszeptała tuż po tym, jak oczy jelenia zastygły w bezruchu, a jego ciało momentalnie się rozluźniło. Następnie podeszła do młodego dębu i wyjęła z kryjówki pierścionek zaręczynowy matki. - Przyjmij ten dar, Borowy - powiedziała, zawieszając pierścionek na jednej ze środkowych odnóg. Nie bez powodu wybrała akurat ten. Wiedziała, że miał on dla jej matki szczególne znaczenie. Liczyła, że tak cenny podarek sprawi, że Borowy skupi swoją uwagę na Zycie Malczewskiej. „Przekieruj na nią swoje ochronne moce, demonie” - mówiła w myślach. „A później, gdy odbiorę ci prezent, rozgniewany ześlij kłatwę na tę bezduszną kurwę”.

Niczego bardziej nie pragnęła niż wymierzenia kary matce, która od miesięcy biernie przyglądała się bestialstwu swojego męża. Pozwalała mu na to, by regularnie gwałcił sparaliżowaną ze strachu, bezbronną córkę. Lilia nienawidziła matki bardziej niż ojca. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo zależało jej na stwarzaniu pozorów. Najważniejsze było dla niej zdanie innych ludzi. Malczewscy prezentowali się jako normalna, kochająca się rodzina. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jaki dramat rozgrywał się za zamkniętymi drzwiami. Nawet Sambor nie miał o niczym pojęcia. Nie było dnia, by Lilia nie pragnęła mu wszystkiego powiedzieć i prosić o pomoc. Dla niego była rozpieszczoną, faworyzowaną przez rodziców imprezowiczką. Gdyby poznał prawdę, zrozumiałby, dlaczego tak często przebywała poza domem i znieczulała się używkami. Przede wszystkim jednak przejrzałby na oczy

i uświadomił sobie, że w oczach rodziców od początku to on był tym lepszym, nietykalnym.

- Pomóż mi, Borowy – szepnęła, powstrzymując się od płaczu. A potem uniosła wysoko ręce, spojrzała w niebo i wykonała spontaniczny taniec ku pamięci poległego jelenia. Im dłużej o nim myślała, tym bardziej mu zazdrościła. A jeśli tak naprawdę śmierć nie jest karą, a nagrodą? Ten świat to zepsute, przepelnione okrucieństwem miejsce. Tam, po drugiej stronie, nie może być przecież gorzej...

*

GRUDZIEŃ, ROK 1996

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

- Kochanie, dokąd idziesz? – spytała Lilię matka w trakcie kolacji wigilijnej.

- Do pokoju. Głowa mnie boli.

- Wypij więcej kompotiku z suszem. Może jesteś odwodniona.

Lilia objęła wzrokiem siedzących przy stole dziadków i kilku dalszych członków rodziny. A potem zerknęła na mierzącego ją surowym spojrzeniem ojca, który powoli przeżuwał kawałek makowca. Czy gdyby zaniosiła się teraz płaczem i opowiedziała wszystkim, co dzieje się w tym popierdzielonym domu, ktokolwiek by jej uwierzył? Niedobrze jej się robiło na samą myśl, że prawdopodobnie została by zlekceważona. Nie mogła nikomu ufać, była zdana tylko na siebie. Z drugiej jednak strony mogłaby sięgnąć po asa w rękawie i zdemaskować przy wszystkich matkę. Jakiś czas temu przypadkiem odkryła bowiem, że Zyta Malczewska potajemnie spotyka się z innym mieszkańcem wsi, Czesławem Krynickim. Od tamtej pory śledziła każdy jej krok i ustaliła, że kobieta działała według następującego schematu: spotykała się z kochankiem dwa razy w tygodniu, okłamując wszystkich,

że jedzie do koleżanki. Dotychczas Lilia milczała. Miała nadzieję, że uda się jej po kryjomu zrobić kochankom zdjęcie i pokazać ojcu. Nie było to jednak łatwe, gdyż udawali się na schadzki po zachodzie słońca. Lilia cierpliwie czekała zatem na idealny moment. Przecież w końcu musiało jej dopisać szczęście.

Późnym wieczorem Lilia po cichu zeszła na dół, by wy badać sytuację. Na stole wciąż stały brudne talerze i miska z resztkami makaronu z makiem. Dobrze wiedziała, co to oznacza. Jej matka zawsze sprzątała bezpośrednio po posiłku. Tym razem odpuściła, bo prawdopodobnie miała co innego na głowie. Lilia chyba nawet wiedziała co.

Nagle rozległo się skrzypienie drzwi. Dziewczyna ukryła się szybko za kanapą, a następnie ostrożnie wychyliła zza niej głowę i obserwowała wychodzącą z domu matkę. Zyta miała na sobie elegancki płaszcz, który zakładała tylko do kościoła i na spotkania z Krynickim. „Co za kurwa. Nawet w święta nie mogła sobie darować”, pomyślała zgorziona Lilia, po czym odczekała pół minuty i ruszyła ku wyjściu, po drodze zgarniając swoją kurtkę.

Kwadrans później wróciła do domu i pobiegła prosto na górę.

– Wstawaj – powiedziała do przysypiającego na łóżku, pijanego ojca. Wcześniej wraz z wujkiem Feliksem obalił całą butelkę wódki.

– Nie mam siły.

– Wstawaj. Musisz to zobaczyć.

Ojciec uniósł głowę i zatopił w niej pytające spojrzenie.

– Ale co?

– Czekam na dole.

Wkrótce dotarli do oddalonego o kilkaset metrów od domu auta, w którym jej matka zabawiała się z kochankiem.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi?

– Sam się przekonaj. No, idź, zajrzyj do środka.

Ojciec przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, po czym powoli ruszył w kierunku auta. W połowie drogi tylne drzwi pojazdu otworzyły się, a na zewnątrz wyszła jego żona.

– Co wy tu robicie? – spytała bliskich, poprawiając poczochrane włosy.

Janusz Malczewski zwrócił się przodem do Lilii i spiorunował ją wzrokiem.

– Możesz mi wytłumaczyć, co ty wyprawiasz?

– Ja? To chyba ją powinieneś spytać – odparła jego córka, z której twarzy momentalnie zniknęło zadowolenie.

– Nie. Pytam ciebie. Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

– Chciałam, żebyś to zobaczył na własne oczy. Inaczej nigdy byś mi nie uwierzył, że mama przyprawia ci rogi.

Po chwili z pojazdu wysiadł Czesław Krynicki.

– Jedź już. Zobaczymy się jutro – rzuciła do niego Zyta.

– Cześć, Janusz. – Krynicki pomachał do męża swojej kochanki. – Wesołych świąt.

– Wesołych – odrzekł Malczewski.

Dziesięć sekund później Krynicki odpalił silnik i odjechał. Lilia zaś stała nieruchomo z otwartymi szeroko ustami i próbowała ogarnąć umysłem, co się właśnie wydarzyło. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, matka doskoczyła do niej i ją spoliczkowała.

– Oszalałaś, smarkulo?!

Lilia przyłożyła dłoń do policzka, sycząc przy tym z bólu.

– Zdradzasz tatę! Miał prawo wiedzieć!

Zyta Malczewska zacisnęła mocno zęby, a potem uniosła rękę i ponownie uderzyła córkę. Dziewczyna głośno zajęczała i upadła na ziemię.

– Nie przyszło ci do tego pustego łba, że tata o wszystkim wie i nie ma nic przeciwko?!

Lilia spojrziała z niedowierzaniem na ojca, który spoglądał na nią z góry z surową miną.

- Wiedziałaś?

- Oczywiście, że tak - wyjął, po czym podszedł do żony i objął ją w biodrach. - Nie mamy z twoją mamą żadnych tajemnic. Prawda, kochanie?

- Prawda - odpowiedziała Zyta, po czym złożyła usta w dzióbek i pocałowała męża. - Wracajmy do domu. Aha, dla jasności: nikomu nie możesz o tym powiedzieć. Nawet swojemu bratu.

- Ale...

Matka szarpnęła ją za rękę i wycedziła:

- Spróbuj choćby pisać słowo, a spotka cię taka kara, że wszystkiego ci się odechce.

Następnie zerknęła wymownie na stojącego obok męża. Przekaz był jasny.

*

MARZEC, ROK 1997

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Wzburzony Sambor chwycił siostrę obiema dłońmi i mocno nią potrząsnął. W tym samym czasie porywisty wiatr złamał grubą gałąź jednego z pobliskich drzew. Rozległ się donośny trzask, po którym gałąź runęła na ziemię.

- Nienawidzę cię! - warczał, ignorując szalejący wokół nich żywioł.

- A ja ciebie! - prowokowała go ze złowieszczym uśmiechem na twarzy Lilia. - Dawaj! Zrób to! Zakończmy to tu i teraz!

Sambor na moment puścił siostrę, a potem wyprostował się, spojrzął w niebo i pozwolił, by rześiste krople deszczu obmyły mu twarz. Czuł

wzbierającą w nim moc. Teraz to on rozdawał karty. Lilia była zbyt słaba, by mu się oprzeć. Mógł z nią skończyć, a potem zakopać ciało lub wrzucić je do jeziora i raz na zawsze pozbyć się problemu. Miał już dość ciągłego stresu i niepewności co do kolejnych intryg siostry. Nadszedł czas, by się uwolnić. Uniósł więc rękę z zacisniętą pięścią i spojrział Lili prosto w oczy. Już miał ją uderzyć, gdy rozległ się kolejny huk grzmotu, a dziewczyna uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Nadchodzi. W samą porę.

Sambor poczuł przebiegający mu przez plecy chłód. A gdy dobiegł go odgłos łamanych gałęzi, przełknął ślinę i niepewnie się odwrócił. Wtedy ją ujrzał. Wysoka, ciemna postać z masywnym porożem na głowie stała nieruchomo między drzewami po drugiej stronie dróżki. Sambor w pośpiechu poderwał się z miejsca i chwycił siostrę za dłoń.

– Uciekajmy.

W odpowiedzi Lilia spojrzała na niego z rozbawieniem i wydała z siebie zduszony rechot. Następnie odepchnęła go od siebie i podniosła się z błotnistej ziemi.

– Za późno, frajerze – rzekła, wycierając brudne ręce o przemoczone spodnie. – Długo kazałeś na siebie czekać – zwróciła się teraz do Borowego, krocząc ku niemu powoli.

Sambor poczuł przyspieszone bicie serca, po którym zakręciło mu się w głowie. Zdezorientowany upadł na kolana i przez kolejne sekundy powtarzał sobie w myślach, że to nie dzieje się naprawdę. Miał zwidy albo niezwykle realistyczny sen. Zacisnął więc powieki najmocniej, jak umiał, w nadziei, że gdy je otworzy, ujrzy swój pokój i wdzierające się przez okno promienie porannego słońca. A potem zajęczał z przerażeniem na widok zmierzającej ku niemu Lili. Trzymała w dłoni długi, gruby kij i co chwilę zerkała na Borowego.

– Wstań – powiedziała stanowczym głosem.

– Nie... błagam!

– Rób, co ci każę, albo go tu zawołam.

– Nie! Powiem rodzicom, co zechcesz, tylko...

- Wstań – powtórzyła Lilia.

Roztrzęsiony Sambor wykonał jej polecenie i osłonił się dłońmi.

- Błagam, nie...

Tymczasem Lilia odrzuciła kij na bok, spojrzała w niebo i wzniosła ku niemu ręce.

- Zadzierając ze mną, zadzieras z całym lasem. Wystarczy, że skinę palcem, a spadnie na ciebie cały jego gniew. Tego właśnie chcesz?!

Słyszac to, Sambor uświadomił sobie, że od początku nic od niego nie zależało. To Lilia, nowa królowa lasu, przez cały ten czas pociągała za sznurki.

- Nie jesteś zła – powiedział do niej łamiącym się głosem. – Nie jesteś taka jak on!

- Nic nie rozumiesz, idioto! Ja jestem nim! – Wybuchnęła śmiechem, obróciła się na pięcie i ruszyła ku Borowemu. – Chodź, kochany. Zademonstrujemy mu potęgę naszej miłości.

- Nie! – Spanikowany Sambor wystrzelił w przeciwnym kierunku i po przebiegnięciu kilku kroków wdepnął w kałużę gęstego błota, które sięgnęło mu prawie połowy łydki. – Zostawcie mnie! – krzyczał, starając się wyciągnąć z niej nogę. Gdy wreszcie mu się udało, ruszył do dalszej ucieczki, nasłuchując gromkiego śmiechu Lili.

- A uciekaj sobie, frajerze, choćby na koniec świata. I tak nic ci to nie da. Znajdziemy cię wszędzie, słyszysz?! Należysz do nas. Tylko do nas! – Gdy Sambor zniknął jej z pola widzenia, Lilia pochyliła się mocno do przodu i zaniosła niekontrolowanym śmiechem. – Ja pierdolę, co za kretyn!

- Mało powiedziane – odpowiedział jej przebrany za potwora Piotrek. Chłopak zdjął z głowy czarną maskę z małymi otworami na oczy i nozdrza, do której przymocowane było sztuczne poroże. – Teraz już nigdy nie wejdzie do lasu.

- I bardzo dobrze. W końcu będę go miała z głowy. Zbyt długo mnie szpiegował. – Usatysfakcjonowana Lilia wyprostowała się i podeszła do

przyjaciela. A potem wtuliła się w niego czule, ignorując spływające po ich ciałach krople deszczu. – Dzięki za pomoc.

– Drobiazg. Przecież wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko – odrzekł Piotrek, całując Lilię w mokrą głowę i ze spokojem nasłuchując coraz częstszych grzmotów.

– Naprawdę wszystko?

– O co tylko mnie poprosisz.

Słyszac to, dziewczyna odsunęła się od przyjaciela i spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo widzisz, jest coś, co muszę zrobić... Ale wiem, że sama sobie nie poradzę.

– To znaczy?

– Powiem ci, ale najpierw poszukajmy jakiegoś schronienia.

Wkrótce przyjaciele dotarli do jednej z polan i ruszyli ku wybudowanej na brzegu ambonie. Następnie ostrożnie wspięli się po drewnianych schodach i schronili pod przeciekającym w kilku miejscach zadaszeniem. Dopiero wtedy Lilia ze łzami w oczach opowiedziała Piotrkowi całą prawdę o doświadczanej przemocy seksualnej, poronieniu, które wpędziło ją w głęboką depresję, i nienawiści do matki, która nigdy nie stanęła w jej obronie.

– Dłużej tego nie zniosę. Muszę się ich pozbyć. Albo oni umrą, albo ja. Nie ma innej możliwości. – Pociągnęła nosem i dodała: – Od dłuższego czasu podkradam rodzicom drobne przedmioty i podarowuję je Borowemu. Ostatnio wyjęłam ze skrytki pierścioneł zaręczynowy mamy. Liczyłam, że w ten sposób rozwścicę Borowego, który odwali za mnie brudną robotę. – Zrobiła pauzę i spuściła głowę. – Tymczasem zeszłej nocy ojciec znów próbował mnie zaciągnąć do lasu... Nie mam już siły, Piotrek.

– Boże, Lilia... Co mam zrobić?

– Nie mogę dłużej czekać na Borowego. Muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Pomożesz mi?

- No przecież mówię, że tak.

Lilia przetarła palcem mokre oczy i zaczęła opowiadać o romansie matki z Czesławem Krynickim.

- Chciał, by nas porzuciła i z nim uciekła. Mama się nie zgodziła. Krynicki jest wściekły. Postanowiłam zrobić go w podpalenie domu. Będzie idealnym kozłem ofiarnym.

- Kiedy chcesz to zrobić?

- Wkrótce. Dam ci jeszcze znać.

- Jasne. Załatwię wszystkie potrzebne rzeczy. Lilia...

- Hm?

- A co z twoim bratem? Jego też zamierzasz poświęcić?

- Jeśli mam ruszyć do przodu, muszę wymazać dotychczasowe życie. Sambor musi stać się przeszłością - powiedziała poważnym tonem. A potem położyła głowę na ramieniu przyjaciela i uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, że niedługo jej koszmar dobiegnie końca.

ROZDZIAŁ 31

STYCZEŃ, ROK 2024

Choć temperatura na zewnątrz ledwo przekraczała zero stopni, Lilia nie zamierzała rezygnować z cotygodniowego rytuału, jakim była kąpiel w jeziorze Chaszczce. Naga kobieta stała po pas w wodzie i obracała się wokół własnej osi, wznosząc ręce ku niebu i śpiewając pieśni na cześć duchów lasu. Po wszystkim drżąca z zimna i zgrzytająca zębami wybiegła z wody i podniosła z ziemi gruby koc. Następnie otuliła się nim i wytarła dokładnie ciało.

– Wyjdź z ukrycia, śmiertelniku – powiedziała, spoglądając ku pobliskim drzewom. – Wyjdźże, przecież cię widziałam.

Po chwili zza jednego z drzew wyłoniła się przygarbiona postać. Miała na sobie grubą kurtkę, a głowę skrywała pod dużym czarnym kapturem.

– Przepraszam. Nie chciałem – odezwał się niski męski głos.

– Nie? Ostatnio też mnie podglądałeś. Liczyłam, że sam się ujawnisz.

– Nie miałem odwagi.

Lilia powoli zbliżyła się do nieznanego na kilka kroków.

– Pokaż twarz. Chcę zobaczyć, z kim rozmawiam.

W odpowiedzi mężczyzna zdjął kaptur, odsłaniając łysą, pokrytą bliznami głowę.

– Cz-cześć, L-Lilia.

Na widok dawnego przyjaciela kobieta gwałtownie się cofnęła, omal nie tracąc przy tym równowagi.

– P-Piotrek? A-ale p-przecież t-ty...

– Wiem, wszyscy widzą przykutego do łóżka biedaka, który urządził się tak na własne życzenie. Ale to nieprawda. Wszystko ci wyjaśnię. Dasz mi szansę?

Piotr zaczął, aż Lilia się ubierze, po czym narzucił kaptur na głowę i udał się z nią do ambony, w której przed laty lubili przesiadywać. Następnie przez blisko godzinę opowiadał jej o swoich losach. Wyjawiał jej, że wbrew temu, co opowiada jego brat, nie targnął się po raz drugi na swoje życie.

– Nie rozumiem... Zatem po co ta cała szopka?

– W zeszłym roku Konrad wyznał mi, że myśli o powrocie do Runowa. Znasz Węgrzyna?

– A kto go nie zna? Śmieć od dawna próbuje mnie wykurzyć z domu i wyciąć las pod budowę luksusowych hoteli. Po moim trupie.

– Konrad z nim współpracuje.

– On też? – Lilia pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Tylko obiecaj, że to zostanie między nami. Węgrzyn chyba chce wsadzić Konrada na stołek wójta, bo obecny jest do niego wrogo nastawiony. Jeśli uda im się go pokonać, będą mogli bez przeszkód przepchnąć planowane projekty.

– To by miało sens – skomentowała Lilia. – Ale nadal nie rozumiem dlaczego...

– Obecny wójt ma duże poparcie wśród mieszkańców. Konrad i Węgrzyn wykombinowali, że najszybciej zyskają sympatię ludu, wzbudzając w nim współczucie.

– Poprosił cię, byś udawał kalekę. Dzięki temu wszyscy widzą w nim troskliwego brata i porządnego człowieka. Dlaczego się na to zgodziłeś?

– A co miałem zrobić? To mój brat. Bez niego bym sobie nie poradził. Jako jedyny wspierał mnie przez te wszystkie lata. Przecież odwrócili się ode mnie nawet rodzice.

– I co teraz? Zamierzasz do końca życia siedzieć nieruchomo na wózku?

- Nie. Konrad obiecał mi, że po wygranych wyborach kupi mi duży dom za granicą i zatrudni całodobową opiekunkę.

- Niezła nagroda za oszustwo - stwierdziła ze skwaszoną miną Lilia.

- Ale czego się nie robi dla rodzinki, he?

- Ty też pomogłaś przed laty bratu. Wyprowadziłaś go z płonącego domu, choć nie musiałaś. Mogłaś go przecież zamknąć w pokoju, jak rodziców.

- Mogłam, ale się nad nim zlitowałam. I co z tego mam? Sambor opuścił mnie rok po pożarze. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał.

- Nie próbowałaś go odnaleźć?

- A po co? Wyznaję zasadę, że nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą. - Po tych słowach wyjęła z kieszeni kurtki foliowy woreczek, w którym znajdowały się przygotowany skręt i zapalniczka. - Masz ochotę?

- Nie palę. Wciąż biorę silne antydepresanty i boję się, że...

- Nic ci nie będzie. A jeśli już, to ci się polepszy. - Lilia włożyła skręta do ust i odpaliła go. - Co teraz z nami będzie? Znow się zaprzyjaźnimy? - spytała, wydmuchując gęsty dym.

- A chciałabyś?

- Może bym i chciała... Ale najpierw musisz mi coś obiecać.

- Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko - powtórzył to, co mówił przed laty.

Lilia podała mu skręta i zaczekała, aż się zaciągnie. Ku jej zaskoczeniu nawet nie zakasłał.

- Obiecaj mi zatem, że będziesz mnie informował o wszystkich planach swojego brata. Nie mogę dopuścić do tego, by zniszczono ten las. To święte miejsce, przecież wiesz. Zapomniałeś już o tych wszystkich legendach, które sam mi opowiadałeś?

- Nie zapomniałem, ale przecież to tylko bajki... Naprawdę wciąż w nie wierzysz? Po tylu latach?

- W tym lesie drzemie prastara energia, bez której nasz świat ogarnie chaos. To ona trzyma wszystko w ryzach, nadaje sens naszemu istnieniu. Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co się stanie, gdy jej zabraknie. Las musi przetrwać. Jeśli zniknie, ja zniknę wraz z nim. Wszyscy znikniemy – oznajmiła z pełną powagą Lilia.

Piotr zareagował na jej słowa zachowawczym uśmiechem i ponownie się zaciągnął. Malczewska chciała, by zdradził swojego brata. Poprosiła go o tę jedną rzecz, której nie mógł dla niej zrobić.

- Tęskniłem za tobą, wiesz? Fajnie, że znów jesteśmy razem – powiedział.

*

STYCZEŃ, ROK 2024

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

- Pójdiesz ze mną do lasu? – spytała Lilia. Leżała nago na swoim łóżku i wpatrywała się w sufit. – Proszę, chodźmy...

- Ale po co? Jeszcze ktoś nas razem zobaczy – odrzekł siedzący na krześle Artur Krynicki. Mężczyzna miał na sobie jedynie slipy i czarne skarpetki.

- Zwariowałaś? Dochodzi północ.

- Wystarczy jedna osoba, by zaraz cała wieś się o nas dowiedziała.

Słyszac to, Lilia przeszła do pozycji siedzącej i spojrzała z wyrzutem na kochanka.

- A nawet jeśli się dowiedzą, to co z tego? Ludzie i tak krzywo na ciebie patrzą. Masz w ogóle jakichś przyjaciół? – Zaczekała na odpowiedź Artura. Ten jednak tylko przygryzł dolną wargę i zatopił wzrok w podłogę. – Właśnie – dopowiedziała z satysfakcją Lilia.

Krynicki dopalił skręta, a następnie pochylił się i wrzucił go do stojącej na podłodze popielniczki. Gdy ponownie się wyprostował, dopadły go silne zawroty głowy. Miał też wrażenie, jakby nagle ktoś zaświecił mu latarką prosto w oczy. Po chwili usłyszał dziwne, przytłumione dźwięki, z których następnie uformowały się ludzkie głosy.

– Co ty mi podałaś? – spytał Lilię, której ciało zaczęło na jego oczach obrastać w białe pióra. Jej paznokcie zaś szybko rosły, przekształcając się w ostre szpony. – Kurwa!

– Zrelaksuj się. Wszystko jest dobrze. Wzięliśmy to, co ostatnio. Mówiłeś, że ci się podobało.

– Wtedy tak, ale teraz jest inaczej...

– To dlatego, że się zdenerwowałeś. A gdy człowiek się denerwuje, jego wizje robią się mroczne i niepokojące. Ja widzę piękny, kwiecisty ogród i biegające po nim sarny... Och, są też maleństwa... Jakie śliczne, chodźcie tu, nie bójcie się...

Zaniepokojony Artur udał się do kuchni i wypił trzy duże szklanki wody. Musiał zachować spokój. Wiedział, że ponure obrazy były wytworem jego zatrutego narkotykiem mózgu. Odkąd kilka miesięcy temu zaczął się potajemnie spotykać z Lilią, ta regularnie częstowała go najróżniejszymi substancjami. Z początku konsekwentnie odmawiał, ale w końcu ustąpił. Skusiła go bowiem perspektywa wyrwania się choć na chwilę z tego okrutnego świata, w którym na każdym kroku spotykały go nieprzyjemności. Od najmłodszych lat jego ojciec wbijał mu do głowy, że pewnego dnia osiągnie wielki sukces i utrze nosa wszystkim tym, którzy w niego wąpili. Mijały jednak kolejne lata, a nic takiego nie następowało. Zamiast tego przybywało mu wrogów, a zaciągnięte długi niebezpiecznie rosły. Znajomość z Lilią dawała mu wytchnienie. „Zaufaj jej” – powtarzał sobie w myślach. Nieprzyjemne stany po LSD będą się zdarzać. Na szczęście te przyjemne zdarzały się znacznie częściej.

Godzinę później ubrany w grubą kurtkę Artur kroczył leśną ścieżką obok pobudzonej Malczewskiej, która przeskakiwała z nogi na nogę. Z jej twarzy nie schodził szeroki uśmiech.

- Lepiej wracajmy - powiedział głosem, z którego było zaniepokojenie.

- Uspokój się. Nikogo tu nie ma. Poza tym jest tak ciemno, że nawet gdyby ktoś czał się w pobliżu, nie dostrzegłby twojej twarzy.

- Akurat nie to miałem na myśli, a twój strój. - Zbadał wzrokiem kochankę, która miała na sobie przewiewną sukienkę na ramiączkach.

- Jeszcze się pochorujesz, i co będzie?

- Nic mi nie grozi. Las przesyła mi swoje ciepło. Nie czujesz tego?

- Eee... Nie.

- To znaczy, że jeszcze nie zasłużyłeś na jego moc. Ale spokojnie. Jeśli mi zaufasz i będziesz robił to, co ci powiem, staniesz się jednym z nas.

Artur zatrzymał się i zatopił w kochance pytające spojrzenie.

- Jakich was?

- Sług Lasu. Wtajemniczonych, którym las powierza swoje moce w zamian za ochronę.

- Mówisz o tej bandzie wandalów, o których swego czasu pisano w gazetach?

- Nie jesteśmy żadnymi wandalami. Jesteśmy kimś więcej. Jeśli mi zaufasz, wkrótce się przekonasz.

Nagle, gdzieś w pobliżu, rozległ się odgłos pękających gałęzi.

- Co to było? - Artur rozejrzał się dookoła.

- Nic takiego. Pewnie gałąź złamała się pod naporem śniegu albo jakieś zwierzę przebiegło między drzewami. To co, zaufasz mi?

- Hm... Sam nie wiem, czy chcę być jednym z was - odpowiedział bez przekonania Artur. - Pisano o was okropne rzeczy.

- Działamy w słusznej sprawie. Zrozumiesz to, ale dopiero wtedy, gdy poczujesz moc lasu i uświadomisz sobie, co możemy stracić, jeśli

pozwolimy złym ludziom przejąć kontrolę. A teraz chodź, urządzę ci rytuał wprowadzenia. – Lilia chwyciła go za rękę i zmusiła do biegu.

*

Piotr Szafranski od piętnastu minut chował się za drzewem i przyglądał biegającej po plaży Lili. W pewnym momencie zdjęła sukienkę i kompletnie naga weszła do wody po pas.

– Czekam na ciebie – zachęcała stojącego przy brzegu ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Artura.

– Dziś nie. Jest za zimno.

Obserwując tę scenę i nasłuchując kochanków, Piotr powrócił wspomnieniami do zeszłego tygodnia, gdy po upojnej nocy Lilia powiedziała mu, że jeśli chce z nią być, musi przejść chrzest lasu. A później zaprowadziła go nad jezioro i odprawiła z nim tajemne rytuały. Czuł, że na nowo się w niej zakochuje. Właściwie to zawsze ją kochał, ale nie miał odwagi jej tego powiedzieć. Dłużej nie chciał zwlekać.

– Zgoda.

– Zgoda na co? – spytała Lilia.

– Będę ci donosił o planach Konrada i Węgrzyna.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

– Mam jeden warunek – odrzekł Piotr, po czym sprecyzował: – Kochaj mnie.

– Przecież wiesz, że cię kocham. Zawsze byłeś moim najlepszym przyjacielem. Nawet wtedy, gdy wyjechałeś. Nigdy nie wyrzuciłam cię z serca.

– Nie o takie kochanie mi chodzi. Chcę być z tobą, Lilia. – Po tych słowach zbliżył się do nagiej kobiety i położył jej dłonie na biodrach. – Zawsze liczyłaś się tylko ty.

Malczewska uśmiechnęła się szeroko, a następnie spojrzała w niebo, z którego chwilę wcześniej zaczęły spadać duże płatki śniegu.

- Czy mógłby być piękniejszy moment na wyznanie miłości? - spytała, a następnie złożyła na ustach Piotra długi, namiętny pocałunek.

Tamtego dnia młodszy Szafrński czuł się szczęśliwy jak nigdy. Sądził, że właśnie rozpoczyna nowy, lepszy etap w swoim życiu. Wszystko runęło jak domek z kart kilka dni temu, gdy chciał złożyć Lili niezapowiedzianą wizytę i spostrzegł wychodzącego z jej domu mężczyznę. Zmroziło go, gdy zobaczył, jak Malczewska uwiesza się na jego szyi i zaczyna go całować. Było ciemno, więc nie od razu go poznał. W końcu zorientował się, że Lilia zdradza go z Arturem Krynickim. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Znow był nikim.

Im dłużej patrzył na zabawiających się nad jeziorem kochanków, tym bardziej miał ochotę wyjść z ukrycia i się z nimi rozprawić. Żałował, że nie zabrał ze sobą noża lub pistoletu, który jego brat przechowywał w skrytce w swoim gabinecie. Rozprawiłby się z Arturem, a potem zmusił Lilię do bycia mu wierną. Skoro nie chciała mu się oddać po dobroci, to najwidoczniej trzeba było użyć innych środków.

- Ty kłamliwa suko - zasyczał pod nosem.

Oddał jej swoje serce. A ta cisnęła nim o podłogę i z satysfakcją patrzyła, jak roztrzaskiwało się na milion drobnych kawałeczków.

*

STYCZEŃ, ROK 2024

TRZY DNI PÓŹNIEJ

Piotr inaczej wyobrażał sobie przebieg tego wieczoru. Plan był taki, że wtargnie do domu Lili, powie jej, że wie o Arturze, a gdy ta wszystkiego się wyprze, wyciągnie nóż i przyłoży jej go do szyi. Zbyt wiele wycierpiał w życiu, by dalej godzić się na bycie poniewieranym. Najwyższy czas wypracować sobie przewagę. Już nikt nie będzie z nim sobie pogrywał.

Stało się jednak inaczej. Siostra Sambora już na wstępie ścisnęła mu krocze, a potem zdjęła biustonosz i poprosiła go, by zajął się jej piersiami. Następnie zaprowadziła go do łóżka i rozłożyła przed nim nogi. Podczas gdy Piotr robił jej dobrze, kobieta powtarzała mu, że jest dla niej najważniejszy. A potem, ku jego zaskoczeniu, przeprosiła go za to, co zrobiła.

– Wiem, że nas obserwowałeś. I żałuję, że musiałeś to oglądać.

Młodszy Szafranski usiadł na brzegu łóżka i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Dlaczego mnie zdradziłaś? Myślałem, że ty i ja...

Malczewska ścisnęła mu dłoń i rzuciła:

– Jesteśmy razem. Przysięgam, że liczysz się tylko ty. Jeśli chodzi o Artura... Zaczęłam się z nim spotykać kilka miesięcy temu, więc teoretycznie to on został zdradzony.

– Zabrałaś go w nasze miejsce...

– To też jego miejsce. Ale niedługo przestanie nim być, przysięgam...

– Kiedy mu powiesz, że między wami koniec?

– Jeszcze nie wiem. Muszę się przygotować. Wiem, że bardzo źle to przyjmie.

– Nie każ mi zbyt długo czekać – naciskał ją.

– W porządku. Powiem mu na dniach.

– Dobrze. Tylko nie wspominaj mu, że jesteśmy razem.

– Nic nie powiem, spokojnie – zapewniła go Lilia.

*

LUTY, ROK 2024

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Lilia westchnęła z irytacją, patrząc przez okno na parkującego nieopodal płotu starego forda. „Hipokryta Szafrąński”, pomyślała. Doskonale wiedziała, że jeździł tym złodem, by przypodobać się żyjącym skromnie mieszkańcom Runowa i okolic. Tymczasem w tajemnicy planował ogromne biznesowe przedsięwzięcia, stawiając pod znakiem zapytania przyszłość tutejszego lasu. W ostatnich tygodniach zamęczał ją wizytami. Z początku wypytywał o ojcowiznę i zaoferował jej niezwykle hojną cenę za sprzedaż. Gdyby Lilia przyjęła ofertę, mogłaby kupić sobie przestronną działkę w innym miejscu i postawić na niej duży, nowoczesny dom. Każdy na jej miejscu od razu powiedziałby „tak”. Ona jednak miała w życiu inne priorytety. Gdyby teraz skapitulowała, wszystkie starania, które w ostatnich latach powzięła razem z innymi Sługami, poszłyby na marne.

– Czego chcesz? – spytała chwilę później ubranego w czarny garnitur mężczyznę. Wyglądał tak, jakby właśnie urwał się z przyjęcia dla lokalnych elit. – Myślałam, że ostatnio postawiłam sprawę jasno.

– Porozmawiajmy w środku – zaproponował Konrad, po czym wyminął ją i ruszył w kierunku wejścia.

– Niech będzie. – Lilia wzruszyła ramionami i pomaszerowała za nim.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, zajrzał do zagraconego pokoju dziennego.

– Naprawdę nie wiem, jak możesz żyć w takim syfie.

– Przyjechałeś tylko po to, by mi to powiedzieć? Jeśli ci się nudzi, możesz to posprzątać.

Konrad odpowiedział zduszonym rechotem, po czym przeszedł do sedna:

– Chodzą głosy, że jesteś jedną ze Sług Lasu. Czy to prawda?

– Kto tak twierdzi? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Lilia.

– To nieistotne. Odpowiedz.

Malczewska odwróciła się do niego plecami i rzekła:

– Nie wiem, o czym mówisz.

– A ja myślę, że bardzo dobrze wiesz. – Konrad zaszedł ją od tyłu i chwycił mocno za ramiona. Wzdrygnęła się, ale nie uciekła. – Podobno szykujecie jakąś grubą akcję. Naprawdę myślicie, że uda wam się zatrzymać nasze przedsięwzięcia? Wszystko zostało już potwierdzone. Niedługo ruszamy z pierwszymi budowaniami.

Słyszając to, Lilia odeszła na kilka kroków, a następnie obróciła się na pięcie.

– Po co mi to właściwie mówisz? Załóżmy, że jestem jedną ze Sług i faktycznie coś planowaliśmy... Czy traciłbyś swój czas i przychodził tu z groźbami, gdybyś się nas nie obawiał?

– Groźbami – prychnął starszy Szafranski. – Powiedziałem tylko, że tracicie czas na swoje knucia. Nie powstrzymacie nas. Nie macie pojęcia, z jak potężnymi ludźmi walczyacie. Gdyby tylko chcieli, rozgnietliby was jak stonki na chodniku.

– Nadal uważasz, że mi nie grozisz? – Lilia uśmiechnęła się wymownie, po czym podeszła do niego, nie przestając patrzeć mu w oczy. – Najpierw przychodzisz tu i namawiasz do sprzedaży domu. Teraz posądzasz mnie o udział w spisku. Co będzie następane?

Konrad uśmiechnął się złowieszczo.

– Jesteś fascynującą osobą, Lilio, ale nade wszystko butną. I to cię kiedyś zgubi.

– Dobra, dobra. Wypierdalaj z mojego domu.

– Jeszcze twojego domu – zaznaczył. A gdy na twarzy kobiety pojawiła się konsternacja, wyjaśnił: – Rozmawiałem z twoim bratem, który ma prawo do połowy nieruchomości. Bez namysłu zgodził się na sprzedaż. Nie masz zatem wielkiego pola do manewru.

Malczewska poczuła, jak po plecach spływa jej zimny pot.

– Kłamiesz.

– Czyżby? Możesz do niego zadzwonić i go spytać. Och, zapomniałbym: od lat nie macie ze sobą kontaktu.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytała drżącym ze zdenerwowania głosem Lilia.

Konrad prychnął z satysfakcją.

- Ja wiem wszystko - odrzekł, po czym minął ją i ruszył ku wyjściu.

Kobieta poszła za nim.

- Piotr ci powiedział? - spytała go Lilia, gdy byli już na zewnątrz.

- Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

Słyszac to, Lilia dogoniła starszego Szafrąńskiego, który zmierzał już do auta, i szarpnęła go mocno za rękę.

- Manipulujesz nim, skurwysynu! Całe życie robiłeś z niego niewolnika, a teraz każesz mu udawać kalekę!

Konrad rozejrzał się dookoła, a następnie zbliżył do Lilii i wcisnął jej palce w policzki.

- Zamknij się. Jeszcze ktoś nas usłyszy.

- I bardzo dobrze. Ludzie muszą się w końcu dowiedzieć, jaki z ciebie skończony oszust.

- Teraz ty mi grozisz - zauważył starszy Szafrąński.

- A żebyś wiedział. Ujawnię wasz przekręt. I zrobię wszystko, by uwolnić od ciebie Piotra.

W odpowiedzi Konrad parsknął śmiechem.

- Uwolnić ode mnie? Gdyby nie ja, już dawno by się zabił. Troszczyłem się o niego przez te wszystkie lata i pilnowałem, by do reszty nie postradał zmysłów. A co ty dla niego zrobiłaś? - spytał, mierząc ją surowym wzrokiem. - Wiem, że próbowałaś go wciągnąć w waszą sektę. Piotr opowiadał mi o rytuałach nad jeziorem i innych pojebanych rzeczach. To się musi skończyć. Trzymaj się od niego z daleka!

- Piotr mnie kocha! - wykrzyknęła Lilia.

- Czyżby? W takim razie dlaczego wyśpiewał mi wszystko, o czym rozmawialiście? Wiem, że próbowałaś go nastawić przeciwko mnie. Naprawdę sądziłaś, że ci się uda?

Malczewskiej momentalnie napłynęły łzy do oczu. Właśnie została zdradzona przez jedynego przyjaciela.

- Wypierdalaj – wycedziła. – Na co czekasz?!

- Najpierw obiecaj, że nikomu nie powiesz o Piotrze.

- Spierdalaj z mojego domu!

- Obiecaj – naciskał Konrad.

- A jak nie, to co?

- To Piotr zapłaci za to surową cenę. Jesteś gotowa go narazić? – spytał, patrząc na Lilię, której po policzkach spłynęły jednocześnie dwie cienkie strużki łez. – Tak właśnie myślałem. Zatem morda w kubeł, a nic mu się nie stanie. I ani mi się waży do niego zbliżyć. Jeśli się dowiem, że próbujesz nawiązać z nim kontakt, zrobię mu krzywdę.

- Ty potworze... Przyznaj, że oblałeś Piotra gorącym olejem, gdy był mały. Zrobiłeś to, by już zawsze mieć nad nim władzę.

Konrad wzruszył ramionami i odrzekł:

- Czasem jedynym sposobem na udzielenie komuś pomocy, jest wyrządzenie mu krzywdy.

- Jesteś chory.

- Nie bardziej niż ty – rzucił Szafrąński, po czym opuścił teren ojcowizny.

Zapłakana Lilia zaczekała, aż stary ford zniknie za zakrętem. Następnie wróciła do domu, wyjęła z foliowego woreczka dwie kolorowe tabletki i popiła je wódką. Po kilku minutach udała się do łóżka, przyłożyła głowę do poduszki i zamknęła oczy. Chciała zasnąć i nie myśleć o tym całym koszmarze. Przed oczami wciąż stał jej jednak Piotr Szafrąński. Na jego twarzy widniał cwaniacki uśmieszek. Napawał się zwycięstwem. Czy zdradził ją w ramach zemsty za to, że romansowała za jego plecami z Arturem? Tego nie wiedziała, ale nawet jeśli, to i tak nie miało już znaczenia. Cokolwiek łączyło ją z Piotrem, zostało przez niego obrócone w pył. Musiała o nim zapomnieć. A potem

zastanowić się, kiedy i jak ogłosi wszystkim, że Konrad Szafrąński to perfidny kłamca.

*

MARZEC, ROK 2024

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Lilia ostrożnie uniosła powieki i odczekała, aż wyostrzy się jej obraz przed oczami. Uspokoili się na widok spowitego ciemnością znajomego wnętrza i sterty nagromadzonych przez lata rupieci. Następnie obolała zmusiła się do wstania z łóżka i zapaliła światło w pokoju. Dopiero wtedy zerknęła ku wiszącemu na ścianie zegarowi. Wskazywał godzinę pierwszą siedem. Wiedziała, co to oznacza. Po wczorajszej alkoholowej libacji i narkotykowemu szaleństwu przepała cały dzień. Zgasiła więc światło i udała się do kuchni. Strasznie ją suszyło.

– Au! – jęknęła, gdy w przedpokoju kopnęła przypadkiem w leżący na podłodze przedmiot, prawdopodobnie but. Zignorowała go i ruszyła dalej. A potem przekroczyła próg kuchni i gwałtownie odskoczyła do tyłu. – Boże! – W pośpiechu zapaliła światło i zamarła na widok siedzącego na podłodze Piotra. Mężczyzna trzymał w dłoni zakrwawiony nóż i zatapiał wzrok w leżącym obok na wznak Arturze. Miał przesiąkniętą krwią koszulę, bladą twarz i nieruchome, puste spojrzenie. – Ch-chryste, P-Piotr... C-coś t-ty z-zrobił?!

Dopiero wtedy Szafrąński przeniósł na nią wzrok.

– Ja... nie chciałem. Nie wiedziałem, że Artur tu przyjdzie.

Lilia oparła się o ścianę i zamknęła oczy. To się nie działo naprawdę. Musiała mieć narkotykowe zwidy albo wciąż śnić. Gdy jednak ponownie uniosła powieki, miała przed oczami ten sam widok. I była tak wstrząśnięta, że nie miała nawet siły płakać.

– Dlaczego go zabiłeś? Co tu się w ogóle odpierdoliło?! – spytała po dłuższej chwili, starając się powstrzymać nadchodzący atak paniki. Czuła bowiem, jak zapadają jej się płuca, a serce bije coraz bardziej przyspieszonym rytmem.

Wyraźnie przygnębiony i wciąż zszokowany Piotr podniósł się powoli z podłogi i streścił Malczewskiej wydarzenia z ostatnich godzin. Wyznał, że przyszedł do niej po dziewiątej wieczorem, gdy jego brat pojechał na imprezę do Węgrzyna. Tęsknił za nią i chciał wyjaśnić, dlaczego postanowił wydać ją Konradowi.

– Drzwi były otwarte, więc wszedłem do środka. A potem zobaczyłem cię śpiącą w łóżku. Próbowiałem cię obudzić, ale nie reagowałaś. Uznałem więc, że posiedzę obok i zaczekam.

– Byłeś tu przez cały czas? Ty świrze!

– Tylko przez parę godzin!

Następnie Piotr opowiedział jej o Arturze, który zjawił się niespodziewanie i rzucił na niego z pięściami. Z początku wziął go za włamywacza. Dopiero po chwili zorientował się, z kim miał do czynienia.

– Musiałem go zabić. Nie mogłem mu pozwolić wyjść. Groził, że powie o mnie wszystkim...

Roztrzęsiona Lilia powiodła wzrokiem po nieruchomym ciele Artura. Z jednej strony pragnęła się w niego wtulić i przeprosić za to, że zesłała na niego zagrożenie. Z drugiej jednak Piotr wciąż przy nim stał. Nie chciała się do niego zbliżać. Zwłaszcza że wciąż trzymał w dłoni nóż. Przerazał ją.

– Jesteś chory... Potrzebujesz pomocy.

– Nie chciałem tego zrobić! Przysięgam!

– Jakie to ma teraz znaczenie, morderco?! – wykrzyczała mu w twarz Lilia. – Boże, Artur... Mój kochany... Już po tobie, potworze. – Spiorunowała Piotra wzrokiem.

– Lilia...

- Zniszczę cię. Twoje miejsce jest za kratami – powiedziała wzburzona, po czym wybiegła z kuchni i ruszyła ku drzwiom.

- Lilia! – Piotr ruszył za nią i dopadł dziewczynę, zanim zdążyła wybiec na zewnątrz.

- Puszczaj mnie! Pomocy! Pomocy! – Lilia szarpała się z nim.

- Kocham cię! Jesteśmy sobie przeznaczeni. Pamiętasz, co kiedyś sobie obiecaliśmy? Tylko ty i ja przeciwko całemu światu.

- Nie ma żadnych nas! Nie po tym, jak wyjawileś Konradowi mój sekret! – Siostra Sambora wyrwała się Piotrowi i wycofała pod ścianę. – Twój brat cię nienawidzi.

- Nieprawda.

- Prawda. Całe życie tobą manipulował. To psychopata, może nawet większy niż ty.

- Nie mów tak.

- Bo co?! – kontynuowała drżąca z emocji Malczewska. – Jesteście szkodnikami, które zatruwają ten świat. Gnijcie w pierdło!

- Ale... ja cię kocham.

- Zamknij się! Kochasz tylko swojego braciszka! Tego samego, który przemienił cię w tę szkaradę!

Na dźwięk słowa „szkarada” Piotr zrobił krok do tyłu.

- A-ale... Mówiłaś, że j-jestem piękny...

Widząc, że jej atak przynosi efekt, Lilia postanowiła iść za ciosem:

- Piękny? Jesteś obrzydliwy! Rzygać mi się chce na samą myśl, że dotykałam twojego wstrętnego łba.

Zrozpaczony jej wyznaniem Piotr przysunął się plecami do ściany, a następnie pochylił do przodu i głośno zajęczał.

- Nie mów tak! Nie mów!

- Brzydal!

- Lilia!

- Potwór! Szkarada! Brzydzę się tobą!

- Nie!

Młodszy Szafrąński osunął się na podłogę i zaniósł szlochem. Lilia wykorzystwała jego nieuwagę i doskoczyła do drzwi. Chłopak jednak błyskawicznie poderwał się z miejsca i wbił jej nóż w sam środek dłoni, która spoczęła na klamce.

– Aaa! – zawyła Lilia.

Piotr wyciągnął nóż, uniósł rękę i wbił jej ostrze prosto w szyję.

– Nie jestem szkaradą! – zasyczał i dźgnął ją w prawą pierś. A potem jeszcze w serce i lewy obojczyk.

Oszołomiona Lilia zrobiła wielkie oczy i przyłożyła dłoń do klatki piersiowej. Następnie otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zanim upadła, zdołała wydać z siebie jedynie cichy jęk.

Piotr jeszcze długo patrzył z góry na wykrwawiającą się kobietę. I choć wiedział, że tęsknota za nią każdego dnia będzie mu rozrywać serce, zrobił to, co musiał. Konrad był dla niego wszystkim. Nigdy by się mu nie sprzeciwił. Wrogowie jego brata byli jego wrogami. I należało się ich pozbyć.

*

– Do kurwy nędzy, Piotrusi – westchnął godzinę później Konrad, stojąc w drzwiach domu Lilii i wpatrując się w jej zakrwawione ciało. – Czy to było konieczne?

– To jeszcze nie wszystko – odpowiedział Piotr Szafrąński, po czym zaprowadził brata do kuchni. Następnie opowiedział mu o romansie Lilii z Arturem i groźbach mężczyzny pod jego adresem. – Gdybym go puścił, zniszczyłyby nas obu.

– Muszę pomyśleć. – Konrad zwrócił się do brata plecami i przez dłuższą chwilę krążył w milczeniu po przedpokoju. Wreszcie zbliżył się do chłopaka i pocałował go w czoło. – Kocham cię, wiesz?

Piotr uniósł wysoko brwi.

– To znaczy, że się nie gniewasz?

– Na ciebie? Nigdy. Tym bardziej że zrobiłeś to, co należało.

– I co teraz? – spytał niepewnie młodszy Szafrąński.

- Nie martw się. Wszystkim się zajmę. Nikt nigdy nie dowie się, co tu zaszło. Pomóż mi tylko przenieść ciała do samochodu.

- A co potem? Trzeba się też pozbyć krwi.

- Znam ludzi, którzy zajmują się takimi rzeczami. Zaraz do nich zadzwonię. - Po tych słowach Konrad objął czule zdenerwowanego brata i pomasaował go po plecach. - Ochronię cię przed tym złym światem, Piotrusiu. Ze mną jesteś bezpieczny.

ROZDZIAŁ 32

- Co to za miejsce, Sami? Po co mnie tu przyprowadziłeś? - spytała przyjaciela Judyta, gdy po ponad godzinnym marszu zabloconą dróżką dotarli wreszcie na polanę. Tę, na której tak wiele się wydarzyło...

- Nie pytaj, tylko chodź - odparł i ruszył wskroś polany, ignorując głębokie kałuże.

W ostatnim tygodniu dodatnie temperatury roztopiły zalegający śnieg. Sytuację dodatkowo pogorszyły intensywne opady deszczu, przez co poziom wody w Duszynie niebezpiecznie się podniósł. Pojawiło się nawet ryzyko zalania kilku położonych nieopodal rzeki gospodarstw.

- Chyba oszalałeś, jeśli myślisz, że wejdziesz w to bagno - protestowała zmęczona i zirytowana Judyta.

- I tak już nie odratujesz butów. Chodź.

Wkrótce zatrzymali się przed wysokim dębem z licznie odchodzącymi od niego gałęziami. Sambor następnie powtórzył Wronie to, co zeznał w trakcie przesłuchania Piotr Szafranski.

- Lilia miała mu przed laty wyjawić, że właśnie w tym miejscu straciła dziecko. - Zrobił pauzę, by przełknąć ślinę. - Dziecko, które zrobił jej mój pierdolony ojciec. Ale ty chyba znasz tę historię, hm?

Judyta wyprostowała się i zmrużyła oczy.

- Nie rozumiem...

- Proszę cię, dość kłamstw. Widzę przecież, że nie jesteś nawet specjalnie zaskoczona. Od początku o wszystkim wiedziałaś, bo jesteś jedną z nich.

Wrona zmarszczyła czoło i nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- Sami, co ty bredzisz?

W odpowiedzi Malczewski wyjął z kieszeni zwiniętą w rulonik kartkę, na której wydrukował jeden z napisanych przed laty artykułów

Judyty.

– Czytaj na głos – powiedział po tym, jak wręczył jej kartkę.

Judyta przeniosła na nią wzrok i zaczęła czytać:

– „Las runowski zamknięty w obawie przed Sługami Lasu? Majestatyczne jezioro Chaszczce, tajemnicza Polana Krwi czy zjawiskowa trasa spacerowa wzdłuż krętej rzeki Duszyna już wkrótce mogą być dostępne tylko dla wybranych. Wszystko to za sprawą mieszkańców sąsiadujących z lasem miejscowości. Liczą oni, że w ten sposób uda im się przegonić uzurpujących sobie prawo do lasu Sługów”. – Gdy skończyła, zatopiła w Samborze pytające spojrzenie. – No tak, to moje słowa, ale o co właściwie chodzi?

– „Tajemnicza Polana Krwi” – zacytował Sambor, po czym rozejrzał się dookoła. – O to właśnie chodzi.

– Sami, nie mam ani czasu, ani ochoty na jakieś gierki...

– „A niech największa przedawnia się wina. Polana Krwi nie zapomina. I gdy myślimy, że szczęście nam sprzyja. Polana sługów zemsty wzywa”. Znasz te słowa?

Przyjaciółka przewróciła oczami.

– Pierwsze słyszę.

– Czyżby? To wiersz Lilii, który wyrecytowała mi tu wiele lat temu, a później spisała go na kartce i umieściła wraz z innymi listami w skrytce pod tym dębem. – Powędrował wzrokiem ku pobliskiemu drzewu.

– Yyy... Okej?

– Wiesz, co mi też wtedy powiedziała? Pamiętam to, jakby wydarzyło się wczoraj. „Jesteś pierwszą i ostatnią osobą, której powierzam sekret lasu”. A potem dodała, że to, co usłyszę, już zawsze pozostanie między nami. Lilia nigdy nie rzucała słów na wiatr. Nikt nie miał prawa wiedzieć o tym, że nazywała to miejsce Polaną Krwi. Tymczasem użyłaś tej nazwy w jednym z artykułów.

Na twarzy Judyty malował się niepokój.

- Sami, co ty insynuujesz? Pewnie ta nazwa obięła mi się gdzieś o uszy. Nawet jeśli Lilia ją wymyśliła, to naprawdę sądzisz, że przez tyle lat trzymała ją w tajemnicy? Zwłaszcza że ponoć ciągle biegała po wsi i wygadywała dziwne rzeczy. Ktoś musiał podsłuchać słowa tych jej modlitw, a potem wyłapał tę nazwę, powtórzył ją paru osobom, które podały to dalej... i tak trafiła do mnie.

Sambor spojrział bliskiej znajomej głęboko w oczy.

- Nie wierzę ci, Wrona. W ostatnim czasie popytałem sporo osób i nikt nigdy nie słyszał tego określenia. Ani ksiądz, ani najstarsze mieszkanki... Nikt. W internecie też cicho o Polanie Krwi. Ta nazwa padła tylko jeden raz: w twoim artykule.

Judyta nerwowo się uśmiechnęła, kręcąc przy tym głową.

- Przyznaj, że tęskno ci za policją, dlatego szukasz dziury w całym. Rozwiązałeś trudne śledztwo, dostałeś zastrzyk adrenaliny i teraz doświadczasz zjazdu. Jeśli pragniesz wrażeń, to zatrudnij się w komendzie w Gorzowie. Sam mówiłeś, że oferowali ci już stanowisko po Popowskim.

- Nie zmieniaj tematu, Wrona - powiedział Sambor, który niezmiennie mierzył ją przenikliwym wzrokiem. - Przyznaj, że jesteś jedną ze Sług Lasu.

- C-co? - Judyta zdusiła chichot. - Sami, opanuj się.

- Przez lata pisałaś te wszystkie artykuły, podgrzewając atmosferę wokół nich i dbając o to, by wszyscy wiedzieli, o jakie sprawy walczą.

- Wiesz co? Nie chcę tego słuchać. Odbiło ci od tego wszystkiego...

- Powiedz tylko, czy wiedziałaś, że to Szafranski zabił Lilię.

Judyta głośno westchnęła i spuściła głowę.

- Nie mam siły. Idę stąd.

- Wrona! - zawołał Malczewski, gdy kobieta oddaliła się na kilkanaście metrów. Gdy na niego spojrziała, powiedział: - Nie martw się, będę milczał jak grób. W gruncie rzeczy popieram wasze działania. I szczerze mam nadzieję, że nie wiedziałaś o Lili i Szafranskim. - Po

tych słowach zwrócił się przodem do dębu i zamknął oczy, czekając na jej reakcję.

Chwilę później za jego plecami wybrzmiał głos Judyty:

- Nie miałam pojęcia, że Piotr zabił Lilię. - Znajoma ruszyła następnie z powrotem ku niemu i dodała: - Nigdy nie wyjawiała mi, że się znali. Aczkolwiek zaczęłam to podejrzewać, gdy zajrzałam do jej skrytki. Lilia powiedziała mi o niej parę lat temu, w czasie najintensywniejszej aktywności Sług.

- Czyli jednak...

- Przylapałeś mnie - rzekła z delikatnym uśmiechem Wrona. - Przyznaję, straciłam czujność z tym artykułem. Nigdy bym nie pomyślała, że wsypią mnie dwa słowa. Nawet nie pamiętałam, że ich użyłam.

- Co cię łączyło z Lilią?

- Przez pewien czas byliśmy bardzo blisko. Doceniałam ciężką pracę, którą wykonywała dla Sług, ale też zaufanie, którym mnie obdarzyła. Później wszystko się między nami zepsuło...

- Dlaczego?

- Zaczęło się od innych Sług, którym nie podobał się rozrywkowy tryb życia Lilii. Sam wiesz, jaka była twoja siostra. W pewnym momencie wiele osób głośno mówiło o tym, że może być jedną z nas.

- Nawet Szafranski ją o to podejrzewał - zauważył Sambor.

- Właśnie. Podjęto też, wbrew mojej woli, decyzję o usunięciu Lilii z naszych szeregów. Z jednej strony rozumiałam jej powody, ale z drugiej nie chciałam się rozstawać z Lilią. Gdy jednak zagrożono, że i ja zostaną wykluczona, ona postanowiła zakończyć naszą przyjaźń.

- Lilia?

Judyta rozłożyła ręce.

- Nie chciałam tego, ale Lilia powoływała się na wyższą konieczność. Była świadoma tego, że swoim zachowaniem narażała Sługi na zdemaskowanie. Zbiegło się to w czasie z naciskami ze strony

szefostwa, bym zaprzestała pisania artykułów o Sługach. Ktoś sygnął im niezłą kasę. To był dla mnie trudny czas. Na szczęście Lilia obiecała, że nigdy nas nie wyda. Wiedziałam, że mówiła szczerze. A mimo to inni Słudzy obawiali się, że w całym tym narkotykowym szaleństwie straci kontrolę i rozwiąże się jej język. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Gdy kilka miesięcy temu odwiedziłam Lilię, przywitała mnie tak nacpana, że ledwo stała na nogach.

– Byłaś u niej...

– Chciałam sprawdzić, jak się trzyma. Pamiętam, że wściekła się na mój widok i rzuciła na mnie z pazurami. Całe szczęście udało mi się ją jakoś uspokoić. A potem poruszyłam temat Sług i spytałam ją, czy z kimkolwiek o nas rozmawiała. Lilia przyznała, że próbowała zwerbować parę osób. Liczyła, że w ten sposób przyjmemy ją z powrotem w nasze szeregi. Wspominałeś, że miała też romans z Krynickim...

– Tak zeznał Piotr.

– Podejrzewam, że chciała zwerbować ich obu. Nigdy jednak nie zdradziła im żadnych wrażliwych informacji. Tamtego dnia upewniłam się, że mogę jej ufać.

– To ty włożyłaś mi kopertę za wycieraczkę. Chciałaś, bym odkrył tę skrytkę.

– Naprowadziłam cię też na Sługi, gdy pokazałeś nam to, co znalazłeś w skalniaku. Lilia nie chciała, by ktokolwiek odkrył jej sekrety, dlatego milczałam jak zaklęta. Gdy jednak niedawno zajrzałam do skrytki na polanie i zobaczyłam zdjęcie chłopaka z rudymi włosami, wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Mogłam ci po prostu podrzucić to zdjęcie, ale uznałam, że będzie lepiej, jeśli sam odnajdziesz skrytkę. Wiedziałam, że ci się uda. Lilia opowiedziała mi o białym jeleniu.

– „Szukaj tam, gdzie spoczęła niewinna krew...”

Judyta podeszła do Sambora i chwyciła go za przedramię.

- Twoja siostra była dobrą osobą. I wiem, że bardzo za tobą tęskniła. Wiele razy chciała nawiązać z tobą kontakt, ale nie miała odwagi. Nigdy nie otrząsnęła się po tym wszystkim, czego doświadczyła w młodości.

Sambor położył dłonie na karku i spojrział w niebo. To wszystko go przerastało.

- Dzięki, że mi to powiedziałaś, Wrona. I przysięgam, że nikt nigdy się nie dowie... A teraz proszę, zostaw mnie samego.

- Na pewno?

- Tak, muszę pozbierać myśli.

- Jasne.

- Wrona, zaczekaj. Zapomniałbym. Artur Krynicki...

- Tak, to my podrzuciliśmy Maciejowi ciało - wyjawiała.

- Skąd je wzięliście?

- Dziki wykopały jego fragment jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Znalazł je jeden z naszych podczas patrolowania lasu.

- I musieliście urządzić całą tę szopkę? Nie mogliście po prostu zawiadomić policji?

- Zadajesz za dużo pytań, Sami.

Malczewski uniósł brwi.

- Nie mów, że macie wtykę w policji? To on potwierdził, że to Artur?

- Sami, proszę... Musisz zrozumieć jedno. Tak samo jak każde dzikie zwierzę w lesie należy do Borowego, tak Artur należał do swojej rodziny. My tylko im go zwróciliśmy. Pójdę już.

- Mhm - mruknął Sambor, starając się ułożyć sobie w głowie wszystko to, co usłyszał.

- Sami, tak w ogóle... Myślisz, że po tym wszystkim będziemy się jeszcze mogli przyjaźnić? - spytała nieśmiało Judyta.

- Wrona, jesteś jedyną osobą, która nie odwróciła się od Lili... Ty zyskałaś w moich oczach, nie straciłaś.

- To miłe. - Judyta uniosła powoli kąciki ust. - Czyli dasz się niedługo zaprosić na kawę?

- Tak. A potem zastanowimy się wspólnie, jak uwolnić cię od zjebanego męża. - Sambor miał ochotę wyjawić jej, czego się dowiedział na temat Kornela. Uznał jednak, że to nie jest dobry moment. Czuł zresztą, że będzie lepiej, jeśli odpowiednio przygotuje Judytę do konfrontacji z brutalną prawdą.

- Nie wiem, czy jest sens z nim walczyć. W najlepszym razie czeka mnie pyrrusowe zwycięstwo.

- Pomogłaś mojej siostrze. Pozwól, że teraz ja pomogę tobie. Wygramy, minimalizując straty. Obiecuję.

- Hm... Na początek ustawmy się na kawę, okej? - zaproponowała z uśmiechem Judyta.

- No dobra. Ale i tak ci nie odpuszczę.

Judyta oddaliła się na kilka kroków. W pewnym momencie zwróciła się ponownie przodem do Sambora i powiedziała:

- Cyprian powiedział mi, że napadłeś na jego kolegów.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Daj spokój, udajesz gorzej niż ja.

Malczewski wzruszył ramionami i odrzekł:

- Zasłużyli sobie.

- Tak, Cyprian przyznał, że go gnębili. Dzięki, Sami. Nie tylko za to, że wstawiłeś się za moim synem, ale za to, że nie wpierdoliłeś tym smarkaczom. Tylko narobiłbyś sobie kłopotów.

- Spoko. Ale jeśli jeszcze raz mu fikną, spuszczę im konkretny łomot.

Judyta parsknęła śmiechem i pomachała przyjacielowi na pożegnanie.

Sambor poczekał, aż zniknie za drzewami. Następnie przykucnął pod dębem, zamknął oczy i przyłożył dłoń do zimnego pnia.

- Wybacz - wyszeptał, myśląc o siostrze. Gdyby tylko wiedział, z czym się zmagala, nigdy by jej nie zostawił. Zwłaszcza że ona nie zostawiła jego. A przecież mogła. Sambor żył, bo Lilia tak zdecydowała.

Wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe chwile, które nastąpiły w jego życiu po tamtym tragicznym pożarze, były możliwe dzięki niej, bo w porę wyprowadziła go z płonącego domu. – Dziękuję – dodał, pochylając się do przodu i przykładając czoło do pnia.

W końcu wstał. Musiał żyć dalej. Właśnie tego chciała dla niego siostra.

EPILOG

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Z głębokiego snu wybudził Sambora dzwonek telefonu.

- Kurwa - syknął mężczyzna, po czym w pośpiechu zgarnął ze stolika smartfon i wybiegł z pokoju, mając nadzieję, że nie zbudził Renaty. Następnie spojrzął na ekran i zorientował się, że dzwonił prokurator Ratajczyk. - Tak, panie prokuratorze?

- Dzień dobry, panie Malczewski. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Sambor sprawdził godzinę. Dochodziła dwunasta. Zeszłej nocy sporo wypił z Renatą, a potem uprawiał z nią frywolny seks do białego rana.

- Nie przeszkadza pan. Co tam słychać?

- Dzwonię, by wypytać, czy już się pan zdecydował.

- Na co?

- Jak to na co? Na pracę w komendzie.

- Eee... Prokuratorze, obecnie odwiedzam przyjaciół w Rzeszowie i...

- Kiedy pan wraca?

- Ja... Szczerze mówiąc, to nie wiem, czy w og...

- Panie Malczewski - przerwał mu Ratajczyk. - Widzę, że z panem trzeba ostro, dlatego powiem wprost: prowadzę obecnie bardzo trudne śledztwo i przydałoby mi się wsparcie gliniarza z prawdziwego zdarzenia. Kogoś takiego jak pan. Dlatego proszę nie lecieć ze mną w kulki, tylko zabierać dupę z Rzeszowa i wracać tutaj.

- Ale...

- Nie przyjmuję sprzeciwu. Ma pan jeszcze dziś zadzwonić do komendanta i dogadać z nim wszystkie szczegóły. A potem bierzemy się do roboty. Czy to jasne? - Gdy po drugiej stronie zapanowała cisza, prokurator dodał: - Cieszę się, że się rozumiemy. Do zobaczenia, panie Malczewski. - Rozłączył się, zanim Sambor zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Kto to był? - spytała go chwilę później przeciągająca się w łóżku Renata.

- Nikt ważny. Śpij.

- Przyniesiesz mi wodę? Głowa mi pęka.

- Jasne.

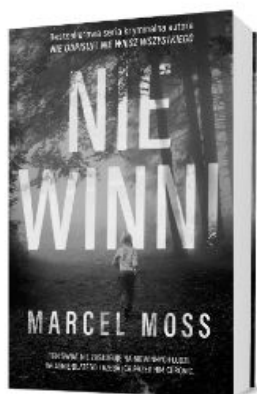
W drodze do kuchni Sambor przystanął i oparł się o ścianę. „Kurwa”, powiedział w myślach. Nie chciał zostawiać Renaty, która od jego przyjazdu nie odstępowała go na krok. Czuł jednak, że po tym wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, powinien być teraz w Runowie. Musiał podjąć jakąś decyzję.

Dwie minuty później usiadł obok Renaty na łóżku i wręczył jej szklanekę zimnej wody.

- Dzięki. Kochany jesteś.

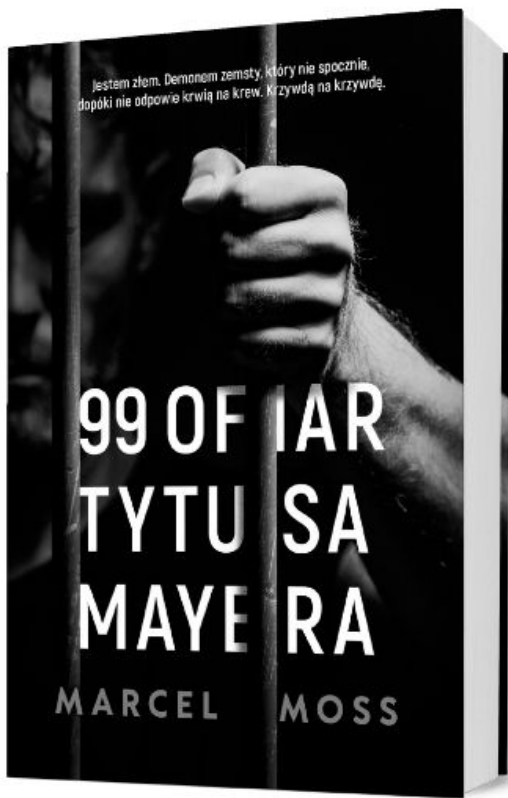
- Renata - zaczął nieśmiało. - Musimy o czymś porozmawiać. To dla mnie cholernie ważne. Podjąłem pewną decyzję. I chciałbym ją z tobą przedyskutować...

KONIEC



**JEDNI CHCĄ ŻYĆ, LECZ NIE MOGĄ,
INNI NIE CHCĄ, A MUSZĄ...**

FILIA



Jestem złem. Demonem zemsty, który nie
spocznie, dopóki nie odpowie krwią na krew.
Krzywdą na krzywdę.

FILIA

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

EPILOG

Reklama